

JENNIFER BLAKE

Luizjana

1

Jasny blask księżycy tańczył po głębokiej, szeroko rozlanej rzece Missisipi. Woda bulgotała wokół płaskodennej łodzi, ciągnąc ją tak, że napinała liny cumownicze i uderzała o groblę w powolnym regularnym rytmie. Ten ruch ukołysał Cyrene Marie Estelle Nolte, która siedziała na niskim stołku, tyłem do nie okorowanych bali nadbudówki. Ziewnęła i otuliła się szczerzej kołdrą, *chroniąc się przed wilgotnym chłodem nocy.*

Gdzieś po prawej stronie rozległ się cichy śmiech. Odwróciła głowę, a światło księżycy zaśniło złotawo na grubym warkoczu przerzuconym przez ramię. Kącik ust powędrował w górę w szybkim uśmiechu. Gaston znowu ruszył do boju. Stawał się prawdziwym satyrem, wiecznie uganiającym się za kobietami. Nie oznaczało to, że kobieta, z którą rozmawiał tam, w cieniu drzew, miała coś przeciw temu, by ją złapano, naturalnie za odpowiednią cenę. Tylko czy Gaston miał pieniądze? Ostatnio nie uskarżali się na nadmiar liwrow.

Wyglądało na to, że ubił transakcję, bo prowadził dziewczkę na tyły gospody, gdzie mieszkała, tuż przy błotnistej drodze za groblą. Oczywiście dla Gastona było rzeczą naturalną płacenie gotowymi komplementami, ujmującym uśmiechem i obietnicą krzepkich ramion. Był uroczym draniem.

Musiałby jednak uznać się za prawdziwego szczęściarza, gdyby dzięki urokowi osobistemu udało mu się wyjść z opresji, jeśli ojciec i wuj przyłapałiby go na

opuszczeniu posterunku. Bo Gaston miał teraz pilnować Cyrene, a Pierre i Jean Breton nie tolerowali żadnego zaniedbania ani wymówek. Obaj starsi mężczyźni także nie znajdowali się zbyt daleko, w każdym razie nie dalej niż kiedykolwiek. Poszli do gospody na drinka lub dwa i kilka rozdań faraona.

Z łodzi unoszącej się na rzece tak blisko grobli, że sprawiała wrażenie niemal stojącej na gościńcu, Cyrene widziała gospodę, a przed nią bladą wstęgę nadrzecznej drogi. Budynek spowijała ciemność, z wyjątkiem zbłąkanych promieni światła umykających spod zamkniętych okiennic oraz długiej żółtej smugi, która strzelała w mrok za każdym razem, kiedy drzwi otwierały się i zamykały za wchodzącymi i wychodzącymi gośćmi. Za gospodą, poprzez drzewa z lewej strony można było dojrzeć dachy Nowego Orleanu, tworzące mieszaninę kwadratów i załamania na przemian zacienionych lub rozświetlonych księżycem. Po prawej stronie gospody i poza nią rozciągały się moczary, ciemna, rozległa połać nie oczyszczonej ziemi, pełna drzew tak grubych, że dopiero czterech ludzi mogło je objąć; rosły tam dziwne i mocno wybujałe rośliny, stała woda pokryta zieloną rzęsą, a w rozśpiewanej ciszy żyły zdradliwe owady i różne pełzające stwory.

Noc była czarna, godzina późna. Cyrene była sama, co napełniało ją rosnącym zdumieniem. Nie bała się samotności, na pewno nie bardziej niż rzeki i bagien. Poczowała nagłą radość. Sama. Głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je powoli, rozkoszując się rzadkim doznaniem. Była sama!

Nie należy sądzić, że Cyrene lekceważyła powody, dla których jej tak pilnie strzeżono; doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństw czyhających nad rzeką, zwłaszcza na samotną kobietę. Czasem jednak nieprzerwany nadzór sprawiał, że chciała zrobić coś szalonego, wykraść się i spacerować ulicami w sukni ze stankiem najbardziej wydekoltowanym albo wziąć pirogę przywiązaną do łodzi i powiosłować rzeką - cokolwiek, co dałoby jej pewne poczucie wolności.

Pierre i Jean Bretonowie, a także Gaston syn Jeana, zrobili wszystko, co było w ich mocy. Nagle narzucono im towarzystwo młodej kobiety, z czym wiązały się nie-małe kłopoty. Kiedy Bretonowie przyjęli Cyrene i jej rodziców, którzy przyплыnęli z Francji, chorych i trzęsących się z gorączki, nikt nie sądził, że potrwa to tak długo. Najpierw umarła matka Cyrene, a wtedy ojciec zaczął szukać w piciu i hazardzie ukojenia ze smutku i wstydu wygnania. Chyba nigdy nie mieli dość pieniędzy na to, by znaleźć inne mieszkanie, albo czas nigdy nie był odpowiedni na przeprowadzkę. Wieczorami ojciec włóczył się od jednej szulerni do drugiej wraz z przyjaciółmi, o ile można ich tak nazwać; przyjaciółmi równie biednymi jak on, równie pełnymi nadziei i planów szybkiego wzbogacenia się i powrotu w glorii do Francji. Dni poświęcał na odsypianie nocy.

Cyrene nie widywała go często, niewiele częściej niż we Francji, kiedy jako dziecko spędzała dni w towarzystwie bony i guwernantki. Nie miało to większego znaczenia; ona i ojciec nigdy nie byli ze sobą blisko. Nie płakała, kiedy zniknął na zawsze przed niespełna miesiącem. Uznano, że powinęła mu się noga i wypadł za burtę po powrocie na łódź, ponieważ przyjaciele widzieli, że szedł w tamtą stronę. Ciała nie odnaleziono, ale nie było w tym nic niezwykłego. Rzadko odnajdywano ludzi, którzy znaleźli się pod pomarszczoną powierzchnią rzeki. Missisipi miała zwyczaj zatrzymywania swoich ofiar.

Cyrene została z Bretonami. Pracowała na swe utrzymanie pomagając w gotowaniu i praniu, a także prowadząc księgi rachunkowe, w których zapisywano transakcje handlowe obu braci. W tej ostatniej czynności przejawiała talent; prowadzenie ksiąg podobało jej się niemal tak bardzo jak sam handel: sztuka targowania się i chęć zysku. Ojciec mawiał, że miała burżuazyjną duszę swego dziadka, ojca matki, szanowanego i zamożnego kupca z Hawru. Nie mogła temu zaprzeczyć.

Życie na rzece także jej odpowiadało. Lubiła ubierać

się tak, jak miała ochotę: chodziła bez czepka, związywała warkocze z tyłu głowy, a rękawy koszuli podwijała do łokci jak Indianka lub chłopka. Uwielbiała zapach, ruch i stale zmieniające się oblicze wielkiego szlaku wodnego. Nie wierzyła, że potrafiłaby teraz zasnąć bez kołysania płaskodennej łodzi. Nie mogła też wyobrazić sobie życia bez wygody nie wyczerpanych zasobów wody, przepływającej za progiem, wody, której nie trzeba było pracowicie wyciągać ze studni, wody, która szybko zabierała nawet najgorsze brudy i odpadki.

Cyrene leniwie omiatała spojrzeniem rzekę i odcinek wzdłuż grobli, aż ku szerokiemu zakrętowi drogi za miasteczkiem. Nagle zeszywniała i wyprostowała się. Tam, w cieniach za gospodą, dostrzegła ruch. Dwaj mężczyźni wyszli spomiędzy drzew. Mimo że widziała ich niewyraźnie w świetle księżyca i w oddaleniu, wydało jej się, że niosą jakiś niewygodny ciężar. Jego części osuwały się i wlokły po ziemi, kiedy wspinali się na pochyłość grobli. Cyrene bez trudu rozpoznała niesiony ciężar: było to ludzkie ciało; jeszcze łatwiej domyśliła się, co nieznajomi zamierzali z nim zrobić.

Cyrene wstała, zrzucając z ramion kołdrę, która opadła na stołek. Odrzuciła długi warkocz przez ramię i, podpierając się pod boki, przeszła na dziób łodzi. Nocny wiatr wpadł w spódnicę, która załopotowała wokół nagich kostek Cyrene, a rękawy koszuli przyłgnęły jej szczelnie do ramion. Ignorując chłód, zmrużyła oczy i wpatrywała się w migotliwy mrok.

Dwaj nieznajomi ślizgając się w błocie wciągnęli martwe ciało na groblę i tam rozbujali je do tyłu i do przodu. Przy ostatnim wymachu puścili je i ciemny kształt zakreślił nad wodą łuk, powoli się obracając. Coś zamigotało srebrzyście, po czym ciało wpadło do rzeki z głośnym chlupnięciem. Pryskająca fontanna wody wzniosła się do góry ściekając, pluskając cicho i zamykając się nad długim, szczupłym kształtem. Nastąpiła chwila ciszy, po czym ciało wypłynęło na powierzchnię kołyszając się delikatnie i, niesione prądem, ruszyło

w stronę łodzi. Dwaj mężczyźni szybko się oddalili od rzeki i ruszyli przez groblę w drogę powrotną.

Cyrene się nie wahała. Z twarzą rozjaśnioną od podjętej decyzji zakręciła się na pięcie i pobiegła do pirogi na rufie. Srebrny blask, który zauważyła, oznaczał jedną z dwóch rzeczy. Pochodził albo od biżuterii albo od srebrnej koronki zdobiącej płaszcz mężczyzny, prawdopodobnie *justaucorps*. Było rzeczą niespotykaną, by ktoś pozbywał się ciała, nie zabrawszy uprzednio cennych przedmiotów i ubrania. Właściwie nie miała nadziei na biżuterię, ale płaszcz by ją ucieszył. Ubrania wszelkiego rodzaju kosztowały niemało, ponieważ musiano je sprowadzać z Francji - edykt królewski zabraniał tkania i przędzenia w koloniach Nowej Francji i Luizjany - a każda część garderoby zawierająca złotą czy srebrną koronkę była niezwykle cenna. Męski płaszcz z takimi ozdobami, nawet używany, był wart ponad sto liwrow.

Nie byłoby to pierwsze zetknięcie się Cyrene z „pływakami”, jak nazywano ciała wyrzucane do rzeki. Pierre i Jean nie tylko zajmowali się handlem, ale byli też dobrymi *voyageurs*, którzy wychowali się i wyszkolili w Nowej Francji, położonej daleko na północy. Nie cierpieli marnotrawstwa i ubóstwiali dostawać coś za nic. Stale wyciągali z rzeki najrozmaitsze rzeczy, od bali i połamanych kratownic na opał do beczułek kwaśnego wina i zwojów splątanej liny. W ciągu minionych trzech lat wyciągnęli na pokład co najmniej pięć ciał, by je rozebrać, rzucając Cyrene ubranie, żeby je wyprała i zaszyła w miejscach uszkodzonych podczas pozbywania się ofiary. Ale nawet im nigdy nie wpadł w ręce płaszcz ze srebrną koronką.

Nie spuszczając wzroku z unoszącego się na wodzie ciała, Cyrene zesłała do pirogi i odepchnęła się od łodzi. Podniosła wiosło leżące na dnie i skierowała się ku długiemu, ciemnemu kształtowi na lśniącej powierzchni rzeki. Prąd był szybszy, niż mogła oczekiwać po zimowym wylewie; ciało pędziło ku niej, obracając się nieco w rwącym nurcie.

Zanurzyła wiosło, nakierowując pirogę na czarny kształt, z zamiarem przechwycenia go. Drobne falki pluskały o burty małej łódki zbudowanej z wydrążonego pnia drzewa, która posuwała się po wodzie, napędzana zamachami silnych, młodych rąk Cyrene. Wiosło wznosiło się i opadało, przy każdym zamachu ciskając w przód garść kropli lśniących jak klejnoty, chociaż zanurzało się w wodzie niemal bezgłośnie.

Dopłynęła do ciała. Rzuciła wiosło na dno łodzi i pochyliła się klękając. Wyciągnęła się najdalej, jak mogła, dotykając palcami materiału, wysokiej jakości brokatu. Chwyliła i pociągnęła. Ciało przysunęło się do niej. Ujrzała luźne pukle włosów rozpostarte na wodzie. Puściła płaszcz, zwalniając niepewny uchwyt, i zanurzyła palce w gęstych włosach, ciągnąc ku sobie nasiąknięte wodą, martwe ludzkie ciało. Ważył zadziwiająco wiele; musiał być wysoki i potężnie zbudowany, albo miał kiezszenie wypełnione złotem.

Ciało powoli się obróciło. Ukazały się blade kontury i zagłębienia twarzy. W górę wysunęła się ręka z rozpostartymi, wyciągniętymi palcami, która zrobiła zamach ku pirodze, uderzając o burtę, chwyciła ją i zacisnęła się.

Pływak żył!

Cyrene wydała zduszony krzyk. Zwolniła uchwyt i cofnęła rękę. Mężczyzna jęknął cicho. Palce ześlizgnęły się z obłej burty pirogi.

Żył!

Cyrene ponownie pochyliła się do przodu, zanurzając rękę w rzece aż po pachę. Dotknęła palcami włosów. Chwyliła je mocno, zapierając się jednocześnie piętami o dno łódki. Znowu ukazała się blada, napięta twarz zalana wodą. Ręka unosiła się bezsilnie na wodzie.

Nie mogła wypuścić włosów, bo pływak zniknąłby pod wodą. Brakowało jej siły, by wciągnąć go do pirogi, a nie zdołałaby dowiosłować z powrotem do łodzi tylko jedną ręką, w dodatku lewą. Po raz pierwszy przyszedł jej do głowy Gaston i poczuła irytację na myśl o jego

miłosnych skłonnościach. Gdyby pozostał tam, gdzie powinien, siedziałby teraz w tej pirodze zamiast niej. Z taką akcją ratowniczą poradziłby sobie z łatwością.

A jednak nie było to takie trudne. Na dziobie leżała lina, którą cumowano pirogę do łodzi. Sięgnęła po nią wolną ręką i, wychylając się jak najdalej do przodu, owinęła nią mężczyznę pod pachami i zawiązała na supeł. Dodatkowy ciężar groził zatopieniem chybotliwej łódce, ale przynajmniej twarz rannego znajdowała się częściej ponad wodą niż w niej. Z mężczyzną u dziobu pirogi przywiązany niczym trofeum wojenne jakiejś pradawnej bogini, powiosłowała ku łodzi.

Wciąż ani śladu Gastona. Cyrene wyszła z pirogi, kiedy przesuwała się wzdłuż burty łodzi, po czym momentalnie padła na kolana, by unieruchomić łódkę między balami na pokładzie. Poluzowała węzeł liny, chwytając mężczyznę za fular, ponieważ zaczął się jej wyslizgiwać z rąk. Zarzuciła linę na pachołek pokładowy, po czym podholowała mężczyznę aż do burty.

Dobrze wiedziała, że nie da rady wciągnąć go na pokład, chociaż woda zmniejszyła na chwilę jego ciężar. Łódź wznosiła się i opadała miarowo, a Cyrene medytowała nad rozwiązaniem problemu. Myślała o zawołaniu Gastona, ale nie spodziewała się, że ją usłyszy, nawet gdyby miał jej poświęcić nieco uwagi. Pozostawała tylko jedna metoda, która jednak przysporzyłaby ocalonemu mężczyźnie kilku sińców i zadrażniłaby już istniejące rany. Ale przecież nie mógł pozostać tam, gdzie był. Czuła, jak jego skóra zlodowaciała od zimnej wody, a ona sama też zaczynała dygotać mimo wysiłku.

Cyrene złapała rękę mężczyzny, wyciągnęła ją z wody, a następnie, puszczając fular, chwyciła drugą, pociągnęła ku sobie i oparła na dużej belce burty. Przytrzymując jedną rękę wstała, po czym mocno złapała mężczyznę za przeguby. Raz i drugi wepchnęła go do rzeki po podbródek, sprawdzając jego ciężar i własne siły, czując, jak woda wypiera go z powrotem w górę. Wzięła wdech, zacisnęła zęby i pociągnęła z całej siły.

Łódź zanurzyła się głębiej. Mężczyzna wychynał z wody po pachy. Pochyliła się szybko i złapała go, ciągnąc ze wszystkich sił, odchylając się w tył z naprężonymi ramionami i ciężko dysząc.

Niestety mężczyzna zaczepił się czymś, guzikiem albo zegarkiem w kieszeni. Zdobyła się na kolejny, olbrzymi wysiłek. Ciało ocalonego zawisło na burcie. Jeszcze raz. Podsunął się w górę; rzeka oddawała go powoli, niechętnie. Miała go! Jego pierś znalazła się nad wodą. Szybko, zanim zdążył się znowu ześlizgnąć, uklękła i chwyciła go za nogę, wciągając całe ciało na pokład. Teraz szło jej łatwiej. Wstała, wzięła go za ręce i pociągnęła. Jej bosc stopy poślizgnęły się na deskach oblanych wodą nachlapaną przez nich i ściekającą z jego ubrania. Potknęła się i upadła.

Prawie całe ciało mężczyzny znajdowało się na pokładzie. Cyrene puściła je i położyła się na plecach. Jej pierś unosiła się w rytmie kołysania łodzi; próbowała złapać oddech. Spojrzała w gwiazdy szaleńczo kołyszące się w górze. Zatańczyły i zwolniły. Zatrzymały się w miejscu. Wreszcie łódź się uspokoiła.

Głowa mężczyzny spoczywała między jej nogami, jego ręka w miejscu, gdzie stykały się jej uda. Przeturlała się na bok i wydostała się spod niego, mrużąc pod nosem przekleństwa, których znaczenia praktycznie nie знаła, ale słyszała, jak używają ich Bretonowie. Pomogły jej się uspokoić. Nie umawiała się na taką pracę, zwłaszcza że szanse na nagrodę zmalały, ponieważ żywy mężczyzna będzie potrzebował płaszcz. Poza tym nie miała pojęcia, czy ocalony był wart jej wysiłku.

I właśnie ta irytacja dała jej siłę, by przeciągnąć go po pokładzie do małej kajuty. Położywszy go na środku podłogi zabrała się za zapalenie glinianej lampki. Wyszła na pokład po kołdrę, którą tam wcześniej zostawiła, wróciła, niosąc oprócz kołdry kawałek lnianego płótna i trochę czystych łachmanów. Rzuciła te rzeczy na podłogę obok ocalonego mężczyzny i uklękła przy nim.

Kiedy rozchyłała płaszcz, jej wzrok padł na twarz

leżącego. Znieruchomiła, a na jej czole pojawiła się zmarszczka. Ujęła mężczyznę pod brodę i odwróciła mu głowę do światła. Wstrzymała oddech.

Rene Lemonnier, *sieur de Voumay*.

Społeczność Nowego Orleanu nie była liczna. W mieście i na obrzeżach mieszkało mniej, niż dwa tysiące ludzi, z czego połowę stanowili żołnierze króla lub afrykańscy niewolnicy. Każdy znał każdego. Nowo przybyły był obiektem wielkiego zainteresowania i jeszcze większych spekulacji.

Człowiek leżący na podłodze przybył do miasta przed miesiącem i wzbudził ciekawość jeszcze większą, niż to zazwyczaj bywało. Był to bowiem dżentelmen z rodziny szlacheckiej, faworyt na dworze Ludwika XV, choć cieszący się daleko sięgającą sławą utracjusza, hazardzisty i rozpustnika. Wieść niosła, że w pewien sposób wywołał niezadowolenie królewskiej *maitresse en titre*, de Pompadour. W rezultacie wypisano na jego nazwisko *lettre de cachet*. Zniknął w Bastylji, paryskim więzieniu dla więźniów politycznych, ale kobiety zaczęły nieprzerwanie czuwać pod murami, a pod bramą rozlegało się takie zawodzenie, że dla zachowania spokoju został deportowany.

Nie został przyjęty jak człowiek okryty niesławą. Przystojny, ciemny jak pirat, z ramionami szermierza i wdziękiem dworzanina, zaskarbił sobie życzliwość markizy de Vaudreuil-Cavagnal, żony gubernatora kolonii w Luizjanie. W związku z tym był ostatnio często fetowany w rezydencji gubernatora. *Bon mots*, które spływały z jego ust, powtarzano wszędzie. Chłopcy szli za nim, kiedy przechadzał się ulicami, a młodzieńcy, kierując się wzorem przybysza, zaczęli pudrować i lokować peruki oraz wiązać podwiązki tak jak on.

Nic z tego w tej chwili nie miało znaczenia.

Mężczyzna krwawił.

Cyrene została przywołana do rzeczywistości widokiem czerwono zabarwionej wody ściekającej mu z włosów. Zbadała czaszkę mężczyzny, delikatnie przesuwa-

jąc palcami po gęstwinie mokrych, splątanych włosów okalających mu głowę ciemnymi falami. Nad uchem wyczuła duży guz. Spod przeciętej skóry sączyła się krew, ale wydawało się, że czaszka pozostała nie naruszona. Mimo to twarz mężczyzny była poszarzała, a wokół ust widniała biała obwódka.

Z większym pośpiechem niż troską zdjęła z niego płaszcz, tylko przez krótki, pełen żalu moment dotykając srebrnego haftu na połach, po czym odłożyła go na bok. Coś zadzwoniło. Przyczyny odgłosu nie trzeba było długo szukać. W kieszeni tkwiła ozdobiona monogramem skórzana sakiewka pełna monet oraz duży zegarek w złotej, cyzelowanej kopercie. Nie mogła uwierzyć, że Lemonnier nie został okradziony. Zastanawiała się nad tym, rozpinając mu kamizelkę, ściągając ją, a następnie zdejmując leżącemu koszulę przez głowę.

Albo Lemonnier zdążył sobie narobić wrogów, albo zabłądził do sypialni niewłaściwej kobiety, w każdym razie został dźgnięty w bok. Paskudna rana była wynikiem złośliwego pchnięcia. Ostrze nie należało jednak do najwysmienitszych, ponieważ złamało się w zetknięciu z żebrzem i wciąż tkwiło w kości. Rana z poszarpanymi brzegami biegła ukośnie od pleców do boku, jak gdyby napastnik uderzył od tyłu w chwili, kiedy Lemonnier odwracał się, by się z nim zmierzyć. Dworski hulaka musiał mieć niezwykle szczęście lub zręczność paryskiego ulicznego kocura, ponieważ według wszelkich prawideł powinien już nie żyć.

Cyrene zrobiła sączek z jednej szmatki. Przekręciła Lemonnier na bok, przyciągając go ku sobie. Z sączkiem w dłoni chwyciła ostrze noża i pociągnęła. Lemonnier drgnął konwulsyjnie i jęknął. Wokół wezbrała krew, jednak ostrze nadal tkwiło uparcie w kości żebra. Sięgnęła po drugi kawałek materiału, przytknęła mocno do rany, by zatamować krwotok, zaparła się i pociągnęła jeszcze raz.

Nóż się wysunął. Stało się to tak nagle, że Cyrene straciła równowagę. Przewróciła się do tyłu, a Lemon-

nier wsparł się na łokciu i runął na nią. Zatrzymał jej dech w piersiach, przygniatając dziewczynę do szorstkich desek podłogi. Silna ręka chwyciła ją za przegub, czerwone ostrze wysunęło się ze zdrętwiałych palców i upadło z brzękiem na podłogę. Zanim zdążyła krzyknąć czy zaprotestować, twarde przedramię przyduśliło jej gardło, odcinając powietrze, wypełniając głowę Cyrene falami bólu.

- Zabójca niezwyklej urody - powiedział Lemonnier napiętym głosem, przesadnie kontrolując oddech, jakby musiał zwracać uwagę na ból. - Może chcesz spróbować jeszcze raz?

Cyrene spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wiedziała, że wcześniej był nieprzytomny. Jak to możliwe, żeby nagle stał się tak przytomny, trzeźwy i tak niebezpieczny? To ostatnie bez wątpienia czaiło się w lodowatej szarości jego oczu, ujawniało się w surowym grymasie regularnych ust. Cyrene zareagowała chłodem, czujnością i wściekłością.

- Żałuję, że nie pozwoliłam ci utonąć. - Jej głos wydobywający się z zaciśniętego gardła zabrzmiał ochryple, a jednak złośliwie.

Zdziwienie dotarło do świadomości Rene, kiedy rozpoznał gniew w jej głosie i na zarumienionej twarzy ujrzał czyste oburzenie skrzące się w złotopiwnych oczach. Dziwna mgła jakby ustępowała z jego umysłu i uświadomił sobie, że nie tylko leży do połowy nagi, ale także przemoczony do suchej nitki. Woda ściekała mu z włosów, mocząc cienką koszulę dziewczyny leżącą pod nim. Tworzyła całkiem ciekawy efekt na wzgórku piersi, efekt, którego nie był w stanie w pełni podziwiać. Czul też gorący strumyk, który, jak przypuszczał, był jego własną krwią, opływającą klatkę piersiową i ściekającą w spodnie.

Jasność umysłu trwała zaledwie chwilę. Mgła zaczęła gęstnieć, przynosząc rozpaczliwą, żenującą słabość. Ostatnim wysiłkiem zdjął rękę z gardła dziewczyny. Głowa tak bardzo mu ciążyła, że pozwolił jej opaść, aż

spoczęła na wilgotnej, a jednak miękkiej poduszce piersi nieznanym. Zamknął oczy. Spokojnym, ale niezmiernie zmęczonym głosem wyszeptał:

- Najwyraźniej popełniłem błąd. Proszę przyjmij najpokorniejsze...

Nie dokończył, chociaż Cyrene miała wrażenie, że niemal czuje na sobie jego usta wypowiadające przeprosiny. Przez chwilę leżała nieruchomo, pogrążona w mieszaniu ogarniającego ją współczucia, wściekłości, podziwu, frustracji, wzdargy i czegoś więcej, co wiązało się z czysto męską siłą, jaką wyczuła w tym człowieku, znajdując się przez moment na jego łasce.

Jego ciepła krew wciąż jednak ciekła na spódnicę Cyrene. Z okrzykiem wyczerpania i niesmaku odrzuciła go od siebie. Odszukała sączki, przycisnęła je do rany, rozglądając się za lnianym płótnem, by umocować opatrunek.

Łódź zakołysała się, był to nieomylny znak, że ktoś wszedł na pokład. Cyrene zamarła ze strachu, kiedy tuż za drzwiami zamajaczył cień. Przez głowę przemknęła jej myśl o dwóch ludziach, którzy usiłowali zabić Lemonniera.

Do kabiny wszedł mężczyzna, zatrzymał się, po czym zaklął gwałtownie.

- Gaston! - krzyknęła. - W samą porę.

- Coś ty tu, na miłość boską, nawyrabiała? Mała jatka?

Najmłodszy z Bretonów zrobił krok do przodu. Był to barczysty młodzieniec wzrostu najwyżej średniego, o mocno kręconych brązowych włosach związanych na karku, by odsłonić złoty kolczyk, który nosił tylko w lewym uchu, ponieważ kopnięcie muszkietu zerwałoby podobną ozdobę z prawego ucha. Skóra Gastona lśniła miedzianym blaskiem na pamiątkę po matce Indiance, a oczy miał intensywnie niebieskie. Kiedy nachylił się nad Cyrene, jego spojrzenie karciło, ale także droczyło się z nią.

- Chciałam złowić płaszczy - odparła krótko, ruchem

głowy wskazując na przytrzymywany opatrunek. - Chodź tu i potrzymaj, a ja zawiążę bandaż.

- Skoczyłaś dla niego do rzeki? Oszalałaś?
- Płaszcz miał srebrną koronkę.
- Aha.

Było to wystarczające wyjaśnienie. Gaston podszedł i klęknął, by jej pomóc.

- Ojciec i wuj Pierre zedną ze mnie skórę - stwierdził z rezygnacją.

- Należy ci się za harce z tamtą dziewczką.

- Czy ty nie masz serca, kobieto? Nie masz pojęcia, co czuje mężczyzna na widok chętnej i pięknej kobiety.

- Pięknej, co? - Nie przerywając pracy rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- Cóż, mnie wydawała się piękna, przynajmniej zanim...

- Nie chcę tego słuchać!

- Ależ, *chere*, chciałem tylko powiedzieć: zanim zobaczyłem ją w świetle!

- Na pewno to właśnie chciałeś powiedzieć. Odsuń rękę.

Gaston spełnił polecenie.

- Nie kalałbym twoich niewinnych uszu szczegółami tego, co zaszło między mną a tą kobietą. Nie tylko nie sprawiłoby mi to frajdy, ponieważ nie rumienisz się już na takie rzeczy jak dawniej, ale także byłoby to niegodne mężczyzny. Poza tym wuj Pierre obdarłby mnie ze skóry, gdyby o tym usłyszał.

- To prawda - stwierdziła cierpko. - Może przestaniesz opowiadać w swoich amorach i spojrzysz na tego człowieka.

Gaston odwrócił się i jęknął ze zdumienia.

- *Sacre!* To Lemonnier.

- Nie inaczej. Czy sądzisz, że *madame la marquise* da nam nagrodę, jeśli ją zawiadomimy, że został uratowany?

Młody Breton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo możliwe, ale nie jestem pewien, czy Lemon-

niere ci podziękuje. Mówią, że dotąd z pewnym powodzeniem uchylał się od jej zaproszeń na *tete-a-tete*.

Żonie gubernatora podobali się cudzoziemcy. Mąż, markiz, był od niej młodszy o piętnaście lat. Wydawało się, że ich małżeństwo opierało się na wzajemnym szacunku, wzajemnym skapstwie i wzajemnej ambicji. Małżonkowie wyznaczyli sobie cel: uzyskanie dla markiza stanowiska gubernatora Nowej Francji, które kiedyś piastował jego ojciec. Tam też markiz przyszedł na świat. Szeptano, że tę posadę miał zapewnioną. Był zdolnym administratorem, który posiadał wiedzę o wybiegach niezbędnych do zarządzania odległą kolonią zamieszkaną przez dzikusów, pstrokatą zbieraninę francuskich wygnańców, a także grupę *voyageurs* i *coureurs des bois*, którzy tak długo przebywali w dżiczy, że sami zdziczeli. Jednak markiz nie otrzymał jeszcze oficjalnej nominacji, wcześniej należało znaleźć jego zastępcę w Luizjanie. Tymczasem *madame* pełną garścią czerpała bogactwa, które oferowała kolonia.

Myśl o Rene Lemonnierze i *madame* de Vaudreuil napełniła Cyrene niesmakiem, więc wyparła ją z głowy.

- Daj mi tę kołdrę i owińmy go - rozkazała ostrym tonem. - Potem możesz zdjąć mu spodnie.

- Zdjąć mu... Cyrene!

Ujrzała, że zszokowana mina Gastona była, przynajmniej po części, nie udawana.

- Przecież nie może w nich zostać. Nigdy się nie ogrzeje!

- Jeśli tata i wuj Pierre wrócą i znajdą cię nie tylko w towarzystwie takiego osławionego kobieciarza jak Lemonnier, ale i nagiego kobieciarza...

- On ledwo żyje! Poza tym jest przyzwoicie okryty.

- To nie będzie miało dla nich znaczenia. Zabijają mnie.

- Wobec tego pomóż mi go przenieść do mojego pokoju.

Zrezygnowany ton Gastona zniknął momentalnie.

- Do twojego pokoju? Nigdy!

- Nie może wiecznie leżeć na środku tej kajuty. Tylko u mnie nie będzie zawadzał.

Pomieszczenie, które nazywała swoim pokojem, było zaledwie przybudówką wielkości dużej szafy. Mieścił się tam hamak, przewieszony od ściany do ściany, a w kącie stał kufer z jej ubraniami. W drugim kącie piętrzyła się sterta pułapek na zwierzęta, klatek, koców na wymianę handlową, zrolowanych futer oraz innych przedmiotów wątpliwej użyteczności, z którymi Bretonowie nie potrafili się rozstać.

Gaston protestował, utyskiwał, obrzucał samego siebie epitetami zarówno sprośnymi jak i komicznymi, ale nie umiał znaleźć alternatywy dla propozycji Cyrene. W końcu pomógł jej wyościć na podłodze obok hamaku legowisko ze skóry bizona, koców i niedźwiedziego futra do przykrycia, po czym wspólnymi siłami przenieśli na nie Lemonniera. Dopiero okrywszy nieprzytomnego mężczyznę niedźwiedzim futrem, ściągnął mu spodnie i rzucił je Cyrene.

Zostały uszyte z ciężkiego brokatu, podobnie jak płaszcz. Stała, wywracając spodnie na właściwą stronę, wygładzając drogi materiał roztargnionymi ruchami, patrząc na Gastona.

- Powinam go zmusić do wypicia trochę brandy, póki był przytomny.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? - spytał Gaston tonem żartobliwej wymówki, po czym parsknął śmiechem, kiedy mu powiedziała.

- To wcale nie było zabawne!

- Biedna, mała Gyrene, uwięziona w ramionach mistrza podrywaczy, i co się dzieje? Nic. To nieuczciwie. - W jego niebieskich oczach migotało rozbawienie, tylko trochę lubieżne, a kołyszący się kolczyk lśnił złotawo w blasku świecy.

- Wynocha - wycedziła Cyrene przez zaciśnięte zęby.

- Gdzie twoje poczucie humoru?

- Wynocha! - Cisnęła w Gastona spodniami i natarła

na niego, a on wycofał się do głównego pomieszczenia, wyciągając ręce w obronnym geście.

Wtedy rozległo się męskie chrząknięcie, będące częściowo ostrzeżeniem, a częściowo nakazem ciszy. Gaston i Cyrene odwrócili się, stając twarzą w twarz z Pierre'em Bretonem, który zatrzymał się w progu kajuty, przyglądając się plamom krwi i pokrwawionym łachmanom na mokrej podłodze.

- Wytłumaczcie mi, proszę - powiedział przeciągle starszy mężczyzna, a surowość oczu zadawała kłam łagodnemu tonowi głosu - co tu się właściwie dzieje?

2

Wyjaśnień udzieliła Cyrene, ponieważ Gaston, ilekroć stawał przed wujem, tracił nie tylko lekki wdzięk, ale w znacznym stopniu także zdolność mowy. W trakcie składania relacji wszedł Jean Breton, ojciec Gastona. Kiedy Cyrene skończyła, dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie z dziwnym porozumieniem.

Byli podobni, a jednak inni. Obydwaj mieli czyste, niebieskie oczy koloru letniego nieba; obydwaj mieli te same grubo ciosane rysy i krzepkie ramiona, wykształcone przez lata wiosłowania na łodziach wszelkiego typu i wielkości po krętych rzekach, od rodzinnej Nowej Francji aż po Zatokę. Ubierali się także podobnie: proste, muślinowe koszule wpuszczone w luźne, wełniane pantalonki sięgające za kolana oraz indiańskie mokasy-ny bez skarpet. Na tym jednak podobieństwo się kończyło.

Pierre był wyższym z braci, z piersią niczym beczka, ciemnobrązowymi włosami przetykanymi siwizną i głębokimi bruzdami dawnego bólu przecinającymi twarz. Jean był raczej blondynem, a włosy kręciły mu się obficie. W jego oczach często migotała wesołość; lubił nosić dopasowane do jaskrawo prążkowanych koszul chustki o jaskrawych brzegach, nakrapiane żółtymi i czerwonymi grochami, a na głowę wkładał toczek z kutasikiem. Mniej poważny niż starszy brat, uwielbiał tańczyć i czasem dawał się namówić do grania na harmonii.

Mimo to bracia zawsze stali ramię w ramię. Skrzyw-

dzić jednego oznaczało skrzywdzić obu, a pozyskując przyjaźń jednego, zdobywało się drugiego sprzymierzeńca. Mieli naturę pokojową i przestrzegali praw, dopóki te były sprawiedliwe, jednak błahych przepisów nie darzyli wielkim szacunkiem. Zawsze i bezwarunkowo postępowali sprawiedliwie.

- Obejrzyjmy tego dżentelmena - oświadczył Pierre, kiedy Cyrene skończyła.

Podniósł lampę łojową i ruszył ciężkim krokiem do kłitki, którą Cyrene nazywała swoim pokojem. Trzymając lampę wysoko, odsunął zasłonę i spojrzał na nieprzytomnego mężczyznę. Cyrene ruszyła za Pierre'em, podobnie jak pozostali. Poczwała obok siebie szybki ruch, odwróciła się i ujrzała, jak Jean Breton wykonał znak krzyża, wpatrując się w długi kształt na legowisku. Zmarszczyła w zdumieniu czoło, widząc coś na kształt niemal przesadnego strachu, jaki malował się na jego twarzy. Napotkawszy jej spojrzenie ojciec Gastona uśmiechnął się, wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Tak, to Rene Lamonnier - stwierdził Pierre, po czym znowu wymienił spojrzenia z bratem.

- Myślałeś, że to nie on? - Czegoś tu Cyrene nie rozumiała. Podejrzliwość nadała jej głosowi ostre brzmienie.

Starszy z Bretonów odwrócił się z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Istniała taka możliwość. Ale powiedz, jak to się stało, że się znalazł na łodzi? Dlaczego nie wyniesiono go na brzeg, a stamtąd do jego domu?

- Mogłoby upłynąć mnóstwo czasu, zanim znalazłabym pomoc, a on wymagał natychmiastowej opieki.

- Ale przecież miałaś do pomocy Gastona, prawda?

Gaston łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Cyrene posłała młodzieńcowi uspokajające spojrzenie i odpowiedziała pytaniem:

- Czy nie chcesz mieć Lemonnier'a na pokładzie?

- Wiesz dobrze, że nie chcę tu nikogo, zwłaszcza takiego rzezimieszka.

- Jest w takim stanie, że trudno go nazwać groźnym!
- Tacy jak on zawsze są groźni, nawet w grobie. Gaston, pomagałeś Cyrene, tak? Pomogłeś jej wnieść tego człowieka na pokład?

Gaston nie umiał kłamać, stanowiło to zresztą jedną z jego najbardziej ujmujących cech. Oczywiście mógł poszerzać granice prawdy w kwestii urody pewnych kobiet, ale to nie było to samo. Zresztą według niego prawie wszystkie kobiety rzeczywiście były piękne.

Młodzieniec zwiesił kędzierzawą głowę.

- Nie byłem tu przez cały czas, wujku Pierre.
- Ach tak.
- Oddaliłem się najwyżej na pół godziny, nie więcej! Skąd mogłem wiedzieć, że wrzucą Lemonniera do rzeki?
- Zobaczyłbyś, gdybyś stał na straży.

W tych cichych słowach kryła się zapowiedź wyroku. Gaston nie uniknie kary. Cyrene straciła cierpliwość.

- Jakie to ma znaczenie? Ten człowiek tu leży i jest ciężko ranny! Musimy coś zrobić, posłać po lekarza, albo przynajmniej dowiedzieć się, co mu się stało.

- Ona ma rację - przyznał Jean, patrząc na brata. - Źle by się stało, gdybyśmy pozwolili mu umrzeć.

- Obawiam się, że tak - westchnął Jean. - Gaston, lekarza.

Lekarz, człowiek o wątpliwych kompetencjach i mocno uzależniony od brandy - ale jedyny, którego korona zdołała namówić do objęcia posady na wygnaniu - przybył wreszcie, kiedy dzień zaczął się na dobre. Zdjął bandażę założone przez Cyrene, zastąpił je innymi, niezbyt różniącymi się od tamtych. Obejrzał oczy i język pacjenta, oznajmił, że trawi go gorączka, puścił mu mnóstwo krwi i odszedł.

Miał rację co do gorączki. Rosła systematycznie w ciągu dnia. Cyrene ocierała twarz i górną część ciała pacjenta wilgotnymi szmatkami. Jego bezruch i brak reakcji martwiły ją, i choć jak co dnia zajmowała się gotowaniem, praniem i szorowaniem, wciąż coś kazało jej klękać obok legowiska.

Dziwne, ale kiedy tak leżał, nie potrafiła myśleć o Rene Lemonnierze jako o szubrawcu i hulace. Na jego twarzy, kanciastej szczęce i wysuniętym podbródku rysowała się wielka siła. Szerokość czoła wskazywała na wysoką inteligencję. Mocne usta w jednym kąciku unosiły się w górę, jak gdyby wiele rzeczy go bawiło, ale w ich pełnym wykroju nie było nic zmysłowego. Także ciało Rene nie wskazywało na to, by oddawał się rozpustnie. Ramiona i pierś pokrywały mięśnie, a brzuch miał płaski i twardy jak żelazo, bez grama tłuszczu.

Uczesała mu włosy, kiedy wyschły, z nadzieją, że nabierze trochę mniej wymizerowanego wyglądu. Zadanie okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała, ponieważ włosy miał krótko obcięte, żeby lepiej mieściły się pod peruką, którą na pewno nosił. Bez wątpienia właśnie peruka uchroniła czaszkę Rene od pęknięcia, chociaż musiał ją zgubić padając albo kiedy wrzucono go do wody. Wielka szkoda, że zakrywał włosy peruką, ponieważ zachwycająco falowały wokół twarzy, a lśniąca niebieskoczarna miękkość lgnęła do palców Cyrene, kiedy je układała.

Tego dnia Bretonowie nie zeszli z łodzi; naprawiali trapy, wiazali sieci, strugali kołki i wykonywali inne pożyteczne drobiazgi. Gaston był w ponurym nastroju. Nikt nie powiedział, jaką karę wyznaczono mu za zaniebdanie obowiązków, ale poprzedniej nocy obydwa mężczyźni wyprowadzili go na groblę, a teraz poruszał się nieco sztywno i opierał się na krzesle tylko z wielką ostrożnością.

Lekarz przyszedł ponownie o zmierzchu, tym razem wchodząc znacznie zwawiej niż poprzednio. Oświadczył, że powiadomił gubernatora i jego żonę o losach pana Lemonniera, którzy zobowiązali go do użycia wszystkich umiejętności w celu przywrócenia mu zdrowia.

- Jestem pewna, że i tak miał pan taki zamiar - powiedziała Cyrene, stając nad lekarzem, który klękawszy zaczął wyjmować z torby miskę do puszczenia krwi i skalpel.

- Ależ oczywiście. A jednak nikt nie chciałby zawieść gubernatora.

- A co z panem Lemonnierem?

- *Pardon?*

- Pańskie niepowodzenie obeszłoby go znacznie bardziej.

- Tak, tak. Teraz proszę, żeby pani wyszła.

- Dlaczego? - Nie mogła się zdobyć na zostawienie Lemonniera na lasce lekarza. Zerknęła na zardzewiałe ostrze skalpela, czując dziwny dreszcz, jak gdyby ostrze przecinało jej własne ciało.

- Pani jest blada, *mademoiselle*. Widok krwi jest dla wielu niemiły, więc wolałbym sobie oszczędzić cucenia pani.

- Nie chodzi o krew, tylko o pana skalpel. Czy jest pan pewien, że puszczenie krwi jest niezbędne? Tak bardzo już się wykrwawił.

Lekarz, drobny człowieczek w olbrzymiej peruce na małej główce, wyprostował się.

- Czy zamierza pani kwestionować moją kurację, *mademoiselle*?

- Jeśli zajdzie taka konieczność.

Lekarz odwrócił się i wrzucił przybory do torby.

- Nie mam zamiaru tego tolerować. Albo pani stąd wyjdzie, albo ja.

Cyrene zerknęła do sąsiedniego pomieszczenia, ale Bretonowie pochylali się nad swymi zajęciami, jak gdyby głusi na toczący się konflikt. Nie mogła liczyć na ich pomoc. To ona odpowiadała za los człowieka na legowisku. Odwróciła się do lekarza, krzyżując ręce na pierśsiach.

- Zrobi pan to co należy, tak samo jak ja.

- Doskonale. Na pani odpowiedzialność. Odchodzę. - Lekarz wziął torbę i wyszedł, zadzierając do góry ramiona i nos. Chwilę później łódź zanurzyła się nieco głębiej i zakołysała, kiedy zszedł na brzeg.

Cyrene spojrzała na Lemonniera w przypiływie rozpaczy. Opiekowała się Bretonami podczas ich nieczęstych

chorób, gdy czasami malaria atakowała Pierre'a albo kiedy któryś z nich przygniółł sobie palec lub cierpiął od nadmiaru wypitego wina. Nie miała jednak pojęcia, co począć w poważniejszym przypadku. Miała trochę ziół, kupionych od Indianki z plemienia Choctaw, która przychodziła na targ, jednak niezbyt wierzyła w ich skuteczność. Rene Lemonnier był silnym mężczyzną, który, pomijając ropienie ran, wróciłby do zdrowia przy jej pomocy albo bez niej. Mimo to Cyrene ze strachem myślała o tym, że jego życie znajdowało się w jej rękach.

Z nadejściem wieczoru w pokoiku zrobiło się ciemniej i chłodniej. Cyrene uklękła przy legowisku, okrywając kołdrą ramiona pacjenta. Nachylała się właśnie, żeby podłożyć mu kołdrę pod ramię, kiedy przemówił:

- Jestem pani dłużnikiem, *mademoiselle*. Leżałem, usiłując się zdecydować, czy mam poderżnąć temu pokurczowi gardło jego brudnym ostrzem czy tylko złamać mu rękę, a jednocześnie zastanawiałem się, czy starczy mi sił na którąkolwiek z tych rzeczy.

Pospiesznie usiadła na piętach.

- Pan się obudził!

- Tak jakby - zgodził się, nie otwierając oczu.

Z trudem przysłała do siebie.

- Nie powinien pan marnować sił na rozmowę. Mam na ogniu dobry bulion. Proszę poczekać, zaraz przyniosę.

Po twarzy leżącego przemknął blady uśmiech.

- Nie mogę zrobić nic mniej... a już na pewno nic więcej.

Jasne, że nie mógł. Że też powiedziała coś tak głupiego! Nalała chochlą bulionu do drewnianej miski, rozlewając w pośpiechu połowę. Nie mogła znaleźć ani łyżki, ani czystego kawałka materiału, który mógłby posłużyć jako serweta, a kiedy ruszyła z powrotem do pokoiku, o mały włos nie potknęła się o stertę sieci złożoną obok stołka Jeana.

- Ostrożnie - powiedział, a w głosie zabrzmiało zarówno ostrzeżenie, jak i zgryźliwe rozbawienie.

Cyrene nagle się opanowała. Co się z nią działo? Lemonnier nie wyzionie ducha, jeśli akurat w tej chwili nie dostanie tego bulionu. To wspaniałe, że wraca do życia, ale Cyrene nie miała zamiaru tracić z tego powodu zwykłego opanowania.

- On się obudził - oznajmiła najbardziej neutralnym tonem, na jaki ją było stać.

- Kto? - spytał Jean, szeroko otwierając oczy.

- Wiesz, kto! Lemonnier. - Posłała mu jadownicę spojrzanie.

- Nigdy bym się nie domyślił.

Minęła go, nie wypowiadając więcej ani słowa, nie patrząc nawet na pozostałych, choć czuła na sobie ich spojrzenia, kiedy odsuwała zasłonę, wchodząc znowu do ciasnej klitki.

Rene leżał z twarzą zwróconą w stronę drzwi. Przypatrywał się, jak Cyrene stawia miskę i podkłada mu zagłówek pod głowę i ramiona. Kiedy nabrała łyżkę parującego płynu i wyciągnęła w jego stronę, spojrzał na łyżkę, potem na kobietę, a wreszcie otworzył usta.

Nie karmiono go łyżką od czasu, kiedy miał pięć lat i leżał w łóżku chory na odrę. Było to dziwne uczucie, aczkolwiek nie mógł powiedzieć, że nieprzyjemne. Czuł, że powinien zaprotestować, ale nie miał dość sił. Było coś niepokojącego w tej kobiecie, która z taką swobodą karmiła go bulionem. W przeciwieństwie do większości kobiet zakrywających głowy w ciągu dnia, nie nosiła czepka, co świadczyło o jej swobodnych obyczajach. Mimo że na bluzce miała teraz prążkowany stanik, zdawało mu się, że pamięta ją bez niego; pamiętał też różowobrzoskwiniowy sutek prześwitujący przez cienką tkaninę. Kiedy wstawał dzień, a on leżał nagi pod kołdrą, siedziała z nim sama w tej klitce, jak gdyby robiła to codziennie. Musiała więc być dziewczką uliczną.

A jednak gładkiego owalu jej twarzy nie przykrywał nawet ślad makijażu, a skóra jaśniała zdrowiem zdradzającym pożywną jedzenie i długie, niczym nie zakłócone noce snu. Kiedy ich spojrzenia się spotykały, pa-

trzymała na Rene bez kokieterii, a energiczne, konkretne zachowanie przywodziło na myśl siostrę miłosierdzia.

Jednocześnie nie było w niej nic z zakonnicy. Obserwując jej rysy i złote kosmyki wymykające się z warkoczy i opadające na policzki, Rene pomyślał o aniele Boticellego albo o obrazie „Primavera”, kobiecej esencji wiosny. Zaskoczony Rene przerwał ten tok myśli. Zazwyczaj nie oddawał się podobnym łzawym fantazjom. Musiał stracić więcej krwi, niż przypuszczał. Tak czy inaczej, był wystarczająco przytomny, by uzmysłowić sobie, że siedząca obok kobieta jest niezwykła.

Kobiety w kolonii Luizjany wymykały się czasem ustalonym kategoriom. Większość akceptowała ogólnie przyjęte normy zachowania, jednak czasami któraś z nich decydowała się sięgać po niezależność. Wiązało się to z ich stosunkowo małą liczbą; nie było ich tyle, by mogły w pełni zaspokoić popyt, a zatem cena dostępnych rosła. Ponieważ mężczyźni godzili się na wszystko, by zaspokoić swe pragnienia, granice przyzwoitości stały się niezwykle elastyczne. Rozsądek nakazywał ostrożne postępowanie.

Odczekał, aż zniknęła ostatnia łyżka bulionu, a kobieta szykowała się do wstania.

- Kim jesteś? - spytał cichym, czujnym głosem.

Cyrene w pełni uświadamiała sobie jego badawcze spojrzenie i własne gorące rumieńce, które wypłynęły jej na policzki. Podała mu pełne nazwisko, starła kroplę bulionu z piersi leżącego i dopiero wtedy spojrzała mu w oczy.

Przyglądał się jej długo z twarzą pozbawioną wyrazu. Wreszcie opuścił rzęsy i wydał cichy odgłos, ni to śmiech, ni westchnienie.

- Oczywiście, *mademoiselle* Nolte - szepnął. - Któż by inny?

Przez czterdzieści osiem godzin z rany Reno Lemoniera sączyła się krew i osocze, toteż wydawało się, że niebezpiecznie byłoby go przesuwac. Trzeciego dnia

Cyrene zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby mu wygodniej w jego własnym domu niż na twardym legowisku pod hamakiem. Niewątpliwie jej życie stałoby się wygodniejsze, gdyby wrócił do siebie; znowu miałyby małą kajutę dla siebie, nie musiałyby uważać, żeby go nie zbudzić, kiedy kładła się spać albo ubierała się rano.

Nie mogła go nazwać kłopotliwym gościem. Gorączka sprawiała, że najczęściej spał; budził się tylko, by zjeść pożywny gulasz i *bouillabaisse*, które gotowała dla nich wszystkich. Gaston mył go oraz pomagał w intymnych czynnościach, co stanowiło dalszy ciąg kary za opuszczenie posterunku. Jednak obecność chorego sprawiała, że wszyscy czuli się spięci. Kiedy miał ochotę słuchać, praktycznie żadne słowo nie umykało jego uwagi, a ponieważ Pierre kazał, by załoga odgradzająca kajutę pozostawała odciągnięta, Rene mógł obserwować większość wydarzeń na łodzi. Cyrene nie zdziwiła się, kiedy rankiem czwartego dnia Pierre wywołał ją na groble.

- Jak długo ten człowiek zostanie z nami? Czy nikt inny nie może się nim zaopiekować i nie ma miejsca, dokąd mógłby się udać?

W jasnym blasku zimowego słońca ujrzała na jego ogorzałej twarzy bruzdy, które zauważyła po raz pierwszy. W niebieskich oczach krył się też stary ból, który widziała już dawniej, ale o który nigdy nie odważyła się pytać.

- Nie wiem, *monsieur* Pierre - odparła, używając grzecznego tytułu, który zaproponował na początku znajomości. - Mogłabym się spytać.

Pyknął z trzcinowej fajki.

- Nie skąpię mu tego miejsca, ale nie może tu leżeć wiecznie.

- W kolonii jest tylu ludzi, którymi nie ma się kto opiekować w chorobie.

- Po to jest właśnie szpital sióstr urszulanek.

W głosie Pierre'a zabrzmiała nuta zarówno zmęczenia jak i surowości; Cyrene spojrzała mu pytająco w twarz.

- Czego się boisz? Czy myślisz, że ludzie, którzy usiłowali go zabić, spróbują go tu wytropić?

- Myślę, że powinien się znaleźć pośród ludzi swego pokroju, i z dala od ciebie, *chere*.

Ciepłe określenie w połączeniu z tym samym tonem surowego ostrzeżenia zabrzmiało przekonująco. Cyrene zmarszczyła nos.

- Jesteś szalony na tym punkcie.

- Mam powody.

- Ja ich nie widzę!

- Spójrz w lustro.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Biedny *monsieur* Pierre! Co za los, żeby się musieć martwić o cudze pisklę, jak o kukułkę w swoim gnieździe.

Oczy mu pociemniały, położył dłonie na jej ramionach.

- Nie jesteś kukułką. Kto powiedział coś podobnego? Gaston?

- Nikt nie musiał tego mówić, ja to czuję.

- A więc nie czuj. Z przyjemnością się tobą opiekuję. Obiecałem twojej matce.

To prawda. Matka, cierpiąca nie tylko z powodu gorączki ale także z niesławy wygnania swego męża, umierała w ramionach Pierre'a, podczas gdy ojciec Cyrene pił gdzieś na umór, świętując bezpieczne dotarcie do kolonii.

Cyrene nigdy dokładnie nie zrozumiała, jak to się stało, że jej ojca wysłano do Luizjany, wiedziała jednak, że tylko dzięki rodzinie matki nie zamknięto go w więzieniu dla dłużników. Dobrze pamiętała kłótnię na temat tego, czy ona wraz z matką miały towarzyszyć ojcu w podróży do Nowego Świata. Dziadek Cyrene, kupiec, który zbił majątek na handlu futrami w Nowej Francji, po czym w średnim wieku wrócił do Hawru, chciał, żeby córka porzuciła męża i pozwoliła mu jechać samemu. Powiedział, że surowe warunki tamtego kraju zabiły jego żonę; nie mógł znieść myśli, że córka tam wraca,

kiedy sądził, że jest wreszcie bezpieczna we Francji. Matka Cyrene okazała się niewzruszona, nie miała zamiaru pozwolić, by mąż udał się na wygnanie pozbawiony jej wsparcia. Oświadczyła, że decyzję podjęła wiele lat wcześniej, a teraz nie zamierzała łamać danego słowa. Ta decyzja kosztowała ją niemało. Zostali wydziedziczeni.

Cyrene spojrzała na człowieka, który w ciągu ostatnich trzech lat był dla niej ojcem bardziej niż ten prawdziwy przez całe życie.

- Kiedyś musisz mi pozwolić na niezależność.
- Tutaj nie masz na nią szans.
- Wiem, w kolonii są tylko dziwki, żony i zakonnice. Twierdzisz, że się nie nadaję do pierwszej ani ostatniej grupy, jednak nie pozwalasz żadnemu mężczyźnie zbliżyć się do mnie, dzięki czemu mogłabym zostać żoną.

- Nie ma mężczyzny, który jest wart tego, żeby się do ciebie zbliżyć.

Znała dobrze ten argument. Westchnęła i odwróciła głowę w milczeniu. Mogła uciec od Bretonów w każdej chwili; nie łączyło ich z nią nic poza zobowiązaniem, i może uczuciem. Ale jakie miała możliwości? Mogła zostać kochanką jakiegoś oficera; wiele kobiet w mieście żyło w ten sposób. Nie, nawet gdyby nie budziło to w niej niesmaku, nie potrafiłaby. Bretonowie czuliby się tacy zawiedzeni, sądziliby, że ponieśli klęskę. Nie mogła tego zrobić tym ludziom, którzy byli jej jedyną rodziną.

- A w szczególności nie jest tego wart Lemonnier - ciągnął Pierre surowym tonem.

Cyrene ze zmęczeniem wzruszyła ramionami.

- Ponieważ wątpię, czy zechciałby w ogóle na mnie spojrzeć, nie masz się czym martwić.

- O, spojrz na ciebie. Ale póki żyję, nie zrobi nic więcej.

- Jesteś niemożliwy!

- Znam mężczyzn tak, jak ty ich nie znasz, *petite*. Teraz idź i spytaj Lemonniera, jak długo zamierza z nami zostać.

Rene nie spał, kiedy wróciła do kajuty. Widząc go wspartego na zagłówku, wpatzonego w drzwi, zastanawiała się, czy słyszał jej rozmowę z Pierre'em. Wydawało się to mało prawdopodobne, a jednak wzrok Rene wprawiał ją w zakłopotanie. Szukała w myślach sposobu na spełnienie polecenia Pierre'a, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Podeszła do stołu i podjęła czynność, którą przerwał jej Pierre - kruszenie chleba na pudding.

- Jak się czujesz? - spytała przez ramię, kiedy nie mogła dłużej znieść w milczeniu świadomości, że pacjent się jej przygląda.

- Lepiej. Próbowiałem myśleć. Wydaje mi się, że pamiętam... Czy to ty wyciągnęłaś mnie z rzeki?

Mówił cicho, ale dostatecznie mocno; słowa brzmiały całkiem wyraźnie. Po raz pierwszy wspomniął o czymś innym poza jedynie prostymi prośbami. Naprawdę wracał do zdrowia. Na ustach Cyrene pojawił się uśmiech triumfu i zadowolenia. Zanim mu odpowiedziała, obrzuciła go pospiesznym spojrzeniem.

- „Wywlokłam” jest może bardziej odpowiednim słowem.

- Nie sądziłbym, że to potrafisz. Nie jesteś potężną kobietą.

- Jestem silniejsza, niż wyglądam. Obawiam się, że mogłam ci porobić trochę siniaków.

- Jakie to ma znaczenie, w porównaniu z tym, co dla mnie zrobiłaś? Tylko jedna rzecz wydaje mi się niezwykła: czubek głowy boli mnie chyba jeszcze bardziej niż rana w plecach. - Przesunął palcami po włosach, krzywiąc twarz w grymasie.

Cyrene znieruchomiała.

- Obawiam się, że to także moja wina - wyznała spiętym głosem. - Nie wiedziałam, jak cię chwycić.

Wyraz zdziwienia zniknął mu z twarzy.

- Proszę więc, żebyś zapomniała o mojej skardze. Już dawno nie zawdzięczałem tyle drugiemu człowiekowi. Trudno mi znaleźć słowa podziękowania.

Poczuła zakłopotanie, choć nie wiedziała dlaczego. Przyjęła niedbałą pozę, wrzucając okruchy chleba do rondla, a następnie wbijając do niego jajka.

- Nie powinieneś się tym kłopotać. Zrobiłam to z powodu twojego płaszcza.

- Mojego płaszcza? - Twarz Rene nie wyrażała żadnych uczuć.

- Dostrzegłam srebrną koronkę. Takie rzeczy na nic by mi się nie przydały, ale za płaszcz z taką ozdobą mogłabym dostać materiał na trzy nowe koszule, po jednej dla Pierre'a, Jeana i Gastona, niedzielny stanik dla siebie i może nawet parę prawdziwych butów.

W oczach Rene powoli rozbłysnął uśmiech, srebrząc na brzegach ich szarość jak słońce za chmurą. Zaśmiał się cicho, ze zdumieniem, powtarzając:

- Dla mojego płaszcza.

- Myślałam, że nie żyjesz, rozumiesz?

- Chyba tak. Zapewniam cię, że cenię twoją usługę nieco wyżej, ale płaszcz jest twój.

Podniosła wzrok, otwierając szeroko oczy.

- Och, nie mogłabym go teraz przyjąć.

- Dlaczego?

- To nie byłoby w porządku.

- Daję ci go w dowód wdzięczności, a oprócz płaszcza wszystko, co zechcesz, a co mam przy sobie. Chociaż byłoby miło, gdybym mógł zachować spodnie.

Droczył się z nią. Ponownie wróciła do przerwanej pracy, mocno ściągając usta.

- Myślę, że tyle mogę ci zostawić.

- Pod jednym warunkiem.

- Tak? - Znowu podniosła wzrok.

- Nie możesz nikomu mówić, dlaczego pospieszyłeś mi na ratunek. Za bardzo ucierpiałyby na tym moja reputacja.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak bardzo podobał się kobietom. Nie tylko dlatego, że natura obdarzyła go wysokim wzrostem, urodą i łagodnym, pięścicznym głosem, którym zdawał się sięgać do samego wnętrza.

trza kobiecej duszy. Nie chodziło też tylko o jego wygląd, chociaż był tak ujmujący, nawet wtedy, gdy leżał z rana w boku, ubrany w koszulę i spodnie, pogniecione w miejscach, gdzie starała się zmyć plamy krwi, pokryty wyjedzonym przez mole futrem niedźwiedzia, że musiał być zniewalający, kiedy stał, krzepki, odziany w drogi brokat i len. Uśmiechał się ciepło, a w oczach migotał mu podziw, który mógł łatwo uderzyć kobiecie do głowy. A jednak było to coś więcej. Posiadał najwyższy dar: umiejętność śmiania się z samego siebie.

Cyrene rozejrzała się po ubogiej kajucie, omiotła wzrokiem surowe ściany z drewnianych bali z jednym oknem zasłoniętym okiennicami, spojrzała na strop otwartego dachu, z którego zwisały wędzone szynki, wianuszki czosnku, cebuli, papryki, wiązanki suszonych ziół, na haki do hamaków, które upodobali sobie Bretonowie na skutek ich żeglarskiej przeszłości. Był to tymczasowy dom, uratowany przez Pierre'a i Jeana po tym, jak przywieziono na jego pokładzie transport wieprzy i bydła z Illinois. Służył jako dom ludziom bez korzeni, ludziom, którzy nie chcieli dać się przywiązać do ziemi i morderczej pracy na niej. Cyrene zastanawiała się, co myślał o tym Lemonnier, który musiał bywać w pięknych miejskich domach i *chateaux*. Oczywiście to, co myślał, nie miało żadnego znaczenia.

Wytarła palce o fartuch i przekrzywiła głowę.

- Nie mogę obiecać, że nie powiem - oświadczyła.
- A to czemu?
- To mi się nie opłaca.

Na twarzy Rene pojawił się wyraz czujności, który jednak zaraz zniknął.

- Zaczynam się mieć na baczności.
- Bardzo słusznie. Pomyśl tylko, ile staników mogłabym kupić, gdybym zażądała od ciebie zapłaty za moje milczenie.

Wpatrywał się w Cyrene, a dotychczasowa jowialność ustępowała powoli miejsca zimnemu nieprzejednaniu. Przemiana była niewiarygodna. Na jej widok Cyrene

poczuła rosnący gniew. Rene miał jednak mniejsze poczucie humoru, niż sądziła. Podniosła dzbanuszek dzikiego miodu, wlała połowę zawartości do rondla z jajkami i chlebem, po czym głośno odstawiła dzbanuszek na stół.

- Nie musisz robić takiej miny, jakbyś musiał strzec sakiewki - uspokoiła go. - Ja tylko żartowałam, nie zniżyłabym się do szantażu.

- Co miałoby cię powstrzymać?

- Przypuszczam, że słyszałeś o zasadach.

- Zasady - powtórzył dobitnie. - U kobiety, która służy jako dziewczka trzem mężczyznom?

Chwyliła rondel z jajkami i chlebem, jakby chciała nim rzucić. Przypomniała sobie w porę, że miała do czynienia z rannym człowiekiem. Odstawiła rondel, głęboko odetchnęła i posłała leżącemu swój najśodszy uśmiech.

- Czterem.

- Czterem?

- Służę także tobie.

- Nie jesteś moją dziewczką!

- Ani niczyją! - warknęła.

Nastąpiła przerwa, w której słychać było jedynie odgłos mleka wlewanego do rondla i wściekłe łomotanie łyżki, którą Cyrene ubijała pudding.

- Przepraszam - powiedział Rene.

Nie miał zamiaru mówić o jej sytuacji. Po prostu myśli o niej zaprzętały mu głowę w krótkich chwilach oprzytomnienia, toteż były teraz na pierwszym planie. Psychika Rene, odziedziczona po żołnierskich przodkach, była silniejsza, niż udawał, nie zawsze też spał, gdy leżał z zamkniętymi oczami. O otaczającej go sytuacji wiedział więcej, niż przypuszczano, więcej nawet, niż sam rozumiał. Nie powinien jednak narażać na szwank tego, co nieoczekiwanie osiągnął dzięki niestosownej ciekawości. Byłoby to nie tylko ryzykowne, ale wręcz głupie.

Cyrene nie patrzyła na niego.

- Przepraszasz? Proszę bardzo.
- Nie jestem przyzwyczajony do kobiet, które nie zakrywają włosów ani ramion.
- Doprawdy? Zawsze sądziłam, że mężczyzna musi być skończonym głupcem, jeśli zaczyna płonać namiętnością na widok szopy włosów czy łokcia.
- Być może. Tak czy inaczej, przyjmij moje pokorne przeprosiny. Nie mam prawa kwestionować tego, jak żyjesz, czy z kim. Wybacz mi.

Ta prośba o wybaczenie zabrzmiała zbyt gładko; Cyrene mogła przysiąc, że nie było w niej ani śladu szczerości. Nadarzała się jednak okazja, by spełnić zadanie zlecone jej przez *monsieur Pierre'a*.

- Ponieważ panujące tu warunki spotykają się z twoją dezaprobatą, na pewno z niecierpliwością oczekujesz chwili, kiedy nas opuścisz. Poproszę *monsieur Pierre'a*, żeby zorganizował nosze, na których zostaniesz przeniesiony do twego domu.

- Błagam, nie kłopotz się tym. Jeśli chcecie się mnie pozbyć, potrafię przejść ten kawałek...

- Tu nie chodzi o...

- Obraziłem cię. Nie miałem takiego **zamiaru**, ale to zrozumiałe, że czujesz się rozdrażniona. Oczywiście, że zniknę ci z oczu. - Podparł się na łokciach, jakby miał zamiar wstać.

- Nie ruszaj się! - Cyrene obeszła stół, po czym zawahała się, zakłopotana.

- Nie, ja nalegam. - Rene podniósł się wyżej, przyłożył rękę do żeber, a twarz wykrzywił mu grymas bólu. - Nie chcę nadużywać twojej gościnności ani chwili dłużej.

Cyrene opadły wyrzuty sumienia. Podeszła szybko do Rene, uklękła i popchnęła go z powrotem na legowisko.

- Znowu się zranisz, ot co. Nie unos się głupią dumą. Oczywiście, że jesteś tu mile widziany.

Położył się, wpatrzony w Cyrene, nie odrywając ręki od żeber.

- Jesteś pewna?

- Naturalnie, że jestem pewna.
- Czy mi przebaczasz?
- Tak, tak! Nie bądź śmieszny.

W jaki sposób doszło do tego, że namawiała tego człowieka, by został, skoro miała mu pokazać drzwi? Cyrene poczuła się nieswojo, ale opamiętała się. *Monsieur* Pierre musi zrozumieć, że nie sposób wyprosić tak chorego człowieka. Lemonnier nie mógł się od nich niczego spodziewać, nie miał powodu, by zostawać. A ona nie miała też powodu, by podejrzewać, że ujrzała na jego twarzy przelotne zadowolenie.

Ponownie zajęła się puddingiem. Posypała go cynamonem, po czym postawiła rondel na otwartym czajniku, napełnionym w jednej czwartej wodą. Czajnik powiesiła na haku nad węglami na ceglany palenisku, którego komin zajmował jedną ze ścian kajuty. Następnie nalała szklankę wody i zaniósła Rene.

Podczas gdy pił, przysunęła do zasłoniętych drzwi zydeł na trzech nogach.

- Czy nie ma nikogo, kto by się niepokoił, że nie wracasz? Nie przyjechałeś z Francji z żadnym służącym czy towarzyszem? - spytała szorstko.

- Nie. - Przerwał na chwilę, patrząc na obuwie z chropowatej skóry na jej zgrabnych, wąskich stopach.
- Czy naprawdę nie masz prawdziwych butów?

- Tylko te mokasyny uszyte przez żonę Jeana, Indiankę Choctaw, no i oczywiście saboty. - Te ostatnie były obuwem wieśniaków, chroniącym stopy od błota i wilgoci.

- Jego żonę?

Cyrene skinęła twierdząco głową.

- Żyje ze swoim plemieniem. Mówi, że Nowy Orlean jest zbyt hałaśliwy, a ogniska z dużymi rurami na dachach nie dają ryle dymu, żeby odstraszać moskity. Prawda jest taka...

- Tak? - spytał, kiedy nie dokończyła.

- Miałam zamiar powiedzieć, że prawda jest taka, że ona lubi różnych mężczyzn.

- A Jean nie ma nic przeciw temu?
- On lubi różne kobiety.
- W takim razie wszystko w porządku.
- Tak, poza tym, że to chyba nie jest najlepszy sposób na życie.

- We Francji można spotkać mnóstwo małżeństw, które funkcjonują dokładnie w ten sam sposób.

- Czy to oznacza, że taki sposób jest właściwy?
- Oznacza, że jest ludzki.
- W przeciwieństwie do sposobu nieludzkiego, czyli dzikiego?

Spojrzała na Cyrene pociemniałymi oczami.

- Jesteś taka...
- Jaka? - spytała zduszonym głosem.

Nie mógł jej powiedzieć, ponieważ nie zrozumiałaby. Nie miał pewności, czy on sam rozumiał. Wyglądała jak anioł, wyrażała się jak kurtyzana, posługiwała się logiką jak prawnik. Gotowała, sprzątała, zajmowała się łodzią jak *voyageur*, potrafiła udźwignąć ciężar półtora raza większy, niż sama ważyła, a jednocześnie posiadała najdelikatniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widział. Co więcej, kiedy zamykał oczy i nie słuchał niczego poza czystą kadencją jej głosu, mógł przysiąc, że słucha księżniczki pełnej krwi. Była tajemnicą, była Cyrene Nolte, która go zaintrygowała, nawet oczarowała. Ale to nie wystarczyło.

- Jesteś taka cholernie rozsądna - odparł pospiesznie. - I oczywiście masz rację.

Cyrene oparła łokcie na kolanach i położyła podbródek na dłoniach.

- Czy to prawda, że byłeś na królewskim dworze? - spytała po chwili.

- Tak, przez pewien czas.
- Opowiedz mi o tym.
- Co chciałybyś wiedzieć?
- Jak tam było? Jakim człowiekiem jest król? Czy de Pompadour jest tak piękna, jak mówią, tak dystyngowana? Podobało ci się tam?

- Dwór to nudna ceremonia i ozdoby, ale życie jest tam ekscytujące, ponieważ w każdym pomieszczeniu czuć zapach władzy. Król, jak wszyscy monarchowie, jest człowiekiem całkowicie skoncentrowanym na sobie, chociaż nie brak mu zdolności. Problem tylko w tym, by ktoś nakłonił go do ich użycia. *Madame Pompadour* to urocze stworzenie o wspaniałym smaku w dziedzinie mebli i strojów, ale słabej wiedzy o mężczyznach. Co zaś dotyczy twojego ostatniego pytania, czasem mi się tam podobało, czasem nie. Nie jest to miejsce, gdzie chciałbym spędzić całe życie.

Otwartość komentarzy Rene można było odczytać jako komplement, ale szczerość mogła też świadczyć o tym, jak mało się z nią liczył. Cyrene zmarszczyła brwi.

- To chyba zdrada, *monsieur*, czyż nie? Myślałam, że każdy ma obowiązek być olśnionym.

- Zdrada to nielegalny handel z Anglikami, a nie gardzenie przepychem Wersalu.

- Sądziłam, że od czterech miesięcy sprawa z Anglikami jest zakończona, po tym traktacie w Aix-la-Chapelle, o którym wszyscy rozprawiają.

- W Europie może zapanował pokój, ale nie tutaj.

- Czyżbyś zaprzętał sobie głowę życiem kolonii? Nie spodziewałam się tego.

Popatrzył szyderczo w jej jasne oczy.

- Nie jestem takim dworskim lalusem, żeby nie znać waszych problemów.

- Najwyraźniej, ale zapewniam cię, że wielu tych, którzy tu przyjeżdżają, ani nie ma o tym pojęcia, ani ich to nie obchodzi.

Problemem podstawowym była sama walka o ten nowy, rozległy kontynent, choć spowodowała ona rozliczne pomniejszych problemy, jak nie kończący się konflikt z Indianami. Od wielu lat Anglicy, posuwający się na zachód od obu Karolin, uzbrajali i podburzali przeciwko Francuzom Chickasawów, część Choctawów i inne mniejsze południowe plemiona. Rząd francuski z wielkim entuzjazmem odpłacał im pięknym za nadobne.

Ostatniej jesieni najszlachetniejszy z renegatów z plemienia Choctaw, opłacany przez Anglików, został zamordowany przez współplemieńców, co miało zakończyć konflikt. Bezskutecznie.

Notowano wiele wypadków, ostatnio zwłaszcza wśród farmerów na Wybrzeżu Niemieckim, ciężko pracujących białych ludzi sprowadzonych przez Johna Law, którzy zaopatrywali Nowy Orlean w warzywa. Miasto w potyczce z dzikimi straciło też nauczyciela tańca, powszechnie opłakiwanego *monsieur* Babi. Jednak trudna sytuacja najsilniej odbijała się na handlu.

Handel z Anglikami został edyktem królewskim zabroniony i uznany za zdradę. Z drugiej jednak strony, w wyniku skąpstwa korony oraz kurupcji francuskiego systemu dostaw, towary wysyłane do kolonii nie tylko ustępowały angielskim pod względem jakości, ale także nie zaspokajały popytu. Bywały sytuacje, że gdyby nie istniał nielegalny handel z Anglikami, Francuzi w Luizjanie chodziliby nadzy i głodni. Ponadto Indianie nauczyli się już rozróżniania. Woleli kupowaną od Brytyjczyków czerwono-niebieską tkaninę, żelazne garnki i składane noże, choć francuskie wyroby fajansowe i brandy także cieszyły się wielkim powodzeniem.

Skoro Indianie pragnęli produktów brytyjskich, należało ich w nie zaopatrywać, bowiem futra dostarczane przez dzikich stanowiły bez wątpienia najcenniejszy towar w kolonii. Indiańskim sprzymierzeńcom Francuzów kazano pod przysięgą zabijać zwracających się do nich angielskich handlarzy, jednak jedyną przeszkodą utrudniającą przedsiębiorczemu Francuzowi handlowanie towarami angielskimi był brak dostępu do angielskich statków, którym nie pozwalano wpływać na Missisipi. Luizjańskie indygo przewyższało jakością wszystkie podobne barwniki na świecie, a w Anglii był na nie olbrzymi popyt. Człowiek, któremu udało się dotrzeć do angielskich statków, mógł wymienić kilka beczulek cennego niebieskiego proszku na towary, które, wymienione na futra, mogły stanowić załazek mająt-

ku albo zapewnić roczne utrzymanie całej rodzinie. Tacy Francuzi nazywali się handlarzami, chociaż należałoby ich raczej określić jako przemytników. Bretonowie należeli do tego niezależnego i nieustraszonego gatunku.

Handlowanie z Anglikami w tych okolicznościach stanowiło oczywiście zdradę. Wciąż ponawiano gorliwe próby położenia mu kresu, głównie dlatego, że dowódcy posterunków otrzymywali zazwyczaj koncesje na wyłączność w handlu na przydzielonym im terenie, koncesje uzyskiwane dzięki znajomościom lub łapówkom płaconym gubernatorowi bądź jego żonie. Jednak żołnierze, których przydzielano do tych zadań, byli zazwyczaj tak niezdyscyplinowani albo niekompetentni, że kiwanie ich wydawało się aż nieuczciwe. Urodzeni i wychowani w Nowym Świecie, spędziwszy większość życia w dziczy, Bretonowie dysponowali wiedzą i sztuczkami, o jakich nie śniło się nieopierzonym rekrutom, a które przekazała Cyrene, by mogła sobie radzić, biorąc udział w ich wyprawach.

- Jestem jednak na tyle lalusiem - ciągnął Rene - by tęsknić za brzytwą i zmianą czystego ubrania, gdyby ktoś mógł mi je przynieść z domu. A jeśli nie, mógłbym napisać do *madame* Vaudreuil liścik z prośbą, żeby się tym zajęła.

- Nie powinno być z tym trudności. Mogę to zrobić sama.

Usłyszała za plecami kroki. Gaston, wszedłszy do kajuty, postawił na stole kosz świeżo oczyszczonych ryb. Patrząc to na Rene, to na Cyrene, zapytał napiętym głosem:

- Co zrobić?

Cyrene powtórzyła grzeczną prośbę chorego. Wiedząc, że nie pozwolą jej pójść samej do miasta, dodała:

- Pójdiesz ze mną, prawda, Gaston?

- Nie bądź głupia. Nie możesz iść.

- Nie sama, ale przecież nie będzie w tym nic niestosownego, jeśli pójdziesz ze mną.

- Nic niestosownego? Chcesz odwiedzić dom największego paryskiego libertyna, zebrać jego rzeczy osobiste, wyjść z nimi, i nie widzisz w tym nic niestosownego?

- Jego tam nie będzie! - krzyknęła zirytowana Cyrene, wstając ze stołka. - I chyba nie zostanę zbrukana, niosąc jego rzeczy.

- Właśnie to się z tobą stanie. Dziewica nie powinna dotykać osobistych rzeczy mężczyzny.

- Stale piore ci spodnie!

- To co innego!

- Wyłumacz mi, na czym polega różnica.

- Ojciec i wuj Pierre służą tu za przyzwoitki.

- Potrzebuję przyzwoitki, żeby ci prać spodnie?

- Wiesz, co mam na myśli! - krzyknął Gaston, rumieniąc się pod ironicznym, zaciekawionym spojrzeniem Rene.

- Owszem, wiem - wycedziła Cyrene, a jej oczy miały płomień. - Czasami myślę, że miałabym się lepiej, gdybym nie była dziewczyną. Nie traktowano by mnie jak więźniarki.

- Cyrene!

- Czy to aż tak szokujące? Jak byś się czuł, gdyby od rana do wieczora śledzono każdy twój ruch? Gdybyś nie mógł nigdzie pójść bez pozwolenia i strażnika?

- Troszczymy się o ciebie, o twoje bezpieczeństwo.

- Nie wątpię, ale cena jest wysoka.

- Nie ma na to innej rady, jak mąż.

- Co, inny strażnik? Nie mam pewności, czy to jest dobre wyjście.

- Wobec tego musisz się z tym pogodzić.

- Na pewno?

Gaston posłał jej uśmiech nie pozbawiony sympatii.

- Tymczasem przyniosę rzeczy, o które on prosił.

Cyrene skinęła głową, ale w jej umyśle rozbrzmiewał prosty i zuchwały refren. Na pewno?

3

Od dziesiątego roku życia aż do opuszczenia Francji, Cyrene uczęszczała do konwentu urszulanek w Quimperle, instytucji założonej w roku 1652. Uczyła się tam francuskiego, historii, podstaw nauk ścisłych z arytmetyką włącznie, a także zajęć praktycznych, takich jak właściwe metody sprzątanania, pieczenia, przechowywania jedzenia i uprawiania ogrodu, ponadto muzyki, tańca i rysunku. Podróże do konwentu odbywała w towarzystwie matki i dziadka, który łożył na jej wykształcenie. Podczas pobytu u zakonnic znajdowała się nie tylko pod nadzorem siostr, ale i guwernantki, która zajmowała się jej pokojem i toaletą oraz towarzyszyła Cyrene w podróżach do domu.

Cyrene nie pamiętała, by kiedykolwiek była pozostawiona samej sobie, całkowicie bez nadzoru.

Niektóre dziewczęta w konwencie zazdrościły jej guwernantki, bratniej duszy, kogoś, kto zaspokajał jej potrzeby. Ale już wtedy Cyrene obruszała się na restrykcje, na ciągłe upomnienia, które nie milkły nawet w sypialni. Dowiedziała się, że przygotowywano ją do zarządzania własnym domem. Padały wzmianki o posagu, który miał zapewnić dziadek i o mężczyźnie z doskonałej rodziny, za którego bez wątpienia miała wyjść. Musiała się nauczyć godnie piastować wyznaczoną jej pozycję.

Cyrene zareagowała buntem i oporem. Dołączyła do grupy dziewcząt, które uwielbiały ryzyko w rodzaju pod-

kradania śliwek i jabłek z przyklasztornego sadu, podawania przez mur liścików do wiejskich chłopców oraz flirtowania z pewnym dżentelmenem przyjeżdżającym, by udzielać im lekcji rysunków. Podobne wykroczenia karano surowo; starsze zakonnice pieniały takie zwyczaje w zarodku. Jednak jedna z młodszych zakonnice, siostra Delores, rozumiała kryjące się za tymi występkami potrzeby. Cyrene nadal pisywała do niej od czasu do czasu. Niepokój tamtych dni nigdy jej do końca nie opuścił, chociaż nadzieje na duży posag i korzystne małżeństwo legły w gruzach wraz z wyjazdem z Francji.

Cyrene nie opłakiwała straconych szans. Dawniej z radością przyjęłaby mężczyznę wybranego na jej męża, pod warunkiem, że okazałby się przystojny i zajmował godne stanowisko. Jednak teraz już tak nie było. Zgodnie z tym, co powiedziała Gastonowi, mąż jawił się jej wyłącznie jako jeszcze jedna przeszkoda. Czasami myślała o balach, rautach i maskaradach, ale ponieważ nigdy nie gustowała w podobnych rozrywkach, potrafiła się ich wyrzec bez większego żalu. Najbardziej pragnęła wolności, wolności w kierowaniu własnym życiem, w szukaniu sobie własnego miejsca. Wiedziała, że może to osiągnąć dzięki handlowaniu.

Zajęcie to nie było jej całkiem obce. Pierre nigdy nie uważał, by ojciec Cyrene nadawał się na jej przyzwoitkę, toteż zawsze zabierał ją ze sobą na wyprawy. Już w trzeciej podróży odegrała aktywną rolę, pomagając w wyborze nabywanych towarów, prowadząc rejestry ilości i jakości, by Bretonowie nie zostali oszukani. Choć Pierre i Jean posiadali rozległą wiedzę w dziedzinie futer i cen, potrafili przeprowadzać w pamięci skomplikowane obliczenia, to jednak, podobnie jak wielu ludzi wychowanych w dziczy Nowej Francji, czytali słabo, a pisali jeszcze słabiej. W dowód uznania za usługi świadczone przez Cyrene Pierre podarował jej w zeszłym roku kilka funtów indygo, które wymieniła u Anglików na szklane paciorki, grzebienie, polerowane lustra stalowe i małe żelazne garnki. Za te rzeczy

dostała od Indianek Choctaw ubrania ze skóry, plecione kosze i trochę małych futer, za które na targu w mieście otrzymała ładną sumkę, a za nią z kolei kupiła dwa razy więcej indygo, niż miała na początku.

Jej działalność nie przechodziła nie zauważona. Znajomi Pierre'a i Jeana ze wspólnoty przemytniczej, kompani od kart i kieliszka z gospody przy drodze, podkpiwali z braci, żartując, że przemytniczka wodzi ich za nos. Pierre i Jean tylko się uśmiechali i dzwonili w sakiewkach dodatkowymi pieniędzmi, które zarobili dzięki Cyrene.

Istniała jednak przeszkoda: zawsze któryś z Bretonów miał ją na oku, bez względu na to, czy targowała się w angielskim obozie, indiańskiej wiosce czy w mieście. Śmieszko to szczególnie Indianki, które pytały, jaki to cenny towar miała ukryty przy sobie albo jaką popełniła zbrodnię, skoro musieli jej tak pilnie strzec. Ani wtedy, ani teraz Cyrene nie widziała w tym nic śmiesznego.

Dostrzegła natomiast sposób na wyzwolenie się spod nadzoru. Klucza dostarczył jej Gaston, nazywając ją dziewczcą. Ostatecznie strzegli właśnie jej dziewictwa. Gdyby przestała być czysta, nietknięta, nie musieliby się więcej o nią troszczyć. Jakież to proste!

Pojawiał się jednak problem pozbycia się niewygodnej czystości. Skoro do Cyrene nie dopuszczano żadnego mężczyzny z powodu jej dziewictwa, wobec tego musiała pozostać dziewczcą.

Wyjątek stanowili sami Bretonowie. Nic nie wskazywało na to, by któryś z nich dał się uwieść, ale Cyrene odpędziła od siebie tę myśl, jeszcze niemal zanim się pojawiła. Nawet gdyby bracia nie byli o tyle od niej starsi, uwodzenie ich wydawało się jej czymś nienaturalnym, przypuszczalnie dlatego, że spędziła z nimi już tyle czasu. Gaston mógł pasować pod względem wieku, ale tak długo droczyła się z nim, pracowała i bawiła, że widziała w nim raczej brata niż potencjalnego kochanka.

Idealnym kandydatem wydawał się, rzecz jasna, Rene Lemonnier. Przemawiało za tym wiele powodów: wiek, reputacja hulaki, jego bliskość, ale niestety pomysły ten nie wchodził w grę. Nawet gdyby znalazła sposób, by pozostać z nim sam na sam na dostatecznie długi czas, stan fizyczny Rene po prostu nie pozwoliłby mu spełnić zadania.

Tym lepiej. Pomimo poczucia kierowania własnym życiem, jakim napełniał ją ten plan, mimo dziwnego ciepła, jakie odczuwała na myśl o zwróceniu się do Lemonniera z taką prośbą, wiedziała, że nigdy się nie odważy. Musiał istnieć inny sposób na uzyskanie pewnej dozy samodzielności.

Mimo to nie potrafiła całkowicie zapomnieć o tym poмысле. Przez resztę dnia tkwił jej w głowie, stanowiąc źródło skrytego rozbawienia. Wysuwał się na pierwszy plan, ilekroć spoglądała w stronę małego pokoiku, gdzie leżał Rene, kiedy Bretonowie wyruszyli na kilka godzin do miasta, zostawiając na straży Gastona. Zajmował też pierwsze miejsce w jej myślach, kiedy szykowałą się do snu.

W normalnej sytuacji zagrzałaby wodę i umyłaaby się w kajucie. Ponieważ stało się to niemożliwe, odkąd Lemonnier odzyskał przytomność, obmyła się pospiesznie na ciemnym pokładzie, używając w tym celu wody z rzeki. Wróciwszy do kajuty, ogrzewała się przy gasnącym ogniu, podczas gdy Bretonowie rozwieszali hamaki i szykowali sobie posłania. Kiedy Pierre wystukał fajkę, a był to nieomylny znak, że był gotów do snu, przeszła do części kajuty służącej jej za sypialnię.

Rene Lemonnier patrzył, jak wchodzi i opuszcza zasłonę. Posłała mu pospieszne spojrzenie, zdejmując z haka znoszoną bluzkę służącą jej za koszulę nocną. W mroku ciasnej kajuty dostrzegła słaby blask jego oczu.

- Muszę cię poprosić, żebyś się odwrócił - oświadczyła z rozbawieniem, zdając sobie sprawę z kontrastu między swoimi wcześniejszymi zamiarami a obecną skromną pozą.

- Naturalnie.

Rene spełnił jej prośbę. Wydawało się to najrozsądniejszą rzeczą, jaką mógł zrobić, biorąc pod uwagę bliskość jej protektorów za zasłoną. Przyglądanie się Cyrene stanowiło przyjemność, bez której ostatnio coraz trudniej mu się było obejść. Wiedział, że działa na nią jako mężczyzna; jej obecna prośba stanowiła niezbity dowód, o ile w ogóle takiego potrzebował. Mimo to w zachowaniu Cyrene nie widział ani śladu kokieterii czy nerwowego podniecenia, jakie zazwyczaj wzbudzała jego reputacja. Przypuszczał, że działa się tak, ponieważ przywykła do obecności mężczyzn w stopniu rzadko spotykanym u młodych kobiet. A może nie postrzegała go jako zagrożenia, kiedy tak leżał wyciągnięty na plecach, zależny od jej opieki. Świadomość, że mogła go tak łatwo ignorować, jednocześnie irytowała go i intrygowała.

Cyrene zrzuciła szybko ubranie i włożyła przez głowę starą bluzkę. Owinęła się okryciem z niedźwiedziego futra, przekroczyła Lemonniera i wdrapała się na hamak.

Łódź pograżyła się w ciszy przerywanej tylko cichym, miarowym pluskiem rzeki i skrzypieniem cum. Z sąsiedniej kajuty dobiegało ciche chrapanie. Przynajmniej dwaj Bretonowie zasnęli. Lemonnier poruszył się pod nią na legowisku.

- Wszystko w porządku? - szepnęła. - Chcesz, żebym ci coś dała?

Powodowany czystą perwersją Rene odparł prowokującym, ochrypłym głosem:

- Co miałaś na myśli?

- Dodatkowe okrycie? Coś do picia?

Powinien się domyślić.

- Nie, nic. Dziękuję.

- Pewnie nie przywykłeś do tak wczesnego zaspiania?

Pomyślał o wielu długich wieczorach śmiertelnej nudy, które spędził w oczekiwaniu, aż król łaskawie zechce opuścić zabawę, i wtedy on także będzie mógł odejść;

o nie kończących się balach i bankietach, gdzie widuje się te same mdłe twarze, wysłuchuje tych samych niedorzecznych skarg i sprośnych historyjek.

- Nie narzekam.
- Jak na razie?
- To ty powiedziałaś.

Przed położeniem się na hamaku Cyrene zapomniała odsunąć zasłonę. Robiła to od momentu pojawienia się Lemonniera, choć zazwyczaj opuszczała ją, pragnąc osiągnąć złudzenie prywatności. Takie wspólne szeptanie w odgradzonym, małym pomieszczeniu cechowała silna intymność. Cyrene uświadamiała też sobie towarzyszące jej tajemne podniecenie, efekt robienia czegoś zakazanego.

Mogło się też ono wiązać z przypisaną wcześniej Lemonnierowi rolę w jej planie uzyskania wolności. Niezwykłość faktu, że leżał tam pod nią na podłodze, towarzyszyła Cyrene od początku, ale nigdy wcześniej nie pomyślała, że gdyby się odwróciła i wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że gdyby podniósł rękę, mógłby przesunąć palcami po konturach jej ciała przez płótno hamaka. Oczywiście nie było powodu, by się teraz nad tym zastanawiać, a jednak obrazy, jakie się rysowały w jej umyśle, w tajemniczy sposób ją fascynowały. Trudno się ich było pozbyć.

Powóz zatrzymał się na drodze za groblą. Lokaj w atłasowej liberii i lokowanej peruce zeskoczył i pospieszył, by otworzyć drzwiczki. Z powozu wysiadła niemłoda już kobieta. Upudrowane włosy miała zaczesane do tyłu i okryte małym, obrzeżonym koronką czepkiem a la *Parisienne*. Halki czy spódnice z zielonego brokatu sięgały kostek. Krótsza wierzchnia spódnica, rozcięta z przodu, została misternie uszyta z falbanek i kryz ze złotego brokatu wyszywanego zielenią. Do wierzchniej spódnicy włożyła bluzkę z tego samego materiału. Chustkę z gazy spięła na ramionach dużym szmaragdem. Na stopach w białych, jedwabnych pończochach miała zie-

lone atłasowe pantofelki na obcasach w kształcie klepsydry. Nawet bez powozu - pierwszej w kolonii cztero-kółki, na widok której każdy plantator z pretensjami do szlachectwa zamawiał w Paryżu podobną - dzięki krojowi i ekstrawagancji stroju bez trudu rozpoznawało się żonę gubernatora, markizę de Vaudreuil.

Cyrene pospiesznie wyjęła czysty fartuch, poprawiła włosy i znalazła się na pokładzie u boku Pierre'a i Jeana, w momencie gdy lokaj prowadził *madame* Vaudreuil po trapie. Otrzymawszy od pani krótki rozkaz, lokaj wrócił do powozu. Dama zwróciła się do Pierre'a.

- Rozumiem, że pan to Breton?

Pierre skłonił się najlepiej, jak potrafił.

- Wedle pani słów, *madame*. A to jest mój brat Jean i moja podopieczna, *mademoiselle* Nolte.

Dygając, Cyrene nie mogła się powstrzymać od rzucaenia Pierre'owi zdumionego spojrzenia. Nigdy nie podejrzewała go o tak dworne maniery.

Pani Vaudreuil łaskawie skinęła głową.

- Uroczą. Domyślałam się, że to pani, *mademoiselle*, ocaliła życie panu Lemonnierowi. Zaskarbiła sobie pani wdzięczność jego przyjaciół.

- To drobiazg. Proszę wejść, jestem pewna, że ucieszy się na pani widok.

- Cóż za łaskawość - mruknęła markiza, choć oschłość jej głosu dowodziła, że ani przez moment się nie wahała tego uczynić. Uniosła brew na widok odsłoniętych włosów Cyrene, po czym minęła ją i weszła do kajuty. W środku zatrzymała się, unosząc brwi jeszcze wyżej na widok spartańskiego wystroju kajuty i Rene na legowisku.

Cyrene sama nie wiedziała, czego oczekiwała, ale mimo to zdumiała się, widząc irytację na twarzy Rene, który przyglądał się podchodzącej markizie. Chwilę później Cyrene zastanawiała się, czy aby nie uległa złudzeniu, ponieważ Rene z uśmiechem powitał gościa czymś na podobieństwo pokłonu, wspierając się na łokciu i błagając, by wybaczone mu, że nie stoi.

- Rene, *mon chere*, jakaż to ulga widzieć cię zdrowym
- oznajmiła starsza kobieta. - Obawiałam się najgorszego, kiedy dałeś znać, że tu zostajesz.

Irytacja powróciła na moment, po czym zniknęła. Odgarnął z twarzy czarne fale włosów.

- Myśl, że wywołałem niepokój, napełnia mnie rozpaczą. Wybacz mi.

- Nie byłbyś sobą, gdyby się stało inaczej. - Pani Vaudreuil rozejrzała się za krzesłem. Cyrene podsunęła stołek, na którym markiza usiadła z pewną ostrożnością. Zaskrzypiał pod jej ciężarem. Żona gubernatora nie musiała watować spódnic na biodrach. Była pulchna, miała dołeczki w białych dłoniach i podwójny podbródek nad krótką szyją. Duże oczy magnetyzowały spojrzeniem, ale usta miała raczej małe, w tym momencie wykrzywione z niesmakiem, kiedy się odwróciła, by spojrzeć na Cyrene.

Reagując na wymowny ruch głowy markizy, Cyrene powiedziała pospiesznie:

- Jestem pewna, że chce pani pomówić z panem Lemonnierem na osobności, *madame*. Proszę nam wybaczyć. - Odwróciła się i dała znak do wyjścia Pierre'owi i Jeanowi stojącym w progu.

- Poczekaj, Cyrene - zawołał Rene. - Nie ma takiej potrzeby. Sprawisz mi przyjemność, jeśli zostaniesz.

Odwróciła się zdumiona. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, zamiast używać formalnego tytułu *mademoiselle*-, nigdy wcześniej nie mówił do niej tak ciepło. Spojrzała mu pytająco w oczy. Sprawiał wrażenie, że nie zauważył pytania, wskazał tylko Cyrene drugi stołek.

- Zaczynam rozumieć, co cię tutaj trzyma - oświadczyła pani Vaudreuil.

- Czyżby? - spytał niewinnie Rene, nie spuszczać wzroku z Cyrene.

- Powinam się domyślić, że chodzi o kobietę. To dla ciebie typowe.

Spojrzał na starszą kobietę.

- Jak niewiele wiesz o mnie.

- Wiem wystarczająco dużo!

Cyrene, wprawiona w silne zakłopotanie aluzjami markizy i dziwnym zachowaniem Rene, wahająca się, czy wyjść za Bretonami czy pozostać, zmusiła się do protestu:

- Zapewniam panią, że został tu wyłącznie z powodu ran.

- Och, bez wątpienia - odparła żona gubernatora, nie zaszczycając Cyrene spojrzeniem. - Cóż, ty łajdaku, tęskniliśmy za tobą.

- Jesteś zbyt uprzejma, choć czułbym się opuszczony, gdyby było inaczej.

- Kiedy wrócisz?

- To zależy od wielu rzeczy - odparł gładko z uprzejmym wyrazem twarzy.

- Zdaję sobie sprawę - zauważyła dama, rzucając kolejne spojrzenie w stronę Cyrene.

- Może postanowię zostać *voyageur*.

- Doprawdy?

- Muszę się czymś zająć, skoro już się znalazłem w kolonii.

- Jestem pewna, że twoja rodzina...

- Bez wątpienia, jednak nie pociąga mnie życie na czyimś utrzymaniu. Zresztą lenistwo nigdy mi nie odpowiadało.

- Tak postępują tu prawie wszyscy. Dlaczego miałbyś się wyróżniać?

- To perwersja z mojej strony, prawda? Jednak odczuwam pragnienie zwiedzenia tej dziczy, zbadania, co się w niej dzieje, odkrycia drzemiących tu możliwości.

Pani Vaudreuil przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, marszcząc brwi.

- Zaczynam pojmować - powiedziała w końcu.

- Mam więc twoje błogosławieństwo?

- Jakże mogłabym ci go odmówić? Ale uważaj na siebie, bo stanowisz cenne urozmaicenie naszego towarzystwa.

- Zawsze uważam.

- Tę kwestię wolałabym zostawić otwartą! Gdybyś uważał, nie leżałbyś teraz na podłodze.

- Argument nie do zbicia - odparł z ponurym acz wdzięcznym uśmiechem. - Jakie to okrutne z twojej strony, że mi o tym przypominasz.

- Nigdy nie jestem okrutna, jedynie szczerą. Tego samego wymagam od innych.

- Tak się też stanie - powiedział, chyląc głowę.

- Nie jestem pewna. - Żona gubernatora wstała. - Muszę iść. Mam w powozie twój kufer, a także kilka drobiazków, o ile zechcesz je przyjąć.

- Z przyjemnością.

- Wobec tego pozostaje mi mieć nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Wymienili jeszcze kilka słów pożegnania, podroczyli się trochę. Lokaj przyniósł kufer z ubraniami, kosz z winem, serem i słodyczami i drugi, pełen rozmaitych przedmiotów zbytku. Wreszcie markiza wyszła, a turkot powozu ucichł w oddali.

Cyrene rozpakowała kosze. Rzuciła Rene mięką, puchową poduszkę, którą umieścił sobie pod głowę. Następnie odkorkowała butelkę wina i nalała nieco do eleganckiego, kryształowego kieliszka, który także dołączono do bagażu. Podeszła sztywno do Rene i postawiła kieliszek obok legowiska.

- Nie napijesz się ze mną? - zapytał.

- Nie mam teraz ochoty na wino.

Podniósł kieliszek, zakręcił w nim ciężkim burgundem, wachając bukiet i przyglądając się Cyrene ponad brzegiem pucharu.

- Gniewasz się na mnie?

- Nie znam cię na tyle, żeby się gniewać.

- Wobec tego czujesz się urażona?

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Dlaczego to zrobiłeś? Czemu zasugerowałeś, że jesteś tu ze względu na mnie?

- A czy możesz zaprzeczyć, że to ty jesteś przyczyną?

Cyrene oblała się czarującym rumieńcem. Rene nie

mógł się oprzeć pokusie, by sprawdzić, czy stanie się ciemniejszy.

- Nie widziałam nic, co by na to wskazywało.

Opanowanie dziewczyny zasługiwało na większą prawdę z jego strony. Poniechał podstępów.

- Masz rację. To była wymówka, którą markiza mogła przyjąć stosunkowo łatwo, znając moją przeszłość. Ponieważ nie miałem ochoty, by zaciągnięto mnie z powrotem do miasta i umieszczono w domu gubernatora, gdzie jego żona opiekowałaby się mną w dzień i w nocy, posłużyłem się tobą. Przepraszam, jeśli sprawiłem ci tym przykrość.

- Wydawało mi się, że twoje rany stanowiły wystarczający powód, żeby cię stąd nie ruszać.

- Tak mogło być dwa dni temu.

Oczy Rene zasrebrzyły się śmiechem. Cyrene podeszła bliżej, by dokładniej przyjrzeć się temu zjawisku.

- Chcesz powiedzieć, że... że wyzdrowiałeś?

- Nie, to nie, ale mogę być nieco silniejszy, niż wyglądam. - Aby dowieść swych słów, odstawił kieliszek i podniósł się bez wyraźnego wysiłku, podpierając się jedną ręką, a drugą kładąc na zgiętym kolanie.

- Dlaczego więc? - spytała szorstko. Uklękła przed nim na kolanie, ponieważ wydawało jej się nieuprzejmością zmuszanie Rene do podnoszenia wzroku.

- Może miałem taki kaprys - odparł, wzruszając ramionami. - Może naprawdę zostanę *wyageur*.

Kąciki ust Cyrene uniosły się w uśmiechu.

- To nie jest proste życie.

- Możliwe, że nie jestem prostym człowiekiem - odpowiedział, odwzajemniając uśmiech.

Przyglądała się silnej, brązowej twarzy i światłu równo płonącemu w szarych oczach.

- Może faktycznie nie jesteś.

- Oto prawdziwe ustępstwo - zauważył cicho, sięgając wolną ręką po dłoń Cyrene i podnosząc ją do ust.

W tym momencie drzwi do kajuty otworzyły się z trzaskiem. W progu stanął Pierre, a za nim Jean i Gaston.

- Pani Vaudreuil miała rację - warknęła Pierre.

Skoczył na środek kajuty i wymierzył Rene silnego kopniaka. Cios trafił go w ramię, odrzucając w tył; Cyrene krzyknęła. Lemonnier wydał cichy okrzyk bólu i zdziwienia. Zwalisty *voyager* w asyście brata ruszył na ranego. Rene wywinął się i wstał, podciągając się ręką za wiszący hamak. Przyczaił się w kącie kajuty, trzymając kawał łańcucha, na którym kołysała się pułapka na zwierzęta.

- Przestańcie! Przestańcie! - krzyknęła wysokim głosem Cyrene, rzucając się na Pierre'a i Jeana, chwytając w garście ich koszule i odpychając braci do tyłu. Przerwali atak, przyglądając się obronie Lemonnierem z zakłopotaniem. Cyrene odczuła ulgę, krew uderzyła jej do głowy. Zrobiło jej się gorąco, a jednocześnie przeszedł ją dreszcz, kiedy tak stała między braćmi a Rene Lemonnierem.

- Jak wam się wydaje, co wy robicie? - natarła na szych niedoszłych wybawców.

- Uczymy go manier, *petite* - odparł Pierre. - Sama *madame* Vaudreuil przyznała, że mu na nich nie zbywa.

- Ale co dokładnie powiedziała?

- Że twoje uśmiechy są lekarstwem, o jakie mu chodzi.

- I to wszystko?

- Wystarczy.

- Żeby go zamordować? Może znowu zacząć krwawić, nawet w tej chwili.

Pierre Breton przyjrzał się mężczyźnie przyczajonemu w kącie.

- Wygląda na to, że nic mu nie jest.

Była to prawda, choć Rene pobladł i osunął się na kolano.

- Jeśli jego powrót do zdrowia się wydłuży, będziecie się mieli z pyszna - oświadczyła Cyrene.

Bracia najwyraźniej ani wcześniej, ani teraz nie rozważali podobnej możliwości.

- Człowiek, który może wstać do walki, może też

wstać do wyjścia - stwierdził Pierre, a jego głos zabrzmiał jak odgłos uderzonego żelaza.

- Jeśli znowu otworzyła mu się rana na plecach, musi tu zostać jeszcze przynajmniej przez tydzień.

- Dzień, *petite*, najwyżej dwa. Nie więcej.

Nie przyjęła tego ultimatum do wiadomości. Odwracając się z furkotem halek od Bretonów, podała rękę Rene. Omal się na niej nie oparł, póki Bretonowie stali w kajucie, ale gdy wyszli - z wyjątkiem Gastona, który oddalił się zaledwie do stołka przy ogniu - pozwolił jej posadzić się na legowisku, gdzie chciała go opatrzeć.

Uklękła przed nim, wysunęła koszulę ze spodni i podniosła. Wyciągnął ręce w górę, a Cyrene zdjęła mu koszulę przez głowę. Kiedy odłożyła ją na bok, napotkała spokojny, żywy, taksujący wzrok Rene.

- Zdarzało mi się być rozbieranym przez kobietę, ale żadna mnie jeszcze nie osłaniała i nie broniła.

Cyrene, przewracająca koszulę na właściwą stronę, poczuła nagle, że jej ręce stały się niezgrabne.

- To tylko instynkt opiekuńczy. Przepraszam, jeśli okazało się to zbędne.

- Nie jestem ani twoim pisklęciem, ani dzieckiem.

- Jesteś ranny.

- I to wystarczy?

W oczach zalśniły jej złote okruchy światła, a usta zadrżały.

- Obiecałeś mi też swój płaszcz.

- Prawda. Byłbym zapomniiał.

- Błagam, nie zapomnij. Ufam twemu słowu.

Znajdował się tak blisko. Widziała pojedyncze czarne włoski brwi, niczym małe, zakręcone druciki, tworzące silne, jedwabiste łuki; wgłębienie niewyraźnej blizny nad okiem, regularny wykrój ust; czarny zarost pod skórą. Ciepło jego ciała i czysty, męski zapach owładnęły zmysłami Cyrene. Siedział nieruchomo, a jednak emanował taką siłą, taką cichą pewnością, że czuła się jakby spowita jego aurą.

Odwrócił się do niej plecami, czekając. Trudno jej

było się zmusić, by go dotknąć, by przesunąć palcami po bandażu wokół piersi, włożyć je pod spód, badając rezultat gwałtownych ruchów. Nachyliła się, dotykając grubego opatrunku na ranie z postrzępionymi brzegami.

Wstrzymała oddech. Dotyk zabarwił materiał na czerwono.

- Głupi idioci! - krzyknęła.

- Krwawi? - spytał przez ramię.

- Mogli cię zabić, gdyby dorwali cię w swoje ręce! -

Chwyciła opatrunek i zaczęła mocować go bandażem. - I za nic. Za nic! Są szaleni, wszyscy trzej. Myślą, że każdy mężczyzna, który na mnie spojrzy, weźmie mnie siłą, jeśli mu nie przeszkodzą. Bez przerwy strzegą mej czystości jak największego skarbu. To nie do zniesienia!

- Twojej czystości - powtórzył niepewnie, jakby nie wiedział dokładnie, co znaczą te słowa. Powiedziała je też cicho, ponieważ Gaston znajdował się w pobliżu, a z grobli dobiegały głosy braci.

Rzuciła mu jadowite spojrzenie.

- A myślałeś, że czego strzegą? Łask, którymi ich obdarzam?

Podobna myśl istotnie zaświtała mu w głowie, choć nie sądził, by nastał właściwy moment, żeby o tym mówić. Jedynym argumentem przeciwko takim przypuszczeniom był fakt, że od jego pojawienia się na łodzi sypiała sama.

- Tak właśnie myślałeś, prawda? Mogłam się tego spodziewać po człowieku takim jak ty!

- Jak ja?

- Trudno oczekiwać, żeby taki skończony liberyn mógł cokolwiek zrozumieć.

Wzgardliwy ton jej głosu dotknął Rene.

- Nic o tym nie wiesz.

- Wiem dosyć. Posiadasz wiedzę o miłości i kobietach. Dla ciebie to wszystko jest grą, wielkim polowaniem, pełnym pięknych gestów, sprytnych podstępów, skradzionych pocałunków i pieszczot. Ale nawet z ta-

kich mężczyzn może być pożytek. Gdybyś nie był ranny i przez to osłabiony, pozwoliłabym ci nauczyć...

Przerwała, przerażona tym, co chciała powiedzieć.

Odwrocił głowę, żeby spojrzeć na Cyrene przez ramię, a ucisk w piersi nie miał żadnego związku z bandażem.

- Co byś zrobiła?

Patrzyła na Rene szeroko rozwartymi oczami, a ogniasty rumieniec dotarł aż do nasady włosów. Pochyliła się nad opatrunkiem, choć palce jej drżały.

- Nic.

- Chyba nie mogę przyjąć takiej odpowiedzi.

- Byłam zirytowana, nie myślałam o tym, co mówię. Zapomnijmy o tym.

- Zamierzałaś zaproponować, żebym wyświadczył ci pewną przysługę, gdybym był w stanie. Czy tak?

- Nie! - krzyknęła, zaskoczona ostrością jego słów.

- Myślę, że jednak tak. Z wielkim zadowoleniem odpłaciłbym ci za to, co dla mnie zrobiłaś. Może powiesz, jak mógłbym to zrobić?

Krwawienie nie było poważne; wyglądało na to, że nowy opatrunek je zatamował. Ponownie założyła bandaż, wsunęła jego końce pod spód i zamierzała wstać.

- Nie ma potrzeby, żebyś odpłacał.

Chwytał jej przegub ciepłymi, mocnymi palcami.

- Ja czuję taką potrzebę. Powiedz.

Niski, uwodzicielski głos wibrował w głębi duszy Cyrene. Szare oczy wpatrywały się w nią hipnotycznie, zmuszając do odpowiedzi. Siła jego uchwytu napełniła ją niepokojem zmieszonym z opornym podnieceniem. Zorientowała się, że chce mu wszystko wyznać; wydało się jej to ważne.

Zwilżyła wargi.

- Myślałam tylko, to znaczy, jestem taka uwięziona, stale pilnowana. Czasem rozpaczliwie pragnę się wyzwolić. Pomyślałam, że nie musieliby mnie więcej strzec, gdybym przestała być... czysta.

Czym innym było podejrzenie, a czymś zupełnie innym usłyszenie tego z jej własnych ust. Przez długą chwilę Rene nie mógł ani oddychać, ani myśleć.

- Czy wiesz, co mówisz? - spytał wreszcie zduszonym głosem.

- Tak. Ja też wiem, że to niemożliwe.

- Błąd. Nie istnieje żadna przeszkoda, w każdym razie z mojej strony.

Serce zabiło jej mocniej.

- Chcesz powiedzieć, że mógłbyś to zrobić?

- To nie wymaga wielkiej siły - odparł cicho.

Przełknęła z trudem, jakby gardło ścisnęła jej stalowa obręcz.

- Rozumiem.

- Wymaga to natomiast chęci, czasu i prywatności, a także pewnego zdecydowania.

- Ale czy zechciałbyś, gdyby te rzeczy zostały zapewnione?

Czuła się upokorzona, musząc go prosić. Dlaczego nie przewidziała, jak to będzie wyglądało? Po prostu nigdy nie oczekiwała, że faktycznie poruszy ten temat. Mogła się teraz wycofać, oświadczyć, że zmieniła zdanie, jednak coś nie pozwalało jej tego uczynić. Odczuwała zbyt mocne pragnienie, by się dowiedzieć, co Rene by zrobił, co by powiedział.

Rene obserwował ją z nadzieją, lękiem i niejasną pogardą dla samego siebie. W ścisłym przegubie czuł szybki, nierówny puls, a zamęt uczuć, który sugerował, wprawiał go w zakłopotanie, ale także podniecał. Myśl, że mógłby odrzucić tę nieoczekiwaną okazję, nie wchodziła w rachubę; za bardzo odpowiadała jego potrzebom, by mógł się bez niej obyć, nawet jeśli pokusa nie była nieodparta. Po raz pierwszy zła sława, na którą tak ciężko pracował, miała mu przynieść korzyść. Nie był jednak tak pozbawiony skrupułów, by wykorzystać swą uroczą wybawicielkę, nie ostrzegając jej przed ewentualnymi skutkami.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Cyrene poczuła irytację, słysząc w jego głosie zwątpienie, tym bardziej że i jej nie było ono obce.

- Oczywiście, że nie jestem pewna - warknęła. - Jaka kobieta może mieć pewność w takiej chwili? Ale Bretonowie posunęli się za daleko. Nie mogą rzucać się na każdego mężczyznę, który się do mnie uśmiechnie. Coś trzeba z tym zrobić.

- Najwyraźniej.

- Nie jestem afektowaną panienką z konwentu, która się droczy, a potem ucieka, to coś zupełnie innego - zapewniła Cyrene z przekonaniem, którego nie czuła. - Ale oczywiście, jeśli wolisz nie mieć z tym nic wspólnego, masz takie prawo.

Powstrzymał ją pospiesznym gestem.

- Nie powiedziałem tego.

- Gdybyśmy... gdybyśmy doszli do porozumienia, nie wiązałyby się z nim żadne zobowiązania. Zapewniam cię, że niczego więcej bym od ciebie nie oczekiwała. Nie musisz się obawiać, że obarczyłabym cię odpowiedzialnością za konsekwencje albo w jakikolwiek sposób usiłowałabym cię zatrzymać.

- Naprawdę? - Myśl, że potrzebowała go tylko do tego, zdumiała Rene. Dotychczas to on uprzedzał, że nie miał zamiaru ponosić odpowiedzialności za popełnione czyny. To odwrócenie ról mogło stanowić poważny cios dla jego psychiki, gdyby nie komizm sytuacji.

- To nie jest śmieszne - wycedziła przez zęby, widząc w jego oczach kpiące rozbawienie.

- Nie. Nie - zgodził się, a w jego głosie zabrzmiała obietnica. - To raczej intrygujące. Nie pamiętam, kiedy zostałem tak oczarowany albo tak zaszczycony. *Cherie*, jestem bez zastrzeżeń na twe usługi. Użyj mnie, jak chcesz.

Cyrene zdawała sobie sprawę, że to szczodra propozycja; czuła spore zaskoczenie. Spojrzała na Rene z wątpliwością.

- Nie... nie chciałabym wykorzystywać twojej słabości.

- Błagam cię, zrób to.

- Nie chciałabym też myśleć, że mogłabym zadać ci ból.

Dzięki silnym mięśniom szczęki udało mu się zachować powagę.

- Zapewniam cię, że ból nie jest mi straszny.

Cyrene ściszyła głos.

- Mówią, że kobietę to trochę boli.

- Istnieją sposoby na zmniejszenie bólu. Przyrzekam, że ich użyję i pokażę ci drogę do radości.

Gaston poruszył się w sąsiednim pokoju.

- Hej, wy tam, o czym tak szepczecie?

Głos Gastona przywołał Cyrene do rzeczywistości. Uniosła podbródek, podejmując nagłą decyzję.

- W takim razie przyjmuję twoje przyrzeczenie, ponieważ nie sądzę, by kiedykolwiek zaoferowano mi więcej.

Rene napotkał jej wzrok, a w jego szarych oczach kryło się coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Chęć do śmiechu zniknęła bez śladu.

- To bardzo mało - powiedział. - Zasługujesz na więcej. Wierz mi, pragnąłbym móc zaoferować ci więcej.

Stanęli przed problemem, jak osiągnąć cel w czasie, który im pozostał. Dwa dni. Za dwa dni Reno Lemonnier musiał odejść. Nie było sensu apelować do Jeana i Pierre'a, by pozwolili Lemonnierowi uczyć się fachu, zostać *voyageur*, nawet jeśli mówił to szczerze, w co Cyrene wątpiła. Podejrzliwość Bretonów w stosunku do gościa, od początku niemała, nasiliła się niepomierzenie, odkąd ujrzeli jego umizgi. Przez resztę dnia jeden z braci lub obaj stale wchodzili i wychodzili z kajuty, czyścili i oliwili trapy na pokładzie albo zbierali się z przyjaciółmi na brzegu.

Późnym popołudniem przyjęli dwadzieścia beczułek indygo. Widok pękatych, poplamionych niebiesko pojeźników, oznaczonych wyraźnym napisem „Mąka”, tłumaczył przesiadywanie braci w gospodzie do późnych godzin w ciągu minionego tygodnia. Musieli się spoty-

kać z plantatorem, targować o cenę. Pojawiały się pogłoski o subsydiowaniu dostaw indygo do angielskich portów, co miało promować produkcję barwnika w angielskiej kolonii w Karolinie. W rezultacie jednak musiała też wzrosnąć cena indygo z Luizjany.

Wyszły też na jaw powody, a przynajmniej jeden z nich, zwiększonej nerwowości i drażliwości Bretonów, na co Cyrene zwróciła uwagę w ostatnich dniach. Dopóki Lemonnier pozostawał na łodzi, nie mogli planować ekspedycji, którą sygnalizowały beczułki, nie mogli nawet o niej mówić, a co dopiero ją przedsięwziąć. Na domiar złego obecność Lemonniera zmuszała braci do przemykania barwnika na ich własną łódź i ukrywania go pod płótnem.

Oprócz nieufności Bretonów w stosunku do Lemonniera, dostawa indygo spowodowała, że z nadejściem wieczoru, zamiast iść do gospody, kręcili się po kajucie wymieniając dowcipy, plotki i nowiny, wchodząc w drogę Cyrene, która szykowała potrawę z ryb, krewetek i ziół w brązowym sosie, by ją podać z ryżem w czarnym, żelaznym garnku.

Po posiłku, kiedy mężczyźni przynieśli miski i łyżki do umycia, Cyrene zapytała:

- Nie jesteście spragnieni? Mam wrażenie, że słyszę w gospodzie muzykę.

- Dzisiejszej nocy wystarczy nam woda, *chere* - odparł Pierre.

Jean zachichotał spod ognia, przed którym leżał na niedźwiedzim futrze, grając na harmonii.

- Woda zawsze musi wystarczyć, kiedy człowiek ma pusto w kieszeni.

Mogła wysłać Gastona po jakiś sprawunek, ale nie udałoby się jej pozbyć całej trójki bez wzbudzania podejrzeń. Cyrene wymieniła spojrzenie z Rene, wspartym na łokciu na legowisku, posłała mu ponury uśmiech i niezauważalne wzruszenie ramion.

Tej nocy nie nadarzy się okazja. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć czy martwić.

4

Następnego dnia po południu Cyrene poszła na targ do miasta. Miała po temu wiele powodów. Owszem, musiała uzupełnić zapasy, ale oprócz tego gotowanie stało się jej ambicją, odkąd Rene mógł doceniać jej wysiłki. Poza tym musiała sprawdzić, jakie produkty żywnościowe były dostępne i zacząć robić zapasy na wyprawę do Anglików. Przede wszystkim jednak czuła, że przynajmniej na godzinę musi opuścić kajutę.

Właściwie z niej nie wychodziła, odkąd wyłowila Rene Lemonniera z rzeki, i zamknięcie zaczynało się jej dawać we znaki. Istniały jednak inne powody. Odkąd zawarła umowę z tym bawidamkiem, czuła się w jego obecności okropnie nieśmiało. Czuła, że śledzi jej każdy krok; nie sposób było unikać jego spojrzenia w ciasnej kajucie. Możliwe, że tylko to sobie wyobrażała, ale miała wrażenie, że spojrzenie Rene stało się władcze, niecierpliwe, jak gdyby upominał się o nią. Ruchy Cyrene pod taką stałą obserwacją stawały się coraz bardziej niezręczne, opuściła ją zwykła pewność siebie. Nagle zapomniała języka, czuła się jak głupia, nie miała nic do powiedzenia. Co więcej, począwszy od ranka tamtego dnia, ku własnemu zakłopotaniu rumieniła się, ilekroć napotykała wzrok Rene. Nie podobało jej się to. Zupełnie jej się to nie podobało.

Gaston szedł obok Cyrene, niosąc jej kosz, gwizdząc przez małą szparkę między zębami. Ich saboty plaskały w błocie. Dzień był pochmurny, a zimny wiatr szarpał

końce chusty okrywającej szyję Gastona i furkotał brzegami prostego, lnianego czepka, który Cyrene włożyła na zakupy. Wycie wiatru w przydrożnych drzewach brzmiało jak umęczone wzdychanie. Gałęzie dalej stojących drzew były pełne kosów, które skrzeczały, kłóciły się, sfruwały na ziemię i podlatywały z powrotem, wyglądając jak tumany czarnych, jesiennych liści. Dalej z przodu leciał nierówny klucz kaczek, zbyt wielu, by mogli je policzyć. Z brzegu lasu przyglądał im się żbik, kiwający ogonem i syczący, który czmychnął, kiedy się zbliżyli.

Dziki kot nie stanowił zagrożenia, póki uciekał. Cyrene i Gaston prawie go nie zauważyli.

Cyrene spojrzała na kroczącego obok niej barczystego mężczyznę.

- Powiedz, Gaston, czy myślisz kiedykolwiek o tym, żeby opuścić ojca i wuja i zacząć samodzielne życie?

Przestał gwizdać i popatrzył na Cyrene z niedowierzaniem.

- Czemu miałbym to robić?

- Jesteś już dorosły. Mógłbyś stać się panem samego siebie, robić, na co miałbyś ochotę.

- Robię, na co mam ochotę.

Mówił prawdę.

- Ale czy nigdy nie myślisz o zbudowaniu czegoś dla siebie, dla swej przyszłości?

- Chodzi ci o dom?

- Dom, ziemię, posiadłość.

- Może kiedy się ożenię, nie wiem. Lubię handel, życie na łodzi. Kiedy ma się ziemię, trzeba ją czyścić, obsiewać, troszczyć się o plony, a to ciężka praca. Po co to robić, kiedy istnieją łatwiejsze sposoby zarabiania pieniędzy?

- Niebezpieczne sposoby.

- Sądzisz, że uprawa ziemi nie jest niebezpieczna? A burze, powódzie, węże i dzikie zwierzęta w lasach, nie mówiąc o najazdach Indian? - Podniósł ręce, nadając głosowi ton celowej beztroski. - Samo życie jest

niebezpieczne. Możemy tylko wybierać, które ryzyko podejmiemy.

Najwyraźniej nie podzielał jej niezadowolonia, nie rozumiał jej rozterek. Cyrene nie wracała więcej do tego tematu i zapytała Gastona o jego ostatni podbój miłosny.

Nowy Orlean, wybudowany na wzniesionym terenie najbliższym miejsca, gdzie Missisipi wpada do Zatoki Meksykańskiej, wyrwano z bagien i mokradeł odległych o ponad dwieście kilometrów od głębokiej, słonej wody. Miasto zajmujące nad szerokim zakolem rzeki wąski odcinek lądu, długości może ośmiu kilometrów, odgrozione od tyłu gęstym lasem, znowu zaczęło się rozrastać po latach zastoju, a nawet upadku. Była to częściowo zasługa panien młodych przysyłanych przez koronę, ale także markiza de Vaudreuil-Cavagnal, który sprawił, że kolonia straciła charakter cichego zakątka, przyciągając tym samym uwagę inwestorów.

Ulice przeprowadzono z wojskową precyzją na planie przecznic, nazywanych wysepkami, z powodu biegnących wzdłuż nich rynsztoków; na każdym skrzyżowaniu nad ulicą przerzucono most. Domy cechowała duża różnorodność. Niektóre wzniesiono z drewnianych bali i pokryto gontem; inne miały dachy z cyprysowych dachówek, a ściany ze skrzyżowanych pali połączonych *bousillage*, zaprawą z błota i jeleniej sierści albo mchu zwanego brodą kapucyna, bądź też z cegieł układanych według techniki *brique entre poteaux*, cegły między palami. Kilka domów zamożniejszych mieszkańców miało niższe piętro z cegieł, a wyższe z desek. W kilku oknach lśniły szklane szyby, ale większość otworów zasłanianio prostymi okiennicami, natłuszczonym papierem bądź startą do cienkiej warstwy skórą, by wpuszczać światło i chronić się przed chłodem w zimie; luźny len przepuszczał w lecie powietrze, ale zagradał drogę większości much, moskitów, ciem i innych skrzydlatych owadów.

Serce miasta stanowił Place Royale, otwarty plac wychodzący na rzekę. Na jego tyłach, nad wodą, wznosił

się kościół Św. Ludwika, z domem ojców kapucynów po lewej oraz miejskim więzieniem i posterunkiem straży po prawej. Po obu stronach placu znajdował się rząd żołnierskich baraków. Niedaleko, w solidnym, nowym domu mieścił się konwent urszulanek oraz szpital prowadzony dzięki datkom i majątkowi pozostawionemu przez pewnego żeglarza. Aby rozwiązać problem powodziowy, zawsze obecny w mieście ze względu na jego niskie położenie, poza miejską palisadą wykopano fosę, do której spływały liczne rynsztoki, a gubernator wydał surowe rozporządzenia dotyczące rozbudowy i utrzymywania grobli.

Mimo to Cyrene nie chciała mieszkać w mieście. W porównaniu z Łodzią panował tu nieopisany brud. Ulice stanowiły najczęściej potoki błota, faktycznie czyniąc domy wyspami, a kiedy wysychały, biegnące środkiem rynsztoki wypełniały się odpadkami i zawartością nocników opróżnianych każdego ranka. Lepkie, czarne błoto lgnące do butów dostawało się na dolne piętra domów, i trzeba je było usuwać szpadlami. Psy i koty, kury i świnie przechadzały się swobodnie po ulicach, żywiąc się odpadkami z rynsztoków, i z trzepotem, gładaniem, miauczeniem i kwikiem uciekając od drzwi, kiedy odganiało je miotłami.

Nad rzeką, gdzie cumowały statki, rozchodził się zapach nadpsutego ziarna, skwaśniałego wina, zjełczałej solonej wołowiny i zgniłych bananów, które właśnie przypłynęły statkiem z Santo Domingo, a także przyjemniejsze wonie drewna, sosnowej żywicy, tytoniu i wosku na świece, towarów, które czekały w królewskich magazynach na przewiezienie do Francji lub Indii Zachodnich na pokładzie królewskich statków, „La Pie” i „Le Parham”.

Nabrzeże rzeki stanowiło też największe skupisko tawern, kabaretów, gospód i szulerni. Tam więc przychodzili żołnierze na przepustce i tam czyhały na nich prostytutki, złodzieje i włóczędzy. Tam też, wzdłuż grobli przed Place Royale, odbywał się targ.

Miał całkowicie swobodny charakter. Czasami wznoszono prowizoryczny stragan kryty gontem, który miał chronić przed słońcem i deszczem, ale kiedy się rozsypanywał, co najczęściej miało miejsce podczas jesiennych wichur, nie spieszono się z odbudową. O tej porze roku, w środku zimy, farmerzy z Niemieckiego Wybrzeża przywozili na sprzedaż cebulę, kapustę i rzepę, traperzy dostarczali szopów, wiewiórek, niedźwiedzich udźców i wytopionego tłuszczu, a rybacy prezentowali efekt połowów: od słodkowodnych krewetek do pierwszorzędnych ryb morskich i żółwi na zupe. Co zaradniejsze francuskie gospodynie sprzedawały gęsi, kurczaki, kaczki, łabędzie i gołębie, a inne oferowały domowe wypieki. Pewna wolna czarna kobieta sprzedawała zawsze słodczyce z mleka, cukru i czekolady, a w przypadku braku tego trzeciego składnika - z dwóch pierwszych oraz dzikich orzechów. Na targ przychodziły też często rozplotkowane Indianki Choctaw, przynoszące kosze, wyroby z wyprawionej skóry oraz suszone leśne rośliny, służące jako przyprawę i leki.

Tej zimy brakowało warzyw z powodu listopadowych najazdów Indian Choctaw, którzy kradli niewolników na Niemieckim Wybrzeżu za miastem. W wyniku niespokojnej sytuacji wielu Niemców opuściło na pewien czas pola, chroniąc się w mieście pod opieką żołnierzy; inni porzucili je na zawsze, decydując się na nowe życie w innych, mniej odosobnionych miejscach.

Problemy z Indianami wciąż narastały. Nie był to bezpieczny okres na podróżowanie po głuszy; niemal co miesiąc docierały do miasta pogłoski o grupie myśliwych czy handlarzy, która została napadnięta, ponosząc ofiary w ludziach. Z drugiej strony, w wyniku nieustabilizowanej sytuacji, wielu handlarzy nie ruszało się z domów, by zaostrzyć apetyt Indian na dostarczane im towary. Każde przedsięwzięcie wiązało się z ryzykiem. Należało je po prostu uważnie porównać z zyskami.

W takiej właśnie sytuacji znalazła się Cyrene. Chciała uwolnić się od nadzoru Bretonów. Aby osiągnąć ten cel,

musiała zbliżyć się do Rene Lemonniera. Jeśli nie było to możliwe w samotności i odosobnieniu, należało z nich zrezygnować. Nasuwał się nieodparty wniosek, że niezbędne zbliżenie fizyczne musiało nastąpić w kajucie na łodzi, podczas snu Bretonów. Nie tylko wyznaczony przez Pierre'a czas na rekonwalescencję dobiegał końca, ale sama Cyrene zaczynała się wahać; dlatego należało zrealizować plan jeszcze tej nocy. Zdumiewające, jak wszystko się wydawało jasne, kiedy patrzyło się na ten problem z pewnego dystansu!

Ludzie na targu stanowili pstrokatą zbieraninę. Gospodynie domowe z koszykami przewieszonymi przez ramię ocierały się o afrykańskie kucharki z zamożniejszych domów i dżentelmenów w perukach, którzy uważali się za sprytnych klientów albo też woleli własnoręcznie rozporządzać zawartością sakiewek. Zakonnica w nieskazitelnie białym birecie targowała się o pęczek świeżej pietruszki z kobietą w szarym, znoszonym czepku. Półnagi wojownik z plemienia Choctaw przeszedł przez targ, obojętny na handlarzy. Tuż za nim podążyło dwóch żołnierzy, jeden w mundurze, drugi jeszcze w szlafmicy i koszuli nocnej; swoboda w ubiorze sugerowała, iż jest to krewny pani Vaudreuil, tak w każdym razie żartowano. Gdzieniegdzie można było dostrzec kobiety ostentacyjnie odziane w jedwabie, co mogło oznaczać, że są to wielkie damy, choć najprawdopodobniej chodziło o kochanki oficerów. Z kobietami tego typu nie tylko się nie kryto, ale przyjmowano je nawet w rezydencji gubernatora, gdzie, jeśli posiadały wystarczające wdzięki, mogły zajmować pozycję wyższą niż niektóre zaniedbane żony kolonistów. Gubernator bowiem zwracał uwagę na atrakcyjne kobiety.

Na targu preferowano handel wymienny. Gotówka praktycznie nie istniała, a świadectwa tymczasowe na akcje wystawiane przez koronę tak bardzo różniły się między sobą wartością, że ludzie niechętnie je przyjmowali. Poza tym w minionym roku pojawiły się w obiegu fałszywe banknoty, sprawiając, że ludzie stali się jeszcze

bardziej podejrzliwi. Wielu ludzi z trudem wiązało koniec z końcem, toteż strata związana z choćby jednym fałszywym banknotem mogła oznaczać katastrofę.

Cyrene wymieniła zrobioną przez siebie skórzaną torbę ozdobianą paciorkami na dwa kurczaki, następnie za jednego z nich dostała kapustę, garść szalotek i dwa długie bochenki chleba z chrupiącą skórką. Gaston podniósł kurczaka za związane nogi, Cyrene zarzuciła na ramię kosz z warzywami i chlebem, po czym ruszyli w drogę powrotną.

Zbliżali się do łodzi, kiedy Gaston gwałtownie się zatrzymał.

- Co to takiego? - spytał nienaturalnie surowym tonem.

Podążyła za jego spojrzeniem. Na pokładzie był obcy mężczyzna. Właśnie wszedł po trapie i posuwał się w stronę drzwi kajuty. Niski i chudy, miał na sobie czapkę z pomponem, prążkowane pantalone, niebieską kurtkę. Szedł boso, ale nie normalnym krokiem, raczej się skradał po pokładzie, trzymając się blisko ścian. Z pewnością nie żywił przyjaznych zamiarów.

- Hej, ty! - krzyknął Gaston. Rzucił kurczaka na drogę, gdzie ptak podniósł rwestes i zaczął trzepotać skrzydłami, po czym puścił się biegiem. Cyrene pobiegła w ślad za nim, ściskając kosz z warzywami.

Intruz rzucił im wściekłe spojrzenie i zaklął, co zresztą Cyrene usłyszała niewyraźnie, ponieważ zagłuszały go jej własne kroki. Obcy wyciągnął zza pasa pistolet, skoczył ku drzwiom kajuty, pchnął je i wpadł do środka. Rozległ się potężny wystrzał, a przez drzwi wypłynęła smuga szarego dymu. Człowiek w prążkowanych pantalonach wyleciał z oparów dymu, jakby pchnięty czyjaś olbrzymią dłońią. Padł na kolana, ale zaraz wstał. W drzwiach pojawił się Rene, ujmując się pod boki. Napastnik krzyknął ochryple i rzucił się do ucieczki. Zbiegł po trapie, przebiegł przez drogę i puścił się pędem przez bagna.

Gaston wyprzedził Cyrene. Mimo to nie ustawała

w biegu, czując krew pulsującą w uszach i duszący ucisk w piersiach. Ujrzała, jak młodszy Breton wbiega na trap, chwytając Rene za ramię, a po chwili uderza go w plecy. Wiedziała, że nic mu się nie stało, ale nie mogła zwolnić. Trap podskakiwał, kiedy wbiegała po nim na pokład. Dwaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Nim jeszcze do nich dobiegła, krzyknęła:

- Co to? Co się stało?

- Próbował zabić Rene! - odparł Gaston, a gniew w jego głosie szedł o lepsze z podnieceniem.

- Pierre? Jean? Gdzie oni są?

- Ktoś ich wezwał - odpowiedział Rene. - Musieli pójść do miasta.

- Pierre by tego nie zrobił. - Pierre Breton nie lubił miast i ludzkich zgromadzeń; jeśli nie musiał, nigdy się do nich nie zbliżał.

- To pewnie podstęp. - Gaston machnął pogardliwie ręką.

- W każdym razie dostarczono im wiadomość, więc poszli. Ten człowiek się pojawił. - Rene wzruszył lekko ramionami.

Cyrene przyjrzała się jego wysokiej sylwetce.

- Nie zranił cię?

Rene potrząsnął przecząco głową.

- Niełatwo wejść na taką łódź niepostrzeżenie. Poczujęm kołysanie, ale nie usłyszałem żadnego odgłosu, żadnych kroków. To mi się wydało podejrzanе.

- Dlatego wstał, żeby to sprawdzić - podsunął Gaston z zadowoleniem. - Kto by tak nie postąpił?

- Właśnie. Obawiam się, że w dachu utkwiała kula.

- Drobiazg, naprawdę nic takiego - zapewnił wylewnie Gaston. - Powiedz, jak ci się udało go wyrzucić?

- Popełniłem błąd, w niewłaściwym miejscu umieściłem łokieć, kiedy podbijałem pistolet. Gdyby nie to, nie zdołałby uciec.

Rene kontynuował relację, ale Cyrene nie słuchała. Weszła do kajuty i postawiła kosz. Przez chwilę przyglądała się pękniętym deskom na dachu, w miejscu gdzie

trafiła kula. Pęknięcie nie było małe; siła kuli mogła zatrzymać niedźwiedzia. Cyrene nalała wody do garnka, umyła ręce, następnie wyjęła kawałek materiału i przycisnęła do rozognionej twarzy. Odłożyła szmatkę, poprawiła włosy i dopiero wtedy wróciła na pokład.

- Dlaczego? - spytała, kiedy mężczyźni na moment zamilkli.

Gaston spojrzął na nią przez ramię, światło błysnęło na kolczyku, a twarz rozjaśnił mu dobroduszny uśmiech.

- Co dlaczego, *chere*?

- Dlaczego ten człowiek próbował zabić pana Lemonniera?

- To złodziej, który zauważył, jak ty i ja wychodzimy, a potem podstępnie wywołał z łodzi tatę i wuja Pierre'a. Sądził, że łódź jest pusta, gotową do splądrowania.

- Wyjął pistolet, zanim wszedł do środka.

- Środek ostrożności, i to bardzo rozsądny.

- Możliwe - odparła Cyrene, patrząc na Rene. - A może zakradł się tu tylko z zamiarem morderstwa, przecież już raz próbowano zabić naszego gościa.

Kiedy Gaston także na niego spojrzął, odniósł wrażenie, że Rene zastanawia się nad tą ewentualnością.

- To oczywiście możliwe, ale nie widzę powodu.

- Mówię wam, że to złodziej i opryszek, jestem tego prawie pewien - powtórzył Gaston z niesmakiem.

Cyrene odwróciła się szybko do niego.

- Znasz go?

- Jeśli to ten, o którym myślę, pracował przed tawerną koło baraków w mieście, chociaż ostatnio go nie widywałem.

- I pewnie szybko go nie zobaczysz.

- Tego możesz być pewna.

Istniało wiele miejsc, gdzie zbieg mógł się ukryć: w lesie z Indianami, na wysuniętych francuskich posterunkach sięgających od Natchitoches i Mobile do kraju Illinois, w Nowej Francji na północy czy nawet w angielskiej Karolinie lub hiszpańskiej Florydzie. Sztuczka

polegała na przedarciu się na bezpieczny obszar. Wiedzano o wielu ludziach, którzy zniknęli w głuszy i nigdy więcej o nich nie słyszano.

Rene wrócił na legowisko, a Gaston podreptał z powrotem po kurczaka, by nie porwał go lis czy jakiś dwunożny szkodnik. Zakończył życie ptaka przy pomocy siekiery, po czym przyniósł go Cyrene do oskubania, ponieważ gardził taką pracą. Kiedy Jean i Pierre wrócili, zastali ją przy tej czynności.

Wiadomość nie okazała się podstępem, ale nie musieli iść aż do miasta. Chodziło o prośbę starego przyjaciela, złożonego chorobą Szkota, który przybył do Luizjany przez Francję i Culloden Moor. Sądził, że pół litra lub litr dobrej szkockiej whisky mógłby go postawić na nogi, nawet gdyby miało to nabić kabzę tym cholernym Anglikom. Pierre zgadzał się z Gastonem, że intruz był złodziejem. Temat wyglądał na wyczerpany, choć o najściu dyskutowano z przerwami aż do wieczornego posiłku, złożonego z duszonego kurczaka z pampuchami.

Siedzieli przy ogniu. Cyrene, wiedząc, że Bretonowie mieli pieniądze, które Szkot zapłacił im z góry, poczekała, aż rozmowa się uspokoi. Wtedy oświadczyła najszczerzej, jak potrafiła:

- Jeszcze nigdy nie próbowałam whisky.

Jean skrzywił się, jakby połknął lekarstwo.

- Nie może się równać z brandy.

- Czy jest mocniejsza? - spytała, zwracając się do Pierre'a jako do starszego, a zatem autorytetu.

- Chodzi ci o to, czy bardziej uderza do głowy? To zależy, gdzie się ją wyrabia i jak. Ale whisky faktycznie nieźle kąsa, podczas gdy brandy spływa do żołądka gładko jak atłas i podnosi człowieka na duchu, tak że dotyka nieba. - Mlasnął.

- Ale szkocka whisky musi być mocna, skoro może wyleczyć waszego przyjaciela.

Pierre uśmiechnął się tolerancyjnie.

- Wszystkie alkohole działają na umysł, a właśnie tak najczęściej leczy się choroby.

- Mam wrażenie, że zaczyna mnie boleć gardło - stwierdził Jean.

- Przypuszczam, że sądzisz, że rozsądnie byłoby zdusić przeziębienie w zarodku - podsunęła Cyrene.

- Taka myśl istotnie przeszła mi przez głowę.

- Nie powinnaś go namawiać - upomniał ją Pierre.

- Nie - potwierdził Jean. - To zupełnie zbyteczne.

Wkrótce potem bracia udali się do gospody. Gaston, ku swemu szczeremu obrzydzeniu, został ponownie postawiony na straży. Wypadł z kajuty, rzucił się na ławę i zaczął walić obcasami w jeden z bali.

Cyrene siedziała, przez dłuższą chwilę wsłuchując się w to regularne łomotanie, po czym spojrzała na Rene. Przyglądał się jej z podziwem i nieufnością.

- To był wspaniały manewr - przyznał cicho - chociaż nie rozumiem przyczyny.

Nie było sensu przed nim udawać.

- Przyczyna jest taka, że Gaston zawsze śpi jak suseł, ale Pierre i Jean tylko wtedy, kiedy się upiją.

Ciepły blask rozjaśnił mu oczy.

- Aha.

Nie potrzebował szczegółowych wyjaśnień, wszystko pojał natychmiast. Świadomość ta dała Cyrene poczucie bezpieczeństwa. Większości ludzi wszystko trzeba kłaść łopatą do głowy.

- Mimo to pozostaje pewne niebezpieczeństwo - powiedziała.

- Nie wiesz, że niebezpieczeństwo dodaje pikanterii? - spytał szeptem.

Czas płynął z bolesną powolnością. Nie sposób było przewidzieć, jak długo bracia zabawią w gospodzie, ani kiedy Gaston pokona uczucie rozżalenia i zmarznie na tyle, by ponownie chcieć się ogrzać przy ogniu. Noc nie była zimna, ale i nie ciepła. Chmury przez cały dzień zasłaniające niebo obniżyły się, a lekki wiatr zmienił kierunek i wiał głównie od południa. Wyczuwało się ciężką wilgotność powietrza, a także parne oczekiwanie, jakby niebo miało otworzyć się lada moment i lunąć deszczem.

Cyrene przyszło na myśl, że uczucie to mogło równie dobrze kiełkować w jej duszy. Siedziała napięta do granic możliwości, nerwy skakały jej pod skórą na najmniejszy odgłos, najdrobniejszy ruch. Chciała, żeby oczekiwanie się skończyło, a jednocześnie bała się chwili, kiedy dobiegnie kresu. Serce łomotało jej w piersi, a skóra swędziała. Nigdy jeszcze nie odczuwała w takim stopniu obecności drugiego człowieka, jak teraz Rene Lemonniera, jego wzrostu, siły każdego ruchu, oddechu, kształtu twarzy, ust, dłoni.

Była chyba szalona, skoro myślała, że jest w stanie przeprowadzić ten plan, szalona, rzucając na szalę własny los. Czego jej brakowało? Czyż nie miała dachu nad głową, dosyć jedzenia, hojnych, rozsądnych, troskliwych towarzyszy, z którymi czuła się szczęśliwa? Cóż z tego, że pilnie jej strzegli; przecież mieli na względzie tylko jej dobro. Bunt przeciw temu byłby przejawem żalostnej niewdzięczności. Ryzykować to dla jakiegoś kaprysu, jakim mogła się okazać wolność? Czysta głupota.

Ale miała dość roli służącej Bretonów, dość życia w odosobnieniu, niczym zakonnica. Życie miało do zaoferowania więcej niż garnki i patelnie czy, czasami, wyprawa handlowa. Istniały rzeczy, które pragnęła robić, pomysły, które chciała realizować. W duszy Cyrene kiełkowały uczucia, którymi pragnęła się dzielić, pragnęła, by wydały owoce. Na wszystko był czas, a jej czas właśnie nadszedł.

Dziewiectwo. Jakież to ciężar dla kobiet! Czemu nie mogły, jak mężczyźni, przechodzić inicjacji namiętności bez bólu, bez potrzeby udowadniania czegokolwiek? Dlaczego mała, cienka błonka, chroniąca dziewczęce wdzięki, miała odgrywać tak wielką rolę? W istocie znaczyła niewiele, po prostu pozwalała mężczyznom ustalać ojcostwo na podstawie tego nieomylnego śladu pierwszego stosunku kobiety.

Zresztą w kolonii nie przywiązywano do tego wielkiej wagi. Wśród pierwszej grupy kobiet wysłanych na żony, rekrutujących się głównie z paryskich więzień, z tru-

dem znalazłoby się choć jedną dziewicę. W istocie kobietom towarzyszyła w przeprawie morskiej akuszerka, która odebrała trzy porody, zanim statek dopłynął do miejsca przeznaczenia. Tak mało było w kolonii kobiet innych niż Indianki, tak wielkie istniało na nie zapotrzebowanie, że dziewictwo stanowiło ostatnią rzecz, o jaką troszczył się przyszły pan młody, kiedy te dziewczęta wyszły na błotnisty brzeg. Te, które przybyły później, samotne kobiety z klasy średniej, wysłane przez króla, wyposażone w posag, nieco ubrań i innych przedmiotów, uznawano, słusznie lub nie, za dziewice. Jednak ich największą zaletą była ich siła, wytrzymałość w ciężkiej pracy i, przede wszystkim, zdolność rodzenia dzieci. Pierwsza grupa miała bowiem tak niewiele wspólnego z czystością, że choroby w rodzaju syfilisu sprawiły, że większość kobiet stała się bezpłodna.

Cyrene nie miała zamiaru rozważać ewentualności zajścia w ciążę. Owszem, takie rzeczy się zdarzały, ale przecież nie wychodziła za mąż, nie godziła się na życie z mężczyzną, z którym stale musiałyby współżyć. Osiągnie swój cel dzięki jednorazowemu fizycznemu doświadczeniu, a istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że przyniesie ono tak konkretne skutki. Kiedy będzie po wszystkim, jej znajomość z Rene Lemonnierem się zakończy.

Za wyborem paryskiego hulaki przemawiał też fakt, że myśl o poślubieniu Cyrene musiała być mu równie obca, co chęć zostania ojcem jej dziecka.

Wielu mężczyzn po kilku latach pobytu w kolonii obsesyjnie wręcz pragnęło własnej kobiety, kogoś, kto by gotował, sprzątał, ogrzewał ich łóżka. Cyrene bynajmniej nie paliła się do tego, by zostać pomocnicą jakiegoś *voyageur* czy plantatora. Na podstawie obserwacji wielu małżeństw, od jej rodziców do małżeństw kolonistów, zrozumiała, że kobieta zamieniała tylko pewne ograniczenia na inne, nie uzyskując znaczącej kompensaty za utratę wolności. Niektóre uważały, że nie potrafiłyby żyć bez mężczyzny, inne nie miały ochoty próbo-

wać; większość kobiet, która straciła mężów w wyniku wypadku czy jednej ze stale nawiedzających kolonij zaraz lub chorób, wychodziła za mąż po raz drugi, trzeci albo nawet czwarty, zwłaszcza te z małymi dziećmi, nie mogąc się utrzymać. Mimo to wydawało się, że najszcześliwsze kobiety to zamożne wdowy, kobiety, które rozporządzały zarówno własnym życiem jak i majątkiem. Tak właśnie pragnęła żyć Cyrene.

Nie, wybrała najlepszy sposób. Teraz tylko pozostawało wcielić go w życie.

Bretonów, którzy wrócili po kilku godzinach, słyszała na długo przed tym, jak dotarli do łodzi. Ich głośny śpiew niósł się po bagnach i odbijał się echem od drzew po drugiej stronie rzeki. Upili się wesoło jak muszkietierowie; zaśmiewając się do rozpuku gramolili się po pokładzie, popychając się, usiłując otworzyć przed sobą nawzajem drzwi. Cyrene, która pospieszyła braciom z pomocą, bała się jedynie, że wpadną do rzeki. Nic nie mogłoby się im stać, ponieważ obaj pływali doskonale, ale woda miałyby na nich stanowczo zbyt otrzeźwiający wpływ.

Gaston wszedł do środka wcześniej, ale dopiero przed pół godziną położył się na hamaku. Mimo to już spał i nie obudził się, kiedy jego ojciec i wuj grzebali się w ciemności, wpadając na niego i potracając stołki. Cyrene połajała ich trochę jak zwykle, po czym wycofała się do swej kajuty. Łomotanie, trzaski i skrzypienie rozlegały się jeszcze przez kilka minut, aż wreszcie zapadła cisza.

Cyrene odczekała pół godziny. Głębokie, donośne oddechy braci graniczyły z chrapaniem. Nie słyszała Gastona, ale jego się nie obawiała. Nie miała pojęcia, czy Rene śpi czy nie, w każdym razie nie wydawał żadnych odgłosów. Nie napełniało jej to jednak niepokojem. Odkryła, że podobnie jak Bretonów w normalnych okolicznościach budził go najmniejszy ruch czy hałas. Podczas kilku poprzednich prób Cyrene trudność polegała na tym, by wstać z hamaka bez budzenia Rene.

Teraz też nie stało się inaczej. Hak hamaka zaskrzy-
piał cicho, kiedy wstała, by opuścić zasłone odgradzają-
cą jej klitkę od kajuty. Odwróciwszy się, usłyszała sze-
lest pościeli; to Rene podniósł się na legowisku. Bojąc
się, że coś powie, natychmiast ukłękła, wyciągnęła rękę
w ciemności i uciszyła go delikatnie.

Palce Cyrene dotknęły jego ramienia. Ciepła, gładka
skóra pokrywająca silne mięśnie pulsowała życiem. Za-
brakło jej tchu. Przez chwilę nie była w stanie się ruszyć
ani wykszusić słowa.

- Czy to tej nocy, Cyrene? - spytał szeptem, który
zabrzmiął jak niskie, szeleszczące westchnienie.

Brzmienie głosu Rene wyrwało ją z odrętwienia.

- Tak, to ta noc.

- Myślałem, że się rozmyśliłaś.

- Nie. Nic podobnego.

- Drżysz. Jest ci zimno?

Nie zdawała sobie sprawy z drżenia palców, które
rozchodziło się także na ramiona, sięgając w głąb ciała.
Nie miało to nic wspólnego z chłodnym powietrzem,
choć nie mogła się do tego przyznać.

- Może trochę.

- W takim razie pozwól, że cię ogrzeję.

Ujął Cyrene za przegub i pociągnął ku sobie. Począ-
tkowo jej mięśnie stawiały opór, a drzenie się nasiliło,
jednak po chwili leżenia przy jego silnym cieple, w koły-
sce jego ramion, zaczęło ustępować. W objęciach Rene
kryło się takie ciepło i pewność. Znalazła tam ukojenie
i bezpieczeństwo, ale niewiele oznak niepokojącego po-
żądania.

Leżenie nieruchomo, godzenie się na wszystko, czego
zażąda, wymagało wiary. Wiary i zaufania. Czemu nie
pomyślała o tym wcześniej? Każdej nocy kobiety odda-
wały się mężczyznom na całym świecie w tym samym
akcie wiary, ale na ile uzasadnionej? Mężczyźni przyj-
mowali ten dar bez zastanowienia, jako coś, co im się
należało. Ilu z nich przyszło kiedykolwiek na myśl, że
powinien to być akt hojnego obdarowywania się nawza-

jem, a nie coś, co należy traktować jako powinność lub należność?

Takie myśli stanowiły dla niej ucieczkę. Dzięki nim mogła ukoić nerwy, kiedy Rene dotknął jej warkocza leżącego na ramieniu, ujmując w dłoń jego ciepły, jedwabisty ciężar. Odnalazł rzemyk związujący warkocz na końcu, zsunął go, a potem przesunął palcami po gęstych lokach, układając je w zagłębieniu ramienia i na plecach Cyrene.

Rozszedł się jej zapach przypominający letnią świeżość łąki. Rene wciągnął go w nozdrza, powoli przesuwając dłonią po falujących, jedwabistych włosach i przyciskając Cyrene do siebie. Poczował falę wzbierającą w piersiach i w lędźwiach. Niewiarygodna uległość kobiety, którą tulił, była darem, na jaki nie zasługiwał. Wiedział o tym dobrze, ale nie potrafił odmówić. Przyjęcie daru wiązało się z ogromnym ryzykiem - Rene ani na moment nie zapomniał o ludziach śpiących za zasłoną - ale pokusa stawała się przez to tym słodsza. Nie, nie mógł, nie powinien się opierać, ale brał Boga na świadka, że ta kobieta nie będzie stratna. Rene mógł o to zadbać dzięki ostatnim przehulanym miesiącom i był gotów to zrobić. Mogło się okazać, że długie godziny spędzone w obcych buduarach, czułe lekcje, jakie tam pobierał, jeszcze się na coś przydadzą. Nie chciał myśleć o tym, co miało nastąpić później. Wszystko musiało się samo ułożyć.

Co prawda Cyrene odebrała wykształcenie w konwencie, jednak wielokrotnie wyjeżdżała stamtąd na zakupy i na święta. Jej guwernantka była dość obytą w świecie kobietą, która nie wierzyła ani w próżne gadanie, ani ignorowanie faktów. Co więcej, pewne uczennice, których rodzice znajdowali się na obrzeżach wersalskiego dworu, nasłuchiwały się więcej plotek i napatrzyły się na więcej przygód dworzan ze służkami, niż się śniło ich rodzicom. Nawet bez tych doświadczeń Cyrene po prostu nie mogła żyć z Bretonami na rzece i pozostawać w ignorancji co do charakteru fizycznego zespolenia

kobiety z mężczyzną. Sądziła, że jest gotowa ścierpieć tę niesławę dla korzyści, które jej miała przynieść. Nie była natomiast przygotowana na powolne narastanie ciekawości, a także na pewien stan, który musiał być bez wątpienia niecierpliwym oczekiwaniem.

Ku własnemu zdziwieniu zdała sobie sprawę, że pierś, którymi tuliła się do Rene, twardnieją i rozchodzi się w nich dziwne mrowienie, a mięśnie brzucha reagują na dotyk jego ciała drobnymi skurczami. Krew Cyrene popłynęła szybciej. Bluzka wydała jej się szorstką, irytującą zawadą. Zmysłem, o którego posiadanie nie podejrzewała samej siebie, wyczuła, że Rene dla jej dobra trzyma się w karchach, co napełniło ją wdzięcznością, przy czym, w pewien dziwny sposób, jej własne hamulce zniknęły.

Podniosła wzrok, pragnąc spojrzeć na mężczyznę, który tulił ją w ciemności, jednak dostrzegła zaledwie niewyraźny kontur jego głowy. Tym lepiej. Opuściła powieki, uniosła głowę, przesuwając palcami po ramieniu Rene, po silnym wygięciu szyi. Dotknęła kanciastej szczęki, delikatnego zarostu na policzku, przesunęła palcami po ustach, badając ich gładką i napiętą powierzchnię.

Niemal mimowolnie uniosła usta w zapraszającym geście. Rene nie potrzebował nic więcej.

Jego usta emanowały ciepłem w chłodzie nocy, dotykały warg Cyrene z cudowną delikatnością, a mimo to drżenie poczuła aż w najdalszych zakątkach ciała. Oddech zamarł jej w gardle, przylgnęła ustami do warg Rene, których ucisk wywoływał najwspanialsze doznanie. Rozchylił nieznacznie wargi, a Cyrene poczuła delikatny koniuszek języka zapraszający ją do zabawy. Poddała mu się ślepo, oczarowana słodyczą, uroczą szorstkością, podstępny wtargnięciem, czując, jak pączkuje w niej tajemnicze podniecenie.

Rozkosz Cyrene byłaby większa, gdyby nie mężczyźni za zasłoną. Odczuła przelotny żal, że nie udało się znaleźć czasu i miejsca bez ich obecności, ale cóż, nie było na to rady.

Szybciej, powinni się spieszyć, zanim tamci się zbudzą i im przeszkodzą. Ta myśl chodziła jej po głowie, ale Rene chyba nie odczuwał podobnego napięcia. Pieścił jej kruche wargi, przesunął koniuszkiem języka po zębach, ucałował kąciki ust. Pocałował podbródek Cyrene, skosztował słoności powiek, zagłębił się ustami w misterny labirynt ucha. Wilgotny płomień, jaki w niej wzniecił, był tak czarowny, że nie wiadomo kiedy rozwiązała tasiemkę wiążącą cienką, znoszoną bluzkę, a Rene zsunął ją z ramienia i położył dłoń na pagórku piersi. Wydała bezgłośny okrzyk, a jej oddech nabrał tempa, kiedy Rene sunął wilgotnym, ognistym szlakiem wzdłuż szyi i obojczyka. Ściągnął bluzkę jeszcze niżej, poczuła najpierw jego oddech na naprężonym, delikatnym wzgórku obnażonej piersi, a potem ciepłe usta.

Cyrene zalała fala pożądania, wirując w żyłach, rozpłomieniacząc skórę, sadowiacząc się z bolesną bezbronnością w dole ciała. W gardle wezbrał okrzyk, który z trudem zdusiła. Zdjęła ją panika. Ten kataklizm niósł w sobie zbyt wielką magię. Być może to właśnie dlatego nawet szczęśliwe wdowy ponownie wychodziły za mąż! Cyrene chciała się zatrzymać, zawrócić, ale jakąś częścią umysłu uświadamiała sobie, że już jest za późno. Za późno.

Siła i wola opuściły Cyrene, ustępując miejsca pełnemu, uległemu omdleniu. Przesunęła dłonią po plecach Rene, uważając na bandaż, a falowanie mięśni pod skórą i palący dotyk jego ust w dolinie między piersiami podziały na nią jak zakłęcie. Odwróciła się, pozwalając, by powoli zsunął bluzkę, pokrywając jej ciało delikatnymi pocałunkami.

Och, wiedział wszystko o zagłębieniach i wygięciach kobiecego ciała, potrafił je rozpłomienić staranną i cierpliwą troską. Był czułym najeźdźcą, przynoszącym zachwyt i radość. Cyrene leżała, pulsująca, zahipnotyzowana, obmywana falami rozkoszy. Uwięziona przez ich cudowną moc, poddała się zmysłowowści, w której wciąż drżał ślad niepokoju. Bezbronna w uścisku eksta-

zy trapiła się cichymi odgłosami, napiętymi oddechami, szuraniem legowiska i świadomością upływającego czasu. Jednocześnie nie mogła zaprzeczyć, że rosło w niej niepokojące napięcie, niecierpliwe pragnienie, oczekiwanie.

Atak nastąpił tak nagle, że wygięła się z okrzykiem uwiecznym w gardle, z dziką siłą ściskając ramiona Rene. Szybko zrzucił spodnie, których używał do spania i położył się między udami Cyrene. Wszedł w nią mocno, gorąco, poczuła chwilowy niepokój, który rozwiął się czarodziejsko, kiedy Rene zagłębił się bardziej. Musnęła jego ramię oddechem ulgi i przelotnego uczucia zwycięstwa.

Poruszał się z troskliwą ostrożnością, a Cyrene lgnęła do niego, podnosząc się na spotkanie pożądania, które tłumił tak długo i dzielnie. Razem w ciemności, spleceni, a jednak rozdzieleni niewidzialnym cieniem parli ku czekającemu ich, niewypowiedzianemu światłu. Rozbłysło wokół nich z jasnością, która mogła zarówno scalać jak i niszczyć, pokonywać lub ofiarować rzadki dar łaski, a była tak oślepiająca, że dopiero czas mógł wszystko wyjaśnić.

5

Przed świtem łódź zaczęła kołysać się na cumach. Niedaleko rozległ się grzmot pioruna. Wiatr gwizdał wokół dachu kajuty, łopocząc na jej rogach. Cyrene nagle się obudziła. Przez długą chwilę wpatrywała się w mrok, zdezorientowana twardością podłogi pod sobą i dziwną pozycją swego ciała; przecież powinna się wygodnie bujać w hamaku. Wtedy sobie przypomniała.

Rene leżał za jej plecami, otulając Cyrene długim ciałem. Ręką obejmował ją w talii, zakrywając palcami pierś. Czuła jego mięśnie nóg i szorstkość włosów porastających ciało. Jego ciepło przyjemnie grzało Cyrene pod niedźwiedzim futrem, choć powietrze, którym oddychała, było chłodne.

Nie zamierzała zasypiać obok niego. Nie mogła uwierzyć, że większą część nocy spędziła w jego objęciach. Nawet teraz czuła opór przed wstaniem, choć zdrętwiałe mięśnie domagały się zmiany pozycji. Nie chciała jednak w tym momencie budzić Rene. Musiała najpierw dojść do siebie i postanowić, jak powinna się teraz do niego odnosić.

Należało także postanowić, co robić dalej. Jeśli celem pozbycia się dziewictwa było przekonanie Bretonów, by dali jej więcej swobody, musieli zostać powiadomieni, że przestała być czysta. Trudności nagle wydały jej się olbrzymie.

Nie mogło ich to ucieszyć. Cyrene miała to na uwadze, ale znacznie większą troską napełniała ją myśl, jak

znaleźć słowa, by przekazać im nowinę. Nie bała się o siebie; Pierre i Jean nigdy jej nie karali, nigdy nie podnieśli na nią ręki. Uzmysłowała sobie, że boi się ich dezaprobaty, oznak uczucia zawodu.

Los Rene był zupełnie odmienną sprawą. Nigdy całkowicie nie przestawała o nim myśleć, jednak dotąd nie uświadamiała sobie, że ponosiła odpowiedzialność za wszystko, co miało go teraz spotkać. Nie był w stanie się bronić. W normalnych warunkach nie musiałyby się martwić; nie będąc rannym niewątpliwie poradziłby sobie z niemal każdą sytuacją, szczególnie takiej natury. Doświadczenie z pewnością przyszłoby mu z pomocą.

Ostatnia, raczej zgryźliwa myśl, zaniepokoiła Cyrene. Doświadczenie Rene nic jej nie obchodziło, aczkolwiek tylko na nim skorzystała. Oczywiście nie chciała myśleć o sposobie, w jaki okazało się pożyteczne. Zdecydowanie nie. Zastanowiwszy się jednak, musiała przyznać, że rany Rene raczej nie osłabiły jego umiejętności kochanka. Możliwe, że minionej nocy przejawiał więcej troski i czułości niż wigoru, ale nie przypuszczała, by wiązało się to z jego siłą lub jej brakiem. Fakt ten nieco ją zdumiewał, ale też przynosił ulgę. Cieszyło ją, że nie byłby całkowicie bezbronny w konfrontacji z jej protektorami.

Poza tym, nie dałby się im zaskoczyć. Podobnie jak Cyrene, już nie spał. Nie miała pewności, skąd to wiedziała; nie poruszył się ani nic nie powiedział. A jednak była pewna, że leżąc czuwał. Myślała o tym, kiedy piorun po raz kolejny zamruczał nad szeroką rzeką za rozkołysaną łodzią.

Nagle zrozumiała, co go zdradziło: napięcie mięśni. I nie bez powodu. Za zasłoną rozległ się szmer i ciche skrzypnięcie - jeden z Bretonów zszedł z hamaka; Pierre, sądząc po miejscu, z którego dobiegł odgłos. Po chwili zajaśniał żółty blask: zapalił lampę łojową. Musiała go obudzić burza i gwałtowne kołysanie łodzi. Cumy wymagają sprawdzenia.

Cyrene poruszyła się gwałtownie, jakby chciała się

zerwać z legowiska i wskoczyć na hamak. Rene jednak wzmocnił uchwyt. Uległa. Miał rację, lepiej nie wydawać nagłych odgłosów, które mogłyby zwrócić uwagę. Z drugiej strony, zazwyczaj po przebraniu się do snu, Cyrene podciągała zasłonę. Fakt, że była opuszczona, mógł się wydać podejrzany.

Ale cóż z tego? Czy nie o to jej chodziło? Czy nie lepiej dać się zaskoczyć, niż musieć się nieporadnie tłumaczyć?

Cyrene rozluźniła się i leżała całkowicie nieruchomo. Własna nagość pod niedźwiedzim futrem wprawiła ją w chwilowe zakłopotanie, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Jeśli ona i Rene zostaną odkryci, stanie się tak z ich własnej woli. Podobny fatalizm koił jej napięte nerwy, nawet jeśli był udawany.

Zewnętrzne drzwi od kajuty otworzyły się i zamknęły. Przez ścianę dobiegał wyraźny odgłos kroków na pokładzie. Deszcz zabębnił po cyprysowych gontach. Padał coraz gwałtowniej, tłukąc głośno o dach. Drzwi otworzyły się z hukiem, wpuszczając powiew wiatru, który wciągnął zasłonę do wnętrza kajuty. Cyrene ujrzała Pierre'a stojącego w progu na tle ciemnej ściany deszczu. Patrzył prosto na nią.

Zadudniły bosc stopy. Zasłonę odciągnięto. Pierre stanął nad nimi z twarzą wykrzywioną wściekłością i bolesnym zdumieniem.

- Cyrene!

Usiadła, przyciskając niedźwiedzie futro do piersi. Oblała się gorącym rumieńcem. Nie spodziewała się tak silnego poczucia winy, które odebrało jej mowę i sprawiło, że poczuła się jak karane nieposłuszne dziecko. Rene usiadł i zaczął naciągać spodnie.

- Co to ma znaczyć? - spytał Jean, stając obok brata. Gaston podniósł się na hamaku i wpatrywał się w winowajców ze zdumioną miną.

Cyrene nie mogła wykszusić ani słowa. To Rene udzielił odpowiedzi.

- Wydaje mi się, że to oczywiste - oświadczył sucho.

Uwaga ta wprawiła Pierre'a w szal, co było zamiarem Rene.

- Do stu tysięcy piorunów! To w ten sposób się nam odwdzięczasz?

- Może to dziwne... - zaczął Rene.

Pierre ruszył na niego z chęcią mordy w niebieskich oczach, ale Cyrene powstrzymała go wyciągniętą ręką.

- To nie jego wina, ale moja - powiedziała napiętym głosem. - Nie zrobił nic, czego bym nie chciała.

- Jak możesz mówić coś podobnego? - krzyknął Jean, zaciskając pięści i opierając je na biodrach.

- Mówię prawdę.

- Niemożliwe! On cię uwiódł, omamił kłamstwami.

Ruchem głowy strząsnęła włosy do tyłu, przecząc jednocześnie słowom Jeana.

- Nie. Sama go poprosiłam.

- Tak jak dziewczka uliczna? Nigdy. Próbujesz go bronić, ale to ci się nie uda. - Jean zrobił ruch, jakby chciał się przepchnąć obok brata. Gaston zbliżył się do nich z ponurą miną.

- Nie potrzebuję obrony - oświadczył stalowym głosem Rene, podnosząc się na kolano. Patrzył na Bretonów spokojnie, wyzywająco i bez strachu. - Każdemu z was albo wszystkim trzem udzielię satysfakcji, o ile uznacie taką konieczność, ale może najpierw zapytajcie samych siebie, z jakich powodów Cyrene pragnęła to uczynić.

Jean zaklął, przeciskając się obok brata, jednak Pierre chwycił go za koszulę i powstrzymał.

- Poczekaj - powiedział, a w jego głosie zabrzmiały groźne tony. - W tym, co mówi Lemonnier, jest jakiś sens. Wysłuchajmy Cyrene.

W ciszy, jaka nagle zapanowała, słychać było głośne bębnienie deszczu. Serce Cyrene podskoczyło gwałtownie. Zwilżyła wargi.

- Powodem jest moja wolność. Mam dość bycia strzeżoną jak jakiś skarb.

- Jesteś skarbem, i to niezwykle cennym - oświadczył szorstko Pierre.

- Jestem człowiekiem. Chcę mieć możliwość poruszania się bez ciągłego nadzoru. Chcę móc robić to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę. Chcę być wolna.

- Nie wiesz, co mówisz. - Starszy z braci machnął ręką pełną odcisków po latach wiosłowania. - Kobiet trzeba strzec.

- Dlaczego? Żeby pilnować ich dziewictwa albo wierności? Istnieje różnica między ochroną a więzieniem.

Pierre wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem.

- Nigdy nie chcieliśmy cię więzić, *cherie*, ani czynić cię nieszczęśliwą.

Cyrene wbiła palce w niedźwiedzie futro.

- Wasz ciągły nadzór nie czynił mnie nieszczęśliwą, ale wściekłą. Próbowалам wam to powiedzieć, ale nie słuchaliście. Oszalałabym, gdyby to trwało nadal.

- I sądzisz, że to jest właściwe rozwiązanie?

- A było jakieś lepsze? Teraz nie macie już powodu mnie strzec.

- Myślisz, że nie?

- A po co? Nieczyste kobiety przechadzają się ulicami w dzień i w nocy, zwłaszcza w nocy.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz zostać dziwką? - Starszy brat mówił niebezpiecznie cicho.

- Oczywiście, że nie! Ale takich kobiet nikt nie strzeże po prostu dlatego, że nie mają już nic do stracenia.

- Oczekujesz, że pozwolimy ci chodzić teraz po ulicach bez ochrony?

- Dlaczego nie?

- Ale nie chcesz zostać dziwką?

- Powiedziałam, że nie!

- Kto cię ocali przed wilkami, które zaczną się gromadzić, kiedy dowiedzą się, że poznałaś mężczyznę? Kto nie dopuści, żebyś stała się ich łupem, ich dziwką?

Brazowe oczy Cyrene rozbłysły gniewem i upokorzeniem. Jeszcze nigdy nikt nie powiedział jej czegoś takiego, a już na pewno nie Pierre Breton. Mimo to nie

chciała, by dostrzegł, jak bardzo ją zranił. Uniosła podbródek i oświadczyła:

- Sama się obronię. Mam nóż, który mi dałeś, i potrafię się nim posługiwać.

- To nie wystarczy. Jesteś zbyt smakowitym kąskiem, by polegać na kawałku stali i kilku lekcjach, których ci udzieliłem.

Rene, który z uwagą przysłuchiwał się Cyrene, przemówił nagle:

- Ja będę jej ochroną.

Jean ryknął i znowu skoczyłby na Rene, gdyby Pierre nie powstrzymał go władczym gestem. Cyrene spojrzała na Rene zaskoczona.

- Nie ma potrzeby - mruknęła. - Ta kłótnia ciebie nie dotyczy.

- Daj mu mówić - rozkazał jej Pierre, choć na jego twarzy odmalowało się niejasne zmartwienie.

Rene podniósł się, stając twarzą w twarz z braćmi.

- Nie zrozumcie mnie źle, nie robię tego ani ze strachu, ani z wdzięczności. W ciągu ostatnich dni odkryłem w sobie silne przywiązanie do Cyrene. Nie wiem, kim ona dla was jest albo wy dla niej, ale jednego możecie być pewni. Z mojej strony nie spotka jej żadna krzywda, ani też nikt jej nie zrani, póki Cyrene będzie pozostawać pod moją ochroną.

Cyrene, która słuchała tego w zdumieniu, zaprotestowała:

- Czy zamilkiesz wreszcie? Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Pod twoją ochroną - powtórzył Pierre. - A kim ona będzie dla ciebie?

- To sprawa pomiędzy nami.

Jean warknął cicho.

- A zatem twoją kochanką. Czy może też twoja ochrona potrwa zaledwie noc lub dwie?

- Ufam, że dłużej. Myślałem, nawet miałem nadzieję, że potrwa przynajmniej na czas waszej kolejnej wyprawy do Anglików.

Jean zaklął, a poblady Gaston zawtórował ojcu. Pierre zachował spokój, choć oczy mu się zwięzły.

- Mam nadzieję, że nam to wyjaśnisz.

- Wybaczcie mi bezpośredniość - powiedział Rene, chyląc głowę. - Domyśliłem się, że macie indygo krótko po tym, jak wnieśliście beczułki na pokład. Nietrudno się było domyślić, skoro Jean przed umyciem rąk miał pod paznokciami piękne, niebieskie obwódki. Leżałem tu, myśląc o waszej wyprawie, o zyskach, jakie wam przyniesie, i poczułem silne pragnienie przyłączenia się do was.

- Oczywiście dla pieniędzy? - spytał Pierre.

- Nie gardzę nimi, chociaż, szczerze mówiąc, środki, jakie dostaję od rodziny, zaspokajają moje potrzeby, oczywiście pod warunkiem, że nie przepuszczam ich w szulerniach. Możecie nie dać wiary, jeśli wyjawię wam prawdziwy powód, ale powiem wam. Jestem zmęczony cywilizacją i jej regułami, mam tego dość. Teraz, kiedy jestem tutaj, pragnę zbadać głąsę, zobaczyć Indian, poznać ich sposób życia, a może również zrobić coś ryzykownego. Nie potrafię wam wyjaśnić tej potrzeby, mogę tylko o niej powiedzieć.

Nie mógł chyba podać powodu, który bardziej przypadłby do gustu Bretonom. Przemyt był nie tylko ich zawodem; stanowił też ich rozrywkę i źródło radości. Perspektywa zysków także miała znaczenie, ale znacznie bardziej liczyła się sama przyjemność ich zdobywania, przy jednoczesnym wymykaniu się królewskim żołnierzom, unikaniu śmierci z rąk zbuntowanych Indian czy w którejkolwiek z naturalnych katastrof.

- Chcesz wyruszyć z nami? - spytał Jean. - Taki paryski dandys jak ty? W dziczy nie przeżyłbyś nawet dziesięciu minut.

- Możliwe - zgodził się Rene z lekkim uśmiechem w szarych oczach. - Możliwe też, że mógłbym was zadziwić.

Cyrene spoglądała to na Pierre'a, to na Jeana. Bracia patrzyli po sobie z posępnymi minami. Coś w wyrazie

ich twarzy, pewne zmęczenie, akceptacja, powiedziało jej, że rozważali ofertę Rene. Oni naprawdę rozważali możliwość wzięcia Lemonniera ze sobą.

- Nie - powiedziała.

Została zignorowana.

- Potrafisz wiosłować? - spytał Pierre.

- Wiosłowałem na Sekwanie.

- Missisipi nie jest taka łagodna, nie wybacza tak łatwo. Czy umiesz strzelać?

- To potrafię.

- Nie - powtórzyła Cyrene.

- Ale czy kiedykolwiek zabiłeś człowieka? - spytał Jean, wpatrując się w Rene.

Lemonnier nie odpowiedział, ale i nie odwrócił wzroku.

- Oczywiście możesz uznać, że dzikus to nie człowiek, jest jednak śmiertelnym wrogiem - ciągnął ironicznie młodszy Breton. - Ale, mówiąc, że potrafisz obronić siebie i naszą Cyrene, czy wybierasz się na przejażdżkę dla rozrywki czy planujesz w nią zainwestować?

- Jestem gotów dzielić z wami ryzyko, jeśli mi na to pozwolicie.

Cyrene wstała, owijając się w niedźwiedzie futro.

- Co tu się dzieje? - spytała, patrząc po twarzach mężczyzn. - Co wy robicie?

- To porozumienie między mężczyznami, *chere* - wyjaśnił jej Pierre. - A jeśli chodzi o twoje drugie pytanie, przyjmujemy współnika.

- Możecie robić, co wam się żywnie podoba - oświadczyła dobitnie - ale zrozumcie jedno, wy wszyscy, ja nie biorę w tym udziału.

- To sprawa pomiędzy tobą a mężczyzną, którego wybrałaś.

- Nikogo nie wybrałam!

- Nie? Fakty przemawiają za czymś przeciwnym.

Cyrene uniosła podbródek, a oczy jej pociemniały.

- Nie obchodzi mnie, za czym przemawiają. Nie potrzebuję ani nie chcę żadnego obrońcy!

- To bardzo niefortunne, *chere*, bo wygląda na to, że masz go, czy tego chcesz czy nie.

Pierre wpatrywał się w nią z surową miną przez długą chwilę, choć w jego oczach czaił się ból. Odwrócił się gwałtownie, jakby z pogardą, dał znak Jeanowi i Gastonowi, by wyszli za nim, po czym opuścił zasłonę.

- Wyruszamy w tym tygodniu. Bądź gotowy, Lemonnier - rzucił zza zasłony.

Dlaczego? Cyrene nie potrafiła pojąć tego, co się stało. Nie chodziło o to, że Bretonowie nigdy nie przyjmowali współników; często zabierali na wyprawę człowieka lub nawet dwóch. Zawsze jednak byli to znajomi *voyageurs*, ludzie urodzeni w tym surowym świecie, znający jego prawa, znani od lat i cieszący się zaufaniem. Cyrene nie mogła dostrzec sensu w fakcie, że przyjęli nowo przybyłego, który nie tylko nie znał głuszy, ale także przyjaźnił się z samym gubernatorem, co czyniło go podejrzanym.

Do obowiązków gubernatora, jako najwyższej władzy z dala od macierzystej Francji, należało ukrócenie pieniącego się przemytu. W tym celu wyznaczono nagrody dla donosicieli, którzy mieli informować o podobnych nielegalnych, zdradzieckich poczynaniach. Przemyt uznawano za okradanie Francji, ponieważ uszczuplał królewski skarbiec. Karano go chłostą, liczbę razów ustalając w zależności od zakresu przestępstwa, następnie piętnowano winnego znakiem *fleur-de-lis*, lilii, i skazywano na dożywotnie galery.

Czy możliwe, że wprowadziła między nich donosiciela? Cyrene odwróciła się powoli do Rene Lemonniera.

- Dlaczego to robisz?

- Myślę, że słyszałaś.

Jego szare oczy patrzyły jasno, bez kpiny, a jednak kryło się w nich coś, co napełniało ją niepokojem.

- Jeśli robisz to pod wpływem impulsu, błagam, żebyś się zastanowił. Człowiek, który nie wie nic o bagnach i lasach, może stanowić zagrożenie zarówno dla innych jak i dla samego siebie.

- Doceniam twoją troskę, choć mogłabyś okazać mi trochę więcej zaufania.

- Na to będziesz musiał zapracować, jak wszyscy, którzy dopiero co przybyli do Luizjany.

Rene patrzył na Cyrene i podziwiał jej opanowanie, dzięki któremu kryła wściekłość, sprawiającą, że piersi jej tak szybko falowały. Czuła, że została zdradzona, i miała rację. Z tego też powodu Rene nie czuł do siebie wielkiej sympatii. Ale Cyrene na tym nie straci. Przyśiągł to sobie znowu w myślach, omiatając spojrzeniem kształtny owal jej twarzy, bogate ciepło włosów, całą cudowną sylwetkę dziewczyny, pozłożoną wokół ramion chybottliwym światłem napływającym zza zasłony. Oczywiście nie brało się za żonę kobiety z tak niskiej klasy, ale postanowił, że przed powrotem do Francji dopilnuje, by Cyrene nie zabrakło niczego, nawet męża.

- Postaram się zapamiętać - powiedział.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś doskonale zrozumieć, więc słuchaj uważnie. Możesz udać się z nami na tę wyprawę, możesz się nazywać moim obrońcą, jeśli sprawia ci to przyjemność, ale na tym koniec. Nie będziesz dzielił ze mną łóżka. Nie jesteś mi nic winien, ani ja nie jestem nic winna tobie. Czy to jasne?

Uśmiech powoli zagościł w kącikach ust Rene, po czym pojawił się w jego oczach.

- Zająłś jasne stanowisko, z którym bardzo chciałbym się zgodzić. Zwykła uczciwość nakazuje mi cię ostrzec, że nie mogę.

- Co to ma znaczyć? - Z wysiłkiem zacisnęła zęby, aby powstrzymać się od krzyku, który przywołałby z powrotem Bretonów.

- Uważam, że nadal jestem ci winien niemało, a zaproponowany przez ciebie sposób zapłaty niezwykle przypadł mi do gustu.

- Dotknij mnie, a cię zabiję - wysyczała.

Przekrzywił głowę, przyglądając się Cyrene spod opuszczonych rzęs.

- Pozwoliłem ci wypowiedzieć swobodnie twoje

groźby, więc teraz ty mnie wysłuchaj. Nigdy nie przymuszałem żadnej kobiety i nie mam zamiaru robić tego teraz. Nie oznacza to jednak, że nie będę cię uwodził, kiedy nadarzy się okazja, i nie pójdę z tobą do łóżka, kiedy nadarzy się możliwość lub dane mi będzie ją stworzyć. Dlatego broń się, *ma chere*, nie mam nic przeciwko temu. W istocie nawet to wolę. Łatwa zdobycz jest nieporównywalnie mniej interesująca.

- Nie jestem twoją zdobyczą!

- Jeszcze nie.

- Wynoś się - rozkazała głosem drżącym od tłumionej furii. - Wynocha.

- Wyrzuć mnie - odparł, śmiejąc się cicho.

Nie mogła się z nim szamotać w negliżu; to byłoby ze wszech miar nierozsądne. Odwróciła się do Rene plecami.

- Nie zrobię ci tej przyjemności!

- Wobec tego chyba zostanę, przynajmniej do rana - oświadczył, kładąc się z powrotem na legowisku.

Cyrene nie raczyła mu odpowiedzieć. Wdrapała się na hamak, usiłując położyć się na nim, nie gubiąc przy tym niedźwiedziego futra. Poślanie zawieszona na dwóch hakach kołysało się i skrzypiało, aż wreszcie ucichło.

Rene leżał z rękami pod głową, wpatrzony w sufit. Nie mógł się oprzeć pokusie droczenia się z Cyrene, choć gdyby zdradziła najmniejszą oznakę prawdziwego niepokoju, momentalnie by ją ukoił. Nie miał zamiaru być do niej przyklepiony dzień i noc, choć musiał i zamierzał znajdować się w pobliżu. Nie pragnął też irytować kobiety, która urządziłaby sceny w najmniej odpowiednich momentach. Postanowił, że nadal będzie flirtował z Cyrene i poświęcał jej tyle uwagi, by podsycać płomień gniewu, ale nie zaangażuje się bardziej.

Czy aby na pewno? Smak i zapach Cyrene wypełniał umysł Rene; chętnie posiadałby ją znowu, ściągnął na tę twardą podłogę. Nie będzie łatwo pozostawać w celibacie, przebywając stale blisko niej.

Był gotów to uczynić, bo musiał. Wymagał tego honor. Honor może się stać srogim ciemżycielem.

Rene poczuł chłód, gdy został pozbawiony bliskości ciała Cyrene, a także okrycia, które zabrała ze sobą.

- Cyrene? - krzyknął cicho. - Dostanę okrycie albo koc, jeśli już nie futro niedźwiedzie?

Nie odpowiedziała.

Wyciągnął rękę, przesuwając palcem po hamaku, od jej pleców do bioder. Odsunęła się. Spod futra okrywającego głowę Cyrene nadeszła stłumiona odpowiedź.

- Marznij. Może to cię wyleczy z nadmiernej żarliwości.

Faktycznie, istniała taka możliwość. Mruczając pod nosem, Rene przekręcił się na bok, naciągając na siebie część legowiska z bizoniej skóry. Po chwili już spał.

Po pięciu dniach opuścili Nowy Orlean. Decyzję o wyjeździe przyspieszyła wiadomość z dołu rzeki, że angielski statek, na który czekali, zauważono niedaleko Biloxi. Kiedy dopłyną do wybrzeża, lawirując przez rozlewiska, jeziora i strumienie tworzące ukryte przejście pod Nowym Orleanem, statek będzie stał na kotwicy w jednej z zatoczek czy zatok wrzynających się w linię brzegową Luizjany. W związku z ograniczonym czasem jego postoju, Bretonowie musieli podróżować szybko, z niewielką ilością postojów.

Za środek transportu służyły im dwie duże pirogi. Pierre, Cyrene i Rene siedzieli w prowadzącej, a Jean i Gaston podążali tuż za nimi. Łódki, choć czasem mało zwrotne, nadawały się doskonale do tej meandrującej trasy, biegnącej czasem przez łąchy mokradeł pokrytych warstwą wody niewiele grubszą niż rosa.

Na wodzie było chłodno i wilgotno, ale rozgrzewało ich wiosłowanie. Cyrene machała wiosłem wraz z innymi. Bezczyenne siedzenie wiązało się z przemarzeniem, a zresztą wolała spełniać swoje obowiązki. Odpoczywała może częściej niż pozostali, nie tyle dlatego, że nie mogła nadażyć, ale nie mogła się powstrzymać od podziwiania otaczającej ich krainy bagien.

Odnogi rzeki i inne strumienie kręciły się i wiły ku Zatoce, czasem zawracając, tak że często musieli przebywać piętnaście kilometrów, żeby posunąć się o pięć na południe. Rozległe, spokojne jeziora stanowiły naturalne zbiorniki wodne. Woda w tej skomplikowanej sieci była błotnista i ciemna - wynik domieszki szlamu i kwasu pochodzącego z opadających i butwiejących liści. W niektórych miejscach występował wyraźny prąd, jednak w innych szlak wodny trwał w nieruchomej ciszy, sprawiając wrażenie przepastnych głębin, choć w istocie dno mogło się znajdować zaledwie kilka centymetrów pod pirogą. Bujne rośliny wodne porastały brzegi, a wielkie cyprysy strzelały w górę z kłębowisk korzeni gładkimi wierzchołkami, zwanymi kolanami, niczym kolumny katedry zwieńczone sklepieniem. Z gałęzi drzew zwisały kępy mchu, wiotkiego jak brody starców, powiewającego na wietrze z majestatyczną gracją. Gdzieś na powierzchni wody unosiły się płachty roślinności, zielone i brązowe maty sprawiające wrażenie tak mocnych, że można by na nich stanąć, ale w istocie niezdolnych do utrzymania niczego cięższego od ważki.

Czasami nad powierzchnię wyskakiwała umykająca ryba, sprzed dziobu pirogi pryskało stado kaczek, niekiedy wielki, błękitny żuraw, samotny rybak, wznosił się do lotu. Od czasu do czasu stado ptaszków wzbijało się spośród trzciny jak chmara komarów albo szop schodził do wodopoju. Poza tym nie widać było prawie nic. Żaby i żółwie, węże i aligatory, a także miriady owadów włącznie z rojami moskitów, które ożywiają te ukryte zakątki i czynią je nieznośnymi podczas cieplejszych miesięcy, pochowały się na okres krótkich tygodni chłodu i wilgoci, charakterystycznych dla zimy.

Ta pora roku była nie tylko najlepsza do podróżowania po szlakach wodnych, ale i najkorzystniejsza na handlowanie dla ludzi mieszkających w Nowym Orleanie i wokół niego. Wysoki poziom wody po zimowych deszczach ułatwiał podróżowanie, a położone dalej na północ śniegi jeszcze przez kilka tygodni uniemożliwia-

ły spływanie w dół rzek handlarzom z kraju Illinois, przywożącym droższe, gęstsze futra. Człowiek, który kupił futra od Indian z południa, nawet jeśli ustępowały jakością północnym, mógł je sprzedać za wyższą cenę, gdy wcześniej dostarczył futra na rynek.

Nawet bez plagi insektów i gadów wiosłowanie pirogą nie było łatwym zadaniem. Ciągłe schyłanie się, zanurzanie wiosł i pociąganie napinało mięśnie pleców i ramion tak, że ból stawał się wkrótce nie do zniesienia. Łatwość, z jaką wiosłowanie przychodziło Rene Lemonnierowi, niemal irytowała Cyrene. Nie tylko odnalazł ten szczególny rytm, stanowiący jedyne remedium na ból, ale także wkrótce nauczył się wszystkich okrzyków i piosenek, dzięki którym Bretonowie utrzymywali tempo i łagodzili monotonię wiosłowania. Co więcej, głos Rene, dźwięczny baryton, rozbrzmiewał bez śladu zadyszki, nie zdradzając sztywnienia i bólu, jakie, była tego pewna, musiał odczuwać w zranionym boku i plecach.

Początkowo powiedziała sobie, że robił tylko dobrą minę do złej gry; na pewno wkrótce oklapnie. Kiedy nie oklapł, stwierdziła, że zawdzięczał to wyłącznie jej wysiłkom: trzecie wiosło wspomagało pozostałe dwa, pozwalał pirodze utrzymywać prowadzenie. Jeśli sytuacja przedstawiała się inaczej, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie: rany Rene były znacznie mniej poważne, a on udawał, choć przecież nie miało to sensu.

O ile podobne myśli przysły do głowy Jeanowi i Pierre'owi, nic nie dali po sobie poznać. Na pierwszych kilometrach obserwowali Rene, chcąc się upewnić, czy nie wywróci pirogi, potem dali mu spokój.

Wiosłowanie stało się dla Rene okazją, by pozbyć się nieco bólu pleców. Kiedy odnalazł właściwy rytm, ruchy kołysy swoją monotonią. Pozwalały swobodnie błądzić myślom, pracować na głębszych poziomach, rozwiązywać problemy, jakie mogła nieść przyszłość.

Mógł to robić oczywiście wtedy, kiedy nie skupiał uwagi na kobiecie siedzącej przed nim. Był oczarowany

wdziękiem ruchów Cyrene, sposobem, w jaki spódnice opinały ją w talii, opadając na wysuniętą do przodu nogę, którą się wspierała. W linii jej pleców kryła się taka symetria, a w szczupłych ramionach taka siła, że Rene śledził ją zafascynowany. Głowę owiazała chustą, chroniąc się przed chłodem, ale gruby, lśniący warkocz wysuwał się spod materiału, migocząc w słońcu, zakręcając się na końcu z dziecięcą miękkością.

Miał ją. Dziwił się, jak wielką przyjemność dawało mu to wspomnienie. Sądził, że jest wolny od podobnego sentymentalizmu w dziedzinie miłosnych podbojów. Żadna z kobiet, z którymi flirtował i sypiał, nie zapadła mu w pamięć tak głęboko jak ta. Zapewniał sam siebie, że miało to związek z nietypowością całej sytuacji. Żadna kobieta nie dała mu równie jasno do zrozumienia, że potrzebuje go wyłącznie na jedną noc. Naprawdę był zirytowany, ale także zaintrygowany.

Mimo wszystko rozpamiętywał co innego, nie odmowę. Pamiętał dotyk Cyrene, słodką siłę ust, kiedy mu odpowiedziała, szybko ucząc się niuansów pocałunku, słodki uścisk ramion, gorące, ałłasowe głębie jej ciała.

Możliwe, że wiązało się to z jej dziewictwem. Rene nie czuł zaskoczenia; Cyrene dała mu to wystarczająco jasno do zrozumienia, ale to była kolejna nowość. Kobiety, którym poświęcał uwagę w przeszłości, były lubieżnymi wdowami, znudzonymi żonami wiecznie zdradzającymi mężów, ładacznicami udającymi wielkie damy lub śpiewaczkami operowymi, które oczekiwały, że ich patroni zgodzą się je utrzymywać. Rene nie miał zwyczaju uwodzenia niewinnych, nie tylko dlatego, że nie poprawiłoby to jego reputacji, ale także kłóciło się z jego naturą. Możliwe, że musiał prowadzić pewną grę, ale wolał grać uczciwie.

Z Cyrene stało się to niemożliwe. Rene żałował, ale nic nie mógł na to poradzić i miał pewność, że ów żal jest prawdziwy. Nie do wiary, cieszyła go myśl, że tylko on się z nią kochał! Cyrene stawała się przez to dla niego kimś wyjątkowym, łączyło ją to z Rene w jakiś

niejasny sposób, którego nie rozumiał. Nie miał pojęcia, jak długo ten związek mógł trwać, ale jak dotąd dostarczał mu niebezpiecznej przyjemności. Cyrene była jego wymówką, ale mogła się też okazać zagrożeniem, możliwe nawet, że największym z dotychczasowych.

Aby ulżyć plecom, przełożył wiosło. Kiedy się odwracał, kilka kropli skapnęło z pióra wiosła, mocząc plecy Cyrene. Krzyknęła zaskoczona, odwracając głowę i obrzucając Rene gniewnym spojrzeniem.

- Przykro mi - mruknął, choć nie potrafił powstrzymać się od lekkiego uśmiechu.

- Mam nadzieję - warknęła i odwróciła się z powrotem. Wybaczyła mu to, że celowo ją ochlapał, ale mógł okazać nieco skruchy, zamiast robić tak zadowoloną minę.

W południe zatrzymali się na posiłek na trawiastym *cheniere*, jednym z wielu w tej bagiennej krainie spłaszczonym wzniesieniu, utworzonym z piasku i starych morskich muszli, porośniętym dębami, którym zawdzięczało nazwę. Poranny wysiłek zaostriżył apetyty; nie szczędzono pochwał dla upieczonych przez Cyrene placków *sagamite*, mieszaniny mąki kukurydzianej, tłuszczu, siekanego boczku i fasoli, uformowanej w placki upieczone w rondlu. Popili je wodą, ale, aby wzmocnić się przed popołudniowym wiosłowaniem, z gałęzi dębowych rozpalili małe ognisko, na którym ugotowali kawę.

Porozchodzili się to tu, to tam, najczęściej siadając z plecami opartymi o drzewo lub zwałony pień, odpoczywając po wielu godzinach spędzonych bez oparcia w pirodze. Cyrene przyniosła sobie z pirogi koc i położyła się z podkurczonymi kolanami, z rękami pod głową, wpatrzona w blade, zimowe niebo.

Czuła się dziwnie niepewnie. Dni poprzedzające wyjazd były pełne niepokoju. Rene opuścił ich rankiem po tym, co Cyrene nazwała nocną burzą. Nie wiedziała, czego się spodziewać po Bretonach; przygotowała się na dalsze wymówki, może trochę żartów, nieco rubasznych kpin. Jednak nie usłyszała nic podobnego. Mogła nie-

mal sądzić, że bracia cieszyli się z zawartego układu, co zrodziło w głowie Cyrene podejrzenie, czy przypadkiem nie czuli ulgi, że zdjęto z nich obowiązek opieki nad nią. Nie była to przyjemna myśl.

A jednak to milczenie nie było naturalne dla gadatliwych mężczyzn, lubiących rozmowy, śmiech i nie kończące się przekomarzanie. Cyrene uzmysłowiła sobie, że od pojawienia się Rene Bretonowie zachowywali się zbyt cicho. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego słowa czy uczynku Lemonniera, które uzasadniałyby takie postępowanie, jednak fakt pozostawał faktem. Czyżby ten człowiek w pewien sposób działał na braci przygnębiająco?

Odwróciła głowę, pozwalając sobie spojrzeć na Rene. Okres poprzedzający wyjazd spędził we własnym domu, choć raz czy dwa odwiedził ich w celu omówienia szczegółów kupna części indygo lub wyposażenia na wyprawę. Nie podejmował żadnych prób nawiązania z Cyrene intymnego kontaktu, choć zachowywał się w stosunku do niej uprzejmie, uśmiechając się i kłaniając. Raz czy dwa przyłapała go na przyglądaniu się jej, ale nic więcej. Tym lepiej. Gdyby zechciał czegoś próbować, miała przygotowaną jadovitą odmowę. Możliwe zresztą, że nadarzy się jeszcze okazja, by jej użyć.

Musiała przyznać, że wyglądał inaczej. W znacznej mierze wiązało się to z ubraniem; dotychczas widywała go niemal nagiego albo w eleganckim stroju dżentelmena. Teraz ubrał się z godną pochwały prostotą w szary płaszcz z rogowymi guzikami, czarne, wełniane spodnie, proste skarpety i buty. Na głowie miał trójgraniasty kapelusz, dobrze skrojony, ale bez ozdób. Tylko lniane części garderoby zdradzały wykwintną jakość, choć także nie zdobiła ich nawet najmniejsza koronka. Obok Lemonniera leżał najnowocześniejszy muskiet skałkowy.

Jednak różnica nie ograniczała się wyłącznie do ubrania, czy nawet broni. Lemonnier w towarzystwie Bretonów sprawiał wrażenie potężniejszego, silniejsze-

go. Twarz straciła zapadnięty wygląd, wypełniła się pod kośćmi policzkowymi, a skóra odzyskała zdrową barwę. Oczy patrzyły z przenikliwą inteligencją, a mocny zarys ust wskazywał na niespodziewane zasoby sił. Włosy, chociaż krótkie, ściągnął do tyłu w mały, schludny warkocz związany czarną wstążką; głowa Lemonniera, podobnie jak Bretonów, była wolna od peruki czy choćby śladu pudru. Rene wyglądał jak dżentelmen-plantator, który wybrał się na inspekcję swoich dóbr, jak człowiek, który nie uchylił się przed żadnym zadaniem. Poza tym, rzeczywiście sprawiał wrażenie cierpliwego.

Rene poczuł na sobie spojrzenie Cyrene, więc odwrócił do niej głowę. Wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co się działo w jej umyśle, za posępna ciemnością tych oczu. Naprawdę dałby wiele.

Wylegali się, popijając kawę i rozmawiając, kiedy Pierre podniósł nagle głowę i gestem nakazał milczenie.

Starszy z braci wstał powoli i wyszedł spomiędzy dębów, gdzie odpoczywali. Spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę, zmrużonymi oczami przyglądając się krętej rzece, którą niedawno przepłynęli, oraz bagniku. Węszył wiatr.

Pozostali także wstali, rozglądając się wokoło. Możliwe, że Cyrene uległa sugestywnej czujności Pierre'a, ale wydawało się jej, że w powietrzu panuje nienaturalnie ciche napięcie. Spomiędzy drzew w górze rzeki zerwało się stado kosów, ćwierkających z przerażenia. Coś było nie w porządku.

Jean wypił szybko ostatni łyk kawy, po czym przewrócił drewniany kubek, by wysypać fusy. Stał u boku brata.

- Ruszamy, tak?

- Tak - potwierdził Pierre zdecydowanym tonem. - Ruszamy.

Zaledwie kilka chwil zajęło im zebranie beczki z wodą, kubków, czajnika na kawę i skórzanej torby z placzkami *sagamite*. Zapakowali wszystko do pirogi i odbili od brzegu.

Zanim zdążyli podnieść wiosła, spomiędzy drzew wy-

płynęła łódź, sprawiająca wrażenie olbrzymiej. Była to dłubanka pełna indiańskich wojowników, którzy nie żywili przyjaznych zamiarów. Mieli pomalowane twarze, muszkiety gotowe do strzału i napięte łuki. Na widok pirog wydali okrzyk. Muszkiet wystrzelił, a huk poniósł się po wodzie.

Kule posypały się wokół nich, wzbijając gejzery wody. Jedna utkwiała w burcie pirogi, a Cyrene usłyszała, jak druga gwizdnęła między nią a Rene. Dłubanka, wioząca dziewięciu czy dziesięciu Choctawów, zniknęła za obłokiem szarego dymu, a w chwilę później Indianie wychylnęli z niego jak sfera diabłów i runęli na białych.

- Wiosłujcie, na miłość Najświętszej Pani! Mocniej!

Zabrali się do pracy, a lekkie pirogi pomknęły po rzece. Mieli nadzieję, że uda im się uciec albo przynajmniej na tyle oddalić od napastników, by Indianom odeszła ochota do ataku.

Indianie nie zdradzali żadnych oznak zniechęcenia. Z twarzami naznaczonymi żądzą krwi, ubarwionymi wojennymi farbami, ruszyli w pościg. Wojownicy uzbrojeni w muszkiety załadowali ponownie.

Piroga, w której siedziała Cyrene, sunęła po wodzie, wrywając do przodu wraz z każdym zharmonizowanym zamachem wiosła. Nie marnowali ani jednego ruchu, ani odrobiny energii, podjęli wspólny, morderczy wysiłek. Byli w stanie zachować dystans, ale nie mogli się oddalić. Łódka przechyliła się nagle. Cyrene odwróciła głowę i ujrzała, że Rene odkłada wiosło, podnosi muszkiet, mierzy i strzela.

Wstrząs spowodował, że piroga skoczyła do przodu, chybocząc się gwałtownie. Cyrene ujrzała poprzez dym, jak jeden z wojowników podnosi ręce i pada między towarzyszy, jakby odepchnięty olbrzymią ręką. Bez chwili wahania Cyrene nachyliła się po muszkiet Pierre'a i podała go w tył Rene. Pierre mruknął, wyrażając zgodę, cały wysiłek wiosłowania biorąc na siebie, a koszula oblepiła jego krzepkie ramiona.

Rene odebrał od niej muszkiet, momentalnie podając swój, odpinając jednocześnie róg z prochem i worek z nabojami, które także rzucił Cyrene. Odłożyła wiosło i bez chwili zwłoki zaczęła ładować muszkiet. Usłyszała, jak strzela znowu, ale nie było czasu na oglądanie się w tył. Szybkimi, pewnymi ruchami podsypała prochu na panewkę i wepchnęła kulę. Wymienili się muszkietami. Cyrene ponownie zaczęła ładować, a Rene wystrzelił.

Przy kolejnej wymianie muszkietów zerknęła za siebie. Indianie się zbliżali, ale stracili kolejnego wojownika, a drugi miał krwawy ślad na ramieniu.

Ładowanie. Strzał. Ładowanie. Nagle w burcie pirogi z potężnym gwizdnięciem utkwiała strzała. Cyrene usłyszała, jak Gaston przeklina i wiedziała, że został trafiony. Ostre okrzyki Indian rozlegały się coraz głośniej, coraz bliżej. Podniosła wzrok, by podać Rene naładowany muszkiet. Dłubanka znajdowała się tak blisko, że oddech zamarł jej w piersiach. Patrzyła w oczy wojownika, który szczyrzył zęby i mierzył z łuku prosto w nią. Nie było czasu, żeby celować. Skierowała muszkiet na Indianina i pociągnęła za spust.

Wojownik otworzył szeroko oczy. Strzała wyleciała w momencie, kiedy runął w tył. Poszybowała wysoko, zakreśliła łuk, zaczęła spadać. Cyrene patrzyła bezwiednie, jak przelatuje nad jej głową, chybocząc się w locie, po czym wbija się w plecy Pierre'a. Stęknął z cichym przekleństwem, ale rytm wiosłowania nie uległ zaburzeniu.

Strach przyprawił Cyrene o mdłości, ale nie było czasu na zastanawianie się nad nim, a co dopiero na poddawanie mu się. Odwróciła się od Pierre'a, na oślep, zaczęła ładować muszkiet. Kiedy podawała go Rene, ich spojrzenia spotkały się na moment i ujrzała w jego oczach coś w rodzaju podziwu, ale równie dobrze mogła to być drwina z jej roztrzęsienia.

Choctawowie ich doganiali. Zamierzali uderzyć między dwiema pirogami, napadając na obie, co wydawało się dziwne; największą szansę na łup mieliby wtedy,

gdyby się skupili na jednej. Mogło to oznaczać błąd taktyczny, ale także fakt, że nie chcieli, by ktokolwiek uszedł z życiem.

Nie liczyli się z wiosłarskim doświadczeniem Bretonów. Kiedy dłubanka ich dogoniła, Pierre w jednej pirodzie, a Gaston w drugiej, odrzucili wiosła i nawiązali walkę, a w tym samym czasie Jean podniósł siekierę i zaczął rąbać dziób indiańskiej dłubanki tuż nad linią wody. Rozgorzała wściekła walka. Jeden z wojowników zamachnął się nożem na Rene. Lemonnier trzasnął kolbą muszkietu w pomalowaną twarz, strącając Indianina do wody, po czym odwrócił się do drugiego, trzymając w dłoni siekierę. Jednak ten wojownik nie atakował Rene. Rzucił się na Cyrene z fanatyczną żądzą zemsty w oczach.

Nastawiła muszkiet i dźgnęła napastnika wystającym wyciorem. Padł na bok, a Cyrene zrobiła krok w tył. Indianin wstał, zamierzając przeskoczyć wąską przestrzeń między łodziami. Uklękała, żeby *zgotować mu* godne przyjęcie.

- Strzelaj, Cyrene, strzelaj!

Nie miała innego wyboru, choć wiedziała, w tej samej chwili, gdy poczuła, że muszkiet wystrzelił, że zrobiła to źle. Wycior poszybował niczym lanca, nadziewając wojownika, ale kopnięcie po wystrzeleniu tak ciężkiego pocisku odrzuciło Cyrene w tył. Piroga zawirowała. Cyrene odrzuciła muszkiet, pragnąc odzyskać równowagę, ale bez powodzenia. Z głośnym pluskiem padła w wodę, która zamknęła się nad nią momentalnie i pociągnęła na dno. Odgłosy walki, wrzaski, stęknienia i uderzenia cichły, w miarę jak łodzie odpływały z prądem.

Szok spowodowany zetknięciem z lodowatą wodą sprawił, że Cyrene na kilka sekund znieruchomiała, unosząc się z prądem, jednak już po chwili poczuła nieodpartą potrzebę zaczerpnięcia powietrza. Po wynurzeniu się na powierzchnię ujrzała trzy łodzie znikające za zakrętem. Były oddzielone, a pirogi znowu wysunęły się do przodu.

Tuż obok rozległ się plusk wody. Chwyciły ją silne ręce, została przyciągnięta do jakiegoś mocnego, szczupłego ciała. Woda zalała jej twarz i wlała się jej do nosa, niemal ją dusząc.

Nóż tkwił w pochwie za pasem. Zamknęła dłoń na rękojeści, wyciągnęła nóż i wzniosła do ciosu. Mężczyzna uchylił się w ostatniej chwili. Chwycił ją za przegub, wykręcił, nóż wypadł z dłoni. Wzięła zamach i wymierzyła napastnikowi silny cios pięścią. Oboje poszli pod wodę. Ze wspólnie splecionymi nogami, hamowana przez spódnicę, nie mogła złapać tchu. Kiedy znowu wypłynęła na powierzchnię, kaszlała, oślepiona wodą.

- Już dobrze. Trzymam cię. - Głos był ochrypły od troski i aż nazbyt dobrze znajomy. Rene. Musiał także wypaść z pirogi.

- Puść mnie, do cholery! - Odepchnęła go, kopiąc wściekle.

- Próbuję cię uratować. Uspokój się, bo oboje utoniemy.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - krzyknęła, zachłystując się złością i paniką, bo czuła, że tonie znowu. Odepchnęła się od Rene, niemal wpychając go pod siebie w gorączkowym pragnieniu uwolnienia się. - Umiem...

Nigdy nie dokończyła. Cios przyszedł nagle. Od podbródka rozszedł się ból, a potem Cyrene ogarnęła falująca, szara ciemność.

6

Umiesz pływać. To chciałaś powiedzieć.

Cyrene spojrzała na pochylającego się nad nią Rene. Szare oczy zmrużył w wyrazie zatroskania; na czoło opadł mu kosmyk włosów, czarno lśniących od wilgoci. W słowach Rene, rozbrzmiewających jej w uszach, słyszała ton oskarżenia. Cyrene bolała szczęką, a zmęczenie czuła nawet w kościach. Leżała na ziemi, ukryta pod wiecznie zielonymi krzewami mirtu, spory kawałek drogi od odnogi rzeki. Ubranie było w opłakanym stanie, z włosów spływała jej woda. Przenikał ją chłód, ale łagodziły go objęcia Rene i jego płaszcz, który przykrywał ich oboje.

Spróbowała się podnieść, ale opadła z powrotem, czując mdłości. Zamknęła mocno oczy.

- Ty draniu - wycedziła przez zęby. - Uderzyłeś mnie.

- Próbowałeś mnie zabić i o mały włos ci się nie udało.

- Czemu miałabym tego nie robić? Chciałeś mnie utopić.

- Usiłowałem cię uratować - zauważył ponuro.

- Wielkie dzięki. Doskonale dałabym sobie radę sama.

- Teraz to widzę. Tylko jedna kobieta na tysiąc umie pływać i ty musisz właśnie nią być.

Połajałaby go jeszcze, ale nie miała ochoty. Poza tym, rozsądek nakazywał ciszę, póki nie zorientują się, gdzie znajdowali się Choctawowie.

- Właściwie to sądziłam, że jesteś jednym z Indian - powiedziała ciszej po chwili.

- Z tego też zdaje sobie sprawę - odparł krótko. Z ziemi za głową Cyrene podniósł nóż, który jej odebrał, po czym podał go jej, rękojeścią do przodu, w geście wystudiowanej grzeczności.

- Twoja broń, jeśli nadal chcesz jej użyć.

Wysunęła rękę spod płaszcza i wyrwała mu nóż.

- Nie bądź śmieszny.

- Zawsze istniała taka możliwość. - Kiedy posłała mu gniewne spojrzenie, nie odpowiadając, ciągnął dalej. - Przepraszam, że cię uderzyłem. To było niepotrzebne, a ja... zrobiłem to, nie myśląc.

- Nieważne. - Mówienie przychodziło jej z trudem na skutek zakłopotania. Spróbowała jeszcze raz. - Nic się nie stało. Co... co z innymi?

- Kiedy widziałem ich ostatnim razem, wysuwali się na prowadzenie, znikali za zakrętem. Dzicy musieli wyskakiwać z łodzi.

- Pierre i Jean po nas wrócą.

- Tak, kiedy będą mogli.

I jeśli zdołają. Żadne z nich nie wypowiedziało tych słów, ale porozumieli się wzrokiem. Tymczasem nie odważyli się rozpaść ognia, żeby się ogrzać i wysuszyć ubranie. Nie mieli broni poza nożem Cyrene, nie mieli schronienia ani jedzenia. Opuszczenie kryjówki mogłoby oznaczać wpadnięcie w ręce Indian, albo wycofujących się, albo, jeśli odnieśli zwycięstwo, szukających ich. Na razie mogli jedynie cicho leżeć i czekać.

Sytuacja nie należała bynajmniej do wygodnych. Nie chodziło tylko o wiatr szepczący w liściach ponad ich głowami, chłodzący wilgotne ciało i sprawiający, że mokre ubranie stawało się lodowate, ani o nierówną ziemię pod nimi, pełną patyków, które robiły się coraz ostrzejsze z każdą minutą. Najbardziej niewygodna była przymusowa bliskość, dotyk uda na udzie, piersi na piersi. Będąc przypomnieniem spraw, które lepiej byłoby zapomnieć, sytuacja stawała się niemal nie do wytrzymania.

- Dobrze się czujesz?
- Całkiem nieźle - odparła Cyrene, nie otwierając oczu. Przypuszczała, że Rene ją obserwuje, ponieważ leżał z głową wspartą na ręce, ale nie chciało jej się sprawdzać.

- Jesteś pewna?

Coś w jego głosie kazało jej unieść powieki.

- Tak, dlaczego pytasz?

- Nie spodziewałem się, że zniesiesz to z takim spokojem.

- Chodzi ci o leżenie tu z tobą? - Czują, że twarz jej płonie.

- Szczerze mówiąc, tak.

- Oboje marzniemy, chyba że jesteś nieczuły na pogodę. Zaprzeczać temu albo próbować trzymać cię na dystans, byłoby śmiesznym umartwianiem się. Potrzebujemy siebie nawzajem, potrzebujemy tej odrobiny ciepła, którą możemy sobie dać.

- Niezwykle praktyczny pogląd.

- Tu, w dziczy, człowiek się uczy praktyczności, uczy się współpracować pomimo... różnic. Ci, którzy się nie uczą, umierają.

- Nie mam zamiaru umierać. - Uzmysłowił sobie, że rzadko mówił coś z równą żarliwością. Miał bowiem zamiar odkryć, czym ta kobieta różniła się od wszystkich innych.

Nie przychodziła mu na myśl żadna ze znanych kobiet, która po tym, co zrobił, zaakceptowałaby jego obecność, nie wpadając w szal, nie wzbraniając się przed nim z przerażeniem; która pogodziłaby się z niewygoda takiej sytuacji, nie kładąc mu, by coś zrobić; przede wszystkim zaś nie znał innej kobiety, która swoimi zdolnościami i odwagą pomogłaby odeprzeć atak Indian. Nigdy jeszcze nie widział podobnego ideału, a szczególnie takiego, który po tym wszystkim potrafiłby wyglądać rozkosznie, w stylu na wpół utopionej sypialni.

Rozległ się krzyk ptaka, niewyraźny, posępny. Z drze-

wa poza nimi spadła ze stukotem gałąź, łamiąc się na dwoje w spotkaniu z ziemią. Cyrene zaczęła odczuwać miarowe bicie serca Rene, jego oddech. Jej serce biło nierówno. W dolnej części ciała zrodziło się uczucie pustki, które powoli zaczęło napływać w górę. Uświadamiając sobie dodatkowe niebezpieczeństwo całej sytuacji, zaczęła pospiesznie szeptać:

- Dlaczego... dlaczego za mną skoczyłeś? Dlaczego opuściłeś łódź?

- To ja kazałem ci strzelać, gdyby nie to, nie wypadłabyś. Poza tym, o ile pamiętasz, sądziłem, że trzeba cię ratować.

- I tak bym strzeliła.

- Na pewno? Ale to nie niweczy mojej winy.

- Nieprawda - upierała się. - Tak czy owak, dziwię się, że Pierre i Jean ci na to pozwolili.

- I nie skoczyli zamiast mnie? Nie mogli, mieli pełne ręce roboty.

- Ale musiałeś się pospieszyć, skoro ich uprzedziłeś.

Uniósł brew.

- Czy przypadkiem o czymś nie zapominasz?

- O czym?

- Znajdujesz się pod moją ochroną.

- Chyba nie sięga ona aż tak daleko?

- Czemu tak sądzisz?

- To nie to samo! - Dąsała się głównie dlatego, ponieważ podejrzewała, że Rene ją podpuszcza.

- A więc co to jest?

- Po pierwsze, nie masz obowiązku ratować mojego życia.

- A prawo?

- Też nie! Ustawiasz to tak, jakbyś uważał, że do ciebie należę.

- A nie?

- Nie! - Wsparła się na łokciu, patrząc gniewnie na Rene i wyszczała: - Nie obchodzi mnie, co powiedzieli Pierre i Jean, należę do samej siebie. Jestem ci wdzięczna

za to, że za mną skoczyłeś, ale nie oznacza to, że akceptuję którąkolwiek część umowy, jaką z nimi zawarłeś.

- Co się stało ze współpracą? - spytał z uśmiechem w szarych oczach. - Z potrzebowaniem siebie nawzajem?

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Cyrene opuściła wzrok na usta Rene. Czuła magnetyczną siłę przyciągającą ich powoli ku sobie. Wiedziała dobrze, że wystarczy tylko lekkie opuszczenie głowy, rozchylenie warg, a ich usta się połączą.

Wzięła głęboki, powolny wdech i położyła się z powrotem na ziemi.

Zapatrzyła się na mirtowe krzewy.

- Czego ty chcesz? - spytała beznamiętnie.

- Ciebie, rzecz jasna.

Odpowiedź zabrzmiała nonszalancko, nie poprzedzona myślą, ponieważ Rene nie mógł myśleć. Czuł się tak, jakby stał na skraju przepaści, a ziemia umykała mu spod nóg. Musi nauczyć się nie lekceważyć tej kobiety. Albo się nauczy, albo...

- Och, daruj - odparła, patrząc na niego zjadliwie. - Nie dbasz o mnie, podobnie jak nie zależy ci na handlu. Jesteś taki jak wszyscy. Pozostaniesz w Luizjanie tak długo, jak będziesz musiał, ale kiedy tylko pozwolą ci wyjechać, wrócisz statkiem do Francji, a wychodząc na brzeg, ucałujesz kamienne nabrzeże. Popędzisz z powrotem do Paryża, gdzie przez lata będziesz zapraszany na obiady, by opowiadać o tym barbarzyńskim kraju zamieszkanym przez dziwne stwory i nieokrzesanych ludzi.

- Nie masz zbyt wysokiego mniemania o takich mężczyznach, prawda?

- A czemu miałabym mieć? Nie nadają się do tego nowego kraju, więc lepiej będzie, jeśli wyjadą. Nie potrzebujemy ich.

- Co daje ci taką pewność, że jestem jednym z nich?

- Zaraz mi powiesz, że zamierzasz kupić ziemię i uprawianie jej uczynić treścią swego życia.

Jej osąd zabolął Rene.

- Kto wie? Mogłoby mi się to spodobać. Może przypadłoby mi do gustu życie z dala od władzy, wykuwanie własnego losu na dziewiczej ziemi.

- Życie w domu z drewnianych bali, walka z wichurami, powodziami, palącym słońcem? Z gorączką, malarią, moskitami, węzami, kleszczami, pchłami i wszystkimi innymi gryzącymi i żądłącymi robakami?

- Sądzisz, że nie dałbym rady?

- Och, dałybyś, gdybyś zechciał. Problem w tym, że niewielu ma na to ochotę.

Dziwne, ale jak na pomysł, który dopiero teraz przyszedł mu do głowy, wydał się on Rene cudownie pociągający. Nie miał wątpliwości, że z radością przyjąłby wyzwanie tego nowego kraju. Z przyjemnością walczyłby o własne utrzymanie, może o bogactwo, w warunkach opisanych przez Cyrene. Oczywiście, gdyby pozwolono mu przyjąć takie wyzwanie, gdyby mógł je zaakceptować. Ale nie mógł.

- A co z tobą? - spytał ze sporą domieszką ironii. - Jesteś zadowolona z życia, z handlowania z Bretonami? Nigdy nie myślałaś o założeniu posiadłości?

Cyrene posłała mu buntownicze spojrzenie.

- Chcę zarobić dość pieniędzy, żeby kupić ziemię.

- A kto będzie ją uprawiał?

- Ja! - odparła żarliwie. - Może kupię do pomocy jednego czy dwóch afrykańskich niewolników.

- Nie powinnaś mieć kłopotów ze znalezieniem męża, który wykonywałby pracę albo nadzorował niewolników.

- Tak, a kiedy się odwrócę, sprzeda wszystko albo przepije zyski.

- Jak to się dzieje, że masz tak niskie mniemanie o małżeństwie? W ogóle o mężczyznach? - spytał z niekłamana ciekawością, choć miał w tym także swój cel.

- Powiedzmy, że przykłady, które widziałam, nie należały do zachęcających.

- Dziękuję - odparł sucho.

Spojrzała na niego szybko spod rzęs, a potem znowu odwróciła wzrok.

- Nie miałam na myśli ciebie.

- Chciałbym ci wierzyć. A co z małżeństwem twoich rodziców? Nie mogło być chyba takie złe, skoro stworzyło ciebie.

Komplement zabrzmiał niepokojąco; Cyrene postanowiła go zignorować.

- Zanim mój ojciec został w niesławie zesłany do kolonii, zdołał przegrać w karty posag mojej matki, wszystko, co odziedziczyła, i jeszcze więcej. Matka umarła z nędzy, w jaką ją wpędził, a także ze wstydu.

Kiedy to mówiła, Cyrene przyszło na myśl, że ojciec i Rene Lemonnier nie różnili się zbyt wiele między sobą. Rene był nie tylko wygnańcem, ale prowadził podobny, hulawczy tryb życia. Dostrzegała też inne podobieństwa: elegancki strój, znamię paryskiego dostatku, zasa-
dy, którym sporo brakowało do świętości.

- A Bretonowie? Czy trzymasz się ich, ponieważ są takim świetlanym przykładem?

- Kiedy nie mieliśmy się gdzie podziąć, przyjęli nas, matkę, ojca i mnie. Byli dla mnie dobrzy, prawie jak rodzina. Gdybym ich opuściła, nie miałabym nikogo.

- Mogłabyś mieć mnie, gdybyś schroniła się pod moją opiekę. - Przedłożywszy tę propozycję, czekał z pewnym niepokojem.

- Czyżby? A na jak długo? Aż się mną znudzisz? Aż wrócisz do Francji? Nie, dziękuję.

- Przynajmniej jesteś uprzejma.

Ta poza żarliwego kochanka ubiegającego się o dalsze zakosztowanie jej wdzięków spełniała swoje zadanie. Póki Cyrene pozostawała nieugięta, mógł bezpiecznie posługiwać się zalotami - nieprzerwanym obłęzieniem cytadeli - jako pretekstem do nagłego zainteresowania się handlem. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby skapitulowała. W jego sytuacji kobieta mogła stanowić

poważne obciążenie. Nie było zresztą powodu do zmartwień. Najwyraźniej wywierał na Cyrene bardzo nikłe wrażenie. Nie wątpił, że pewni ludzie z radością dowiedzieliby się o tej odmowie, z jaką się spotykał. Była to stosowna pokuta, wywierająca korzystny efekt na duszę Rene, niezależnie od wpływu na jego próżność.

Cyrene przyglądała się jego twarzy spod rzęs. Czy rzeczywiście przypominał ojca? Nie dostrzegąca żadnych zewnętrznych oznak podobieństwa; tkwiło wyłącznie w reputacji, na jaką obaj sobie zasłużyli, w ich lekkiej fanfaronadzie oraz w karze nałożonej na nich przez władze.

Ale czy faktycznie byli podobni? Co tak naprawdę wiedziała o Rene? Odpowiedź brzmiała: prawie nic, oprócz szeptanych plotek. Podczas jego pobytu na łodzi, Rene mało mówił o sobie, a panujące w kolonii zwyczajnie dotyczące ludzkiej przeszłości nie pozwalały jej zadawać zbyt wielu pytań. Czy możliwe, że nieufność, jaką czuła w stosunku do Rene, wiązała się ze wspomnieniami o niepowodzeniach ojca? Wolałaby nie myśleć, że postępowała tak nieuczciwie.

Ale czy rzeczywiście? Droga do odkrycia prawdy stała przed nią otworem. Zadając jej osobiste pytania, dał Cyrene prawo do zrobienia tego samego.

Odchyliła się nieco, by lepiej widzieć twarz Rene.

- A co z tobą? Wydaje się, że o ile ja dbam o mężczyzn za mało, ty dbasz za dużo o kobiety.

- Wykluczone - oświadczył z zamaszystym gestem ręki, leżąc z głową wspartą na drugiej.

- Nawet jeśli doprowadziło to do wygnania cię z kraju?

- Cóż, zaczynam znajdować dobre strony tej niewygody.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Rozumiem, że nie zamierzasz udzielić mi jasnej odpowiedzi.

- Musiałbym najpierw usłyszeć jasne pytanie.

- A więc tego wymagasz? - spytała surowym tonem. -

Proszę bardzo: Czy jesteś tutaj, ponieważ nie zgodziłeś się na flirtowanie z de Pompadour?

- Cóż, zawsze się kierowałem rozsądkiem.

- Jednak mimo to zostałeś złapany?

- Grałem rolę lojalnego poddanego króla, więc zaloty tej damy zostały nie zauważone i nie uhonorowane. Powiniennem przynajmniej wielbić ją na odległość.

Możliwe, że zmienił płaszcz i uczesanie, nadal jednak pozostawał dworzaninem, który używał dziesięciu słów na powiedzenie tego, co inni wyraziliby jednym.

- Wolałabym, żebyś nie mówił w tak afektowany sposób.

- Jak chciałaś, żebym mówił?

- Prosto.

- Mówiąc prosto, damę tę irytował mój brak zainteresowania. Podobnie jak niektóre kobiety, pragnęła mieć przyjemność udzielenia odmowy.

Cyrene zmrużyła oczy.

- Jeżeli sugerujesz, że jestem jedną z takich kobiet...

- Jesteś wobec mnie niesprawiedliwa - odparł urażony.

- Wątpię.

Nachylił się tak blisko, że ustami ocierał się niemal o policzek Cyrene.

- Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem.

- Nieważne. Jesteś pewien, że to wszystko?

- Wszystko? Czy rozumiesz, że mało brakowało, bym zgnął w najciemniejszym kącie Bastylli? *Lettre de cachet* został podpisany, drzwi celi zamknięte. Ocalała mnie tylko interwencja mego przyjaciela Maurepasa.

- Ministra? Sądziłam, że on i de Pompadour to za przysiężeni wrogowie?

- To prawda. Wystarczyło, żeby Maurepas powiedział w obecności kochanki Ludwika, że wolę uwięzienie w Bastylli, dzięki czemu osiągnę sławę równą Don Juana, niż wygnanie do Luizjany, pełnej starych lub brzydkich kobiet. Sprawę załatwiono od ręki.

- Stare? Brzydkie?
 - Błąd, który trzeba Maurepasowi wybaczyć. Przyświecały mu jednak dobre intencje, przynajmniej tak sądziłem.
 - Domyślam się. - Nie wierzyła mu. Rene ukrywał coś pod maską gładkiego gogusia. Nie wiedziała co, ale zamierzała to odkryć.
 - Błąd, który dostarcza mi wielu przyjemności - dodał.
 - Powiedz - powiedziała szorstko - co robiłeś we Francji? Oczywiście, poza uwodzeniem kobiet?
 - Robiłem? Cóż, służyłem na dworze w Wersalu. Poza tym polowałem, chodziłem na poranne przyjęcia do króla, rauty, bale, trochę grałem w karty, to, co zwykle. - Przyznanie się do takiej części prawdy nie mogło mu zaszkodzić.
 - Masz posiadłości?
 - Należałoby raczej powiedzieć, że ma je mój ojciec, choć otrzymuję część dochodu, jaki przynoszą.
 - A co twój ojciec myśli o twoim wygnaniu?
 - Nie miałem czasu go zapytać, zanim wrzucono mnie na statek i zamknięto w kajucie. Jestem pewien, że gdyby go spytać, powiedziałyby, że ma nadzieję, że wyjdzie mi to na dobre, choć zbytnio by na to nie liczył.
- W głosie Rene zabrzmiały ostrzejsze tony, które wypowiedziały Cyrene, że trafiła w czuły punkt.
- Przypuszczam, że podejmuje wysiłki, które doprowadzą do twojego ułaskawienia i zezwolenia na powrót?
 - A na czym to opierasz podobne przypuszczenia? Nie jestem jego jedynym synem, nawet nie najstarszym. Było nas pięciu, ale jeden zmarł w niemowlęctwie, a drugi jest inwalidą. - Mówiąc, przyglądał się Cyrene z uwagą. - Mimo to, ma dość synów, którzy zachowują ciągłość rodu.
 - Czy to jedyna motywacja, jaką twój ojciec się kieruje?
- Dopiero po chwili Rene skupił się na jej pytaniu.

- Masz może na myśli uczucia ojcowskie? Ale ja splamiłem honor rodziny, a tym samym nie zasługuję na podobne względy. Czy zechcesz zrekompensować mi tę stratę?

Przesunął dłonią od talii Cyrene w stronę pełnej piersi.

- Nie zechcę! - Cyrene chwyciła jego dłoń i odrzuciła jak natrętnego insekta. - Czy wszystko kojarzy ci się z jednym?

- Prawie wszystko - przyznał, obserwując wznoszenie się i opadanie stanika. W trakcie rozmowy materiał zdażył nieco wyschnąć. Nie przylegał już tak szczelnie do ciała, za co Rene był wdzięczny, ponieważ udzielając ostatniej odpowiedzi, przynajmniej w stosunku do Cyrene Nolte, nie kłamał.

Zanim zdażyła odpowiedzieć, w zatoczce coś cicho plusnęło. Odgłos powtórzył się bliżej, usłyszeli miarowe wiosłowanie. Rene odrzucił płaszcz, którym się okryli, po czym usiadł. Rozchylił palcem jędrne liście mirtu i wyrżał. Znieruchomiał.

- Indianie? - szepnęła.

Rene skinął głową.

- Zostało tylko trzech. Żadnych więźniów.

Cyrene odetchnęła z ulgą. Bretonowie nie dostali się do niewoli.

Choctawowie nie zatrzymali się ani nie dali po sobie poznać, że pamiętają, w którym miejscu ona i Rene znaleźli się w rzece. Albo mieli rannych, których musieli opatrzyć w obozie, gdziekolwiek to było, albo stracili ochotę do nękania *voyageurs*. Po kilku minutach zniknęli im z oczu, a ciche odgłosy umilkły pośród drzew i falujących bagiennych traw.

Rene wstał.

- Czy dasz radę iść, opierając się na mnie?

- Tak - odparła niepewnie - ale jeśli masz zamiar stąd odejść, nie sądzę, że powinniśmy to robić.

- Ogrzejemy się, a poza tym wyjdziemy naszym na spotkanie.

- Pierre i Jean na pewno zapamiętali, gdzie nas zostawili i będą oczekiwać, że nas tu zastaną, jeśli... kiedy wrócą. Jeżeli pójdziemy w dół rzeki, możemy oddalić się od odnogi i zabłądzić pośród bagien. Moglibyśmy się z nimi rozminąć.

Rene był rozdarty między potrzebą robienia czegoś w celu poprawy ich położenia a racją, jaką przyznawał słowom Cyrene. Bezczyenne czekanie na ratunek kłóciło się z jego instynktami. Zdołałby może przełamać jej opór, ale nie miałoby to większego znaczenia. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, sprowadzała się do wyboru między śmiercią gdzieś w dole rzeki, podczas próby dotarcia do angielskiego statku, a śmiercią tu pod krzakami mirtu. Mimo że nie chciał tego głośno wypowiadać, Indianie mogli nie starać się ich znaleźć, ponieważ udało im się zrobić to, co zamierzali, a mianowicie obrabować *voyageurs* z indygo. Z drugiej strony, chociaż znajdował się tu od miesiąca, nie było to jego terytorium. Nie pojmował w pełni czyhających tu niebezpieczeństw, natomiast Cyrene tak.

Cyrene, wyczuwając wahanie Rene, dodała z przekonaniem:

- Pierre i Jean wrócą.
- No, dobrze - odparł, ponownie kładąc się obok niej.
- Poczekamy, skoro tak bardzo zależy ci na tym, żeby jeszcze trochę poleżeć w moich ramionach.

Mieli wrażenie, że Bretonowie wrócili po bardzo długim czasie, choć nie mogło upłynąć więcej niż godzina.

Bracia poruszali się tak cicho, że Cyrene i Rene niemal nie zauważyli ich przybycia. Kiedy wyplątali się ze swych objęć i wstali, bracia zdążyli już zacumować pirogi przy brzegu.

Z pakunków wyjęto dla przemoczonych dwa okrycia z bizoniego futra, ale wyruszono dalej bez chwili zwłoki. Dopiero po zagłębieniu się na wiele kilometrów w labirynt bagien i odnóg rzeki, Pierre dał sygnał do postoju. Rozpalili ogień, chociaż ogrzali się wiosłowaniem,

a ubrania Rene i Cyrene zdążyły już prawie wyschnąć, więc nie musieli się przebierać.

Cyrene chciała natychmiast opatrzyć rany Gastona i Pierre'a. Martwiła się o nich od wielu godzin, pomimo iż rany nie wpływały ujemnie na ich zdolność wiosłowania.

Przecięcie na ręce młodszego miało poszarpane brzegi, które należało zszyć. Podobnie jak inni znani Cyrene *voyageurs*, podczas operacji igłą Gaston robił wiele hałasu, jęcząc i miotając przekleństwa, jak gdyby znajdował się na torturach, jednak trzymał rękę nieruchomo jak belkę i ani razu się nie skrzywił.

Strzała w plecach Pierre'a wyglądała poważniej. Jean ułamał ją wcześniej, pozostawiając kawałek długości około dziesięciu centymetrów, wbity krzemiennym grotem w mięsień tuż pod łopatką. Strzała trafiła go pod takim kątem, że nie wbiła się głęboko, ale utkwiła pod skórą. Był to dziwaczny przypadek. Powinna była zagłębić się w płucach Pierre'a, jednak na przeszkodzie stanęła jej twarda skóra na plecach, stanowiąca siatkę setek przecinających się wzajemnie blizn.

Cyrene widziała już wcześniej te blizny, ale nigdy nie tak blisko i tak dokładnie. Starszy z braci niewielu osobom pozwalał oglądać swe plecy i nigdy o nich nie mówił. Nietrudno było się domyślić przyczyny. Istniało tylko jedno wytłumaczenie takiej ilości blizn: dożywotni wyrok na królewskiej galerze, nie kończące się lata codziennej, a nawet cogodzinnej chłosty. Niewielu ludzi nosiło tę szczególną odznakę niewoli. Większość umierała po roku lub dwóch, a ucieczki zdarzały się rzadko. Zresztą nawet wtedy niebezpieczeństwo się nie kończyło. Schwytany zbiegły galernik zostawał skazany na powieszenie, i to po takich torturach, jakie tylko sędziowie potrafili wymyślić, od łamania kołem, do rozciągania, ćwiartowania i powolnego miażdżenia głowy. Blizny były czymś więcej niż tylko oznaką niewoli; były wyrokiem śmierci.

Gaston i Jean przywykli do tego widoku, toteż nie

zwracali na plecy Pierre'a uwagi. Jeśli Rene widok ten wydał się niezwykły, najwyraźniej domyślił się przyczyn i skutków, gdyż nie zadawał żadnych pytań.

Ponieważ grot strzały miał postrzępione brzegi, Cyrene mogła go tylko wyciąć. Była to operacja trudna do przeprowadzenia bez powiększenia i tak już poważnej rany.

Cyrene wytarła nóż piaskiem, po czym umieściła ostrze pośród rozżarzonych do czerwoności węgli ogniska. Dała Pierre'owi kubek brandy, a potem obmyła mu krew z pleców tym samym destylovanym napojem. Niektórzy rekomendowali podpalenie brandy w celu wypalenia ran, ale Cyrene nigdy nie widziała takiej potrzeby. Płyn, który tak strasznie piekł w gardle, nie potrzebował pomocy ognia, by powstrzymać proces ropienia.

Gaston położył się i wkrótce zasnął, wyczerpany wioślowaniem oraz operacją. A zatem tylko Jean mógł pomóc w opatrywaniu brata. Cyrene nie chciała mu jednak powierzyć noża ani też nie wiedziała, do czego mógłby się przydać. Jean potrafił wypatroszyć i obdrzeć ze skóry jelenia szybciej, niż większość ludzi znalazłaby ogon; potrafił bez zmrużenia oka oskalpować zbuntowanego Indianina dla nagrody wyznaczonej za jego włosy, ale na widok krwi bliskich mu ludzi, a szczególnie jego własnej, robił się zielony.

Już widok operacji szycia Gastona odbił się na jego żołądku. Cyrene zauważyła lekkie drżenie rąk Jeana, kiedy poprosiła, by podszedł i naciągnął skórę na plecach Pierre'a.

Jean spełnił polecenie, ale przeżykał z trudem i odwrócił głowę, kiedy podniosła rozgrzany do białości nóż i machnęła nim w powietrzu, by ochłódnąć. Nie miała pretensji do Jeana; ona też nie wykonywała tego zajęcia z wielką rozkoszą. Chwycała mocno nóż, na próbę przesuwając po ostrzu palcem wskazującym.

Jean popełnił błąd: spojrział dokładnie w chwili, kiedy pierwsza kropla jasnoczerwonej krwi zbierała się wokół czubka noża. Zachwiał się i stęknął cicho. Ręce

opadły mu luźno po bokach. Cyrene starała się go chwycić wolną ręką.

Rene znalazł się przy nich błyskawicznie. Odprowadził Jeana do zwalonego pnia, po czym wrócił do Cyrene.

- Pozwolisz mi to zrobić? - spytał i wyciągnął dłoń po nóż, patrząc na jej bladą twarz.

- Umiesz?

- Mogę spróbować. Widziałem, jak opatrywali rany.

Gdzie mógł to widzieć? Po pojedynkach? Nieważne. Odezwała się do rannego, rzucając mu spojrzenie przez ramię:

- Pierre?

Starszy z braci obserwował ich z żywą twarzą pomimo bruzd bólu wrytych po obu stronach ust.

- Co tylko chcesz, *chere*, byle nie trwało to długo.

Cyrene rozważała problem jeszcze przez chwilę. Może dostrzegła pewność w szarych oczach Rene, a może jej samej tej pewności brakowało. Cokolwiek to było, odniosło decydujący skutek.

Podawała nóż Rene i zajęła miejsce Jeana. Rozumieli się bez słów. Odślonili strzałę, zrobili nacięcie, po czym wyjęli grot z pleców. Cyrene oczyściła ranę za pomocą brandy, zszyła ją, a potem ciasno zabandażowała.

Po skończonej operacji Rene podszedł do beczuki z brandy, ponownie napełnił kubek Pierre'a i nalał napoju do dwóch innych. Jeden z kubków wręczył Cyrene, a drugi uniósł w toaście.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie dziękuj mi, zasłużyłaś na to.

- Ty też. - Wzięła łyk płynnego ognia, a kiedy spływał do gardła, przyszło jej na myśl, gdzie Rene mógł się nauczyć opatrywać rany. Niektórzy ludzie rodzili się z takimi talentami, ale najczęściej rozwijali je w praktyce, na przykład na polu bitwy lub w więzieniu.

Statek, „Półksiężyc” stał na kotwicy na niebieskich, lekko zabarwionych brązem wodach Zatoki. Był to an-

gielski statek handlowy, z żaglami w praktycznym brązowym kolorze, równie krągły i gruby w talii jak żona mieszcza. Nie miał żadnej flagi i stał gotów do szybkiego odpłynięcia, gdyby pojawił się francuski patrol.

Bretonowie nie zbliżyli się od razu; wyglądałoby to zbyt gorliwie. Nie liczyli też na tradycyjne zaproszenie, by spać na pokładzie statku handlowego. Pierre twierdził, że w ten sposób Anglicy znajdowali się w korzystniejszej sytuacji, mogąc ubijać interesy na własnym terenie. Dlatego zaraz po przybyciu do zatoki Bretonowie rozbili obóz na plaży. Nie wypowiedano jednak prawdziwego powodu tego improwizowanego biwaku. Pierre nienawdził wszelkich statków większych od kutra. Wystarczyło, by spędził na pokładzie kilka godzin, a ręce zaczynały mu drżeć, a po to, by tam zasnąć, musiał się upić do nieprzytomności. Nawet wtedy nawiedzały go upiorne koszmary z okresu spędzonego za wiosłem na galerze.

Plaża świeciła pustkami, obrzeżona poczerniałymi od wody kawałkami drewna wyrzuconymi przez morze wzdłuż linii przypływu. Nie zauważyli śladu innych handlarzy; przybyli jako pierwsi. Rozpakowali bagaże, rozpalili ognisko, po czym zabrali się do budowania dwóch tymczasowych szałasów. Konstrukcje te były dalekie od wyszukanych, ot, dwa okorowane pale ustawione pionowo oraz dwa pod kątem, uszczelnione gałęziami krzewów i palmy karłowatej. Wystarczyło to jednak, by ochronić ich przed wiatrem i deszczem, chociaż w łagodniejszej porze roku mogliby się zadowolić zrolowanymi kocami.

Uszczelniając palmowymi liśćmi chatę, którą wyznaczono jej na schronienie, Cyrene spojrzała krytycznie na drugą, nieznacznie większą. Pierre i Jean musieli zapomnieć, że Rene miał ją z nimi dzielić, albo oczekiwali, że spędzi noc na statku, niezależnie od tego, czy oni to zrobią czy nie. Gdyby postanowił spać na plaży, czwórka mężczyzn czekała tłoczna noc. Może zresztą nie,

ponieważ podczas takich wypraw Bretonowie pełnili kolejno nocne warty.

Spodziewając się uroczystego posiłku na statku, Cyrene wyjęła najlepszy stanik, spódnicę i najładniejszy czepek. Nie znaczyło to, że ubranie różniło się bardzo od innych. Nie przywiązywała wagi do eleganckich strojów, choć dla wielu kolonistów był to powód prawdziwej namiętności. Zdawało się, że posiadanie najmodniejszych dostępnych strojów, nawet jeśli już dwa lata wcześniej wyszły z mody w Paryżu i Wersalu, sprawiało, że ludzie czuli się mniej izolowani, w mniejszym stopniu skazani na wieczny prowincjonalizm. Kiedy Cyrene przybyła do kolonii z rodzicami, miała duży zapas strojów. Wyrosła z większości w ciągu pierwszego roku. Pozostałe ubrania łątała i sztukowała, z jednej spódnicy robiąc falbankę do drugiej, zamieniając zbyt ciasny płaszcz w stanik i dwie kieszenie, z bluzki wykrawając czepek i chusteczkę i tak dalej, ale ciągłe noszenie i pranie w rzece zamieniło większość strojów niemal w łachmany. Pierre i Jean kupowali jej czasem kilka łokci materiału, ale najczęściej był on szorstki, w mało subtelnym kolorach, z topornymi wzorami.

Cyrene rzadko zwracała uwagę na własny strój, byle był czysty i w miarę przyzwoity. Jednak tego wieczoru poczuła dziwne niezadowolenie z własnego wyglądu. Chciałaby choć raz zobaczyć się w *grand toilette*, z upudrowanymi włosami, w usztywnionej spódnicy, w ozdobionym koronkami stroju z atłasu i jedwabiu, jakiego wymagano na dworze i u gubernatora. Rene musiał przywyknąć do widoku tak eleganckich kobiet. Nie znaczyło to, że dbała o jego zdanie. Jej niezadowolenie było przelotne. W istocie cieszyła się ze swego stroju, nie musząc uważać, by długie spódnice nie ubrudziły się w błocie, bez gorsetu utrudniającego oddychanie. Co zaś dotyczy robrotu - sukni tak szerokiej, że kobieta musiała bokiem przechodzić przez drzwi, a przy stole zajmować miejsce dwóch osób, czy nie wyglądałaby

w niej śmiesznie na płaskodennej łodzi albo wdrapując się na statek?

Pomimo tych kpin, zaczęła się stroić szczególnie starannie, kiedy oczekiwane zaproszenie od kapitana statku wreszcie nadeszło. Rozwiązała warkocz i czesała włosy, aż nabrały łagodnego, złotego blasku; potem rozpuściła je luźno na plecach, wysuwając kilka kosmyków spod czepka, wzorem młodych kobiet ogłaszających w ten sposób gotowość do zamażpójścia. Posłużyła się też ich sztuczką poluzowania tasiemki bluzki, odkrywając gładką krągłość piersi. Powiedziała sobie, że nie ma to nic wspólnego z modą ani z oczekiwaniami Rene. Był to raczej kolejny zabieg taktyczny przed transakcją handlową. Wszystko, co mogło odciągnąć uwagę angielskiego kapitana, musiało im wyjść na dobre.

Wczesny zmrok styczniowy zdażył już zapaść, kiedy powiosłowali ku statkowi. Cyrene jako pierwsza wspięła się na rozkołysaną drabinę. Wdrapywała się lekko i żwawo, choć cieszyła się z ciemności, ponieważ wiatr od brzegu podnosił jej spódnice.

Kapitan stał w pogotowiu, by podać Cyrene pomocną dłoń. Pochodził z Rhode Island i był też właścicielem statku. Kapitan Dodsworth, wysoki i piegowaty, miał marchewkowe włosy i łatwo się śmiał. Gościnnie, zawsze wysłuchiwał nowin z francuskiej kolonii, jakby pochodziły z księżycy. Targował się jednak twardo. Bretonowie już z nim handlowali, nie zawsze z korzyścią dla siebie. Jean nazywał go piratem zimnych wód.

- *Mademoiselle* Nolte - powitał Cyrene, kłaniając się nad jej dłonią. - Zawsze z przyjemnością gościmy panią na „Półksiężycu”.

Cyrene uśmiechnęła się radośnie.

- Widzę, że kapitan Dodsworth jest szarmancki jak zawsze.

- Jeśli tak, to dlatego, że pani to ze mnie wydobywa.

- Pytanie brzmi, czy wydobywam z pana także hojność?

Ze śmiechem odchylił głowę.

- Zawsze!

Z mroku za plecami kapitana wyszedł jakiś człowiek.

- Ależ to piękna przemytniczka. Niewielu ludzi, *mademoiselle*, odmówiłoby hojności komuś o pani wdziękach, licząc na upragnioną wzajemność.

Cyrene usłyszała, jak Gaston wchodzi na pokład, a za nim lekko zeskakuje Rene. Nie miała czasu, żeby się odwrócić i ich ostrzec.

Mężczyzna, który ją powitał, zadomowiony na statku jak kornik w desce, przedstawiał się jako Touchet, chociaż wątpliwe, by takie właśnie nazwisko miał w metryce chrztu. Niski i chudy, o zwinnym ciele głodnego kota i płaskiej, chciwej twarzy, znany jako dawny kieszonkowiec, złodziejaszek, trudnił się też sprzedawaniem zakazanej brandy Indianom i niewolnikom. Według najnowszych pogłosek był także agentem handlowym markizy, *madame* Vaudreuil, a także jej płatnym donosicielem.

7

Goście, którzy zasiedli do kolacji wydanej przez kapitana Dodswortha, zachowywali się czujnie. Podano prosty posiłek, składający się z zupy fasolowej i ryby smażonej na maśle, po których przyszła kolej na główne danie, gotowaną wołowinę w cebuli, przyprawioną tymiankiem, podaną z gotowanymi ziemniakami i kapustą. „Półksiężyc” przybył prosto z Bahamów, gdzie Anglicy wymienili solonego dorsza i drewno do budowy statków na towary przywożone z Anglii przez fregaty; przywieźli też pomarańcze, którymi raczyli się na deser, a także rum oraz pędzony z trzciny cukrowej słabszy napój alkoholowy o nazwie tafia.

Biesiadujących było ośmioro. Cyrene, jako jedynej kobiecie, przypadło honorowe miejsce po prawicy kapitana; po jej drugiej ręce siedział Jean, a obok niego Gaston. Naprzeciwko Cyrene siedział Pierre, z Rene po lewej i Touchetem po prawej, a miejsce na drugim końcu stołu zajął pierwszy oficer.

Na główne zajęcie wieczoru, jeśli nie jego cel, nie musieli długo czekać. Kapitan Dodsworth uniósł kubek rumu w stronę Cyrene, oznajmiając:

- Za najczarniejsze oczy i najśłodszy uśmiech, jakie można dziś wieczorem spotkać na wodach tego świata!

Miał to być pijacki pojedynek. Zwyciężyć miał człowiek o najmocniejszej głowie, który w nagrodę uzyskałby korzystną pozycję w targach jako najmniej oszołomiony. Było jednak coś więcej. Obserwując kapitana,

Cyrene odniosła wrażenie, że mógł także rozgrywać Bretonów przeciwko agentowi markizy, z nadzieją pobudzenia ich do współzawodnictwa. Komplement, jakim ją obdarzył, będący tylko wybiegiem, mógł zostać przyjęty i wykorzystany. Ponadto, mimo że nie miała zamiaru przyłączać się do pijackich zawodów, mogła wesprzeć stronę Bretonów. Przechyliła głowę z uśmiechem zadowolenia i uniosła kubek z tafią.

- Za wszystkich żeglarzy, którzy ryzykują tak wiele dla... uśmiechów.

Toasty następowały szybko po sobie i były coraz odważniejsze. Pili za Jerzego, króla Anglii, za Ludwika, króla Francji, za królowe obu krajów i kochanki obydwu monarchów. Wznosili toasty za przekłety los wygnańców wszystkich narodowości, składali hołd pięknemu kolorowi indygo; pili za ulubiony brzoskwiniowy odcień de Pompadour, mogący być albo nie, kolorem jej sutek; za szlachetne, podobno odmładzające, jeśli nie afrodyzjakalne właściwości dorsza i zębacza.

Cyrene poświęcała wrzaskom i ostremu picciu tylko minimalną część uwagi. Opowiedziano historię ucieczki przed Indianami Choctaw, do której Cyrene dorzucała od czasu do czasu drobne komentarze. Wałkowanie ekonomicznej sytuacji w Europie, teraz, kiedy wojna dobiegła końca, nie mogło jej długo zajmować. Skupiła się na obserwacji agenta markizy, Toucheta.

Był drobnym człowieczkiem o zapadłej piersi oraz ostrej, pozbawionej podbródka twarzy łasicy. Miał ziemistą, dziobatą cerę i długie, zakrzywione paznokcie, żółte jak krowie rogi albo jak paznokcie Indian Choctaw, którzy przed pochówkiem zmarłych oczyszczają kości z zepsutego ciała. Na jego twarzy malował się skryty i wyniosły wyraz, a chociaż opróżniał kubek przy każdym toaście, alkohol nie wywierał na niego widocznego wpływu. Włączył się do dyskusji, ale w jego uwagach pobrzmiwał ostry ton, przywodzący na myśl poszarpane kawałki rozbitego szkła.

Niepokój Cyrene wiązał się z samą obecnością Tou-

cheta na statku i nie była w tym odosobniona. Podczas chwilowej przerwy w rozmowie Jean zwrócił się do człowieka markizy siedzącego po przeciwnej stronie stołu.

- Jesteś tu jako handlarz, Touchet, czy jako agent?

Nie zadane pytanie, wiszące w powietrzu, brzmiało, czy reprezentował interesy markizy. Nie było to wykluczone, a gdyby Bretonowie dowiedzieli się, że tak się właśnie rzecz miała, czuliby się bezpieczniej. Jeśli Touchet reprezentował markizę w interesach z człowiekiem z Rhode Island, było mało możliwe, choć nie wykluczone, że doniósłby o ich transakcjach.

Jednak Touchet nie dał się tak łatwo przejrzeć.

- To zależy - odparł z uśmiechem - od pieniędzy.

Jean posłał Pierre'owi przelotne spojrzenie. Odpowiedź mogła oznaczać, że Touchet był gotów przyjąć łapówkę, aby przymknąć oko na ich działalność, albo też, że decyzję, czy posłużyć się wiedzą o nich czy zająć się handlem, uzależniał od potencjalnych zysków.

- Perspektywy handlowe jeszcze nigdy nie rysowały się lepiej - zauważył nonszalancko Jean.

- Albo szansa oszukania patroli nie rysowała się gorzej.

- Można by sądzić, że teraz, po zakończeniu wojny, prawa zostaną złagodzone - poskarżył się kapitan Dodsworth.

Pierre zakręcił rumem w kubku.

- Wojna między naszymi krajami nigdy się nie skończy, dopóki jeden z nich nie osiągnie dominacji w Nowym Świecie.

- To będziemy my, przyjacielu. Pracujemy ciężiej i nie rezygnujemy.

- Wasze siły ulegną wyczerpaniu - odparł Pierre ze śmiechem - albo też Indianie wybiją was za zabieranie im ziemi. My, Francuzi, traktujemy życie lżej, jak dar, a nie zadanie; dlatego będziemy tu trwali w pokoju obok Indian, kiedy wy, Anglicy, już dawno wrócicie na swoją małą wyspę.

Touchet zaśmiał się krótko.

- Ech, wy, *voyageurs*, zawsze używacie wielkich słów, ale nigdy nic nie budujecie, nigdy do niczego nie dojdziecie.

- Ale też niczego nie niszczymy - zauważył z godnością Pierre. - Czego nam więcej trzeba oprócz łodzi, jedzenia, picia, może odrobiny tytoniu i hazardu dla rozrywki?

- A bogactwo? Wygodny dom? Służący do pracy, żebyś mógł odpoczywać?

- Ba! Takie rzeczy można stracić w ciągu jednej nocy. Liczą się ludzie, rodzina i przyjaciele.

- A zatem nie będziesz miał nic przeciw temu, że ktoś wyprzedzi cię w handlu albo zabierze sobie *mademoiselle* Cyrene, dając ci za nią lepsze rzeczy?

W niebieskich oczach Pierre'a zamigotały iskierki.

- Handel to hazard, a ja zrobię wszystko, żeby nie zostać pokonanym. Co zaś dotyczy Cyrene, nie wzięmy jej. Jeśli zechce, może odejść, ale sądzę, że ma dość rozsądku, by nie dać się omamić pięknymi słówkami.

Pierre zamilkł, a Cyrene spojrzała mu w oczy i pomyślała, że zawarł w tych słowach wiadomość dla niej. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy postępowała głupio. Ale nie, wiedziała dobrze, że nie jest więźniarką Bretonów. To ich uczucia, ich lęk o nią kazały im jej strzec. Pierre pragnął, by zrozumiała, że ufali jej osądowi i dlatego udzielili Rene prawa chronienia jej. Bardzo pragnęła być tego pewna.

Kapitan Dodsworth wyciągnął rękę i położył dłoń na leżącej na stole dłoni Cyrene.

- *Mademoiselle* Cyrene jest jedną z tych rzadkich istot, piękną kobietą z rozumem pod włosami. Ona nie da się nabrać.

Ponieważ wiedziała, że kapitan miał nie tylko rozwinięty instynkt kupiecki, ale także żonę i trójkę dzieci, komplement raczej nie zwalił jej z nóg. Obdarzyła kapitana uśmiechem, zastanawiając się przy tym, czy uważał panią Dodsworth za rzadką istotę. Coś kazało jej w to wątpić.

Rene, obserwujący, jak Dodsworth pięści dłoń Cyrene, był zdziwiony narastającą irytacją. Powinien się skupić na mężczyznach, przysłuchiwać się ich rozmowie, wyczuć intencje, ale jego uwaga wciąż wracała do kobiecej dłoni spoczywającej na stole. Cyrene zachowywała się wspaniale w tym wybitnie męskim towarzystwie. Nie narzucała się ani nie pograżała się w milczeniu. Nie przyłączała się do pieprzonych komentarzy, ale też nie dawała po sobie poznać, że czuje się urażona, choćby dla zachowania konwencji. W świetle lamp z wielorybim łojem jej włosy lśniły jak płynne złoto, a skóra błyszczała perłowo. Czarne głębokie oczu kryły myśli i tajemnicze, fascynujące rozbawienie, a Rene dałby wiele, by uzyskać do nich dostęp.

Nagle przysłała mu ochota wstać, odepchnąć tłustego, szczerzącego zęby kapitana z Rhode Island, chwycić Cyrene, przerzucić ją sobie przez ramię i zawieźć na brzeg. Tam kochaliby się do nieprzytomności. Położyliby się, cudownie nadzy, na futrzanym posłaniu Cyrene, a on przyciskałby usta do każdego rozkosznego kawałeczka...

Szaleństwo. Znieruchomiał, oddychając głęboko, nakazując sobie spokój. Nie pamiętał, by kiedykolwiek doświadczył tak żywego, niemal niekontrolowanego błysku pożądania, nawet kiedy był młody i niedoświadczony. Nie wiedział, co o tym sądzić, podobnie jak nie wiedział, co sądzić o kobiecie, która wywołała ten stan. Wiedział jedynie, że musi się mieć na baczności. Nie mógł sobie pozwolić na podobne impulsy.

- Nasza przemytniczka jest niezwykła - mówił Touchet - ale nie przestaje być kobietą. Musi wiedzieć, że wyglądałaby wspaniale w jedwabiach i koronkach. Nie wątpię, że mężczyzna, który ją nimi obdaruje, zostanie hojnie wynagrodzony.

Głos Toucheta brzmiał oblesnie. Rene posłał mu ostre spojrzenie, a Pierre zmarszczył brwi. Cyrene odwróciła się i spojrzała chłodno na agenta, choć na twarz wypłynął jej rumieniec irytacji i niezadowolenia z faktu, że znalazła się w centrum uwagi.

- Czy sugeruje pan, że można mnie kupić za kilka łokci materiału? - spytała.

- To tylko słowa, *mademoiselle* Cyrene. Chodzi mi o pewien styl życia, o luksus i wygodę. Proszę mi nie mówić, że to pani nie pociąga. - Agent markizy wygiął usta w grymasie cynizmu, ale w spojrzeniu, jakie skierował na miękką, białą krągłość piersi nad stanikiem, kryła się żądza.

- Nie mogę powiedzieć, że te rzeczy mnie pociągają, jeśli musiałabym za nie sprzedać duszę.

- Pani duszę? Wątpię, czy nabywca tego właśnie zażąda.

Jean zerwał się z krzesła, a Pierre stanął tuż obok.

- Wystarczy, Touchet - ostrzegł młodszy z braci.

Człowiek o twarzy łasicy spojrzął na Jeana.

- Dozorcy się budzą. Jakież to wzruszające.

Rene nie przypominał sobie momentu świadomej decyzji o interwencji. W jednej chwili zerwał się z krzesła. Spojrzął na Bretonów, po czym odwrócił się do siedzącego obok niego Toucheta. Nachylił się nad nim, opierając kłykcie na stole i powiedział:

- To ja jestem dozorcą i możesz być pewien, że nie śpię. Cyrene nie jest przedmiotem dyskusji ani przy tym stole, ale przy żadnym innym, podobnie jak jej pragnienia i potrzeby.

Touchet powoli zmierzył go wzrokiem.

- Rozumiem, że masz zamiar je zaspokajać, a także strzec jej dobrego imienia i... duszy?

- Właśnie. Cyrene może mieć wszystko, co zechce, wystarczy, że poprosi.

Nie musiał tego mówić, ale wypowiedzenie tych słów sprawiło mu wielkie zadowolenie. Zaskoczenie malujące się w oczach Cyrene także go ucieszyło. Jeśli sądziła, że będzie się trzymał miejsca, które mu wyznaczyła, czekało ją jeszcze wiele niespodzianek. Rene wiedział już, że zbyt długo pozostawał na dworze; zdążył niemal zapomnieć, jaką radość sprawia mówienie wprost i podejmowanie bezpośredniego działania. Nie pamiętał,

kiedy czuł się tak wzruszony czy tak zdecydowany. Lub winny.

Cyrene wysłuchiwała oświadczenia Rene z niedowierzaniem. Niemal równie niepokojący wydał jej się fakt, że Bretonowie nie zaprotestowali; po prostu usiedli wygodnie, jak gdyby sytuacja została opanowana. Czuli się ocechowani jako własność Rene Lemonniera. To było oburzające. Nieważne, że sama do tego doprowadziła. Jeszcze tej nocy wyprowadzi pana Lemonniera z błędu. Wszystko, co zechce, dobre sobie! Powie mu, czego chce, a wtedy tamci zobaczą, jak się wywiązuje z obietnicy.

Kapitan Dodsworth zapełnił przerwę w rozmowie, zaczynając opowieść o towarach, które przywiózł, szczególnie o eleganckich fajansowych miskach i sosjerkach, które, jak sądził, mogły zainteresować Cyrene. Właśnie miał wydać rozkaz, by je przyniesiono, kiedy w drzwiach nastąpiło pewne poruszenie.

Do sali wszedł oficer pełniący wartę.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział uważnie neutralnym tonem. - Jacyś Indianie czekają na plaży. Wygląda na to, że chcą rozmawiać.

Cyrene pomyślała natychmiast, że to zbuntowani Choctawowie, którzy domagają się ich wydania. Ta sama myśl musiała przyjść do głowy Bretonom, bo gwałtownie odsunęli krzesła, zerwali się na równe nogi i pospieszyli na pokład. W ślad za nimi ruszył kapitan Dodsworth wołając o lunetę, a za nim pozostali.

Indianie rozpalili ognisko. Na ciemnym brzegu wzbijała się w górę fontanna światła. Wokół ognia czarne postaci przechadzały się najwyraźniej bez celu. Gwiazdy nakłuwały chłodne, nocne niebo diamentowymi punktikami. Statek kołysał się powoli na falach, a woda pluskała o kadłub. Gdzieś na dziobie ludzie rozmawiali półgłosem.

Przyniesiono lunetę. Kapitan Dodsworth nakierował ją na Indian przy ognisku. Po dłuższej chwili opuścił lunetę i potarł oko.

- Choctawowie - stwierdził. - Grupa starego Zatopionego Dębu.

Pierre stęknął. Cyrene westchnęła. Jean zaśmiał się cicho, bez radości. Zatopiony Dąb był wodzem małego plemienia Choctawów sprzymierzonego z Francuzami; był też ojcem Indianki znanej jako Mała Stopa, która około dwudziestu lat temu spędziła dwie zimy z Jeanem i wydała na świat Gastona. Mała Stopa nie była przesadnie opiekuńczą matką, ale od czasu do czasu sprawdzała, co działo się z jej dzieckiem i mężczyzną, który był jego ojcem. Skoro Zatopiony Dąb tu przybył, musiało to oznaczać, że Mała Stopa dowiedziała się, że Bretonowie opuścili płaskodenną łódź, a znała ich na tyle dobrze, by domyślić się, dokąd i po co się udali. Przywiodła tu ojca i jego ludzi z prostej przyczyny: poprosi o towary najwyższej jakości, domagając się jednocześnie korzystnych warunków.

Atmosfera i chęć zawarcia zakazanej transakcji momentalnie się ulotniły. Zgodzono się odłożyć całą sprawę na później. Kapitan Dodsworth, w geście dobrej woli, a także po to, by dokładniej przyjrzeć się dzikim, kazał opuścić barkas i zawieźć się na brzeg razem z Bretonami.

Kiedy dobili do plaży, Indianie już czekali. Niektórzy z młodszych podbiegli z pomocą: wyciągnęli łódzie dalej na brzeg, żeby pasażerowie nie musieli moczyć stóp, ale starsi stali dalej w pełnych godności pozach, gotowi do formalnego powitania. Kiedy to nastąpiło, twarze Indian rozjaśniły się uśmiechami, ponieważ kapitan wytoczył beczułki rumu i tafii. Sprzedaż alkoholu Indianom uznawano za przestępstwo, ale nie było nim rozdawanie. Dzięki temu podarunkowi zawsze można było zaskarbić sobie ich dobrą wolę, cóż z tego, że krótkotrwała.

Towarzystwo rozsiadło się wokół ognia z kubkami w dłoniach. Rozpoczęto rozmowy. Pomarańczowe iskry szybowały spiralnie w niebo, tańcząc w szarych wstęgach dymu. Zapach płonącego drewna mieszał się ze

słono-błotnistym aromatem bagien, świeżością nocy i ciepłą, dziką wonią ludzi odzianych w skóry i wełnę. Niektóre starsze Indianki siedziały na zewnątrz kręgu zgromadzonego wokół ogniska, a młodsze chodziły to tu, to tam, rozkładając pośłania, karmiąc niemowlaki, układając maluchy do snu. Starsze dzieci uganiały się w grupach, bawiąc się w berka i chowanego.

Cyrene usiadła przy ogniu obok Bretonów. Przez pewien czas cieszyła uszy poważnymi komplementami i opowieściami. Na tyle dobrze znała język Choctawów, że potrafiła nadażyć za historiami i przechwałkami, z których każda była bardziej fantastyczna niż poprzednia. Wkrótce jednak monotonne głosy, ciepło ogniska i zmęczenie wydarzeniami dnia doprowadziły Cyrene na granicę snu. Ziewnęła, zamrugała i znowu ziewnęła. Kiedy pragnienie złożenia głowy na kolanach i zamknięcia oczu stało się prawie nieodparte, wiedziała, że dalszy opór nie ma sensu.

Właśnie miała wstać i cicho odejść, kiedy poczuła, że siedzący obok Jean nagle sztywnieje. Spojrzała na niego, a potem podążyła za jego wzrokiem ku Indiance, która podchodziła do ognia. Była to Mała Stopa, kobieta majestatycznej postury, o wyrazistych rysach i gęstych, czarnych włosach, które zaplatała w pojedynczy warkocz. Odczekała chwilę, upewniając się, że Jean ją zauważył, po czym przywołała go energicznym gestem.

Cyrene wyczuła opór Jeana przed odpowiedzią na wezwanie. Pomijając fakt, że Mała Stopa nie zaprosiła go zbyt uprzejmie, Cyrene nie potrafiła domyślić się powodu takiego oporu. O ile wiedziała, tych dwoje nie było wrogami. Mała Stopa, której poważanie pośród mężczyzn z jej plemienia znacznie wzrosło po epizodzie w łóżku białego, już dawno wyszła za mąż za Indianina i wydała na świat inne dzieci. Po owdowieniu umilała sobie czas rozlicznymi romansami, z których każdy trwał krócej niż poprzedni. Jean odwiedzał ją od czasu do czasu i posyłał upominki, a Gaston co roku spędzał

kilka letnich miesięcy pośród Choctawów, polując razem z nimi i zgłębiając tajniki życia w lesie.

Mała Stopa przywołała Jeana ponownie, ten westchnął, wstał i wyszedł z kręgu. Mała Stopa przyłączyła się do niego i razem zniknęli w mroku. Korzystając z zamieszania, jakie wywołał Jean, Cyrene także się wyknęła.

Nie zamierzała podsłuchiwać. Chciała jedynie dotrzeć do posłania i zagrzebać się w futra. To nie jej wina, że kłótnia między Jeanem a Małą Stopą kazała im stanąć nie dalej niż trzy kroki od posłania Cyrene na skraju obozowiska. Nawet wtedy nie zatrzymała się, by podsłuchiwać, ale minęła ich i weszła za skórzaną zasłonę odgradzającą jej część schronienia. Położyła się na niedźwiedzim futrze w ciemności pachnącej żywicą z okorowanych pali i właśnie zdejmowała buty, kiedy usłyszała wyraźny, ostry głos Małej Stopy.

- Jak możesz mówić, że nie mam prawa po tym, co dla ciebie zrobiłam? Myślisz, że jest mi łatwo? Myślisz, że to lubię? Jeśli tak, to jesteś jeszcze jednym szalonym Francuzem. Mówiłeś, że mi to wynagrodzisz. Teraz proszę o taki drobiazg, a ty mówisz, że żądam zbyt wiele? Nie mogę tego znieść!

- Mała Stopo, bądź rozsądna. Mój brat i ja nie jesteśmy bogaci.

- Czy ja proszę o bogactwo? Nie! Może powinnam porozmawiać z Gastonem. Myślę, że zaciekawiliby go to, co mam do powiedzenia. A może ten drugi zapłaciłby złotem za to, co by ode mnie usłyszał. Gdyby tak się stało, swoje towary mógłbyś...

Cyrene musiała się uśmiechnąć, słysząc rubaszną uwagę Małej Stopy na temat tego, co Jean mógł zrobić z towarami. Jej rozbawienie minęło równie szybko, jak się pojawiło, kiedy Jean ostrym głosem wydał jej polecenie, po czym głosy rozmawiających się oddaliły. Cyrene nie pamiętała, żeby Mała Stopa była tak natrętna, a nawet posuwała się do gróźb. Zazwyczaj zachowywała się pogodnie i wesoło, nie tracąc jednak przy tym

godności. Musiała się czymś martwić, a Cyrene chciała odkryć powód. Obiecała sobie, że rano zapyta o to Jeana.

Cyrene spała od godziny lub dwóch, kiedy obudził ją cichy szmer kroków. Przez chwilę leżała, nasłuchując. Wiedziała, że odgłos dobiegł dokładnie z zewnątrz jej posłania, ale się nie powtórzył. Po chwili skórzana zasłona się uniosła i ktoś wszedł do środka.

- Kto to? - spytała ostro.

- Twój obrońca.

Rene. Jego głos zabrzmiał sucho i konkretnie. Zbyt konkretnie. Był albo zły, albo pijany, a Cyrene nie mogła zdecydować, co by ją bardziej zaniepokoiło. Usiadła, przyciskając niedźwiedzie futro do ciała.

- Czego chcesz?

- Oczywiście dzielić z tobą posłanie. Czegóż innego mógłbym chcieć?

Serce zabiło jej mocniej.

- To nie jest śmieszne.

- Nie miało być.

- Zawarliśmy umowę. Oczekuję, że jej dotrzymasz.

Rozległ się ciężki odgłos i na posłanie opadła część garderoby, przypuszczalnie płaszcz.

- Z chęcią - odparł cicho Rene - ale Bretonowie oczekują, że będę przy tobie. Zaproponowałem, że stanę na warcie razem z Gastonem, ale oni praktycznie mnie tu odeskortowali.

- Odeskortuj się gdzie indziej.

- Nie mam dokąd.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyknęła, pochylając się do przodu. - Nie możesz tutaj zostać.

- Dlaczego? Boisz się mnie?

- Oczywiście, że nie, ale nie chcę cię tu. Nie chcę twojej ochrony. Nie możesz tego zrozumieć?

- Nie brakuje mi inteligencji ani zrozumienia, co nie zawsze oznacza to samo. Wypowiedziałas się z całkowitą jasnością. Czy nie rozumiesz, że nie mam zamiaru dygotać na mokrej ziemi tylko ze względu na naszą umowę?

Nie dociera do ciebie, że nie pożądam twego wspianego ciała, przynajmniej w tej chwili, ani nie zamierzam ci się narzucać?

- Nie? - Chciała, by to słowo zabrzmiało zjadliwie, ale wypadło raczej niepewnie.

- Nie. Chyba, że poprosisz. Wtedy z przyjemnością spełnię prośbę, jak powiedziałem dziś wieczorem.

- Nigdy!

- Wobec tego jesteś bezpieczna.

- Tak, a wszyscy sądzą, że jestem twoją kobietą.

- Wydaje się, że to nieuniknione.

- Mógłbyś się trzymać ode mnie z daleka!

Nie odpowiedział. Na posłanie opadła kamizelka, a w ślad za nią coś lżejszego, na pewno koszula.

- Przestań - ostrzegła - albo zacznę tak krzyczeć, że zbiegną się tu wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci i psy.

- Zrobi się nieco tłoczno, nie sądzisz? Imało intymnie.

- Nie żartuję!

- Widzisz, mógłbym cię teraz pocałować, twierdząc, że chcę w ten sposób powstrzymać cię od krzyku. Bardzo chciałem to zrobić wcześniej, kiedy flirtowałaś z kapitanem Dodsworthem.

- Ty... nie flirtowałam z kapitanem Dodsworthem.

- Imitowałaś to całkiem udatnie.

Wiedziała, że pozwala sobie na rozproszenie uwagi. Dokonała oceny sytuacji. Wydawało się, że krzyk na wiele się nie zda, szczególnie jeśli Bretonowie wiedzieli, gdzie znajduje się Rene.

- Zachowywałam się po prostu przyjaźnie, dla dobra transakcji.

- Posługując się w tym celu własnymi wdziękami? Istnieją określenia na takie kobiety.

- Wiesz dobrze, że nie to miałam na myśli!

Usiadł, by zdjąć buty.

- Wiem, ale to niczego nie zmienia. Nie wszyscy znają twój chłodny charakter. Powinnaś uważać na to, co mówisz.

- Chłodny charakter? Dlatego, że nie padam ci znowu w ramiona po tym, jak miałam próbkę twoich umiejętności? Co za zarozumiałość!

- Prawda? - zgodził się Rene spokojnie. - Oczywiście zawsze możesz udowodnić, że się myliłem.

- Ha! Taką sztuczką możesz omamić jakąś biedną pokojówkę czy głupią żonę szlachcica, ale nie mnie. Nie muszę ci niczego udowadniać.

Zdjął spodnie, podniósł niedźwiedzią skórę i wślizgnął się na posłanie.

- To prawda. Wystarczy, że zaśniesz.

Cyrene napięła mięśnie, czując powiew chłodnego powietrza i niedźwiedzią skórę przesuwaną się jej po ramionach, kiedy Rene naciągnął ją sobie na głowę. Najbardziej nie cierpiała jego pewności siebie. Nie przychodziło jej do głowy żadne wyjście z obecnej sytuacji. Rene przekręcił się, szukając wygodnej pozycji, a jego kolano otarło się o jej łydkę.

Coś w niej zaskoczyło. Rzuciła się na Rene, pchając go i okładając pięściami.

- Wynoś się! - syczała. - Wynoś się! Zostaw mnie w spokoju.

Momentalnie przewrócił ją na plecy. Zabrakło jej tchu, kiedy przygniótł ciałem piersi i dolną część ciała. Silne dłonie chwyciły Cyrene za przeguby i wykręciły nad głową. Leżała nieruchomo, ze wszystkimi mięśniami zbitymi w węzeł i czarną, piekącą pogardą w głowie.

- To nie było zbyt rozsądne - stwierdził.

Piersi Cyrene unosiły się w krótkim, tłumionym oddechu. Silny ucisk naprężonych mięśni ud Rene, kontrolowana siła, miażdżąca moc jego uchwytu były jak groźba, choć trzymana w ryzach. Nie zadawał jej bólu, a jednak nigdy w życiu nie czuła się równie bezbronna i pewna, że próba walki wiązałyby się z bólem.

- Może i nie, ale poprawiło mi humor.

- Tak? Chcesz mnie uderzyć?

Impuls zaczął raptownie zanikać. Chwyciła się go kurczowo jako sposobu obrony.

- Dziwi cię to?

- Dlaczego? Bo uderzyłem cię wtedy w wodzie?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Czyżby? - Puścił Cyrene, odsunął się i oparł na łokciu. - Dobrze więc. Dalej, uderz mnie.

Pokusa była silna. Zaciśnęła pięści, wciąż czując na sobie uścisk Rene niczym piętno. Nie podobało jej się, że tak łatwo można ją obezwładnić.

Nie mogła go uderzyć. Nie wiedziała dlaczego. Po prostu nie mogła.

- Nie?

Czekał na odpowiedź.

Potrząsnęła głową i szepnęła:

- Nie.

- W takim razie pozwól, że coś ci powiem. To ostatnia szansa zemsty, jaką ci daję. Nie atakuj mnie więcej, bo obiecuję ci, że konsekwencje nie przypadną ci do gustu. Ani trochę.

Położył się, ponownie okrywając się niedźwiedzią skórą. Leżał wpatrzony w ciemność i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że leży sztywno wyprostowany. Stopniowo rozluźnił napięte mięśnie, samą siłą woli pokonując szalone pulsowanie krwi w żyłach i pragnienie, które ją napędzało. Dotyk miękkiego, krągłego ciała Cyrene, jej naturalny zapach nie chciały opuścić Rene, szydziły z niego. Nie zdawał sobie sprawy, jak trudno będzie leżeć przy niej, nie mogąc jej dotykać. Jednak nie tylko nie nasycone pożądanie stanowiło źródło niewygody. Pragnął ją tulić, przeproszać, może za to, że ją uderzył albo za to, że posługiwał się Cyrene w swym planie zemsty. Nic nie pomagała świadomość, że to on sam zabraniał sobie zaspokoić to i inne pragnienia.

Cyrene leżała nieruchomo przez dłuższą chwilę, aż chłód sprawił, że dostała gęziej skórki. Przeszedł ją dreszcz, więc wślizgnęła się pod niedźwiedzią skórę,

zarówno po to, by się ogrzać, jak i po to, żeby się ukryć. Pod skórą było gorąco. Ciepło emanowało z męskiego ciała, zapraszające, kuszące. Zamknęła mocno oczy, każdym kłującym nerwem wyczuwając bliskość Rene. Nienawidziła wpływu, jaki na nią miał, nienawidziła jego pewności i siły, przekłętego węzła, jakim została z nim związana. Czuła się upokorzona faktem, że w tym momencie najbardziej pragnęła właśnie ulotnego, niewiarogodnego zadowolenia, które znalazła kiedyś w jego ramionach.

8

Rene obudził się jak zwykle z nagłą, całkowitą jasnością umysłu. Otworzył oczy i zeszywniał. Pomimo swojej reputacji, pomimo łóżek, przez które przeszedł, nie miał zwyczaju budzić się przy kobiecie, Zawsze wolał odejść, odczekawszy stosownie długi czas, i zasnąć we własnym łóżku.

Cyrene leżała w jego ramionach. Wola Rene musiała wydostać się w nocy spod jego kontroli, a wtedy sięgnął po Cyrene, może w chwili, kiedy się do niego zbliżyła. Ciepły oddech pieścił mu gardło, jej nogi splątały się z jego nogami, a ręka Rene spoczywała na szczupłej talii dziewczyny. W szarym, przezroczystym świetle poranka sączącym się przez zasłony, widział delikatną fakturę skóry Cyrene, równy, słodki wykrój ust, gęste, czarne wachlarze rzęs. Z jej twarzy emanowała taka siła i piękno, że poczuł ucisk wokół serca, jakby zostało schwytane w sieć, która się powoli zaciskała.

Dobry Boże, był idiotą.

Na jakiej podstawie sądził, że może osiąść tę kobietę z najbardziej haniebnego powodu i pozostać nie-
tknięty? Właśnie ją? Powinien od początku wiedzieć, co się wydarzy. Nie był sobą od chwili, kiedy odzyskał przytomność na szorstkiej podłodze łodzi, przemoknięty, krwawiący, widząc, jak pochylała się nad nim w trosce pełnej irytacji. Wiedział, że do końca życia nie zapomni prostoty, z jaką mu się ofiarowała i paraliżującej rozkoszy, z jaką ją posiadł. Prawdopodobnie miało

mu pozostać tylko to wspomnienie. Trudno przypuszczać, by mogło się stać inaczej.

Pragnął, by było inaczej. Z nagłą żarliwością zapragnął zacząć od początku, naprawić wszystko. Otworzyć się przed Cyrene, zalecać się i zaryzykować.

Nie. W ten sposób miałby jej jeszcze mniej niż teraz. Nie sposób było zmienić tego, co się stało. Musiał pełnić rolę, jaką sobie wyznaczył, akceptując konsekwencje.

Pierwszą *i dotychczas najgorszą* z nich było *trzymać* Cyrene w ramionach, czując w żyłach pulsujące pożądanie, z jednoczesną niemożnością zrobienia czegokolwiek. Pragnął całować miękkie pełne usta, przesuwając dłońmi po delikatnych krągłościach ciała pod cienką bluzką, przytulić Cyrene i dawać jej rozkosz na wszystkie drobne sposoby, jakie mógłby odkryć poprzez pracowite poszukiwanie i czułą troskę. Chciał się w niej zatracić, zapomnieć, kim był i dlaczego leżał obok niej. Chciał ukuć łączącą ich więź, tak mocną, by nic więcej się nie liczyło.

To było niemożliwe. Rene o tym wiedział, toteż leżał nieruchomo, wdychając ciepły, czysty zapach dziewczyny, odciskając jej dotyk na najgłębszych poziomach swej jaźni, ochraniając ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami, ale przede wszystkim przed sobą.

Każda wytrzymałość ma granice. Po pewnym czasie wstał cicho z legowiska, wzięt ubranie i wyszedł.

Cyrene patrzyła spod przymkniętych oczu, jak odchodzi. Obudziła się, kiedy wypuścił ją z ciepłych objęć, choć już od pewnego czasu była przytomna w jakiś niejasny, kołyszący sposób. Teraz leżała wsłuchana w odgłos jego oddalających się kroków. Kiedy odszedł dostatecznie daleko, usiadła i odsunęła skórzaną zasłonę.

Rene poszedł na plażę. Jego wysoka sylwetka rysowała się niewyraźnie w świetle wczesnego poranka, ale i tak cudownie było patrzeć, jak zrzuca ubranie i skacze do wody. Cyrene zadrżała, wyobrażając sobie nagłe, chłodne zanurzenie. Nie miała pojęcia, jak mógł to

wytrzymać; zimny wiatr od morza wpadający do szałasu przyprawił ją o gęsią skórę, aż czuła, że pokryła się łuską jak aligator. Mimo to nie ruszyła się z miejsca, obserwując silne zamachy rąk Rene i ciemny kształt głowy oddalający się coraz bardziej od brzegu. Dopiero kiedy zniknął jej z oczu, puściła zasłonę i wróciła pod niedźwiedzią skórę.

Udało jej się wywinąć łatwiej, niż przypuszczała. Cieszyło ją to oczywiście, ale także dziwiło. Czemu Rene nalegał, by dzielić z nią chatę, skoro nie zamierzał jej się narzucać? Podobne opanowanie kłóciło się z tym, co Cyrene o nim wiedziała. Gdzie się podziała sztuka uwodzenia, w której jakoby celował, delikatne łamanie jej oporu, urocze obłężenie? Możliwe, że tymczasowo udało jej się go zniechęcić protestami, oporem, ale spodziewała się, że będzie musiała się bronić znacznie energiczniej.

Możliwe, że mówił prawdę, zapewniając ją, że szukał tylko łóżka, gdzie mógłby spędzić noc. Może też, po jednorazowym zakosztowaniu jej wdzięków, nie miał ochoty na więcej. Musiała mu się wydać żałośnie słabo doświadczona w porównaniu z kobietami, które znał. Niewątpliwie przywykł do większej subtelności, nie mówiąc o współpracy, o entuzjazmie.

Nie znaczyło to, że Cyrene to cokolwiek obchodziło. Był nieznośny z tym swoim gadaniem o ochranianiu jej. Mogła przysiąc, że Rene chodziło o coś więcej niż tylko o rzucenie okiem na tę dziką krainę i zakosztowanie handlu z Indianami. Chciałaby wiedzieć, o co.

Zobaczyła Rene dopiero podczas śniadania. Bretonowie zostali zaproszeni na posiłek wokół ogniska Zato-pionego Dębu. Odrzucenie gościnności stanowiłoby poważną obrazę, toteż siedzieli posłusznie, gdy Mała Stopa wraz z córką, dojrzałą dziewczyną, przyrodnią siostrą Gastona, przyniosły jedzenie i postawiły przed zgromadzonymi. Cyrene zerknęła na Rene, chcąc się przekonać, czy miał zamiar skosztować wszystkiego, od dziczyzny do żółwich jaj i *sagarrtite*, ponieważ gdyby tego nie

uczynił, obraziłby gospodarza. Musiał jednak posiadać charakterystyczne dla Choctawów instynktowne dobre maniery, ponieważ starannie szedł za przykładem Pierre'a, jedząc palcami i żując powoli. Najwyraźniej miał niekiedy trudności z połykaniem, ale próbował wszystkiego po trochu. Nie musieli się obawiać, że przyniesie im wstyd.

Wyglądało też na to, że spotkał się z uznaniem w oczach córki Małej Stopy. Dziewczyna zwana Szybka Wiewiórką trzymała się w pobliżu Rene, ocierając się o jego ramię, nachylając się, by podawać co smaczniejsze kaski, uśmiechając się migoczącymi, ciemnymi oczami. Była całkiem ładna, urodą dość egzotyczną w oczach Francuza; posiadała zwinny, dziki wdzięk, typowy dla kobiet jej rasy. Po sposobie, w jaki odwzajemniał uśmiechy, widać było, że Rene docenia wdzięki dziewczyny.

Szybka Wiewiórka musiała bardzo przypominać Małą Stopę z okresu, kiedy Jean splotził z nią Gastona. Nie trudno było zrozumieć, dlaczego młodszy z braci uległ; jaki mężczyzna oparłby się tak naturalnemu, nieskrępowanemu podejściu? Na pewno nie żadny kobiet mężczyzna z tego początkowego okresu Luizjany. Na pewno nie hulaka, który z nie jednego pieca jadł chleb.

Cóż, niech Rene odpowiada na jawne zakusy Szybkiej Wiewiórki. Cóż jej do tego? To powinno mu pozwolić zaspokoić męskie potrzeby bez rzucania się w zimne wody Zatoki. Cyrene miała tylko nadzieję, że żaden mężczyzna nie przybył tu przed nim i nie obdarzył dziewczyny chorobą. Szkoda, gdyby kariera Rene jako hulaki została przerwana w połowie.

Cyrene zdumiała się zjadliwością własnych myśli. Nie miała nic przeciwko Szybkiej Wiewiórce, w istocie zawsze ją lubiła. Czasami zazdrościła indiańskiej dziewczynie wolności i nieskrępowanego zachowania, ale nie miała powodu, by podejrzewać ją o swobodne obyczaje. Napięcie ostatnich tygodni zaczynało wywierać wpływ na nerwy Cyrene, to wszystko.

Zapowiadał się łagodny dzień. Emanujące ze słońca ciepło rozeszło się wokół. Złagodziło wiatr z południa, wydobywając niesiony przez niego zapach soli, traw i kwiatów z dalekich wysp, pokonując jednocześnie chłód nocy. Ukazały się paliki zarzuconych w morzu sieci, a indiańskie dzieci zaczęły radosne gonitwy.

Ciepło wyciągnęło też kapitana Dodswortha ze statku na plażę, gdzie miały się odbyć negocjacje handlowe. Powiedział, że ufa, że Bretonowie ocalą jego skalp, a na brzegu było przecież przyjemniej niż w jego dusznych, zagraconych kajutach. Nikt się jednak nie dał nabrać. Kapitan sądził najwyraźniej, że obecność Choctawów spragnionych angielskich towarów sprawi, że Bretonowie szybko przyjmą warunki Dodswortha.

Wkrótce przekonał się, że sytuacja przedstawiała się inaczej. Indianie momentalnie przejrzeni jego grę, a wspomaganie wroga kosztem przyjaciół nie leżało w ich zwyczaju. Zajmowali się własnymi sprawami, ledwo zwracając uwagę na przybysza z Rhode Island, udając, że nie widzieli noży, które porozkładał tak, by ostrza lśniły w słońcu, ani paciorków, którymi machał w ten sposób, że tańczyły tęczowymi kolorami. Obojętność Indian wkrótce zaczęła działać na korzyść Francuzów.

Towary rozłożono, indygo sprawdzono i zważono, po czym rozpoczęły się właściwe targi. Bracia Bretonowie i kapitan zaczęli dyskutować, mniej lub bardziej dobrodusznie, składając oferty i kontroferty, dokonując obliczeń na piasku. Gaston i Cyrene przyglądali się, dorzucając niekiedy komentarz, chociaż co pewien czas młodzieniec tracił cierpliwość, odchodził, by popflirtować z młodymi Indiankami, i dopiero wtedy wracał. Kapitan Dodsworth mówił, ściągając perukę, by przesunąć palcami po włosach, po czym mówił dalej. Posłał ludzi na statek po beczkę rumu, a potem, kiedy Bretonowie uparcie zachowywali trzeźwość, zagroził z wściekłością, że sam wróci na pokład. Mimo to targi trwały nadal.

Rene przysiadł się do Pierre'a i Jeana, uważnie śle-

dząc przebieg negocjacji. Od czasu do czasu zadawał pytanie. Początkowo Bretonowie udzielali mu roztrąconych odpowiedzi, jednak handel był dla nich poważną rzeczą, toteż kiedy stawki poszły w górę, zaczęły tracić cierpliwość i odpowiadać mniej sympatycznie. W końcu Rene, zaniepokojony, że może narażać braci na niebezpieczeństwo, wstał i odszedł powolnym krokiem w stronę plaży.

Cyrene patrzyła, jak odchodził, ale nie ruszyła się z miejsca, co pewien czas podając jednemu z braci żądaną sumę lub wskazując na braki w jakości prezentowanych towarów. Na koniec targi stały się sprawdzianem woli i wytrzymałości, w niewielkim stopniu opierającym się na faktach i liczbach, mało atrakcyjnym dla obserwatorów. Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać tak, że możliwe stało się już tylko zerwanie lub ostateczna kapitulacja kapitana, Cyrene wstała i odeszła.

Tego ranka widziała Małą Stopę tylko przelotnie, a zeszłego wieczoru nie było czasu na właściwą wymianę pozdrowień i nowin. Ponieważ Choctawowie przywiązywali wielką wagę do tego typu form grzeczności, Cyrene skrzyła w stronę okrągłego szałas z gałęzi, kory i liści palmowych, do którego, jak wcześniej zauważyła, weszły Mała Stopa z córką.

Stanąwszy przed szałasem zawołała cicho Małą Stopę. Wewnątrz rozległ się szmer, a potem coś jakby szept i szuranie. Po chwili w małym otworze wejściowym pojawiła się Mała Stopa. Miała zarumienioną twarz, ale powitała Cyrene powściągliwie:

- Cóрко domu ojca mego syna, twój widok sprawia mi radość.

Zgodnie z obyczajem Choctawów, Mała Stopa nie wymieniała imienia kochanka ani męża. Cyrene zaakceptowała to, podobnie jak fakt, że Mała Stopa uważała ją za adoptowaną córkę Bretonów. Początkowo dziewczyna usiłowała cierpliwie tłumaczyć, że Jean i Pierre nie byli z nią spokrewnieni, ale Mała Stopa nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Skoro Cyrene nie była żoną ani

kochanką Bretonów, musiała być córką; nie istniała inna kategoria.

- Mam nadzieję, że widzę cię w dobrym zdrowiu - odparła Cyrene.

Mała Stopa odpowiedziała twierdząco, po czym nastąpiła wymiana podobnych grzeczności. Zapadła cisza. Cyrene czekała, aż zostanie zaproszona do szałasu na poczęstunek. Podobny wyraz gościnności funkcjonował jako obowiązkowa uprzejmość. Odmawiano go tylko zniechęconym wrogom.

Mała Stopa milczała. Zrobiła żalostną minę, oblała się rumieńcem wstydu, wyłamywała sobie palce, ale milczała.

Gdyby Cyrene domagała się wyjaśnień, dlaczego odmówiono jej gościnności, naruszyłaby kod zachowań w nie mniejszym stopniu niż Mała Stopa. Nie żądało się tego, co zawsze hojnie rozdawano, ani nie wskazywało się na brak. Mimo to istniała formuła pozwalająca dotrzeć do sedna problemu.

- Powiedz, czym cię obraziłam, Mała Stopo, a znajdę sposób, by naprawić wyrządzoną ci krzywdę.

- Och, Cyrene, nie stała się żadna krzywda - zapewniła kobieta, a jej słowa zabrzmiały niemal jak zawođenje.

- Czy masz w domu chorobę?

- Właśnie. - Na twarzy Małej Stopy odmalowała się ulga i Indianka spróbowała się uśmiechnąć. - Chodź, przejdziemy się do mojej siostry.

Odeszła o krok od szałas, po czym zatrzymała się, czekając, aż Cyrene do niej dołączy. Dziewczyna ruszyła posłusznie za Indianką.

Choctawowie nie kłamali dobrze. Świadomość nieprawdy była tak ostra, że nie pozwalała im wypowiadać jej naturalnie. Mała Stopa w oczywisty sposób kłamała. Co więcej, chciała, żeby Cyrene oddaliła się od jej szałas.

Cyrene szukała w pamięci ewentualnego przewinienia, ale bezskutecznie. Nie zdradziła podsłuchanej ze-

szłej nocy rozmowy między Małą Stopą i Jeanem. W jej życiu nic się nie zmieniło, z wyjątkiem sprawy z Rene. Mała Stopa nie miała chyba nic przeciwko temu człowiekowi; nie mogła go znać. Co zaś dotyczy moralnego aspektu związku Cyrene z Rene, było raczej niemożliwe, by Małą Stopę mogło to obchodzić.

Jedynym powodem, dla którego Indianka kłamała, mogła być chęć, by nie urazić uczuć Cyrene. Domysł ten wzmacniało przekonanie, że w szałasie znajdował się ktoś jeszcze. Obecność najbardziej prawdopodobnej osoby, córki Małej Stopy, nie stanowiła przecież powodu, by nie wpuszczać Cyrene. Ale jeśli chodziło o kogoś innego? O mężczyznę? Jeśli Mała Stopa wiedziała, że Cyrene spędziła ostatnią noc w szałasie z Rene Lemonnierem, dziś po południu nie chciałaby jej pokazać własnej córki w jego towarzystwie u siebie w szałasie.

- Twoja choroba... mam nadzieję, że to nic poważnego? - spytała Cyrene, idąc obok Małej Stopy. Zamiast jednak słuchać zapewnień kobiety, rozglądała się po obozowisku. Wśród grup przechadzających się i siedzących ludzi nie dostrzegła Rene ani Szybkiej Wiewiórki. To jeszcze nic nie znaczyło, ale Cyrene poczuła, że zamiera jej serce.

Dotarły do szałasu siostry Małej Stopy. Zaprosiła je do środka i poczęstowała kawą z cennych zapasów na specjalne okazje. Do kawy podała ciastka kukurydziane z jagodami. Cała trójka zaczęła rozmawiać, posługując się mieszaniną francuskiego, Choctaw i Chickasaw, będącego wspólnym językiem południowych plemion indiańskich. Kiedy Mała Stopa rozluźniła się na tyle, by śmiać się i opowiedzieć parę pieprznych historyjek o swoim starzejącym się ojcu, Cyrene zaczęła odnosić wrażenie, że jej podejrzenia były śmieszne. Tak czy inaczej, to nie jej sprawa, co i z kim robił Rene; na pewno nie miała powodu do zmartwień.

Właśnie doszła do tego wniosku, kiedy nagły ruch zwrócił jej uwagę na chatę Małej Stopy. Szybka Wiewiórka wymykała się z niego, jakby ktoś ją ścigał. Odda-

lila się od szałasów na kilka kroków, a potem zatrzymała się, by poprawić skórzaną spódniczkę. Ruchem głowy odrzuciła warkocz i ruszyła, kołysząc biodrami, w stronę ogniska dziadka. Cyrene odprowadzała ją wzrokiem, czując piekący ból w samym środku jaźni. Dopiero po pewnym czasie zdołała skupić się ponownie na dwóch kobietach.

Mniej więcej po godzinie porozumienie między Bretonami a kapitanem Dodsworthem zostało zawarte. Pozostałe towary należne Bretonom przywieziono na brzeg na barkasie, po czym kapitan wrócił na statek. Pierre i Jean rozłożyli nowo nabyte dobra na kocach i zaprosili ludzi Zatopionego Dębu, żeby podeszli bliżej. Targi trwały krótko, a Indianie dostarczyli wiele wysokiej jakości futer. Przed odpłynięciem kapitana Dodswortha miały się odbyć dalsze wymiany, tym razem futrami zamiast indygo. Inne indiańskie wioski na północ od Nowego Orleanu były równie spragnione angielskich wyrobów.

Słońce lśniło zimową poświatą, a powietrze stało się jeszcze bardziej balsamiczne. Ta zmiana z zimy w początek wiosny, zachodząca w ciągu zaledwie kilku godzin, stanowiła jeden z cudów klimatu kolonii, który sprawiał, że ten kraj stał się tak drogi Cyrene. Opuściła obozowisko, które zamieniło się w miniaturową wioskę indiańską, i zeszła na plażę. Fale obmywały delikatnie złoty piasek. Gdzieś poza sznurem wysp rozciągała się turkusowa zatoka, która jednak tutaj nie sięgała. Gdzieś w górze krzyknął przenikliwie ptak brzegowy. W wodzie stał pelikan, nieruchomy, brązowy i cichy jak na wpół spróchniały pień. Wiatr przyjemnie owiewał twarz Cyrene, był wilgotny, pachnący solą. Mucha bzyknęła obok niej, po czym odleciała w swoją stronę. Cyrene ruszyła wzdłuż brzegu, oddalając się od zgiełku obozowiska.

Nie zamierzała zostać sama, a jednak samotność rozległej wody wyciągnęła do niej ramiona, ciągnąc dalej i dalej. Ubity piasek pod stopami ułatwiał kroki niczym

droga bez końca. Ruch ciała, swobodny krok, sprawiały Cyrene radość. Czasami schylała się po kawałek drewna wyrzuconego przez morze, ciekawą muszlę albo ość. Jednak ciągle szła dalej.

Dostrzegła ich w oddali, dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie, stojących twarzą do zatoki z pochylonymi głowami i niemal stykającymi się ramionami. Bliższy wy-czuł zbliżanie się Cyrene, odwrócił się w jej stronę, potem powiedział coś do drugiego. Tamten odpowiedział coś, a następnie poszedł dalej plażą. Pierwszy odwrócił się i zaczął iść ku Cyrene długimi, szybkimi krokami.

W ciągu ostatnich trzech lat wzrok Cyrene znacznie się zaostrzył, podobnie jak wzrosła jej spostrzegawczość i zdolność zapamiętywania szczegółów. Mężczynę, który szedł w jej stronę, poznałaby wszędzie i zawsze. Rene. Drugim, właśnie znikającym między przybrzeżnymi drzewami, był agent markizy, Touchet.

Co ci dwaj robili razem? Czy spotkali się przypadkiem, tu, z dala od pozostałych, czy też przyświecał im jakiś cel? Rene był faworytem markizy, a Touchet pozostawał na jej usługach. Chociaż Rene przybył do Nowego Orleanu dopiero niedawno, Cyrene nie zdziwiłaby się, gdyby znał Toucheta. Mimo to raczej nie byli przyjaciółmi; w każdym razie zeszłego wieczoru nie przywitali się jako tacy. Jeśli łączyły ich wspólne sprawy, musiały dotyczyć żony gubernatora. Pani Vaudreuil prowadziła różną działalność, ale jednym z głównych celów było dążenie do ukrócenia przemytu, który odbijał się szkodliwie na jej finansach. Jeśli Rene i Touchet byli zaangażowani w ten proceder, nie wróżyło to dobrze Bretonom.

- Odeszłaś daleko od obozu - powitał ją Rene.

Cyrene przyjrzała mu się, kiedy tak stał swobodnie uśmiechnięty, poblask morza nadawał jego oczom srebrnoszary odcień, a wiatr rozwiewał kosmyki ciemnych włosów. Pomyślała o wizycie pani Vaudreuil na łodzi, o Małej Stopie wychodzącej z szałasów, i odparta chłodno:

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie.

Na brzmienie jej głosu Rene uniósł brew, ale odpowiedział lekko:

- Owszem, ale ja nie potrzebuję opiekuna.

- Nie, sam nim jesteś, a w każdym razie -do tego się mnie przekonuje.

- Mało wdzięczne zajęcie, choć nie opuściłbym posterunku, gdybym nie wiedział, że Pierre i Jean, nie mówiąc o Gastonie, są przy tobie. Stęskniłaś się za mną?

- Nie przyszedłam tu, żeby cię szukać, jeśli to masz na myśli.

- Powiniennem się domyślić.

- Owszem. Pytanie brzmi: czy przyszedłeś tu szukać Toucheta?

Rozbawienie zniknęło z twarzy Rene.

- Co to ma znaczyć?

- Och, daj spokój, wiem, że jest człowiekiem markizy.

- Co oznacza, że i ja nim mogę być?

Cyrene uniosła podbródek.

- Taka myśl naturalnie się nasuwa.

- Naturalnie. A jeśli ci powiem, że zeszłej nocy spotkałem tego człowieka po raz pierwszy?

- Wtedy - odparła z nieco mniejszą pewnością - poczuję się w obowiązku ostrzec cię przed nim. Powszechnie wiadomo, że zabił w Paryżu co najmniej jednego człowieka. Znajduje się na usługach *madame* Vaudreuil, między innymi kupuje dla niej haszysz i opium, których jednak markiza nie używa, ale rozprawdza przez swego rządcę; kiedy ten jest nieosiągalny, Vaudreuil robi to sama. Mówią też, że Touchet jest szpiegiem, który zbiera informacje, dziekiolwiek może, a to, czego nie jest w stanie odkryć, zmyśla.

- Jednym słowem nędznik, którego należy unikać za wszelką cenę.

- Ja nie żartowałam.

Słyszając jej ostry ton, Rene spoważniał i jakby się nad czymś zastanawiał.

- Widzę, ale nadal nie wiem, dlaczego uznałaś za

stosownie udzielać mi rad. Możliwe, że tu w dziczy nie jestem na swoim terenie, ale już od dobrych kilku lat nie potrzebuję opiekuna, który wprowadzałby mnie w panujące zwyczaje.

Cyrene nie dała się zbić z pantałyku.

- Czy mam teraz ustąpić, pokonana twoją światowością? Nadal nie wiem, dlaczego spotkałeś się z Touchem.

Rene się zawahał. Widział przed sobą dwa sposoby wybrnięcia z sytuacji. Mógł, co wydawało się wyjściem najrozsądniejszym, odejść w gniewie albo też rozwiać podejrzenia Cyrene, udając, że się poddaje. Dlaczego zawsze spotykał ją w najmniej spodziewanych miejscach? Szybko stawała się jego Nemezis, choć trzeba przyznać, urocza; pod targanym wiatrem ubraniem rysowały się łagodne krągłości ciała, a kosmyki włosów furkotały wokół twarzy.

- Wybacz mi - powiedział, chyląc głowę w gładkim geście grzeczności. - Już dawno nikt nie kazał mi się z niczego tłumaczyć. To się kłóci z moją naturą. Prawda jest taka, że spotkałem tego człowieka, wracając z przechadzki.

Czy mówił prawdę? Cyrene dałaby wiele, żeby mieć pewność. Nie spodobała jej się podejrzliwość, która się w niej obudziła. Nie podobało jej się też, że Rene starał się ją udobruchać, choć wydawało się, że niewiele mogła na to poradzić.

Ponieważ nie odpowiedziała, Reno ciągnął dalej:

- Pójdziemy dalej, czy chcesz wrócić? Obiecuję, że nie zaniedbam więcej obowiązków i przylgnę do ciebie jak rzep.

- Obawiam się, że to będzie bardzo niewygodne - zauważyła oschle, a zaraz potem pożałowała tej uwagi, widząc, dokąd miała doprowadzić.

- Dla mnie czy dla ciebie?

Cyrene ruszyła plażą, żeby nie musieć na niego patrzeć, kiedy odpowiadała:

- Oczywiście, dla ciebie.

Rene bez trudu dogonił Cyrene, choć nie zrobił nic, aby ją zatrzymać, a tylko zrównał się z nią. Przyglądając się jej bacznie, zapytał:

- Dlaczego?

- Przeszkodzi ci to w twoich podbojach.

Rene ściągnął brwi.

- W czym?

- Mówię o Szybkiej Wiewiórcie. Nieładnie postąpiłeś, zaciągając ją tak szybko do łóżka.

- Szybka Wiewiórka?

- Córnica Małej Stopy, wnuczka Zatopionego Dębu. Mogłeś przynajmniej poznać jej imię.

- Nie miałem przyjemności poznać ani jej, ani jej łóżka - powiedział dobitnie.

Uczucie ulgi było śmieszne, niemniej jednak Cyrene to właśnie czuła. Odwróciła twarz ku wodzie, żeby Rene niczego nie poznał.

- Nie?

- Nie. Czy żądałbym zbyt wiele, gdybym spytał, co kazało ci tak myśleć?

Powiedziała mu, choć z niejakim oporem.

- Przyłapuje się indiańską dziewczynę na baraszkowaniu w szałasie i natychmiast staje się głównym podejrzanym? Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie. Albo zbyt niskie.

Mówił sucho, beznamyślnie. Cyrene nie potrafiła określić, czy był rozbawiony czy poirytowany, może jedno i drugie.

- Zbyt niskie?

- Skoro zakładasz, że nie dokonuję rozróżnień między kobietami.

- A robisz to?

- Sądzę, że mam reputację człowieka, który wybiera.

Posłała mu przelotne spojrzenie.

- Czy ma mi to pochlebiać?

- A cóż kazało ci teraz myśleć, że miałem na myśli ciebie? - spytał cicho. - O ile pamiętam, to ja zostałem wybrany, nie odwrotnie.

- To szczerą prawdą - wyksztusiła przez gardło ściśnięte upokorzeniem. Oddałyby wszystko, by cofnąć te słowa. Zabrzmiało w nich zbyt silne rozgoryczenie; mógł ją posądzić o zazdrość, a tej myśli Cyrene nie mogła znieść.

- Muszę ci jednak powiedzieć, że gdyby nie restrykcje wynikające z wdzięczności i gościnności, starałbym się o twoje względy od pierwszej chwili, w której znalazłem się na waszej łodzi.

Zatrzymała się i spojrzała na Rene, a w jej oczach malowała się zarówno bezbronność jak i sceptycyzm.

- Naprawdę?

- Daję ci na to moje słowo.

Pragnęła uwierzyć Rene, to właśnie był jej problem. Domagała się tego jej kobieca próżność. Nie miało większego znaczenia, że nie szanowała go ani nie podobano jej się to, jaki był, dopóki mogła sądzić, że jest dla niego pociągająca, że nie przystał na jej rozpustną prośbę powodowany zwykłą wdzięcznością lub przesadną grzecznością. Cyrene czuła, że poniosła smutną klęskę jako człowiek i postanowiła, że to naprawi.

- To bez znaczenia - oświadczyła, z trudem wytrzymując jego spojrzenie i zmuszając się do uśmiechu. - Chociaż miło to słyszeć.

Dla Rene znaczenie było jednak olbrzymie, chociaż dopiero zaczynał to rozumieć. Nie mógł się jednak do tego przyznać. Pochylił głowę i oboje ruszyli w drogę powrotną do obozowiska.

Z nastaniem zmroku rozpoczęło się święto i tańce. Zadudniły bębny, bębniarze mruzcili w akompaniamencie, a Indianie śpiewali, to harmonijnie, to z zamierzoną nieskładnością. Gwizdały flety, a tykwy grzechotały w rytmie, który paraliżował umysł i budził ducha. Dzieci biegały z wrzaskiem, psy szczekały. Zapach pieczonego mięsa wznosił się w niebo wraz z dymem ognisk, który zwieszał się błękitnymi i szarymi warstwami. Fajki z tytoniem podawano sobie z rąk do rąk, ponieważ żaden Indianin Choctaw nie paliłby, nie poczęstowa-

wszy każdego, kto znalazł się w zasięgu ręki. Odbito beczki z tafią i kubki zaczęły krążyć; każdy pił wedle własnych potrzeb, mając jednak na uwadze tych, którzy byli jeszcze spragnieni. W podobny sposób rozdzielano jedzenie, które każdy dobierał sobie ze wspólnych garnków.

Tańczyli tylko mężczyźni, uświetniając pomyślne zakończenie targów, a także pożegnanie Bretonów i Anglika, który przywiózł towary. Choctawowie mieli wrócić do swej wsi następnego dnia rano. Cieszyli się krótkim wypadem, ale musieli wrócić do drewnianych domów, zanim zająłby je ktoś inny.

Indianki jadły, śmiały się, plotkowały i popisywały nowo nabytymi ozdobami: bluzkami lub paciorkami, które naszywały na ubranie albo nawlekały w formie naszyjników, a także lusterkami z polerowanej stali, które nosiły na łańcuszkach na szyi. Szczególnie Mała Stopa się wystroiła; miała na sobie nie tylko nową, jedwabną spódnicę, ale także elegancki kapelusz z piórem oraz srebrny łańcuszek, na którym poza lusterkiem zawiesiła napastek, hubkę i nożyczki.

Noc była bezchmurna i dostatecznie chłodna, by ogień sprawiał przyjemność. Płomienie strzelały wysoko, liżąc gwiazdy zwieszające się nisko i jasno nad świętującymi. Na ich twarzach odbijał się żółty i czerwony blask ogniska. Radośni i poważni, emanowali jego ciepłem, a miniaturowy ogień tańczył w ich źrenicach. Przyciągał zebranych ku sobie, podkreślając bezmiar otaczających ich bagien i pustych wód, spinając ludzi ciepłym kręgiem braterstwa.

Cyrene jadła razem z Indiankami, a potem oglądała razem z nimi taneczne występy mężczyzn. Komentowały siłę, wytrzymałość, umięśnienie i skoczność poszczególnych tancerzy, a także wypowiadały pozytywne lub niepochlebne uwagi na temat muzyki. Wydawało się, że kobiety uważają, że występy są dla nich, i może faktycznie tak było.

Po pewnym czasie młodsze kobiety z niemowlętami

na plecach lub dziećmi uczepionymi spódnic zaczęły odchodzić, by szykować pociechy do snu. Cyrene wstała, by pomóc dziewczynie w zaawansowanej ciąży z dwuletnim dzieckiem okutany w koc na plecach, a potem przeszła na skraj lasu, na obrzeża kręgu kobiet. Oparła się o drzewo zaplatając ręce z tyłu. Tutaj jedzenie i ciepłe ludzkie ciała pachniały mniej intensywnie, a orzeźwiający nocny wiatr w konarach drzew tworzył cichszą, łagodniejszą muzykę.

Ze swego miejsca widziała Rene. Siedział między Pierre'em a kapitanem Dodsworthem, obok honorowego miejsca zajmowanego przez Zatopiony Dąb. Zastanawiała się, jak Rene się bawił na przyjęciu dzikich i czy porównywał je w myślach z wystawnymi balami, w jakich uczestniczył w Wersalu. Wydawało się, że humor mu dopisywał; polegiwał wsparty na łokciu, z dłonią na zgiętym kolanie, pijąc, słuchając dowcipów. Czasami wybuchał śmiechem, odchyłając głowę do tyłu i błyskając zębami. Ale przecież ludzie tego pokroju mają niewyczerpane zdolności adaptacyjne.

Cyrene usłyszała za sobą cichy odgłos kroków na piasku. Odwróciła się i ujrzała podchodzącego Toucheta. Pozdrowił ją małym pokłonem.

- Wspaniała noc, prawda, *mademoiselle*? I wspaniała zabawa.

- To prawda. - Nie mogła być niegrzeczna bez powodu, ale postarała się, by jej słowa nie zabrzmiały zachęcająco.

Ciemny, wyniosły człowiek nie potrzebował jednak zachęty.

- Dobrzy Bretonowie odbyli niezwykle korzystną podróż z Nowego Orleanu.

- Mam nadzieję, że pan też. - Przypomniała mu, że przybył tu w tym samym celu.

Touchet zbył jej uwagę wzruszeniem ramion.

- Należy mieć nadzieję, że tak oszałamiająca kobietas jak pani też skorzystała na wyprawie.

- Nie powinien się pan o mnie martwić. - W istocie

Cyrene nie omówiła jeszcze z kapitanem Dodsworthem własnych interesów. Czekwała na stosowny moment, który jakoś ciągle nie nadszedł. Może rano popłynie na statek razem z Jeanem i Pierre'em, kiedy zechcą wymienić towary od Indian za więcej angielskich wyrobów.

- Nie? Jednak niektórzy mężczyźni są na tyle nierozsądni, że nie lubią się dzielić zyskami. Gdyby sprzymierzyła się pani ze mną, dopilnowałbym, by stroiła się pani w perły, złote ozdoby, jedwabie, atłasy i perfumowane koronki.

Cyrene odwróciła głowę i ostro spojrzała na agenta. Wyraz jego oczu przyprawił ją o dreszcz.

- Zapewniam pana, że nie potrzebuję tych rzeczy - odparła zimno.

- Czyżby? Ale byłoby w nich pani do twarzy. Trzymając się Pierre'a i Jeana Bretonów, jest pani różą wykwitłą na gnojówce. Zasługuje pani na słodsze, bardziej luksusowe warunki. Mógłbym je pani zapewnić.

- Nie chcę więcej, niż mam.

Chciała odejść, ale przytrzymał ją za ramię.

- Proszę uważać. Może nadejść dzień, w którym pożałuje pani odrzucenia mojej oferty. Ponieważ jest to oferta. Bardzo chciałbym, by została pani moją kobietą.

Coś w intensywnym spojrzeniu jego czarnych oczu i silnym uścisku palców zaniepokoiło Cyrene bardziej, niż chciała się przyznać. Szukała w myślach czegoś, czym mogłaby go zniechęcić; słowa nasunęły się same.

- Już mam opiekuna.

Touchet puścił jej ramię, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Lemonniera. Ten się nie będzie panią długo interesował.

- Możliwe, ale póki co, nie sędzę, żeby chciał, bym przyjmowała od pana podarunki.

- Szkoda. Mam nadzieję, że jest hojny.

- To nie pańska sprawa.

- Niestety. Kiedy z panią skończy, proszę przyjść do mnie i sprawdzić, czy nadal jestem zainteresowany.

Arogancja tego człowieka zaczynała jej grać na nerwach.

- Radziłabym panu nie czekać. Wynajęci fagasi mnie nie pociągają.

Posłał jej lekki uśmieszek i zapytał:

- A złoto? Dużo złota, dzięki któremu zostałąby pani wielką damą z zabezpieczoną, niezależną przyszłością?

Cyrene już się oddalała, ale na jego ostatnie słowa odwróciła się, zaintrygowana nie tyle ekstrawagancką obietnicą Toucheta, co czymś w rodzaju groźby, jaka zabrzmiała w jego głosie.

- O czym pan mówi? - spytała ostro.

- O złocie.

- Za co?

- Za zostanie moją... sojuszniczką.

- Pańską sojuszniczką - powtórzyła.

- Stałaby mi się pani niezwykle pomocna, jak i droga. Nagroda za wydanie pani byłych współtowarzyszy, Bretonów, pod zarzutem przemytu, mogłaby być wysoka.

Touchet przyglądał się Cyrene z uwagą, a w jego oczach kryła się odpowiedź na aluzję zawartą w słowach. Ujrzała ją wyraźnie i poczuła w żołądku zimny gniew.

- Oczekuje pan, że doniosę na Jeana i Pierre'a, że wspólnie z panem wydam ich w ręce władz?

- Czemu nie? Kim oni dla pani są?

- Przyjaciółmi. Pan tego nie zrozumie.

- Rozumiem znacznie więcej, niż się pani wydaje, *mademoiselle*.

- W takim razie niech pan zrozumie i to: nie zrobię tego. Ani teraz, ani nigdy.

- Możliwe, że pożałuje pani tej decyzji, moja śliczna.

Te ostatnie słowa wykrzyczał za nią, ponieważ Cyrene odwróciła się na pięcie i odeszła z furkotem spódnic, zaciskając usta i pięści.

Zatrzymała się dopiero w szalasię, który dzieliła z Rene. Zatrzymała się gwałtownie, ze skórzaną zasłoną zacisniętą w dłoni. Trzęsła się z potwornego gniewu, ale

czuła się również zbrukana, jak gdyby dotknęło ją coś ohydneho.

Czego tak naprawdę chciał od niej Touchet? Po co był mu donosiciel, skoro sam dobrze wiedział, co robili Bretonowie? Wydawało się, że Cyrene pełniłaby rolę świadka, który dostarczyłby dowodów ich działalności.

Nigdy. Pragnęła bezpieczeństwa, ale nie za taką cenę. Gdyby Pierre, Jean i Gaston byli jej obcy, nie potrafiłaby ich zdradzić, a co dopiero teraz, kiedy zawdzięczała im wszystko. Nazwała ich przyjaciółmi, ale byli czymś więcej, co Cyrene uświadomiła sobie w ciągu ostatnich dni. Byli najbliżsi temu, co mogła nazwać swoją rodziną.

Głęboko odetchnęła i odwróciła się, by spojrzeć na Zatokę, gdzie na ciemnej powierzchni tańczyły gwiazdy. Pomijając wszystko inne, oferta Toucheta przyniosła jedną korzyść. Skoro szukał w niej sojusznika, to znaczyło, że nie miał go w osobie Rene. Dopiero teraz, kiedy ten lęk został rozwiany, Cyrene zrozumiała, jak bardzo był silny i jaki jej sprawiał ból.

9

Święto trwało nadal. Hałas narastał, a tańce stawały się coraz bardziej szalone; kubki z tafią robiły trzecie czy czwarte okrążenie. Nie można było mieć nadziei na sen, póki ostatni bębniarz i tancerz nie położą się spać na posłaniu z gałęzi. Śmiertelnie zmęczona Cyrene wróciła do ogniska, gdzie odgłos bębnow pulsował w mroku nocy.

Pierre oddalił się wcześniej od wewnętrznego kręgu wokół płomieni, a teraz patrzył na nadchodzącą Cyrene. Kiedy ich oczy się spotkały, przywołał ją gestem i wskazał miejsce obok siebie na piasku. Ruszyła w jego stronę, krocząc między mężczyznami i kobietami leżącymi na kocach.

- Dobrze się czujesz? - spytał i zająknął jej w oczy, marszcząc gęste brwi. - Jesteś trochę blada.

- W porządku. - Troska Pierre'a podziałała na Cyrene jak balsam, kojąc nerwy. Wyglądało na to, że jej nie uwierzył, ponieważ wciąż przyglądał się dziewczynie z powagą.

- Powiedz, *chere*, czy jesteś szczęśliwa? Czy ten układ z Lemonnierem jest tym, czego chcesz?

Z trudem wytrzymała jego wzrok.

- Dlaczego pytasz?

- Nie podoba mi się twój wygląd, twoje zachowanie, od kiedy zawarliśmy ten układ. Nic nie każe ci go dotrzymywać, ani prawo, ani kościół, ani żadne inne zobowiązanie. Jeśli ci się nie podoba, odejź. Teraz.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu?

- Przeciwno? Dlaczego tak sądzisz?
- Myślałam, że może... - Urwała, wpatrzona w rozżarzone do czerwoności węgle w samym środku ogniska. - Myślałam, że ty, Jean i Gaston odczulibyście ulgę, gdybyście się mnie pozbyli.
- *Sacre*, jak możesz mówić coś takiego! Jesteś naszym aniołem, naszym szczęściem. Bez ciebie będziemy opuszczeni. Pozwolimy ci odejść tylko dlatego, że chcemy, żebyś miała to, czego pragniesz. Jeśli tym czymś jest Lemonnier, to dobrze. Cieszymy się. Jeśli nie, trzeba coś z tym zrobić.
- Och, Pierre - wyksztusiła, czując napływające do oczu łzy.
- Objął ją niezdarnym ruchem i odchrząknął.
- *Bien*, a więc ta sprawa została załatwiona. Ale czy jesteś szczęśliwa, *chere*?
- Cyrene westchnęła ciężko.
- Nie wiem. Chyba tak.
- Ta sprawa z miłością, to jest trudne, prawda?
- Tak, trudne. - Nie było żadnej miłości, ale mówiąc, że poszła do Rene bez niej, mogłaby zranić Pierre'a, szczególnie w tej chwili.
- No, tak. Pamiętam... ale ciebie to nie zainteresuje. Powiedz, czy Lemonnier cię źle traktuje?
- Och, nie - zapewniła szybko.
- Widziałem, jak Szybka Wiewiórka i kilka innych indiańskich dziewcząt strzela do niego oczami. Czy Rene się za nimi ugania?
- Ja... Nie sądzę. - Nie miała przecież pewności.
- Czy zadowala cię w łóżku?
- Pierre!
- Zaszokowałem cię, *petite*? Ale nie masz matki, która mogłaby cię pytać o te rzeczy. Jeśli cię nie zadowala, musisz mu powiedzieć lub pokazać, co robi niewłaściwie. Kobiety mają różne potrzeby.
- Mówisz, oczywiście, na podstawie bogatego doświadczenia? - spytała, udając, że się z nim droczy.
- Wzruszył potężnym ramieniem.

- Wystarczająco bogatego.

Spojrzała na Pierre'a oświetlanego przez chyboczący się ogień, na pomarszczoną twarz porytą głębokimi brudami i niebieskie oczy, w których zawsze zdawał się kryć jakiś niezmierny ból.

- Myślę, że miałeś kiedyś żonę. Co się stało?

- Moja żona... umarła.

- I nigdy nie chciałeś ożenić się ponownie?

- Nigdy. Nie ma kobiety, która mogłaby ją zastąpić.

- Przypuszczam, że nie miałeś dzieci. - Nie mogła sobie wyobrazić, by nie miał swego dziecka przy sobie, jak Jean Gastona.

Pierre odwrócił wzrok w noc.

- Te sprawy znajdują się w ręku Boga.

Zapadło milczenie. Ton bębnow stał się niższy. Do ognia dorzucono świeżego drewna, a w górę spiralnie poszybowały czerwone, trzaskające iskry. Skóra tancerzy lśniła od potu. Pozostali przyglądali się im jak zahipnotyzowani albo też otumanieni tafią. Kilka par oddaliło się z chichotem w ciemny las lub na plażę.

Cyrene omiotła wzrokiem krąg ludzi siedzących wokół ognia. Nigdzie nie dostrzegła Rene. Dokąd poszedł, i kiedy? Kiedy dosiadała się do Pierre'a, jeszcze siedział przy ogniu; pamiętała, że go mijała. Bezwiednie spojrzała w kierunku szałasu Małej Stopy, pogrążonego w mroku. Mógł być pusty, ale równie dobrze nie. Raczej jednak był. Zarówno Mała Stopa jak i jej córka siedziały z kobietami na obrzeżach kręgu światła.

- Znasz się na ludziach - powiedziała, nie patrząc na Pierre'a. - Co myślisz o Rene?

- Dobrze go mieć za sobą albo przy sobie - odparł tonem wskazującym na poprzednie zamyślenie - ale niedobrze wchodzić mu w drogę. To człowiek, który najczęściej stawia na swoim, chociaż w razie potrzeby potrafi współpracować z innymi. Widzi wiele, więcej, niż daje po sobie poznać, ale trzyma język za zębami.

- A co z jego podejściem do kobiet? Czy można mu w ogóle ufać?

- Ustatkuje się, kiedy spotka właściwą. Prawdziwe jest powiedzenie, że najwierniejszy mąż to nawrócony hulaka.

- Ale czy ja potrafię go nawrócić?

- A chcesz?

Oczywiście to było podstawowe pytanie, ale Cyrene nie mogła na nie teraz odpowiedzieć, nawet gdyby chciała.

- Jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć - oznajmiła.

- O Lemonnierze?

- Nie, o Touchecie. - W kilku krótkich zdaniach streściła rozmowę z tą gnidą pani Vaudreuil.

- Do stu tysięcy kartaczy, co to za kawał szmaty!

- Czy nie obawiasz się tego, co może zrobić?

Pierre pstryknął palcami.

- Usiłuje nas złapać od kilku dobrych lat, ale jak na razie bez powodzenia.

- Teraz to co innego. Jeszcze nigdy nie zachowywał się tak zuchwale.

- Możliwe, *chere*, że to ty jesteś inna.

Odwróciła się gwałtownie i spytała ostro:

- Co masz na myśli?

- Jesteś bardziej... bardziej. - Machnął ręką w znaczącym geście.

- Chcesz powiedzieć, że prowokuję mężczyzn?

- Nie, nie, ty po prostu wiesz, że jesteś kobietą, a tym samym zmuszasz mężczyzn, żeby też zwracali na to uwagę. Nie ma w tym nic złego, tłumienie tego byłoby sprzeczne z naturą. Tak ma być.

Wiedziała, że miał rację. Sama czuła coś podobnego, chociaż nie wyrażała tego słowami. Przypuszczała, że tę świadomość zawdzięcza Rene, choć mogła też zrodzić się nieco wcześniej. Źródłem niezadowolenia towarzyszącego jej w ostatnich miesiącach mógł być fakt, że stała się kobietą, która pragnie własnego miejsca, własnej przyszłości, własnego mężczyzny.

- Jeśli chodzi o Toucheta, nie sądzę, by dalej cię nękał. Na tę noc wrócił na statek, a słyszałem, jak mówił

Dodsworthowi, że jutro wczesnym rankiem wyrusza do Nowego Orleanu. Gdyby jednak wciąż się Ciebie czepiał, musisz natychmiast powiadomić Rene albo zwrócić się do mnie. Touchet przywykł do tego, że bierze, co chce i kiedy chce, a nikt mu się nie przeciwstawia, ponieważ żona gubernatora siedzi u niego w kieszeni.

Cyrene zmrużyła brązowe oczy.

- Jeśli spróbuje mnie zdobyć, przekona się, że ma na karku więcej, niż sobie życzył.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją Pierre, powoli kręcąc głową. - Jeśli kiedykolwiek miał w sobie jakieś dobro, już dawno się ulotniło. Z wielką przyjemnością narzuciłby ci swoją wolę, mszcząc się, gdybyś się sprzeciwiła, ale z podwójną przyjemnością zemściłby się na Jeanie i na mnie za to, że w przeszłości zrobiliśmy z niego durnia.

Rada brzmiała rozsądnie, toteż Cyrene postanowiła jej posłuchać. Zaczęła jednak dostrzegać, że oddając się Rene, zmniejszyła zakres własnej wolności zamiast go powiększyć.

Do Pierre'a podszedł stary mężczyzna, który chciał wymienić kawał niebieskiego kamienia za beczkę angielskiej tafii. Twierdził, że przed wieloma laty dostał kamień od pewnego Indianina, który przybył z zachodu, gdzie ziemia wznosi się na spotkanie nieba. Cyrene odeszła, kiedy Pierre przekonywał starca, by zachował swój skarb.

Ponownie wyszła z kręgu, choć nie zmierzała w żadnym konkretnym kierunku. Mówiła sobie, że czuje po prostu zbyt wielki niepokój, by usiedzieć na miejscu, ale kroki zaprowadziły ją z powrotem do szałasu. Skórzana zastona powiewała na wietrze. Niedźwiedzia skóra na posłaniu leżała płasko i gładko. Ani śladu Reno.

- Jeśli szuka pani Lemonniera, jest na pokładzie „Półksiężycy”.

Cyrene odwróciła się gwałtownie z okrzykiem, otwierając szeroko oczy. Kapitan Dodsworth stał tak blisko, że jej spódnice ocierały mu się o nogi; czuła bijący od

niego zapach rumu. Pospiesznie cofnęła się o krok, widząc troskę w oczach Dodswortha.

- Przestraszył mnie pan.

- Przepraszam. Nie miałem zamiaru tak się podkra-
dać, ale jest ciemno jak w piekle.

- Mówił pan coś o *monsieur* Lemonnierze?

- Owszem. Sądziłem, że może go pani szukać. Przed
kilkoma minutami powiosłował do mojego statku, po
krótkiej i ostrej wymianie zdań z Touchetem. Sam tam
teraz płynę, ale Pierre wspominał dziś rano, że chciała-
by pani obejrzeć moje towary. Pomyślałem, że zapropo-
nuję pani miejsce w barkasie, jeśli chciałaby pani po-
płynąć teraz. Mogłaby pani wrócić z Lemonnierem.

Czy to możliwe, że Rene kłócił się o nią z Touchetem?
Nie miała pojęcia, skąd wiedział, że agent ją obraził, ale
to nie miało znaczenia; powie Rene, że nie musi się
wtrącać. Propozycja kapitana brzmiała atrakcyjnie, do-
starczy też Cyrene doskonałego pretekstu do odwiedze-
nia statku. Jeśli sytuacja okaże się sprzyjająca, może
dokona też planowanej transakcji.

Podjęła decyzję, nim jeszcze kapitan Dodsworth
skończył mówić.

- Płynmy więc - powiedziała zdecydowanym głosem.

„Półksiężyc” unosił się na falach zatoki jak statek-
widmo, bez świateł, bez żadnych odgłosów, z siwymi
pasmami mgły wokół want i masztów. Oficer pełniący
wachtę wychynął z mroku, pomógł Cyrene wejść na
pokład, po czym odsunął się z szacunkiem, kiedy kapi-
tan wskoczył za nią. Dodsworth skinął głową i polecił,
by przyniesiono dwie beczułki indygo, które wcześniej
przywiozła Cyrene.

- Tędy, *mademoiselle* - powiedział, ujmując ją pod
ramię. - Każę powiadomić Lemonniera o pani przyby-
ciu, a tymczasem rozłożę specjalne towary, które mogą
panią zainteresować.

Cyrene zawahała się.

- Wolałabym pójść prosto do kajuty Toucheta, czy
tam, gdzie według pana jest Rene.

- Moim zdaniem to bardzo nierozsądne - odparł ze śmiechem. - Trudno przewidzieć, na ile nasz przyjaciel może być ubrany, czy raczej rozebrany. Chyba nie chce go pani zawstydzić?

Chodziło mu o to, że Cyrene nie chciałyby się sama zawstydzić.

- Nie dbam o to - stwierdziła. - A jeśli oni walczą? Muszę ich powstrzymać.

- Czyżby? Postąpiłaby pani raczej lekkomyślnie, skoro Touchetowi już od dobrych kilku lat należało się lanie. Skoro jednak pani nalega, każę oficerowi ich rozdzielić. Chodźmy.

Trudno było się oprzeć jego dobremu humorowi i swobodnemu zachowaniu. Cyrene ruszyła za kapitanem, obrzucając jednak pograżony w ciszy statek pełnym wątpliwości spojrzeniem.

Kajuta kapitańska wcale nie była duża; składała się z koi, miski do mycia umieszczonej w małej szafce oraz stołu pod stale kołyszącą się lampą. Cyrene usiadła przy stole na jedynym krześle. Kapitan Dodsworth obszedł stół, wyciągnął małą skrzynkę, którą położył obok Cyrene, po czym się wyprostował.

- Czy wypije pani kieliszek wina? - spytał wesoło. - Mam doskonałą maderę.

Wydawało się, że gdyby odmówiła, mógłby się obrazić, co nie sprzyjałoby mającym się rozpocząć negocjacjom. Zresztą nie lubiła rumu i w ciągu całego wieczoru nie piła prawie wcale.

- Z przyjemnością.

- Dobrze - odparł, uśmiechając się szeroko. - Przyniosę ją, kiedy tylko zobaczę, co z pani przyjacielem. Tymczasem proszę obejrzeć rzeczy w tym kufierku.

Wyszedł tak szybko, że zostawił otwarte drzwi, bujające się na zawiasach. Radość Dodswortha zdawała się przesadna, jak gdyby Cyrene złożyła mu jakąś obietnicę. Patrzyła za nim, marszcząc brwi. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z tym człowiekiem bez towarzystwa Pierre'a lub Jeana. To, co wiedziała o Dodsworcie, podobało

się jej, ale nie wiedziała wiele. Lecz przecież człowiek, który tak otwarcie mówił o żonie i dzieciach, nie zinterpretowałby mylnie faktu, że przyjęła jego zaproszenie na statek. Nie, to głupie. Rene znajdował się w pobliżu, miał się zaraz pojawić. Była bezpieczna. Czowała się na tyle pewnie, by podśmiewać się w duchu z własnej zależności od pogardzanej opieki Rene.

Odsunęła nieco krzesło i schyliła się, by spojrzeć na zamek skrzynki. Okazał się prosty, ustąpił bez oporu. Podniosła wieko, odchyliła i zamarła oczarowana.

W kuferku leżały migoczące, iskrzące się perły, szafiry, akwamaryny i topazy w formie broszek, pierścionków, ozdób do włosów, guzików; delikatne szkło weneckie w barwach drogich kamieni; srebrne lustra oprawione w porcelanę, ozdobione namalowanymi różami i cherubinami; maleńkie fiołki na perfumy z kolorowego szkła, ze srebrnymi zakrętkami; pajęczne koronki obramowane złotą i srebrną nitką; zwoje lśniących, tęczyowych wstążek. Nie znajdował się tam ani jeden przedmiot, który nie byłby piękny, rzadki i niewiarygodnie drogi. Jeśli Dodsworth przeznaczył te wyroby na wymianę, mogły one zaspokoić wymagania markizy lub kurtyzany.

Cyrene zamknęła wieko z głośnym stukotem. Rzeczy, których, potrzebowała, nie miały nic wspólnego z zawartością kuferka, o czym kapitan Dodsworth musiał dobrze wiedzieć. Nie miała pojęcia, po co pokazywał jej te drogocenne wyroby; oparła się, z rękami na poręczach krzesła, i zmrużonymi oczami patrzyła na drzwi, czekając na jego powrót.

Nie kazał na siebie długo czekać. Przyniósł dwa kieliszki i omszałą butelkę. Podeszedł do stołu i zaczął nalewać rubinowy płyn.

- No i co pani myśli? - spytał, posyłając jej szybki uśmiech.

- O rzeczach w skrzyni? Sądzę, że nie są na moją sakiewkę.

- Nonsens! Nie są niczym wyjątkowym.

- Może nie dla pewnych ludzi, ale niezależnie od faktu, że Indiankom bardzo by się te ozdoby spodobały, wszystkie razem nie mają chyba dość plecionych koszy i sproszkowanych ziół, które równałyby się wartości dziesiątej części tych luksusów.

- Czy nie ma pani wyższych ambicji niż Indianki?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Założmy, że pokazałaby pani te rzeczy damom z otoczenia gubernatora. Czy nie mogłyby sobie na nie pozwolić?

- Przypuszczalnie tak. Ale musi pan zrozumieć, że ja nie byłabym w stanie panu za nie zapłacić.

Wręczył jej kieliszek, upił łyk ze swojego, zanim powiedział:

- Moglibyśmy zawrzeć umowę.

- Jakiego rodzaju? - spytała podejrzliwie Cyrene.

- Umowę, która, powiedzmy, przyniosłaby korzyść nam obojgu.

Możliwe, że nie miał na myśli ani mniej, ani więcej ponad to, co powiedział. Ale czy rzeczywiście?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem.

- Ja dostarczę towarów, pani je sprzeda. Zyski podzielimy równo między sobą.

- To bardzo hojna oferta.

- Oferta, która obiecuje wspaniałe zyski. Francuskie damy przepadają za świecidełkami. Proszę wziąć na przykład te perfumy. - Sięgnął do kufra po fiolkę, wyjął korek, a wewnątrz kajuty wypełnił bogaty, odurzający zapach róż damasceńskich.

Cyrene wykonała szybki, lekceważący ruch ręką.

- Perfumy mogą bez problemu kupować we Francji.

- Tak, ale jakoś tego nie robią. Jestem przekonany, że skorzystają z okazji, by je kupić, szczególnie jeśli zobaczą ozdoby na kimś takim, jak pani.

- Na mnie? To wykluczone, wyglądałyby śmiesznie w zestawieniu z moim zgrzebnym ubraniem.

- Dałbym pani kilka sukni. Sprawiłoby mi to wielką przyjemność.

- Oczywiście, na użytek naszych interesów.

Uśmiechnął się, słysząc jej suchy ton, pewien, że pojęła znaczenie jego słów, przekonany, że dojdą do porozumienia.

- Niezupełnie.

- Rozumiem. - Wstała i obeszła stół. - Obawiam się, że muszę odrzucić pańską ofertę.

Kapitan Dodsworth chwycił ją za ramię.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- To chyba oczywiste. - Spojrzała ostro na palce oplatające jej ramię, ale Dodsworth nie cofnął ręki.

- Nie dla mnie. Najwyraźniej przyjaźnisz się z Lemonnierem, nie mówiąc już o Bretonach. Aż do tego roku trzymałem się z daleka, bo nie uśmiechało mi się wchodzenie w drogę Pierre'owi i Jeanowi, ale skoro oni cię wypożyczają...

Cyrene wyrwała się z uścisku i cofnęła o krok.

- To podłe, co pan mówi!

- Nie chciałem pani obrazić - zapewnił, idąc za nią. Jego wzrost i pewność siebie budziły lęk. - Jestem wdzięczny Bretonom za to, że panią znaleźli i tutaj przywiedli. Wydaje się, że tak chciał los. Pani jest kobietą, o jakiej zawsze marzyłem; czekałem, pragnąc pani, chyba przez wieki. Podziwiam panią, myślę, że doskonale by się nam razem pracowało, ale przede wszystkim pragnę pani.

- Nie miałam pojęcia, ale to bez znaczenia. Nie jestem na sprzedaż!

- Nie chcę pani kupić. Chcę panią kochać. - Wyciągnął ręce, żeby wziąć Cyrene w ramiona.

Uchyliła się, ramieniem wytrącając mu fiolkę z ręki. Płyn polał się na przód jej bluzki, przepajając Cyrene obezwładniającym zapachem róż, szklane naczynko spadło z brzękiem na podłogę i potoczyło się pod ścianę. Cyrene okręciła się i ruszyła za nim, ponownie cofając się przed powoli następującym Dodsworthem.

- Nie chcę być kochana! - oświadczyła, energicznie potrząsając głową.

- Pani się tylko droczy. Usiądźmy i omówmy tę sprawę.
- Nie mamy nic do omawiania.

Skoczyła do drzwi i otworzyła je, ale Dodsworth był tuż za nią. Zatrzaskał drzwi, po czym zamknął Cyrene między rękami, opartymi o ścianę.

- Porozmawiajmy o tym, co teraz zrobisz - powiedział z triumfalnym rozbawieniem.

- Może na początek to - odparła, odwracając się i uderzając go pięścią w podbródek. Zapiekły ją kostki, ale z przyjemnością poczuła, jak skóra pęka od ciosu.

Dodsworth cofnął się oszołomiony. Nie czekając na jego reakcję, Cyrene szarpnęła drzwi i wypadła na ciemne zejście prowadzące na pokład. Za plecami usłyszała ryk wściekłości. Pognała w mrok. W uszach łomotał jej odgłos własnych kroków i bicie serca, które tłumiło ciężkie dudnienie kroków kapitana. Wspięła się na krótką drabinę i wypadła na pokład. Nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo, podbiegła do burty i podciągnęła się, gotowa zbiec po drabinie do łodzi, kołyszącej się w dole na falach.

- Cholera, Cyrene, zaczekaj!

W głosie Dodswortha zabrzmiała pogroźka, ale i ochryple pożądanie. Nie odpowiedziała.

Odpowiedział Rene.

- Zaczekaj na co? - spytał, a sylaby były najeżone tak lodowatymi odłamkami groźby, że Cyrene stanęła, a kapitan Dodsworth zamarł bez ruchu.

Przez drzwi wpadał z dołu słaby blask lampy, rzucając na pokład cienie dwóch mężczyzn, długie, ciemne i groźne. Przez pewien czas jedynym odgłosem było skrzypienie statku i ciche plaskanie liny gdzieś na dziobie.

- Myślałem, że odpłynąłeś - powiedział kapitan, wpatrując się w Rene, a jego słowa zabrzmiały jak beczenie zaskoczonej owcy.

- Robiłeś wszystko, żeby się mnie pozbyć. Teraz rozumiem dlaczego.

Wymiana zdań dowodziła, że Dodsworth nie spodzie-

wał się spotkać Rene, a zatem nie powiedział mu o przybyciu Cyrene na statek. Cyrene zatkało od takiej perfidii, zwłaszcza że uważała kapitana za przyzwoitego ojca rodziny i uczciwego partnera w negocjacjach handlowych. Nie był lepszy niż Touchet, nawet gorszy; Touchet nie krył się za maską czcigodności.

Rudy mężczyzna oblizał wargi.

- To... to nie jest to, co myślisz.

- Nie? Powiedz mi, co to jest - poprosił Rene.

- Cyrene nie poznała się na żarciku.

- Żarciku? - spytała z niesmakiem. - Gdybym była mężczyzną, wbiłabym ci zęby do gardła.

Rene patrzył to na zakrwawione usta Dodswortha, to na Cyrene.

- Wygląda na to, że ktoś już próbował. Przypuszczam, że ty?

- Ja.

- Czy żądasz, żebym dokończył?

- Żądam? - Spojrzała na Rene z zaskoczeniem.

- Niektóre kobiety tego żądają.

Czy walczyłyby z Dodsworthem w jej imieniu? Czy zostałaby jej rycerzem? Stał na lekko rozkołysanym pokładzie, z mocarnymi ramionami, z twarzą skupioną i pociemniałą, może od poczucia winy; oferował jej tę przysługę, jakby nie było to nic więcej niż podniesienie upuszczonej chusteczki. Nie dostrzegła jednak na nim śladów walki z Touchetem, a przecież podobno w tym celu udał się na statek.

- Nie należę do niektórych kobiet - oświadczyła.

Rene zaśmiał się krótko.

- W takim razie idziemy?

- Cyrene, nie odchodź - poprosił kapitan Dodsworth.
- Twoje indygo wciąż tu jest.

- Niech pan je przyśle rano.

- Ale nasze interesy...

- Albo jego równowartość.

- Proszę dać mi szansę złożenia przeprosin.

Spojrzała na niego bez uśmiechu.

- Jeśli znajdą odbicie w towarach, które mi pan przysłał, będę wiedziała, że są szczerze.

Cyrene przeszła przez burzę i zrezygnowała z łodzi. Rene zajął miejsce obok niej, po czym w milczeniu popłynęli do brzegu. Kiedy stanęli przed szałasem, Rene wyciągnął rękę, zagradzając wejście.

- Czy zechcesz mi wyjaśnić, o co tam chodziło? Sądziłem, że masz dość rozumu, by nie wybierać się tam samotnie, i to w nocy.

Oskarżycielski ton Lemonniera podziałał na Cyrene jak czerwona płachta na byka; jej nerwy były jeszcze napięte po strachu, jakiego napędził jej Dodsworth.

- A zatem się myliłeś, prawda? Proszę, proszę!

- Możliwe, że się myliłem co do kilku spraw. Co miałaś na myśli, mówiąc mi o towarach, które ma ci przysłać? Czy zapłaciłaś mu za nie w naturze?

- Jak śmiesz!?

Zacisnęła pięść, unosząc ją do ciosu, ale zanim zdążyła jej użyć czy choćby upewnić się, że ma taki zamiar, Rene chwycił ją za przegub i przyciągnął ku sobie.

- Na twoim miejscu bym nie próbował. Nie jestem Dodsworthem.

Cyrene powstrzymała się od grymasu bólu, jaki sprawiał jej uścisk Rene.

- Och, dobrze o tym wiem. Nie wiem natomiast, dlaczego uważasz, że masz prawo mnie przesłuchiwać. A jeśli wymienisz słowo „opiekun”, pokażę ci parę sztuczek, których nie musiałam użyć w przeprawie z kapitanem!

- Sztuczek ładacznic?

Cyrene zatkało.

- Dlaczego wszyscy mężczyźni biorą samotną kobietę za dziwkę? - spytała z gorzką wściekłością.

Rene znieruchomiał. Spojrzał na bladą, dumną twarz okoloną jasnymi włosami, zmierzwionymi przez wiatr i szamotaninę na statku; blask ogniska tworzył wokół głowy Cyrene aureolę. Patrzył na nią i rozpoznawał w sobie zżerające go czarne namiętności zazdrości i lę-

ku. Zazdrość budziły w nim nawet spojrzenia, jakie posyłali tej kobiecie inni mężczyźni. Lękiem napawała Rene jej bezbronność wobec mężczyzn i ich ohydnych żądź, które on sam wywołał. Zżerała go zazdrość, ponieważ jakiś mężczyzna mógł sięgnąć po wdzięki, których on sobie odmówił. Bał się, że nigdy nie przeżyje odmowy. Soczysty zapach róż zmieszany z unikalnym, słodkim aromatem Cyrene owładnęły Rene jak prześladowające wspomnienie jaskrawego, przeraźliwego bólu.

Samotny Indianin nucił przy ognisku, akompaniując sobie na bębnie w ostrym rytmie, identycznym do rytmu serca Rene. Pieśń, którą nucił, była lamentem.

Puścił Cyrene i spytał, z trudem panując nad głosem:

- Dodsworth?

- I Touchet - odparła z pogardą. - Powiedziano mi, że popłynąłeś na statek, żeby dać nauczkę tej kreaturze.

- Za molestowanie cię?

- Za próbę. Wydaje się, że o tym myślą wszyscy mężczyźni.

- Również ja.

Słowa Lemonniera zawisły między nimi. Nie chciał ich wypowiedzieć. Wskoczyły z najgłębszych zakamarków jego duszy, a teraz czekał, z tęsknotą i przerażeniem, na reakcję Cyrene.

Uniosła podbródek i powiedziała z chłostającą wzgardą:

- Zwłaszcza ty! Może już teraz pragniesz zapłaty za ochronę? Może takiej wdzięczności oczekujesz za swój wspaniały gest? Czy tak, mój szarmancki obrońco?

- A zapłaciłabyś? - spytał, patrząc na nią tak, jak człowiek, który sprawdza granice własnego opanowania.

- Kto wie? Zapewniam cię, że doceniam twoje usługi. Jeszcze kilka gróźb, a może rzucę ci się na szyję z drżeniem i błaganiem. O tak. - Podeszła, zaplotła dłonie na karku Rene i przytuliła się do niego. Oczy przepełniała jej złość, i coś jeszcze, co rozlewało się po ciele, powodując nieznośne swędzenie.

Rene nie poruszył się, nie drgnął mu choćby jeden mięsień. Nie odwrócił też wzroku przed jej prowokującym spojrzeniem.

- Podobna zapłata, rzecz jasna, zadowoliliby mnie.
- Tak też sądziłam.

Powieki opadły jej z ociężałością, która nie była całkowicie udawana; przyglądała się Rene spod rzęs. Nie miała pewności, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego zimnego braku reakcji. W końcu zniecierpliwienie wzięło górę.

- Ale może ty chcesz tylko tego, czego nie możesz mieć? Słyszałam, że są tacy mężczyźni. Nie ceniają tego, co dostają za darmo.

Z piersi Rene wydarł się śmiech całkowicie pozbawiony wesołości; chwycił Cyrene za przeguby i odciągnął jej ręce od szyi.

- Gdybym nie myślał, że zjeżysz się jak kot na widok węża, zaprowadziłbym cię tam do środka, zdjąłbym z ciebie wszystko, a potem okryłbym pocałunkami twoją miękką skórę od czoła do palców stóp. Skosztowałbym twoich ust i piersi, wypiłbym samą esencję. Zabrałbym cię ze sobą w świat radości i dotarłbym do samego rdzenia twojej istoty, gdybyś mi pozwoliła. Ale sądzę, że nie zrobiłabyś tego, toteż i ja nie uczynię.

Cyrene zalała fala irytacji połączonej z dziwnym, bólowym żalem. Ściągnęła usta w wąską linię i odsunęła się od Rene. Szarpnęła rękami, a on puścił ją natychmiast, z gestem podkreślającym jego całkowity brak zaangażowania.

- Gdybyś spróbował - wycedziła - z twoich oczu zrobiłabym sobie guziki do bluzki.

- Nie wątpię - odparł, skłonił się, po czym zanurkował pod skórzaną zasłonę. Tam, skryty w ciemnościach, klęknął na kolano, ściskając kłykcie tak długo, aż ból stał się antidotum na burzę pożądania. Czuł na dłoniach zapach róż.

Cyrene stała przed szafasem niezdecydowana. Nie mogła potulnie wejść za nim i położyć się obok; nie

potrafiłaby ukryć przed Rene swojej dzikiej żądzy; rozpoznałby ją natychmiast, gdyby przypadkowo dotknęli się w nocy. Nie mogła też jednak wrócić do ogniska, udając, że nic się nie stało, że wszystko było jak przedtem. Powoli osunęła się na piasek, plecami do szałasu. Wpatrzyła się w ciemną, falującą powierzchnię wody, wstrząsana uderzeniami własnego serca.

Po pewnym czasie wydało się jej, że gdyby tylko odgłos bębna i lament Indianina ustały, gdyby przestał powtarzać echem jej wzburzenie, zdołałaby wrócić do czasu przed wyłowieniem z rzeki na wpół utopionego człowieka, przed opuszczeniem Nowego Orleanu, przed nocą, kiedy zrozumiała, że zakochała się w hulace i utracjuszu, znanym jako Rene Lemonnier. Dzika, żalotna pieśń nie ustała. Nadal wdzierała się w noc, kiedy, zeszywniała od narastającego zimna, wyczerpana emocjami, wczołgała się do szałasu i położyła się obok Rene. W końcu zasnęła, a pieśń wciąż pulsowała, splatając się z jej gorączkowymi snami.

Kiedy obóz zaczął się budzić, na plaży znaleziono stertę towarów. Przypięto do nich fakturę wystawioną przez kapitana Dodswortha na nazwisko Cyrene. Na spokojnej powierzchni zatoki nie widać było ani śladu „Półksiężycy”; statek zniknął korzystając z porannego odpływu.

Pierre i Jean zwinęli obóz wcześniej, mówiąc, że chcą wyruszyć przed Choctawami. Chwilowo nie wydawało się to trudne; po świętowaniu do późnych godzin nocnych, po wielu kolejkach rumu i tafii Indianie ledwo się ruszali. Jediną rzeczą, jaka mogłaby wyrzucić na nich wrażenie przed południem, byłby atak Chickasawów.

Należało się pożegnać i wysłuchać słów pożegnania, wymienić się podarunkami oraz umówić się na przyszłe spotkanie. Minęło parę godzin, zanim Bretonom pozwolono wreszcie odpłynąć. Pomachali po raz ostatni, a następnie skierowali pirogi na wodny szlak prowadzący przez bagna na północ. Łodzie były wyładowane aż po

szorstko ciosane okrężnice, tak że po każdym zamachu wiosła, każdym ruchu do przodu, zdawało się, że trzeba będzie wyrzucić część towarów za burtę. Jednak lustro wody znajdowało się zawsze o włos niżej. Pozostawali susi, choć nieco stłoczeni. Podobnie jak wcześniej, Pierre, Cyrene i Rene płynęli w prowadzącej pirodzie, a Jean z Gastonem za nimi.

Prąd, choć nadal leniwy jak zwykle na równinach poniżej poziomu morza, był im przeciwny. Nie mieli wielu okazji do rozmowy czy śpiewu, całą energię poświęcając wiosłowaniu. Wiosła wznosiły się i opadały harmonijnie, zagłębiając się w brązową, błotnistą wodę, miotając w przód migoczące kropelki. Ruchy stały się monotonne, przestały męczyć. Podróżnicy zostawiali za sobą kolejne kilometry.

W południe zatrzymali się na posiłek na kolejnej *cheniere*, ale nie zabawili tam długo. Podróż w górę rzeki musiała zająć im więcej czasu niż w dół; wkrótce ruszyli dalej. Mijały godziny. Zostawiali za sobą ślad pełen bąbelków, które wciąż uciekały w tył. Wypłynęli z bagien, kierując się do węższej, bardziej krętej zatoczki. Krótki zimowy dzień zaczął się chylić ku końcowi.

Właśnie o tej godzinie, kiedy słońce zachodzi, a światło nabiera melancholijnie błękitnego odcienia przetykanego złotem, na brzegu pojawił się człowiek. Wyłonił się z mirtowych zarośli, wołając i machając ręką. Tuż przed nim, przy brzegu zatoczki, sterczał w górę dziób pirogi, jak gdyby zatonała od rufy. Jeszcze jeden zamach wiosła, a twarz mężczyzny stała się wyraźnie widoczna. Był to Touchet

Rene siedzący na dziobie pirogi spojrział pytająco na Pierre'a. Odpowiedź mogła być tylko jedna. *Voyageur* nie zostawiał człowieka porzuconego w dziczy, podobnie jak statek przychodził na pomoc rozbitkowi, bez względu na to, jakim był łotrem.

Obie pirogi ruszyły do brzegu. Touchet wołał, że cieszy się na ich widok, i jak bardzo liczył na to, że przypląną, przeklinał swój pech, dziękował swoim świę-

tym patronom. Wysoki, przenikliwy głos Francuza niósł się po wodzie, uciszając wszystkie stworzenia. Równomierne, ciche ruchy wiosła wydały się im głośnie. Nic się nie poruszało w niebieskiej poświacie, kiedy słońce skryło się za drzewami, a cienie kładące się wzdłuż brzegu pociemniały. Nic poza Touchetem, który stał z ręką opartą na biodrze, a drugą przywoływał ich ku sobie.

- Nie podoba mi się to - mruknęła Cyrene, praktycznie do siebie. Przestała wiosłować, oparła wiosło o kolano i lustrowała brzeg zmrużonymi oczami.

Nic tam nie było widać. Łodzie podpływały coraz bliżej i bliżej. Dziób pierwszej pirogi, w której płynęli Cyrene, Rene i Pierre, dobił do brzegu. Rene wyskoczył, chlapiąc płytką wodą, po czym schylił się, by wyciągnąć pirogę dalej na ląd. Druga łódź wślizgnęła się na brzeg siłą bezwładu.

Właśnie wtedy z mirtowych zarośli wyłonili się francuscy żołnierze. Mundury wyblakły im pod podzwrotnikowym słońcem, zmieniając się z niebieskich w szare; były albo poszarpane, albo pouzupełniane częściami umundurowania pół tuzina innych armii. Żołnierze byli niscy, brakowało im dyscypliny, czemu dali wyraz swym bezładnym natarciem, ale muszkiety trzymali gotowe do strzału.

Touchet zrobił zamaszty, teatralny gest.

- Oto komitet powitalny, przyjaciele! Wszyscy jesteście aresztowani za przemyt. Bądźcie tak dobrzy, wyjdźcie na brzeg i poddajcie się. Nawet urocza Cyrene. Zwłaszcza urocza Cyrene!

10

To była pułapka.

Gdyby w nią wpadli, żołnierze aresztowaliby ich za przemyt, a dowodów nie musieliby nawet szukać. Kara była zbyt straszna, by mogli się z nią pogodzić.

Pod wpływem natychmiastowego impulsu Cyrene wbiła wiosło w błotniste dno rzeki. Piroga przestała się posuwać do przodu, zaczęła sunąć w tył. Cyrene poczuła, że Pierre także zaczyna wiosłować; łódź znowu spłynęła na wodę.

Rene stał po kostki w wodzie między pirogą a żołnierzami, z niezdecydowaniem malującym się na twarzy. Cyrene krzyknęła, a głos łamał się jej ze strachu:

- Wsiadaj! Wsiadaj do łodzi!
- Wracajcie - odkrzyknął. - Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Stojący za nim Touchet zwrócił się do żołnierzy.

- Na moją komendę otworzycie ogień.
- Nie! - Rene obrócił się gwałtownie na pięcie. - Nie, ty partacki głupku!

Jego głos zabrzmiał jak rozkaz, który, co dziwne, został wysłuchany, choć Touchet mruknął coś, czego nie dosłyszeli.

Rene skoczył za pirogą, sięgając do dziobu. Nie zamierzał wsiąść, ale wciągnąć ich z powrotem na ląd. Cyrene ujrzała, jak chwyta pirogę, domyśliła się jego zamiaru. Na krótką, przykrą chwilę, jej umysł przestał pracować; widziała, jak żołnierze obniżają muszkiety.

- Zdrajca! - krzyknęła nagle z wściekłością.

Padła na kolana, wyciągnęła zabłocone wiosło i z całej siły pchnęła nim w pierś Rene. Puścił pirogę i złapał wiosło, by utrzymać równowagę. Pchnęła jeszcze raz, na koniec puszczając wiosło, kiedy piroga ruszyła w tył.

Rene zachwiał się, tracąc równowagę. Pierre wiosłował energicznie, a długa, wąska łódź wypłynęła na środek rzeki. Wioślarski instynkt Pierre'a kazał mu zawrócić i skierować pirogę w kierunku, z którego przyплыли.

- W dół rzeki - krzyknął starszy z Bretonów do Jeana.
- Tam za zakrętem na pewno czeka ich barkas.

Na brzegu odnogi Rene wydawał rozkazy. Żołnierze rozciągnęli się w tyralierę i puścili się pędem. Touchet, miotając przekleństwa, wyrwał muszkiet z rąk jednego z maruderów, złożył się i wypalił.

Odgłos wystrzału potoczył się po wodzie. Zanim doszedł do pędzących łodzi, rozległ się wysoki krzyk. Cyrene skrzywiła się, ale nie przestała wiosłować. Zaryzykowała spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że nad wodą unosi się szary dym, a Touchet leży na ziemi, gładząc dłonią szczękę. Rene i żołnierze pognali ku ukrytej łodzi.

Schylenie, zanurzenie, pociągnięcie. W morderczym wysiłku pędzili po wodzie, oddalając się od miejsca pułapki. Przed nimi rozciągało się kręte zakole, które ścięli, by zaoszczędzić czas.

W tyle rozległ się krzyk. Obejrzel się i zobaczyli, jak spoza dymu wypływa barkas pełen żołnierzy napierających na długie wiosła. Pracowali harmonijnie, a obciążona łódź sunęła po powierzchni zatoczki jak wodny owad w rynsztoku. Na widok ściganych żołnierze zaczęli wrzeszczeć, a łódź pomknęła szybciej.

Dwie pirogi wyrwały do przodu, bo strach dodał sił Bretonom. Cyrene sięgnęła po wiosło Rene, zajęła miejsce i znowu wciągnęła się w rytm: schylenie, zanurzenie, pociągnięcie. Minęli zakole i ukryli się pośród drzew.

Cyrene spojrzała pospiesznie na Pierre'a, który nie-

spokojnym wzrokiem lustrował brzeg. Zanim zdążyła się odezwać, Jean zawołał z sąsiedniej pirogi:

- Opuszczamy odnogę?

Pierre skinął krótko głową.

- Może za następnym zakrętem.

- O ile nam się uda! Jeśli puścimy pirogi z towarami, Touchet popłynie za nimi.

- Pewnie tak, ale dowództwo sprawuje Lemonnier.

Jean wzruszył ramionami; optymizm nigdy go nie opuszczał.

- Możemy mieć tylko nadzieję.

Według Cyrene ich szanse były marne. Większa łódź z załogą, która liczebnie ich przewyższała, posuwała się tak szybko, że mogła ich dogonić, zanim zdążyliby wcielić w życie plan Pierre'a. Towary stanowiły ważny dowód i rządowi żołnierze musieli je dostać w ręce, ale równie dobrze mogli to zrobić po schwytaniu uciekinierów. Nawet gdyby udało im się dobić do brzegu, nic nie przeszkadzało żołnierzom puścić się za nimi w pościg. Nic też nie mogło ich powstrzymać od strzelania. Dotychczas Rene nie pozwalał im tego robić, być może ze względu na nią, ale nie mogli oczekiwać, że zrobi to znowu, o ile pragnął, by misja zatrzymania przemytników zakończyła się powodzeniem.

Dlaczego? Dlaczego Rene podjął się takiej misji? Pytanie to kołatało w umyśle Cyrene. Odpowiedź była oczywista, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłaby ją od siebie odsuwać. Rene, podobnie jak Touchet, był człowiekiem markizy, jej szpiegiem i fagasem. Pani Vaudreuil nie miała zamiaru znosić konkurencji w handlu z Anglikami, a poza tym jej mąż musiał przynajmniej udawać, że stara się położyć kres temu procederowi. Dlatego też Rene, zaczepiwszy się u Bretonów, otrzymał rozkaz wciągnięcia-ich w pułapkę markizy. Zrobił to, wspierany przez Toucheta, a ona mu w tym pomogła. Dobry Boże, pomogła mu.

Pierre sięgnął do jakichś niezwykłych rezerw energii; Jean, nie chcąc zostać w tyle, zwiększył wysiłek,

a Cyrene i Gaston robili, co mogli. Pirogi mknęły po wodzie, ledwo dotykając powierzchni. Błyskawicznie minęli kolejne zakole. Jeszcze kilka pociągnąć wiosł, po czym skierowali dzioby ku brzegowi i wpłynęli pod zwisające gałęzie wierzb.

Pogoń mogła w każdej chwili wypłynąć zza zakrętu. Nie było czasu na opłakiwanie drogich towarów; mieli zaledwie czas, by chwycić worek z jedzeniem i wyskoczyć na brzeg. Odepchnęli pirogi, które popłynęły z prądem, kołysząc się lekko, oddalając się od miejsca lądowania.

Trzej Bretonowie i Cyrene nie czekali, by odprowadzić je wzrokiem. Skoczyli w bagnisty las porastający brzegi zatoczki. Zwinni i cisi jak Indianie, od których nauczyli się leśnych sztuczek, zniknęli pośród drzew.

Ocaliło ich szybkie nadejście ciemności, na które liczył Pierre, obmyślając plan ucieczki. Usłyszeli, jak żołnierze przybijają do brzegu, jak Rene wydaje rozkazy, po czym rozpoczynają się nieporadne poszukiwania. Nie trwały długo. Minęło pół godziny łażenia to tu, to tam z pochodniami, zapadania się po kolana w błoto w miejscach sprawiających wrażenie twardej ziemi, strzelania do nie istniejących zwierząt i do siebie nawzajem w gęstniejącym mroku i narastającym zimnie, po czym wydano rozkaz do odwrotu. Pogoń cofnęła się, odgłosy ucichły w oddali. Żołnierze wrócili na brzeg, gdzie rozpalili ognisko, by ugotować kawę i fasolę. Ogień płonął wysoko, jak odległa latarnia morska.

Uciekinierów spowiła ciemność i wilgotny chłód zimowej nocy. Cyrene, Pierre, Jean i Gaston ruszyli przez rozległe bagna, zostawiając ognisko możliwie jak najdalej za sobą.

Dopiero po dwóch dniach wyszli z mokradeł. Z bolącymi stopami, pogryzieni przez insekty, zbliżyli się do jakiegoś domu na plantacji. Nie wiedząc, na jaką skalę zarządono pościg, nie mogli się ujawnić i prosić o pomoc. Poczekali do nadejścia nocy, oszukując głód ostat-

nimi garściami suszonej *sagamite*. Pod osłoną mroku odszukali i pożyczili sobie małą żaglówkę, zacumowaną na brzegu zatoczki. Kiedy wzeszło słońce, spali w hamakach na swojej łodzi.

Nie zarządzono żadnej pogoni. Bretonowie przypuszczali, że to dlatego, że nie zostali schwytani z towarami. Gubernator mógł ich aresztować na podstawie zeznań Rene, a następnie torturować tak długo, aż przyznaliby się do winy, jednak tego nie zrobił. Pierre, zawsze cyniczny, twierdził, że gubernator czeka na dowody, by móc ich ukarać ku przestrodze innych. Jean oświadczył, że nie mieli się czym martwić; już nigdy nie zostaną schwytani, ponieważ nie mieli środków na kontynuowanie handlu.

Prawda, jaka kryła się w tym żarcie, przynosiła niewielką ulgę. Stracili źródła dochodów; czekał ich ciężki rok. Ponieważ towary uzyskane od Anglików wpadły w ręce rządu francuskiego, Bretonowie musieli się nająć do pracy za grosze, w porównaniu z tym, co zarobiliby na handlu. To niesprawiedliwe, że mówiono im, od kogo mogli kupować i komu sprzedawać; przecież od ich działalności zależało czasem, czy jakaś rodzina będzie się miała w co ubrać i co włożyć do garnka. Niech rząd wtrąpa się w inne sprawy. Niech król i ministrowie zajmą się czymś ważniejszym, na przykład piratami w Zatoce czy stałym naporem angielskich farmerów od strony obu Karolin.

Jeśli Cyrene i Bretonowie zastanawiali się, co robi teraz Rene, nie pozostawiono ich długo w nieświadomości. Wrócił do swego dawnego zajęcia: towarzyszył pani Vaudreuil podczas zabaw tanecznych. Widywano go razem z jego sponsorką w jej powozie, gdy eskortował markizę na rozmaite przyjęcia i bale, pełnił funkcję szambelana podczas absyntowych wieczorków, które lubiła urządzać w rządowej rezydencji. Epitet pochlebcy był najłżejszym z tych, jakimi zaczęto określać tego człowieka, który wysługiwał się kobiecie mogącej być jego matką. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że Lemonnier

znajdował się w centrum wszystkich istotnych wydarzeń w Nowym Orleanie.

Cyrene czuła do niego pogardę. Nie mogła spokojnie słuchać jego nazwiska. Myśl o tym, jak wykorzystał i zdradził obu Bretonów i ją, płonęła jej w głowie jak rozżarzony do czerwoności węgiel. Wspomnienie o tym, jak mu się kiedyś oddała, a potem o mały włos nie zrobiła tego ponownie, sprawiało dziewczynie pełen wstydu ból; darzyła Rene morderczą wzgardą. Właśnie ta wściekłość oraz wyobrażenia o zemście dodawały Cyrene sił na bagnach podczas ucieczki.

Prześladowały ją jednak nie tylko mściwe obrazy, ale i wspomnienia o Rene: to, co mówił, jego wygląd, smak pocałunków, dotyk pieśczoł. Tęskniła za nim, było to uczucie tyle kłopotliwe co nieoczekiwane. Niekiedy podnosiła wzrok od wykonywanej czynności, pragnąc go zobaczyć na podłodze swej kliteczki, wiedząc jednocześnie, że to niemożliwe.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek o niej myśli, czy żałuje czy może jest tylko zirytowany, że jego plan się nie powiódł. Wyobrażała sobie, jak rozmawia o niej z panią Vaudreuil, naśmiewając się z naiwności Cyrene, z jej niezręczności, braku doświadczenia, gorliwości. Widziała oczami wyobraźni, jak uśmiecha się do innych kobiet, prawi im komplementy, bierze je do łóżka. Wyobrażała sobie też Rene w obecności starzejącej się gubernatorowej, jak spełnia jej żądania, czy to w salonie czy w buduarze, chyląc przystojną głowę w uśmiechniętym przyzwoleniu.

Umysłowe wzburzenie odbijało się na nastroju Cyrene, sprawiając, że warczała na Pierre'a, Jeana i Gastona. Dni wypełniała zajęciami, które wyczerpywały jej ciało i umysł, pozwalając jej w nocy spać. Czasem jednak myślała, że nie zazna spokoju, póki Rene nie zapłaci za wyrządzoną im krzywdę. Chciała, żeby cierpiał. Problem polegał tylko na znalezieniu sposobu.

Zobaczyła go w tydzień po powrocie. Cyrene pozwoliła pójść na targ bez ochrony, ale sprawiało jej to

znacznie mniej satysfakcji, niż miałyoby to miejsce zaledwie przed kilkoma tygodniami. Płaszcz, który dostała od Rene, wymieniła na zadowalającą ilość jedzenia i ubrań, po czym ruszyła w drogę powrotną przez Place Royale. Rene wyszedł z baraków po przeciwnej stronie placu. Szedł obok oficera w mundurze, pogrążony w rozmowie. Wyszli spod galeryjki, skręcając w kierunku kościoła.

Cyrene zatrzymała się gwałtownie. Być może ten nagły brak ruchu zwrócił uwagę Rene. Podniósł wzrok, powiedział coś do oficera, który się oddalił, po czym zbliżył się powoli do Cyrene.

Miał na sobie aksamitny płaszcz koloru ultramaryny ze srebrnymi, plecionymi guzikami. Pod spód założył czarno haftowaną atłasową kamizelkę tej samej barwy i czarne spodnie. Upudrowaną perukę, na którą włożył trójgraniasty kapelusz z małym, czarnym piórkiem, związał z tyłu czarną wstążką, a na nogach miał buty ze srebrnymi klamerkami. Trzymał długą, mahoniową laskę i chusteczkę obszytą koronką, którą przełożył do lewej dłoni, zdejmując kapelusz i składając przed Cyrene pokłon.

Nie czekając, aż się wyprostuje, Cyrene zamierzała go wyminąć, jednak Rene zwinnie ją uprzedził.

- Tylko jedną chwilkę, Cyrene. Słyszałem, że wróciłaś. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to ucieszyło.

- Tak, jestem pewna - odparła z wściekłością. - Rzekę tak pracowicie przeszukiwałaś powodowany oczywiście troską o nas.

- Rozumiem, że nie uwierzyłabyś mi, gdybym to potwierdził.

- Cóż za spryt.

Rene patrzył na nią w milczeniu. Wyglądała wspaniale. Nienawisć, jaką do niego pałała, iskrzyła się w ciemnobrązowych oczach, a gniew zarumienił policzki. Nosiła się jak cesarzowa, głowę trzymając wysoko, a piersi napinały stanik przy każdym głębokim, gniewnym oddechu. Zapragnął porwać ją w ramiona, zabrać w jakieś miejsce, gdzie mógłby jej wytłumaczyć, wygnać gniew

i spróbować przywołać na twarz Cyrene to cudowne światło uległości, o którym zaczynał myśleć, że tylko mu się przywidziało.

- Przymet jest wykroczeniem przeciwko koronie - oświadczył szorstko. - Sądziłaś, że nikt was nigdy nie powstrzyma?

- Nie spodziewałam się tego po człowieku, którego wyciągnęłam z rzeki.

- Rozumiem. Uważasz, że powinienem okazać większą wdzięczność.

- Uważam...

Urwała, czując, że dławi ją ból i uczucia zbyt pogmatwane, by mogła je wyrazić. Cyrene wydało się nagle, że Rene znajduje się zbyt blisko, że ma zbyt szerokie ramiona, zbyt szare oczy. Nie chciała, by wywierał na nią taki wpływ. Chciała zachowywać się zimno i mściwie, a nie tak, jakby zamierzała się schronić w jego ramionach.

Wzięła się w garść, rzucając spojrzenie przez ramię. Jej wzrok padł na pręgierz stojący pod szubienicą przed kościołem. Widok zarówno pręgierza jak i szubienicy przypomniał Cyrene dobitnie, czego uniknęła wraz z Bretonami. Spojrzała na Rene z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Co zrobiłeś z naszymi towarami? - spytała niemal nonszalancko.

- Zostały skonfiskowane, to własność króla.

- Czyżby?

Twarz Rene pociemniała.

- Nie powinnaś sugerować, że je sobie zabrałem.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie wyznaczasz granicę? Tak wiele możesz zrobić, od zmówienia się z szumowiną w rodzaju Toucheta, by oszukać i zdradzić ludzi, którzy uratowali ci życie, do prostytuowania się z bogatą kobietą o... powiedzmy nieokreślonym wieku i nieograniczonej władzy, że trudno cokolwiek powiedzieć.

- Zapominasz o prostytuowaniu się dla pewnej młodej kobiety - zauważył cicho.

- Masz na myśli przysługę, jaką wyświadczyłeś mnie? Nie, nie zapomniałam. Jak mogłabym zapomnieć coś, czego będę żałować do końca życia?

- Teraz może żałujesz, ale wtedy nie żałowałaś.

Cyrene spiorunowała go wzrokiem, słysząc uwagę niegodną dżentelmena.

- Schlebiasz sobie. Zrobiłam to, co mi było potrzebne. Żałuję jedynie, że nie wybrałam bardziej wartościowego człowieka.

- Człowiek bardziej wartościowy mógłby oczekiwać więcej w zamian - odparł Rene ze słabym uśmiechem.

- W zamian? Nic ci nie byłam winna. O ile dobrze pamiętam, powiedziałaś, że to ty jesteś dłużnikiem.

- A więc skoro spłaciłem dług, nie możesz mi zarzucić niewdzięczności.

Dziwne, ile bólu sprawiała jej myśl, że kochał się z nią tylko po to, by odwdzińczyć się za ocalenie mu życia. Oczywiście Cyrene nie miała najmniejszego powodu, by sądzić, że Rene jej pożądał. Po prostu chciała tak myśleć.

- Owszem, spłaciłeś - odparła drżącym głosem. - Odpłaciłeś podstępem i zdradą, odebraniem nam środków do życia. Jaka szkoda, że nic na tym nie zyskałeś. Pomyśl tylko, jaka by to była dla ciebie gratka, gdybyś mógł nas sprowadzić z powrotem do miasta w kajdanych!

Ujrzała w jego oczach błysk gniewu, ale niemal natychmiast Rene skłonił głowę.

- Jeszcze nic straconego - powiedział, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wściekłość i żal Cyrene były tak silne, przychodziło jej na myśl tyle rzeczy, które mogła mu powiedzieć, że droga powrotna na Łódź minęła jej niepostrzeżenie. Gaston siedział samotnie na pokładzie, strugając z gałęzi kołek. Kiedy weszła po trapie, przyjrzał się jej, przezywając pracę.

- Niech zgadnę - powiedział, marszcząc brwi w udanym skupieniu. - Widziałaś Lemonniera.

- Owszem, i radzę ci, żebyś nie żartował ze mną na ten temat.

Minęła go, po czym ciężko postawiła kosz na kuchennym stole. Gaston wszedł za nią do pomieszczenia i patrzył, jak zdejmuje czepkę, odkłada go, zdejmuje z kołka fartuch i zawiązuje sobie wokół pasa. Dopiero wtedy odezwał się znowu.

- Co on powiedział?

- Nic ciekawego.

- Aha, i dlatego się złościysz?

- Nie złośćczę się.

- Prawie ci się udało mnie nabrać.

- Nie chcę o tym mówić - odparła, tłumiąc rozpacz. -

Gdzie Pierre i Jean?

- Poszli się dowiedzieć, czy pan Claude dałby nam więcej indygo i zgodził się, żebyśmy mu zapłacili po wymianie.

- Nie zgodzi się.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi zapytać.

Mogliby jeszcze coś uratować z sezonu handlowego, gdyby zdobyli więcej indygo, chociaż wiązałoby się to z niebezpieczną podróżą przez ziemie Chickasawów do angielskich farmerów z Karoliny, ponieważ nie mogli czekać na następny statek. Nawet wtedy zysk byłby niewielki. Cyrene podeszła do stołu i zaczęła wyładowywać zakupy z kosza. W pewnej chwili przerwała.

Ściskając w dłoniach dwie gałki muszkatołowe, powiedziała cicho:

- To moja wina.

- Nie, *chere*, nie ma w tym niczyjej winy. Takie rzeczy się zdarzają.

Czuła wdzięczność za zrozumienie, jakie zabrzmiało w głosie Gastona, mimo że ją zaskoczyło.

- Gdybym nie sprowadziła Lemonniera na łódź...

- A gdybym ja ci w tym nie pomógł? Nie obarczaj się winą, bo w przeciwnym razie jej część spadnie na mnie!

Patrzył na Cyrene z gorzkim humorem, który tak bar-

dzo przypominał Jeana. Mówił szczerze, ale miał na myśli coś więcej. Chciał ją rozweselić.

- Gaston, czy powiedziałaś ci kiedykolwiek, jakim jesteś miłym człowiekiem i jak bardzo cię lubię?

Westchnął z kpiarskim zadowoleniem, chociaż błysk w jego oczach dorównywał jasnością złotemu kolczykowi, który miał w uchu.

- Myślałem, że nie zwróciłaś uwagi. Czy sądzisz, że jestem przystojny?

- Niezmiernie.

- I uroczy?

- W najwyższym stopniu.

- Ja też cię lubię - powiedział, jakby wyznawał jakąś mroczną tajemnicę, potem skoczył ku Cyrene, przytulił w niedźwiedzim uścisku i okręcił.

Zaśmiała się, odwzajemniając uścisk, czując, jak jakiś ciężar spada jej z serca. To były tylko wygłupy, ale impulsywny gest Gastona przyniósł ulgę i wywołał w niej dziwne poczucie przynależności. Kiedy ją puścił, pocałowała go szybko w szyję.

Odsunął się o krok, zarumieniony, przyglądając się jej ciepło. Przez chwilę uśmiechał się do Cyrene, a potem przeniósł wzrok na kosz.

- Co gotujesz? - spytał z charakterystyczną niedbałością.

Wrócili Pierre i Jean. Pan Claude nie poszedł im na rękę. Całe miasto wiedziało, że gubernator ma Bretonów na oku. Mimo że pan Claude bardzo im współczuł, nie mógł ryzykować, że indygo wpadnie w ręce żołnierzy; musiał myśleć o własnej rodzinie.

Tym razem Jean był przygnębiony, a Pierre zły. Siedział zmarszczony nad kawą ugotowaną z ostatnich ziaren, a jego oczy miały błyskawice. Gaston chodził tam i z powrotem. Na przemian przeklinał gubernatora i politykę francuskiej korony oraz wymieniał mało prawdopodobne miejsca, gdzie mógłby się zatrudnić. Nie bał się pracy, mógł się podjąć każdego zajęcia. W sumie wolałby łowić ryby lub handlować z Indianami, niż na-

jąc się do pracy fizycznej, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, on się nie cofnie. Naturalnie, najlepszą posadę w Nowym Orleanie, posadę z najlepszymi perspektywami i wymagającą najmniejszego nakładu pracy, zajmował Rene, galant *madame de la marquise*. Co sądzili o szansach Gastona na zajęcie miejsca tego dżentelmena?

Pierre tylko spojrział na bratanka. Jean potrząsnął głową.

- Miałbyś mniej więcej takie szanse, jak na ubieganie się o posadę strażnika magazynów królewskich.

- A po co miałbym robić coś takiego?

- Ponieważ tam właśnie przechowywane są nasze towary - odparł ojciec Gastona dobitnie.

Cyrene przestała mieszać potrawkę rybną, którą gotowała.

- Gdyby mógł zostać strażnikiem...

- Tak, moglibyśmy odzyskać naszą własność - dokończył za nią Jean. - Ale równie szybko zatrudnią jednego z nas jako strażnika, co myszy powierzą pilnowanie sera.

- No, tak - odparła, opuszczając ramiona.

Tematowi pozwolono umrzeć śmiercią naturalną. Cyrene podała posiłek i wszyscy usiedli do stołu. Potem Bretonowie pomogli jej w zmywaniu naczyń, jak to było w ich zwyczaju, wyrzucając resztki jedzenia za burzę, płuczac naczynia w rzece, a następnie zanosząc Cyrene do wytarcia. Wyszorowali duży kocioł, wytarli stół, zamietli podłogę. Cyrene była pogrążona w rozmyślnościach. Wręczyła Gastonowi ostatnie drewniane łyżki do wytarcia i dopiero wtedy powiedziała:

- A gdybyśmy... gdybyśmy jednak wykradli nasze towary?

- Nie wiesz, co mówisz - sprzeciwił się Pierre. - To zbyt niebezpieczne.

- Kradzież własności korony? Już czuję na plecach bat. A Pierre wróci na galery. - Jean udał, że drży.

- To nie jest własność korony - przypomniała im z uporem. - Towary należą do nas, odebrano nam je podstępnie.

- Gubernator by się z tym nie zgodził - zauważył z goryczą Pierre.

- Do diabła z nim! - wybuchła Cyrene. - Czy mamy pozwolić, żeby pozbawiał nas środków do życia, jedyne-go sposobu na polepszenie naszego bytu?

- Jesteś pewna, że mówisz o gubernatorze?

- A o kim innym? - spytała Gastona, który dorzucił swoje trzy grosze.

- Na przykład o Lemonnierze?

Przyznała mu rację, ale według niej nie miało to znaczenia. Nie chciała też przyznać, że jej wściekłość jest w dużej mierze spowodowana faktem, że wśród zarekwirowanych towarów znajdowała się także jej część i teraz wszelkie plany na przyszłość legły w gruzach.

- I co z tego? - spytała. - Odebranie naszej własności nazywasz kradzieżą, ale przecież zostaliśmy obrabowani. Wszyscy wiemy, co się stanie z tymi towarami, o ile już się nie stało. Powiększą majątek gubernatorowej, intendenta albo jakiegoś oficera. Nasza piękna kolonia to gniazdo złodziei, oficjalnych albo nie. Liczy się tylko to, czy zostaniesz przyłapany.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Podobno strażnicy są mniej czujni po północy - powiedział w końcu Pierre.

- I przed - dodał Jean. - Zwłaszcza kiedy poczęstować ich czymś mocniejszym.

- Nie mogliśmy zabrać tylko naszych towarów. W ten sposób praktycznie wskazalibyśmy na siebie palcem. - Tę mądrość wygłosił Gaston, w którego oczach zapłonął ogień.

- Nie jesteśmy zwykłymi złodziejami - zastrzegł Jean z godnością, która jednak nieco ustępowała, w miarę jak mówił dalej. - Moglibyśmy wziąć tylko kilka beczek indygo i parę bel koców, żeby zmylić trop.

- Przekupienie strażników jest zbyt ryzykowne - myślał głośno Pierre. - A co powiecie na odciągnięcie ich uwagi? Ładny pożar albo bójka?

- Albo naga kobieta biegnąca ulicą? - podsunął Gaston.

Ojciec spojrział na niego z politowaniem.

- W tym nie ma nic nowego.

- Może i nie, ale moją uwagę by to zwróciło.

- W to akurat nie wątpię - odparł smutno Jean.

Tak się przekomarzali, przerzucali pomysłami, aż wreszcie, w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie tylko doszli do wniosku, że projekt jest wykonalny, ale także ustalili sposób oraz najkorzystniejszy moment. Możliwe jednak, że nie podjęliby ryzyka, gdyby nie wiadomość od Rene.

Przyniósł ją młody chłopiec, który oznajmił, że dżentelmen nazwiskiem Lemonnier, *sieur de Vouvray*, zapłacił mu za tę usługę piastra. Krótka, konkretna wiadomość brzmiała następująco: *madame* Vaudreuil pragnęła wynająć kilku ludzi, którzy popłynęliby w górę rzeki, by dostarczyć towary pewnemu komendantowi posterunku. Dama z przyjemnością da tę pracę Bretonom, jeśli zechcą ją przyjąć.

- Myślicie, że to nasze towary? - spytał Gaston po tym, jak kartka powędrowała z rąk do rąk.

- Możliwe - odparł Pierre.

- Możliwe! - prychnął Jean. - Powiedziałbym, że to pewne.

- No to płyniemy? - Niecierpliwiał się Gaston, patrząc to na ojca, to na wuja.

- Można zarobić pieniądze, które bardzo by się nam przydały - stwierdził ponuro Pierre.

- Jakież nędzne grosze za wypruwanie sobie flaków dla gubernatorowej, skoro moglibyśmy odzyskać to, co nam się należy. - Jean się uśmiechnął. - Oczywiście, towary mogą nie dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

- Tak, gdybyśmy chcieli na zawsze zniknąć w lesie - odparł Pierre.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwała Cyrene.

- Czy uderzyło was, że ta propozycja jest obraźliwa?

- W jakim sensie? - spytał Pierre, przyglądając jej się spode łba.

- Rene i markiza muszą wiedzieć, że zrozumiemy, iż każe się nam przewozić nasze własne towary. To jak sypanie soli na ranę, celowe jątrzenie.

Pierre zaśmiał się krótko.

- Zgadza się. Najmiemy się do tej pracy.

- Co?

- Przejawimy radość, nawet entuzjazm z faktu, że możemy zarobić na życie jako ludzie markizy. Podejmiemy się przewiezienia tych towarów tak daleko w górę Missisipi, jak tylko łódź jest w stanie dopłynąć o tej porze roku. Będziemy się kłaniać i płaszczyć, chwytając okazję i prężyć mięśnie. Ale nigdy nie opuścimy grobli.

- Jak to? - spytał podejrzliwie Jean.

- Towary, które obecnie znajdują się w magazynie, po prostu znikną.

W oczach młodszego brata zabłysnął uśmiech.

- Wyparują w nocy?

- Cudowne zniknięcie.

- Czy będziemy opłakiwać utratę pracy?

- Będziemy płakać tak długo, aż nawet kamień się wzruszy.

- A potem znowu zajmiemy się handlem, ponieważ, dajmy na to, jakaś kobieta przyniesie nam szczęście w kartach?

- Kolejny cud.

Cyrene uśmiechnęła się, słysząc ich wygłupy.

- Nie powinniście tak bardzo liczyć na cuda.

- Czemu nie? - spytał Pierre. - Przecież szczęście nie może nas opuścić, póki mamy naszą Cyrene.

11

Zapadła bezksiężycowa, pochmurna noc. Południowy wiatr, który wiał przez cały dzień, ustał, a powietrze stało się wilgotne i lekko chłodne. Szara mgła podniosła się z rzeki, spowijając ulice Nowego Orleanu. Lgnęła do dachów, otulała się wokół pręgierza i szubienicy na Place Royale. Tłumiła odgłosy, toteż szczekanie psa znajdującego się dwie ulice dalej, brzmiało głucho i odlegle. W gęstej mgle unosiły się zapachy błota i dymu z zagaszonych ognisk.

Godzina była późna. Prawie całe miasto udało się już na spoczynek, choć w jednej czy dwóch gospodach paliły się jeszcze światła. Jedynymi przechodniami byli pijak wracający krętą drogą do domu oraz skradający się kot o lśniącej sierści, niosący w pysku wiotkie, wilgotne ciało olbrzymiego szczura wodnego.

Jeszcze większa cisza i głębsza ciemność panowały wzdłuż grobli nad rzeką, tuż za placem, gdzie cumowały statki i wyładowywano towary. Magazyny królewskie, składy towarów napływających z ładowni statków, mieściły się w niezdarne zbitych z bali i desek długich budynkach stojących prostopadle do rzeki. Przed głównym magazynem lśniła cynowa latarnia zawieszona na poprzeczce nad drzwiami. W jej blasku dwóch żołnierzy z muszkietami gotowymi do strzału przechadzało się wolno tam i z powrotem.

Cyrene, Pierre, Jean i Gaston stali w cieniu innego magazynu, należącego do grupy kupców, skąd obserwo-

wali strażników. Nie należeli ani do najlepszych, ani do najgorszych żołnierzy królewskich; byli tylko ludźmi, którzy wypełniali przydzielone im obowiązki. Chodzili, ponieważ taki mieli rozkaz, a ponadto był to najlepszy sposób na odpędzenie snu. Ich myśli były bardzo odległe od czynności, którą wykonywali. Mijając się, wymieniali czasem żart czy dwa, ale przez większą część czasu ich oczy szklily się od nudy, od snu, którego im odmawiano oraz rozmyślał nad własnymi sprawami.

Cyrene zastanawiała się przez chwilę, co by się stało z tymi ludźmi, gdyby podczas ich warty z magazynu zniknęły towary. Niemal na pewno by ich ukarano za dopuszczenie do straty. Mimo że taki los był godny ubolewnia, Cyrene i Bretonowie nie mogli pozwolić, by zachwiało to ich planem.

Ułożył go Pierre. Dopracował w najdrobniejszych szczegółach, ale, jak im powiedział, zawsze istniały problemy, błędy w ocenie czy okoliczności niemożliwe do przewidzenia. Musieli być przygotowani na konieczność improwizacji. Myśląc o tym, co miała zrobić, Cyrene poczuła mdłości. Mówienie o odebraniu towarów z królewskiego magazynu wydawało się tak proste. Słuszność znajdowała się po ich stronie; dlaczego nie miała zwyciężyć? Teraz jednak, gdy patrzyła na solidny magazyn, na wojskową precyzję i śmiercionośną broń strażników, cały pomysł wydał się Cyrene w najwyższym stopniu nierozważny. To ona, powodowana własnym gniewem i żalem, namówiła do niego Bretonów. Gdyby cokolwiek się nie udało, gdyby cokolwiek przydarzyło się tym ludziom, którzy stali się dla niej rodziną, nigdy by sobie nie darowała.

To ona wszystko zaczęła, może więc zdoła zatrzymać. Otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się Pierre:

- Gotowi?
- Gotowi - odparli chórem Jean i Gaston.
- Dobrze, dobrze. Pamiętajcie, w razie trudności rozdzielamy się i przyskamy. *En avant, mes enfants*. Ruszamy.

Pierre i Jean zniknęli w mroku, a Gaston ujął Cyrene pod ramię, uśmiechając się pogodnie. Ruszyła ciężkim krokiem. Wstąpili na błotnistą drogę biegnącą między groblą a magazynami, weszli w blask latarni, potykając się, jak podpierająca się nawzajem pijana para. Zataczającym się krokiem podchodzili do strażników.

Cyrene schowała włosy pod czepek. Cerze nadała błądź za pomocą mąki, a usta i policzki wysmarowała sokiem jagodowym. Twarz upiękoczyła czarnymi plastrami z kufierka należącego kiedyś do jej matki; wyglądała tak, jakby zakrywała skazy czy dzioby po ospie. Było to wszystko, co mogła zrobić, nie budząc jednocześnie podejrzeń; miała jedynie nadzieję, że uzyskała w ten sposób anonimowość niezbędną dla powodzenia planu.

Również Gaston spróbował ukryć tożsamość. Czapkę z pończochy nasunął aż na brwi, a dwa zwitki niedźwiedziego futra zmieniły się w najeżone wąsy. Miał na sobie za duży płaszcz Pierre'a i szedł niezdarnym krokiem na zgiętych nogach, chcąc sprawiać wrażenie starszego i niższego niż w rzeczywistości. Możliwe, że żadne z nich nie wyglądało tak groteskowo, jak się czuli; strażnicy posłali im tylko przelotne spojrzenie.

Gramolili się dalej; Cyrene kołysała biodrami, a Gaston trzymał się jej kurczowo. Kiedy dotarli do wyznaczonego miejsca, Cyrene krzyknęła przeraźliwie, odpychając Gastona, aż się zatoczył. Zaklął głośno, niewyraźnie, po czym rzucił się na nią. Szal Cyrene osunął się, odsłaniając nagie ramię w miejscu, gdzie rozwiązała tasiemkę bluzki. Wymierzyła Gastonowi policzek, a on szarpnął bluzkę, obrywając guziki. W świetle latarni zawieszanej nad drzwiami magazynu zajaśniało białe, jędrne ciało. Żołnierze zatrzymali się, patrząc pożądliwie.

Cyrene wyrwała się Gastonowi, zawodząc błagalnie. Przytrzymując podartą bluzkę, bez większego powodzenia starając się ukryć nagość, pobiegła ku strażnikom. Wpatrywali się w nią, być może powodowani współczuciem, a może bawiąc się darmowym przedstawieniem.

Wyciągnęła do nich ręce w błagalnym geście, co spowodowało, że bluzka rozchyliła się do talii. Poczowała na skórze zimne, nocne powietrze, a strażnicy otworzyli szeroko oczy.

Za plecami żołnierzy, spod ściany magazynu oderwały się dwa zwinne, ciche cienie. Zbliżyły się do strażników, rozległy się ciche jęki, łomot uderzeń, po czym żołnierze osunęli się na ziemię. Pospiesznie zaciągnięto ich na tyły domu, gdzie zostali związani i zakneblowani. Cyrene wydeła z niesmakiem usta i zawiązała stanik.

Bretonowie nie zawracali sobie głowy wyłamywaniem zamka we frontowych drzwiach długiego magazynu. Podobnie jak w większości drewnianych budynków w wilgotnym klimacie, fundamenty magazynu zostały poważnie nadwątlone przez proces próchnienia oraz przez termyty. Posługując się łomem w ciągu kilku minut podważyli deski od ciemnej strony budynku, gdzie leżeli spętani strażnicy. Kiedy otwór był wystarczająco duży, Cyrene wzięła latarnię i wślizgnęła się do środka, a Pierre i Gaston poszerzyli otwór, by mogły się w nim zmieścić towary. Jean już wcześniej pobiegł po pirogi zacumowane przy grobli.

Wnętrze magazynu pachniało skórą, wełną i rdzewiejącym żelazem, pszenicą, przyprawami, suszonymi owocami, soloną wołowiną i fasolą, a nad tym wszystkim górowała woń myszy i skwaśniałego wina. Długą przestrzeń dzieliła pośrodku podwyższona platforma, a wzdłuż ścian ciągnęły się platformy, na których składowano towary, pragnąc ochronić je od wilgoci. Szerokie podwyższenia w kształcie półek bynajmniej nie były pełne. Wyglądało na to, że skargi gubernatora na temat braku danin i towarów przeznaczonych na handel z Indianami były uzasadnione.

Znajdowało się tam kilka beczek grubo zmielonej mąki, zwoje koców, nieco beczułek z brandy lub winem, a także sterty długich skrzyń mogących zawierać broń i amunicję, ale równie dobrze mogły to być laski, stanowiące, zgodnie z modą, nieodzowny element męskiego

stroju. W pakach składowano żelazne garnki, noże i maczety. Bale szorstkiego materiału w mało subtelnych kolorach piętrzyły się aż do sufitu. Tu i tam porozstawiano beczki, bele, kufry i skrzynie o niewiadomej zawartości. Jako demonstracja potęgi Francji, nie był to imponujący widok.

Cyrene bez trudu odszukała towary, które im odebrano. Złożono je w jednym miejscu na centralnej platformie i oznaczono numerem. Cyrene poklepała beczułkę niemal z czułością, po czym triumfalnie pomachała do Bretonów.

Pracowali w czwórkę; sterta towarów szybko znalazła się na pirogach. Pomimo wcześniejszych dowcipów o zabranii dodatkowych beczulek indygo i bali koców, skrupulatnie zostawili wszystko, co nie należało do nich. Mimo to towary piętrzyły się na pirogach w wysokich stertach, ponieważ przenosili skrzynie, zwoje i bele futer, nie zwracając zbytnej uwagi na ich ciasne pakowanie.

Pierwszą oznaką kłopotów był gwizd Jeana z zewnątrz. Gaston podnosił właśnie skrzynię stalowych noży angielskich. Spojrzał na Cyrene, zajęta pakowaniem swojego kompletu garnków, który z niewiadomych powodów został rozdzielony. Wyprostowała się i spojrzała w rozszerzone ze strachu oczy młodszego mężczyzny. Potem zerknęła na Pierre'a, który zmierzał w kierunku otworu, niosąc w obu rękach po worku szklanych paciorków. Zatrzymał się z posępną miną i zaczął nasłuchiwać.

Niemal natychmiast gdzieś na ulicy rozległy się okrzyki wydawanych rozkazów. Pierre rzucił worki z paciorkami i skoczył ku otworowi w ścianie. Zaraz potem cofnął się do środka.

- To patrol! Zgaście latarnię. Jean jest przy pirogach. Pobiegnę w inną stronę, żeby musieli się rozdzielić. - Spojrzał surowo na Gastona i Cyrene. - Wyjdźcie stąd, kiedy będziecie mogli, ale pamiętajcie, rozdzielcie się.

Zniknął. Cyrene skoczyła do stojącej na platformie

latarni. Gaston zapakował sobie pod ramię skrzynkę z nożami, ale nie ruszył się, czekając na Cyrene.

- Ruszaj! - krzyknęła, podnosząc latarnię. - Już idę!

Najmłodszy z Bretonów zawahał się, po czym podszedł do otworu w ścianie. Zrobił długi krok, potem następny, ale spojrzął w tył przez ramię.

Za późno. Rozległo się skrzypienie i wielkie drzwi magazynu otworzyły się dokładnie naprzeciwko Gastona. Do środka wpadło czterech żołnierzy z muszkietami gotowymi do strzału. Zatrzymali się. Ktoś krzyknął rozkaz, żołnierze uklękli, podnosząc muszkiety.

Cyrene posłużyła się jedyną bronią, jaką miała - latarnią. Cisnęła nią w dowódcę, wkładając w rzut całą siłę przerażenia. Żołnierz odtrącił latarnię kolbą muszkietu. Cynowy zbiornik wygiął się, a gorąca oliwa chlusnęła na bele koców, buchając wściekłym, żółtym płomieniem. Koce stanęły w ogniu. Powietrze wypełnił zapach gorącej oliwy i gryzący smród płonącej wełny. Żołnierze wrzasnęli z przerażenia, odrzucili muszkiety i zaczęli zdejmować kurtki, by ugasić ogień.

Pożar był największym wrogiem tego izolowanego miasta. Wyrządzał większe szkody niż huragany uderzające na ląd od Zatoki, równające domy i sklepy z ziemią. Groźba pożaru mogła zatrzymać żołnierzy na kilka cennych sekund.

Gaston zdążył już rzucić noże na ziemię i uciec. Cyrene nie mogła pójść w jego ślady z powodu żaru płomieni. Pobiegła między platformami ku otworowi w ścianie. Podobna do jednego z cieni rzucanych przez skaczące płomienie, przeskakiwała przez bele i beczki, trzymając się blisko ściany, podczas gdy coraz więcej ludzi, cywilów i żołnierzy, wbiegało przez główne drzwi magazynu.

Przez pewien czas ignorowano ją lub zapomniano o niej w zamęcie pożaru. Poczwała powiew świeżego powietrza; otwór był tuż, ciemny kwadrat w ścianie magazynu. Zaczęła prześlizgiwać się na drugą stronę.

- Zatrzymaj się, ślicznotko!

Przed Cyrene wyrósł oficer, rozkładając ręce, jakby

zaganiał nerwowego ptaka do rogu kurnika. Musiał być weteranem; miał wytrzeszczone oczy osadzone w twarzy pełnej blizn wyniesionych z pola bitwy i tysięcy bijatyk w koszarach. Obwisłe usta wykrzywił w uśmiechu oczekiwania i zadziornej pewności siebie; między wargami czerniły się pieńki zębów.

Cyrene wyminęła go, rzucając się do ucieczki. Żołnierz wysunął długą rękę, chwytając ją za spódnicę. Przechyliła się do przodu, tracąc równowagę, a napastnik momentalnie skoczył na nią i przygniótł do ziemi. Padł na nią, a rękojeść miecza wbiła jej się w biodro. Zaciśnął palce na ramionach Cyrene, pragnąc odwrócić dziewczynę na plecy. Zaczęła się wyrwać, tłukąc na oślep. Czepek zsunął jej się z głowy, a włosy rozwiały się na wietrze jak jedwabna chorągiew. Weteran zanurzył dłoń w ciepłej gęstwinie, okręcił sobie włosy wokół przegubu, po czym, klękając na jedno kolano, pociągnął dziewczynę ku sobie. Cyrene złapała go za ramię, chcąc złagodzić uchwyt

- A teraz zobaczymy, co my tu mamy - powiedział, szarpiąc mocno, aż poczuła, jak w głowie robi jej się czarno i czerwono; przestraszyła się, że skręci jej kark.

- Bacność!

Rozkaz wydano zimno i wyraźnie głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Oficer zamarł, okręcił się, próbując przyjąć postawę pełną szacunku, choć nie puścił ramienia Cyrene.

- Sir?

- Puście tę kobietę, poruczniku.

Cyrene zadrżała, słysząc ten aż nadto znajomy głos, czując jednocześnie, że po prostu musiał zabrzmieć właśnie tu i teraz. Oficer zwolnił uchwyt. Odwróciła się w powolnej udręce i ujrzała podchodzącego Rene Lemonniera.

Porucznik zaczął się pospiesznie tłumaczyć.

- Złapałem tę kobietę, jak uciekała, sir. Była razem z tamtymi.

- Może tak, a może nie. Wracajcie do swoich obowiązków. Zajmę się więźniem.

- Ale, sir...

W głosie Rene zabrzmiała cicha groźba:

- Pozwalacie, by winni uciekli, kiedy wy się tu zabawiacie z kobietą. Gubernator nie będzie tym zachwycony.

- Tak, sir. Nie, sir.

W głosie porucznika brzmiała ironia, ale była to tylko poza, przy pomocy której pragnął ukryć lęk, który zapalił się mimowolnie w jego oczach. Cofnął się od Cyrene, skłonił się i odszedł najszybciej, jak mógł, nie tracąc jednocześnie godności.

Rene ujął Cyrene za łokieć, pomagając jej wstać.

- Jesteś ranna?

Potrząsnęła głową.

- W takim razie chodźmy stąd.

Nie miała pewności, czego się spodziewała. Zdziwienie odebrało jej zdolność ruchu. Przez długą chwilę przyglądała się wybawcy, zdumiona troską i zaciętym zdecydowaniem, jakie malowały się na twarzy tego człowieka, o którym zaczęła myśleć jako o wrogu. Za plecami słyszała krzyki oraz trzaskanie płomieni. Gdzieś dzwoniło na alarm, a w pobliżu klekotały drewniane wiadra: ludnie ustawiali się w rzędzie, by przynieść wodę z rzeki.

Zanim zdołała wyrazić pytania kłębiące jej się w umyśle, Rene pchnął ją mocno w plecy, kierując na tyły magazynu, pół prowadząc ją, pół popychając w mrok, z dala od zgiełku i hałasu gromadzącego się tłumu.

Za okiennicami zapalały się światła. Ludzie wyglądali przez drzwi albo wybiegali na ulicę w szlafmycach i koszulkach nocnych, żeby gapić się na dym i łunę. W stronę Rene wykrzykiwano pytania, ale on udzielał mętnych odpowiedzi, starając się w miarę możliwości osłaniać Cyrene własnym ciałem. Wyglądali jak karykatura kochanków. Szli szybko, ale nie na tyle, by ich zapamiętano, ostrożnie, ale bez paniki. Nie zatrzymali się, nim nie dotarli do domu Rene.

Tysiące podobnych budynków można było znaleźć w setkach francuskich miast - ani rudera, ani posiadłość. Różnił się jednak od innych pod kilkoma względami. Niższe piętro służyło wyłącznie za magazyn, ponieważ podczas powodzi zalewała je woda, natomiast na przodzie i z tyłu wyższego piętra biegła weranda, inaczej galerijka, od galerii, słowa określającego długi pokój, chroniąca wewnętrzne pomieszczenia przed upalnym, letnim słońcem. Dach zamiast łupkiem pokryto cyprysowymi dachówkami, a ściany pomiędzy skrzyżowanymi balami wzniesiono z miękkich cegieł połączonych mieszaniną wapna i jeleniej sierści, a nie jak w starym kraju, z kamieni. Wchodziło się drzwiami na niższym piętrze, a następnie wewnętrznymi schodami na galerię.

Cyrene szła przed Rene po wąskich stopniach, macając drogę w ciemnościach. Na galerii odsunęła się na bok, a on otworzył drzwi. Kiedy dał jej znak, by weszła przed nim, cofnęła się nieufnie.

- Dlaczego to robisz? - spytała cicho.

- Och, to czysty egoizm. Chyba nie spodziewałaś się niczego innego? Naturalnie jeśli wolisz towarzystwo porucznika, możesz odejść.

Jawił się jej jako wysoki cień, wznoszący się nad nią w półmroku. Nie widziała twarzy Rene, ale drwina, jaka zabrzmiała w jego głosie, była prawdopodobnie zaadresowana zarówno do Cyrene jak i do niego samego. Nie miała zamiaru dopuścić do tego, by drwina czy groźba, jaką wyczuwała w zachowaniu Lemonniera, osłabiły jej zdecydowanie.

- Co masz zamiar osiągnąć?

- Kilka godzin twojego czasu.

- Mojego czasu?

Rene z rezygnacją skonstatował podejrzliwość w głosie Cyrene. Na Boga, nie mógł jej za to winić. Pragnąłby myśleć, że nie miała powodu do podejrzeń, ale tak nie było. Zdradził ją i dobrze o tym wiedział. Co więcej, w tym momencie pragnął zrobić dokładnie to samo,

wykorzystać sytuację, w jakiej znalazła się Cyrene. Nie zdawał sobie sprawy, że tak nisko upadł. Gdyby tylko nie była taka niezależna i taka piękna, nawet z pomalowaną twarzą i z rozczochranymi włosami, gdyby jej widok nie wzbudzał w duszy Rene takiej tęsknoty, wtedy może mógłby ją puścić albo oddać w ręce sprawiedliwości, na co z pewnością zasługiwała. Ani pierwsze, ani drugie nie było możliwe; nie zniósłby żadnej z tych rzeczy. Pozostawało tylko niedelikatne, nikkzemne użycie siły, a także pytanie, jak daleko jego elastyczne sumienie pozwoli mu się posunąć w celu uzyskania tego, czego pragnął.

Schylił głowę w pokłonie, nie mając pewności, czy Cyrene to widzi.

- Twojego czasu - powtórzył cicho. - Jeśli pozwolisz.

Z ulicy dobiegł odgłos bębnow i fujarki: żołnierze otrzymali rozkaz gaszenia ognia i poszukiwania sprawców splądrowania magazynu królewskiego. Cyrene przyszło na myśl, że postępuje w najwyższym stopniu nierozsądnie, stojąc w przebraniu i dyskutując z Rene o motywach uratowania jej z opresji. Zawadiacko zadarła podbródek i przekroczyła próg. Zatrzymała się w przedpokoju, czekając, aż Rene zamknie obite drzwi i zapali kandelabr.

Znaleźli się w małym salonie, który sprawiał wrażenie wygodnie urządzonego, a nawet ze śladami luksusu. Meble wykonano z miejscowego cyprysu tu, w Luizjanie, toteż ich styl cechowała prostota. Za to z sufitu zwisał żyrandol z brązu i kryształów Baccarat, pobielone ściany zdobiły flamandzkie gobeliny ze scenami myśliwskimi, na podłodze leżał brukselski dywan, a dwie wazy stojące po bokach kominka wykonano z najwyższej jakości fajansu. Rozkład domu był typowy: trzy duże, przechodnie pokoje od frontu i trzy mniejsze z tyłu. Za salonem znajdował się pokój jadalny, gdzie w mroku lśniły srebra. Przez drzwi po prawej widać było sypialnię, a w niej cyprysowe łóżko z aksamitnymi obiciami. Pozostałe drzwi były zamknięte.

Cyrene zdobyła się na odwagę i odezwała się, pragnąc przerwać milczenie:

- Dopisało ci szczęście. Nie wszyscy nowo przybyli mieszkają w tak świetnych warunkach.

- Udzielono mi pomocy w znalezieniu tego miejsca.

- Domyślam się, że to *madame* Vaudreuil.

- Słusznie. Dom należy do pewnej kobiety, która niedawno owdowiała i pragnęła wrócić do Francji.

- Kupiłeś go? - spytała z nie skrywaną ciekawością.

- Jeszcze nie.

Co miał na myśli? Czyżby zamierzał zostać w kolonii? Podobna ewentualność wydała się Cyrene tak mało prawdopodobna, że przestała się nad nią zastanawiać. Z ulicy dobiegł odgłos kroków. Zamarła, nasłuchując. Żołnierze minęli dom, kroki ucichły w oddali.

Cyrene zwilżyła wargi.

- Co się stanie, jeśli... jeśli znajdą mnie tu z tobą? Jeśli dowiedzą się, że mnie wyprowadziłeś? Będą kłopoty?

- Na razie nie, choć miło wiedzieć, że się o to martwisz.

- Nie... - zaczęła ostro, ale przerwała. Martwiła się, choć wcale nie chciała. Spróbowała wzruszyć ramionami.

- Oczywiście, myślałam o sobie, i o tym, na ile skuteczna jest teraz twoja ochrona. Nie myśl jednak, że nie jestem ci wdzięczna. Dziękuję za pomoc, nadeszła w samą porę.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Posłała mu szybkie spojrzenie, świadoma podtekstu słów Rene, choć wcale nie miała pewności, czy nie był to tylko wytwór jej wyobraźni. Podeszedł do kominka i pociągnął za sznur od dzwonka. Odwrócił się do Cyrene z uprzejmym wyrazem twarzy, ale szare oczy wpatrywały się w nią intensywnie.

- To musi być wygodne, mieć tak wysoko postawionych przyjaciół, którzy przyjdą ci z pomocą w każdych okolicznościach.

- Tak - odparł, choć zabrzmiało to beznamiętnie. W drzwiach pojawiła się afrykańska służąca, której

Rene kazał przynieść wino i kieliszki. Kiedy odeszła, ponownie zwrócił się do Cyrene:

- Powiedz mi jedną rzecz: czy dzisiejsza eskapada miała jakiś cel, czy też chodziło po prostu o wyrównanie rachunków między nami?

- Miała bardzo konkretny cel - odparła ostrym tonem.

- Chcieliśmy odzyskać naszą własność. I udało się nam!

- Rozumiem. A cała reszta stała się przypadkiem.

- Za resztę ponosisz winę ty i żołnierze.

Ogień buzujący na kominku odbijał się w oczach Cyrene, upodabniając ją do jakiegoś zagonionego zwierzęcia, a wrażenie to potęgowały sine cienie wyczerpania pod oczami. Pospiesznie zawiązana tasiemka bluzki rozwiązała się podczas biegu. Podarty stanik rozchylił się do talii, odsłaniając gładką krągłość bladoróżowych piersi, przywodzących na myśl skórkę idealnych brzoskwiń. Połączenie nieujarzmionego ducha z niewinną bezbronnością mąciło zmysły Rene. Starał się nie patrzeć, ale teraz spojrzął na Cyrene, czując się jak pielgrzym, zbliżający się w końcu do celu wędrówki.

- Sporo ryzykujesz dla kilku paciorków i garnków. Szkoda by było, gdyby na takiej ładnej skórze wypalono *fleur-de-lis* albo zostawiono blizny od bata.

Spuściwszy wzrok, by zobaczyć, co przykuło jego uwagę, Cyrene oblała się rumieńcem. Ściągnęła stanik, odwracając się od niego z łopotem poplamionych, zmiętych spódnic.

- To coś więcej niż garnki i paciorki - odparła przez ramię. - Chodzi o nasz styl życia.

Rene zaśmiał się niewesoło.

- Przemytniczka. Chyba tylko cud pozwoli ci uniknąć szubienicy.

Przytrzymując stanik, Cyrene odwróciła się znowu do niego z pobladłą twarzą.

- Ale mówiłeś... myślałam...

Rene poczuł narastający gniew, gniew na Bretonów, którzy pozwolili Cyrene na wystawienie się na podobne niebezpieczeństwo; gniew spowodowany faktem, że czu-

ła się z nimi tak związana, że była gotowa to dla nich zrobić; gniew na siebie, ponieważ nie miał prawa jej przeszkadzać, ale przede wszystkim gniew, że mogła myśleć, że on mógł ją skrzywdzić. Z tej wściekłości ukuł tarczę i broń.

- Myślałaś, że teraz, kiedy cię mam, zapewnię ci bezpieczeństwo?

Chłód jego głosu chlasnął ją jak bicz. Nie mogła mu tego okazać, ale nie mogła też udawać obojętności. W grę wchodziło nie tylko jej bezpieczeństwo, ale także Bretonów, na których padłoby podejrzenie, gdyby Cyrene stanęła przed Najwyższą Radą pod zarzutem przemytu.

- A nie zrobisz tego? - spytała śmiało.

- Mógłbym, gdyby nagroda równała się ryzyku.

- Nie mam jak ci zapłacić.

Rene potrząsnął głową, uśmiechając się z politowaniem.

- Z wyjątkiem tradycyjnej monety, jaką dysponuje atrakcyjna kobieta.

- Oczekujesz, że...

- Potrzebuję kochanki.

Płomień odmowy buchnął w brązowych oczach, jeszcze zanim odpowiedziała:

- Nigdy!

- Zastanów się. Kiedy cię zobaczyłem, byłaś sama, ale jeśli zaczną cię przesłuchiwać, pojawi się pytanie, gdzie zeszłej nocy znajdowali się Pierre, Jean i Gaston.

Zadrzała. Chciała mówić, chciała usprawiedliwić Bretonów, oczyścić ich z podejrzeń, ale nie znalazła słów. Nikt nie weźmie pod uwagę żadnych usprawiedliwień, a już na pewno nie ten człowiek. Mijały sekundy. Światło w oczach Cyrene zgasło.

- Spodziewałem się, że postąpisz rozsądnie - powiedział cicho.

- Rozsądnie? - powtórzyła, a głos jej zadrzał od tłumionego bólu i dziwnej słabości. - Kiedy grozisz odebraniem mi życia?

- To ciężki zarzut. Wolę o tym myśleć jako o zwykłym wymuszeniu.

Przyjrzała się Rene, napiętym mięśniom jego twarzy oraz oczom, w których dojrzała lekki wyraz niesmaku.

- Zaczęłam myśleć, że w tobie nie ma nic zwykłego - powiedziała powoli.

- Nieprawda. Jest jedna rzecz: chcę ciebie, i będę cię miał, bez względu na cenę. Jeśli chcesz się poświęcić dla Bretonów, równie dobrze możesz to zrobić teraz.

Słowa Rene prawie do niej nie dotarły.

- Dlaczego? - Wyrwało się jej nagłe pytanie.

- Sądziłem, że już ci wytłumaczyłem.

- Nie wierzę, że nie chodzi ci o coś więcej. Jest mnóstwo kobiet, które z przyjemnością spełniłyby twoje życzenie.

- Chcę, żebyś ty je spełniła.

- Dlaczego? Co takiego ci zrobiłam?

- Podejrzewasz zemstę? Nie bądź śmieszna.

- Musi coś być. - Podeszła bliżej, jak gdyby chciała w ten sposób nadać swoim słowom większe znaczenie.

- Może chodzi o coś, co ja zrobiłem tobie - powiedział powoli.

Cyrene mrugnęła.

- Co?

- Nie znalazłabyś się w niebezpieczeństwie, gdybym się tobą nie posłużył, gdybym nie spowodował, że straciłaś towary i czułaś, że musisz je odzyskać. Wina leży po mojej stronie. Teraz mogę cię ochronić, zgodnie z obietnicą, i to właśnie zamierzam zrobić.

- Powodowany poczuciem winy? Rozgrzeszam cię. A teraz mnie wypuść.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz! - krzyknęła z irytacją. - To jakaś farsa. Pierre, Jean i Gaston mogą już w tej chwili siedzieć w areszcie.

- Wydawało mi się, że zdążyli uciec. Czyż to nie dziwne, że właśnie ciebie złapano?

- Umówiliśmy się, że się rozdzielimy.

- Ach, oczywiście.

- To prawda!

- Jestem pewien. Czy myślisz, że wrócą po ciebie, jeśli się nie pojawisz?

- Na pewno. Czy tego właśnie się obawiasz?

- Tylko jeśli spróbują zrobić coś głupiego. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli prześlesz im wiadomość, że schroniłaś się u mnie i na razie tu zostaniesz.

- Nie zgodziłam się jeszcze - warknęła.

- Nie? - spytał, a jego głos był równie spokojny jak wzrok. - Na pewno nie?

Mimo usilnych prób Cyrene nie dostrzegła w jego postawie najmniejszej słabości. Nie pozostawało jej nic innego, jak powiadomić Bretonów o tym, gdzie się znajduje i poprosić ich o zachowanie ostrożności. Rene zostawił ją w tym celu samą, udając się gdzieś na tyły domu, by porozmawiać ze służącą. Cyrene siedziała przez dłuższą chwilę, gnąc w palcach pióro, wpatrując się w ogień, aż wreszcie zanurzyła pióro w kałamarzu, który jej dostarczono, i zaczęła pisać.

Rene zajął się dostarczeniem listu. Oświadczył, że należało go przekazać Bretonom jak najszybciej, zanim zrobią coś nierozsądnego. Powiedział, że znajdzie posłańca, a Cyrene niech się tymczasem rozgości. Służąca imieniem Martha spełni jej wszystkie żądania; wystarczy poprosić.

Kiedy znowu zostawił ją samą, Cyrene siedziała, wpatrzona w drzwi. Zdarzenia następowały tak szybko. Zaledwie kilka godzin temu była na łodzi, wykonując zwykłe czynności; teraz została kochanką Rene Lemoniera. Nie wydawało jej się to możliwe.

Wkrótce wróci, a co się wtedy stanie? Czego będzie od niej oczekiwał? Naturalnie wiedziała, ale nie potrafiła się z tą myślą pogodzić. Jedno było pewne. Jeśli sądził, że miał w łóżku posłuszną, uśmiechniętą kobietę, gotową go zaspokajać czy spełniać dekadentkie zachcianki, jakich nauczył się na dworze w Wersalu, mylił się bardzo. Została zmuszona do tej roli przez okoliczności, ale to nie oznaczało, że zamierzała pokornie spełniać jego żądania. Uważał, że zwyciężył, ale wkrótce przekona się, że walka dopiero się rozpoczęła.

12

Rene nie wracał długo. Zanim usłyszała jego kroki na schodach, zdążyła umyć się w małej, porcelanowej wanience, którą Martha napełniła gorącą wodą, a także zmyć z włosów zapach dymu. Zdążyła wysuszyć przed ogniem sięgające do pasa warkocze, czesząc je srebrną szczotką Rene, włożywszy na siebie jedwabną koszulę nocną, którą jej przygotowano.

Na odgłos jego miarowych kroków na schodach wpadła w nagłą panikę. Cisnęła szczotkę na bok i pognęła do sypialni. Sznury podtrzymujące wypełniony mchem materac zaskrzypiały i zatrzęsły się, kiedy skoczyła na łóżko, odrzuciła lniane prześcieradło i puchową kołderkę. Odwróciwszy się na bok, plecami do drzwi, zamknęła oczy, udając, że jest pogrążona w głębokim śnie. Wiedziała, że Rene jest troskliwym człowiekiem. Jeśli pomyśli, że była zbyt zmęczona, by czuwać, może zostawi ją w spokoju. Nie była to zbyt wymyślna broń przeciwko męskiej żarliwości, ale Cyrene nie dysponowała żadną inną.

Na wyraźne polecenie Rene główne drzwi do domu zamykano. Cyrene słyszała, jak puka, potem puka znowu. Leżała niezdecydowana, zastanawiając się, czy nie powinna zrezygnować z udawania i wpuścić go; obawiała się, że nie mogąc dostać się do środka, Rene wpadnie w złość. Problem rozwiązała Martha, która usłyszała pukanie.

Kroki służącej oddaliły się znowu, cichnąc na tyłach

domu. Rene krzątał się po salonie. Rozległo się grzechotanie łańcucha, kiedy ponownie zamknął drzwi, a potem szmer węgielków i trzaskanie iskier, kiedy gasił ogień. Buty stuknęły o podłogę, jeden po drugim. Zapadła cisza. Cyrene otworzyła nieco oczy i ujrzała blask kandelabru zbliżający się do sypialni. Ponownie mocno zamknęła oczy, nakazując sobie spokój i głęboki, równy oddech.

Spod uchylonych powiek widziała blask świec: Rene podchodził do łóżka. Słyszała, jak stawia kandelabr na stojącym obok łóżka stole z orzecha włoskiego. Ustawił buty, po czym rozległ się szelest zdejmowanej kurtki, która wylądowała w nogach łóżka. Chwilę później odpiął koszulę od spodni i ściągnął ją przez głowę.

Przeszedł do małej garderoby sąsiadującej z sypialnią i po chwili rozległo się energiczne chlapanie; Rene korzystał ze stygnącej wody pozostałej po kąpieli Cyrene.

W jej umyśle pojawił się obraz, stanowczo zbyt wyraźny: Rene, który stał w półmroku garderoby, wycierał się lnianym ręcznikiem, przesuwając nim szybko po piersi, ramionach, brzuchu, udach. Myśl o tym i o jego niespiesznych przygotowaniach do snu poważnie nadszarpnęła nerwy Cyrene. Gdyby nie wykonywał czysto prozaicznych czynności i gdyby ona nie udawała snu, podejrzewałaby, że Rene celowo wypróbowuje jej wytrzymałość.

Wcześniej długo zastanawiała się nad tym, gdzie miała spać. Ponieważ w domu znajdowała się tylko jedna sypialnia, wybór był dość skąpy. Myślała o tym, żeby zbadać pokój Marthy i poprosić ją, by pozwoliła jej spać gdzieś w kącie albo zażądać, by przygotowano jej posłanie przy kominku w salonie. Jednak zarówno pierwsze jak i drugie wyjście wiązało się z ryzykiem, że Rene przeniesie ją siłą na łóżko, a następnie zademonstruje Cyrene, po co się tam znalazła. Nie, najlepiej chyba tymczasem udawać, że akceptuje jego warunki, licząc na lepsze cechy jego charakteru, zachowując się na poważniejsze utarczki.

Dziwna była ta jej pewność, że Rene posiada lepsze cechy charakteru. Z drugiej strony może to nie dziwne; przecież nieraz już z niej korzystała. Pomijając fakt, że pokierował atakiem żołnierzy na pirogi i starał się uwięzić ją i Bretonow za przemyt, traktował Cyrene z niezwykłą troską.

To wszystko nie miało sensu. Oczywiście, nie miało sensu od początku, ale szczególnie teraz, kiedy dokonał wolty, ratując ją od aresztowania za bynajmniej nie drobne przewinienie. Cyrene nie rozumiała go, a to ją niepokoiło.

Tak cicho stąpał na bosaka, że dopiero ugięcie sznurów pod materacem zasygnalizowało, że położył się obok. Napinając mięśnie, powstrzymała się od drgnięcia, kiedy łóżko przekrzywiło się na jego stronę.

Przyszło jej na myśl, że nie położył się od razu, a wsparł się na łokciu. Każdym nerwem czuła, że przygląda się jej w blasku świecy. Serce tłukło o zębra, a w płucach czuła takie napięcie, że równy oddech wydał jej się prawie niemożliwy. Nerwy dygotały pod skórą. Poczwała nagłą, trudną do opanowania potrzebę ziewnięcia.

Rene obserwował bicie pulsu pod gładką skórą na gardle Cyrene, patrzyła na rumieniec koloru dzikiej róży wypływający jej z wolna na policzki. Usta wygięły mu się w krótkim uśmiechu. Śpiąca czy nie, należała do niego. Miała na sobie jego koszulę nocną, nawet jeśli zsunęła się jej do połowy ramienia; leżała w jego łóżku. Włosy rozsypały się zarówno na jego jak i jej poduszce, pasma migoczące barwą starego złota, lekko wilgotne w miejscach, gdzie były najbardziej gęste, pachnące jego mydłem sandałowym. Pragnął jej aż do słodkiego, prawie nieznośnego bólu, ale aby ją posiadać, nie musiał się z nią kochać. Przynajmniej nie w tej chwili.

Rene przyszło na myśl, żeby dać dziewczynie satysfakcję odmówienia mu. Byłby to drobiazg, po tym, jak zmusił ją do kapitulacji, ale nie należało pozwalać jej na zajęcie pozycji, której nie mogłaby utrzymać. Dopóki

będzie to w jego gestii, Cyrene nie wytrwa długo w swym uporze.

Na jej przegubie widniał siniak, pamiątka po szarpaniu z porucznikiem. Rene poczuł mdłości. Niewiele brakowało, a zabiłby tego człowieka. Żołnierze w Luizjanie byli szumowinami armii francuskiej; niemal codziennie któregoś z nich karano chłostą za jakieś przestępstwo popełnione podczas pijaństwa, drobną kradzież czy niesubordynację. Niektórzy byli gorsi od innych, bardziej skryci, przebiegli. Na porucznika należało zwrócić uwagę.

Rene podniósł warkocz, który spłynął mu po palcach jak ciepły jedwab. Podniósł go, przycisnął do ust, a potem ostrożnie odłożył na bok wraz z resztą lśniących włosów, położył się i sięgnął po świecę. Przez długą chwilę wpatrywał się w mrok, z rękami zaplecionymi pod głowę, myśląc, jak by to było, gdyby wysunął rękę i przyciągnął Cyrene do siebie. Pożądanie narastało, przenikając go, aż mięśnie brzucha stwardniały jak stal w wysiłku samokontroli. W końcu się opanował. Pożądanie powoli ustąpiło. Wziął długi, ożywczy oddech i zasnął.

Cyrene poczuła zachwyt, choć także niejakie zdziwienie; z każdą upływającą minutą stawało się jasne, że niebezpieczeństwo minęło. Liczyła na to, że Rene nie zechce jej przymuszać, ale spodziewała się z jego strony pewnych prób perswazji. Fakt, że tak łatwo zrezygnował, nie był dla niej zbyt dużym komplementem.

Sprzeczność myśli na krótko rozbawiła Cyrene. Naturalnie nie chciała, by próbował się z nią kochać, wcale nie. Mógł jednak chociaż pokazać, że zauważył jej obecność w łóżku.

Oczywiście, przywykł do sypiania z kobietami. Niewątpliwie wymagał większego ożywienia; męczyzna o takim doświadczeniu i obyciu uważałby za niegodne umizgi do kobiety, która leżała jak kłoda. Oczekiwał pewnie filuternych spojrzeń, skrzących się dowcipem utarczek słownych, skrytych pokus i elegancko lubieżnych pieszczot - słowem wszystkich majestatycznych

figur, które uchodzą na dworze za flirt. Cyrene przypuszczała, że odmowa nie zniechęciłaby zbytnio Rene.

Mijały minuty. Cyrene zdrętwiała od leżenia nieruchomo. Niepokój sprawił, że dłonie i stopy skostniały jej z zimna, uniemożliwiając sen. Położyła się nieco wygodniej na plecach. Mężczyzna leżący obok nie zareagował. Przekręciła się jeszcze bardziej. Spał. Kołdra przesunęła się, a Cyrene poczuła powiew ciepłego powietrza. Żar emanował z ciała Rene. Centymetr po centymetrze ostrożnie przesuwała stopę ku niemu. Im bliżej ją przysuwała, tym bardziej chłód ustępował. Upominała się, że nie wolno jej go dotknąć; Rene miał lekki sen. Drugą stopę przysunęła do pierwszej.

Rene poruszył się niespokojnie, przewracając się na bok. Łóżko wygięło się w jego stronę. Cyrene ześlizgnęła się, czując, jak jej zimna stopa dotyka jego ciepłej łydki. Chwilę później rozległ się cichy okrzyk zniecierpliwienia, a mocne ręce chwyciły Cyrene. Rene przytulił ją, ogarniając ciepłem swego ciała.

- Masz najzimniejsze stopy, jakich zdarzyło mi się dotknąć - szepnął jej na ucho z rozbawioną irytacją. - Mogę ci je ogrzać, tylko się do mnie nie podkradaj.

- Nie podkradałam się... - zaczęła, odpychając rękę Rene.

- Och, zaśnij wreszcie, na miłość boską - jęknął, przyciskając ją do siebie z siłą nie znoszącą sprzeciwu.

- Możemy się o to sprzeczać rano.

Czy miał na myśli jej zimne stopy, swój uścisk czy całą sytuację? Nie sposób było stwierdzić, a nie wydawał się to być stosowny moment, żeby zapytać.

Wczoraj w nocy nie wysłałem twojej wiadomości. Sam ją zaniosłem na łódź.

Rene powiedział to przy śniadaniu. Cyrene piła czekoladę, kruszyła chleb na drobne cząsteczki, zastanawiając się, czy Pierre i Jean, a zwłaszcza Gaston, zdołali uciec. Podniosła wzrok, mając przez moment całkowitą pewność, że Rene czytał w jej myślach. On jednak pa-

trzymał na kupkę okruchów z wszechwiedzącym wyrazem twarzy, który wcale się Cyrene nie podobał.

- Widziałeś Bretonów? Rozmawiałaś z nimi?

Rene kiwnął głową.

- Byli bezpieczni, ale szaleli z niepokoju o ciebie.

Cyrene wcale to nie zdziwiło.

- Co im powiedziałaś?

- Że jesteś u mnie bezpieczna, ale o mały włos nie zostałaś złapana i potrzebujesz mojej ochrony. Że najlepiej się stanie, jeśli wyruszą na wyprawę handlową do Choctawów i nie będą się spieszyć z powrotem. Zapewniłem ich, że zaopiekuję się tobą do ich powrotu.

- I popłynęli?

- Owszem.

- Tak po prostu?

- Nadszedł właściwy moment, a poza tym mieli towary na wymianę.

Nie mogła uwierzyć, że Bretonowie nie zabrali jej ze sobą; czuła się porzucona. Ból zaczął dławić ją w gardle, w oczach zapiekły łzy.

- Poza tym uznali, że tak będzie najlepiej dla ciebie - dodał Rene.

- Najlepiej? To będzie wyglądało, jak gdyby uciekali, jak gdyby czuli się winni!

- Są ludzie, którzy przysięgną, że wyruszyli już wiele dni temu. Ty, jak widzę, postanowiłaś zamieszkać ze mną. Jestem gotów wyjaśnić każdemu, kto zapyta, że przebywasz tu stale od wyjazdu Bretonów.

- Ale czy to wystarczy? - nie kryła wątpliwości.

- Nigdy dotąd nie kwestionowano mojego słowa.

W głosie Rene zabrzmiała stal, podobnie jak stalowy miecz błysnęły w jego dłoni, gdyby ktokolwiek ośmielił się podać w wątpliwość jego słowa. Ochrona, jaką ją otaczał, po raz pierwszy wydała się Cyrene naprawdę skuteczna. Niepokój jej jednak nie opuszczał: ochrona mogła ponownie zamienić się w więzienie.

Odrzuciła wzrok od Rene, czując trzepotanie w żołądku. Jego posępna uroda była tego ranka niepokojąca,

kiedy tak siedział przy niej bez żakietu. Miał na sobie marszczoną na ramionach koszulę. Nie włożył jeszcze fularu, a w wycięciu koszuli widniała silna nasada szyi i kręcone włosy porastające grdykę i górną część klatki piersiowej.

Cyrene trudno było uwierzyć, że spędziła noc w jego ramionach. Kiedy obudziła się rano, tylko ciepłe miejsce obok było dowodem na to, że Rene tam spał, że go sobie nie wyśniła. Ogolił się i ubrał w garderobie. Po powrocie do sypialni rzucił jej swój szlafrok, a potem czekał na nią w jadalni ze śniadaniem. Ten przejaw taktu był nieoczekiwany i rozbrajający.

Cyrene dałaby wiele, by uniknąć intymności tego wczesnego posiłku. Kulenie się w łóżku w oczekiwaniu, aż odejdzie, wydało jej się jednak tchórzliwe, więc ruszyła do jadalni otulona jego długim, aksamitnym szlafrokiem, z włosami rozrzuconymi niedbale na plecach. Patrzenie mu w oczy i udawanie, że nocne wydarzenia nie wywarły na nią żadnego wpływu, kosztowały Cyrene niemało. To było chyba gorsze, niż gdyby starał się ją pojąć.

Zamierzała przecież z nim walczyć, nie pozwolić, by jej dotykał. Co się stało z tym postanowieniem? Czyżby była tak ufna, tak łatwo ją było uspokoić lub zastraszyć, że wystarczyło, by zapewnił ją, że nie zamierzał jej skrzywdzić, a ona już mu wierzyła? Czy może Rene, jego dotyk, miał nad nią taką władzę, że wszelki opór stawał się niemożliwy?

Rene siedział przyglądając się dziewczynie ukradkiem, bawiąc się niedbale filiżanką czekolady. Patrzył zafascynowany, jak policzki pokrywają się rumieńcami, nie stanowiącymi wyłącznie odbicia rubinowego szlafroka. Zachowywała się z doskonałym wdziękiem, siedząc w za dużym szlafroku z rękawami podwiniętymi za błękitno żyłkowane przeguby, z gęstymi włosami opadającymi lokami na kark. Zaprzagnął sięgnąć po nią, posadzić sobie na kolanach, rozchylić szlafrok, pieścić ukryte pod spodem ciepłe wypukłości i zagłębia. Stłumił

ten impuls. Miał wrażenie, że gdyby poruszył się choćby o milimetr w jej stronę, Cyrene zerwałaby się i rzuciła by się na niego z pięściami.

Wzrok Rene ponownie spoczął na szlafroku.

- Będziesz potrzebowała nowych ubrań - powiedział szorstko. - Dziś po południu przyślę do ciebie szwaczkę.

- Nie zrobisz nic podobnego! - Patrzyła na niego buńczucznie. Wreszcie mogła odmówić, zmazując z siebie hańbę minionej nocy.

- Oczekuje się od ciebie pełnienia pewnych funkcji w rezydencji rządowej.

- W charakterze twojej kochanki. Nie, dziękuję.

- Zapewniam cię, że nie będziesz jedyną nieżoną. Jest wiele...

- Nałożnic officerów. Nie mam zamiaru powiększać ich liczby.

- Skoro wolisz siedzieć tu zamknięta jak konkubina w seraju, masz oczywiście wolną rękę. Zbliżają się jednak uroczystości *Mardi Gros*. Zaplanowano kilka balów maskowych.

- Paryskie fanaberie wprowadzone przez *madame Vaudreuil*. Po co nam podobne wygłupy? To śmieszne.

- A po cóż mamy muzykę i tańce, jeśli nie po to, by rozwiewać smutki? Musisz przyznać, że maskarady to wspaniała rozrywka.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła szczerze. - Nigdy na żadnej nie byłam.

- Łatwo temu zaradzić. Pójdiesz ze mną. Szwaczka uszyje ci kostium.

- Nie sędzę - odparła buntowniczo. - Nie przyjmę twojej szwaczki, więc równie dobrze możesz zaoszczędzić sobie kłopotu posyłania jej do mnie.

- Rozumiem. W takim razie muszę chyba pędzić do krawca.

- Co?

- Skoro nie chcesz, by uszyto ci ubrania, ja muszę je zamówić dla siebie, jeśli zamierzasz korzystać z mojej garderoby.

Cyrene opuściła wzrok na szlafrok, któremu Rene przyglądał się w takim zamyśleniu.

- Sam mi go dałeś! Ale oczywiście pójdę na łódź po swoje rzeczy. - Dobrze było wiedzieć, że chociaż Bretonowie odpłynęli, łódź wciąż kołysała się na cumach; mogła się tam schronić w razie potrzeby.

- W tym, co masz na sobie? Jestem pewien, że oficerskie dziewczki będą zachwycone, nie mówiąc o oficerach.

- Oczywiście, że nie w tym. W ubraniu, które miałam na sobie zeszłej nocy.

Rene uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Chciałaś je zatrzymać? Ależ było podarte i brudne. Kazałem Marcie się go pozbyć.

- Co takiego? - krzyknęła mimowolnie. Ani przez chwilę nie wątpiła, że mówił prawdę.

Rene zrobił minę pełną ubolewania, tak sztuczną, że Cyrene zakapiała z wściekłości.

- Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś do nich przywiązana?

- Zrobiłeś to celowo. - Groźnie zmrużyła oczy.

- Jak mogłaś tak pomyśleć?

- Bez trudu, ale to nie ma znaczenia. Martha może pójść po moje rzeczy.

- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić - odparł, potrząsając z żalem głową.

- Chcesz raczej powiedzieć, że nie pozwolisz.

- Właśnie - zgodził się z uśmiechem.

Zrezygnowała z demonstrowania złości, ponieważ najwyraźniej nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Przyglądała się Rene przez dłuższą chwilę, po czym spytała:

- Dlaczego chcesz mnie upokorzyć?

Jego śniada twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

- Wcale tego nie pragnę - odparł krótko. - Czy to takie niewłaściwe, że chcę cię widzieć w stroju, który najkorzystniej podkreśli twoją twarz i figurę, że chcę cię mieć przy sobie, pragnę widzieć, jak się cieszysz z dostępnych nam rozrywek?

- Nie potrzebuję tych rzeczy.
- A ja tak - powiedział cicho.
- Nie pójdę.
- Myślę, że pójdziesz.

Ponieważ żadne nie mogło ani nie chciało ustąpić, zwyciężyć musiała strona zajmująca silniejszą pozycję.

Rene wstał.

- Nie przyślę szwaczki - oświadczył chłodno. - Sam ją przyprowadzę. Albo pozwolisz jej wziąć miarę albo to także zrobię sam.

- Nie przyjdzie ci to łatwo - ostrzegła przez zaciśnięte zęby.

- Może i nie, ale czeka mnie niemała przyjemność.

Powracający Rene humor połączony z niewzruszoną pewnością siebie zirytował Cyrene.

- Nawet jeśli ci się uda, nigdy nie założę tych strojów.

- Założysz albo oprócz twojej szwaczki zostanę również twoją pokojówką.

- Możesz mnie zmusić do mieszkania tu, nawet do noszenia tego, co zechcesz, ale nigdy się nie zgodzę występować jako twoja utrzymanka.

Nierozsądnie było przeciwstawiać mu się tak otwarcie. Wiedziała o tym, ale nie mogła się powstrzymać. Bunt musiał w końcu nadejść, ale nie teraz, nie tak wcześnie.

Nachylił się ku niej, opierając ręce na stole.

- Faktycznie jesteś moją utrzymanka - powiedział groźnie. - Póki nie pozwolę ci odejść, będziesz mi towarzyszyć przy stole i ogrzewać moje łóżko, nie mówiąc o tym, że będziesz ozdobą mojej osoby w równym stopniu, co koronkowa chusteczka czy bukiet w butonierce. Nie ma innego wyjścia i nie będzie. Im wcześniej się z tym pogodzisz, tym lepiej dla ciebie.

Ruszył w stronę drzwi, a Cyrene zatrzymała go zinnym pytaniem:

- A dlaczego miałabym tu zostać i cieszyć się pozycją, jaką mi wyznaczyłeś? Odesłałeś Bretonów, oczyściłeś ich z wszelkich zarzutów. Czym chcesz mi teraz grozić?

Rene odwrócił się powoli.

- Nie nazwałbym tego groźbą, raczej wymogiem honoru, zawartej umowy, chociaż wątpię, czy podzielisz moje zdanie. Pozostaje mi więc możliwość wytłumaczenia gubernatorowi, że zostałem omamiony, chwilowo zaślepiony twoją urodą, a twoje wdzięki uspiły moją czujność. Czy myślisz, że mi uwierzy? - dodał łagodnie.

Gubernator by mu uwierzył. Patrząc z rozpaczą na udawany przez Rene wyraz żalu i wyrzutów sumienia, Cyrene wiedziała, że przegrała. Zawsze jednak istniały warunki kapitulacji, a te podyktuje ona. O, tak.

Kapitulacja. Nie lubiła tego słowa. Przeszedł ją dreszcz, nie mający nic wspólnego z chłodem dnia. Otuliła się szczerzej aksamitnym szlafrokiem.

Ten gest daremnej obrony poruszył Rene do głębi. Po raz setny żałował, że sprawy nie wyglądają inaczej. Wiedział, że ten żal jest równie daremny, ale nie mógł temu w żaden sposób zaradzić.

Podjąwszy nagłą decyzję, podszedł do Cyrene. Ujął dziewczynę pod brodę, uniósł jej głowę, schylił się i przycisnął usta do gładkich, chłodnych, kruchych i niewiarygodnie słodkich warg. Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od przytulenia jej mocniej, wzięcia w ramiona i zanieśienia do łóżka. Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Z aż nadto znajomym bólem, rozchodzącym się od piersi do łędźwi, puścił Cyrene, wyprostował się i odszedł.

Patrzyła, jak odchodzi, obserwowała kołysanie szerokich ramion, bioder, silne długie nogi. Mówiła sobie, że bierna odmowa jest lepsza niż żadna; nie odwzajemniła pocałunku. Wysilek, jaki kosztowało ją to małe zwycięstwo, napełniał Cyrene lękiem. Musi zebrać siły, przygotować się na utarczki, bo w przeciwnym razie naprawdę zacznie ogrzewać jego łóżko.

Ta myśl wywołała na twarzy Cyrene napięty uśmiech. Zeszłej nocy nie ogrzewała łóżka Rene; to raczej on ogrzewał jej łóżko.

Przyszła szwaczka. Była zuchwałą, kościstą kobietą, znaną jako *madame Adele*, o rudych włosach szorstkich od henny, wokół której unosił się silny zapach paczuli oraz delikatna aura lekkich obyczajów. Mimo to mówiła zadziwiająco delikatnym głosem, a jej ruchy były kompetentne. Chociaż towarzyszył jej Rene, od chwili kiedy została przedstawiona Cyrene i wyjęta kawałek wstążki, by wziąć miarę, Adele nie poświęcała mu wiele uwagi. Do Cyrene odnosiła się z niewypowiedzianym, ale oczywistym koleżeństwem. Nie trudno było sobie wyobrazić, że zanim została szwaczką, mogła być czyjaś kochanka.

Cyrene pozwoliła, by zdjęto z niej szlafrok Rene. Stojąc tak w jego koszuli nocnej z jedwabiu przed kominkiem w salonie, odwracała się to w tę, to w tamtą stronę, zgodnie z poleceniami schylając lub prostując głowę. Podczas nieobecności Rene doszła do bolesnego wniosku, że opór w kwestii ubioru nie zda się na nic. Nawet bez chodzenia półnago po tym domu znajdowała się w dostatecznie złej sytuacji, jako całkowicie zależna od woli Lemonniera. Kompromisy, na które się godziła, napełniały Cyrene niepokojem. Czuła się tak, jakby zmuszano ją do ustępowania krok po kroku. Nie chciała zgadywać, jak się to wszystko skończy, ale chwilowo nie widziała żadnej alternatywy.

Wbrew własnej woli zainteresowała się bieżącymi sprawami; *madame Adele* pytała ją o ulubione kolory, style i materiały, omawiając najnowsze odmiany oficjalnego stroju dworskiego, *robe a lafrancaise*.

- Obawiam się, że niewiele wiem o modzie - oświadczyła w końcu sztywno Cyrene.

- A co tu wiedzieć, oprócz tego, w czym ci do twarzy? - spytała *madame Adele* ze wzruszeniem ramion. - *Madame Pompadour* przepada ostatnio za różowym, brzoskwińowym, niebieskim i szarym, takimi delikatnymi odcieniami. Myślę, że to nie dla ciebie, *chere*; na tobie te kolory całkiem by zblakły. Ciemniejsze barwy, o, tak, czyste i jaskrawe. W tych będzie ci dobrze, z tymi włosami koloru jasnego syropu z trzciny cukrowej.

I tkaniny z Lyonu, haftowane brokaty, o, tak! Widzę cię w ciemnym odcieniu niebieskozielonym, wyszywanym złotem. Co ty na to? Albo soczysty kremowy. Nie ze srebrem, jak Pompadour, ale też ze złotem?

- Czy takie materiały nie są bardzo drogie? - spytała Cyrene, marszcząc brwi.

- Co z tego? Pan Lemonnier powiedział, że mam ci uszyć najlepszy strój z możliwych. - Szwaczka posłała Rene łobuzerskie, nieco kocie spojrzenie, po czym wymieniła cenę, od której Cyrene zabrakło na moment tchu.

- Wydawać tyle na okrycie ciała... to niewłaściwe.

- Wszyscy tak postępują, *chere*. Poza tym, nie chodzi tylko o okrycie ciała, ale i o podniesienie na duchu, żeby nie myśleć, że tu na prowincji jesteśmy tak bardzo oddaleni od wielkich spraw Francji.

- Lubię Luizjanę.

- Ja też, ale musisz przyznać, że nie jest to *la belle France!*

Rene siedział w fotelu obok kominka, z wyciągniętymi, skrzyżowanymi w kostkach nogami i rękami założonymi na brzuchu. Patrzył, jak Cyrene odwraca się w tę i tamtą stronę; rozkoszował się w duchu widokiem jej szczupłego ciała pod jedwabną koszulą nocną, podświetlanego czerwonopomarańczowym blaskiem ognia. Był zaskoczony i zaniepokojony współpracą, jaką okazywała. Z jakiegoś powodu, którego nie chciało mu się analizować, zachowanie Cyrene napełniało go też poczuciem winy; czuł się jak stary rozpustnik. Nic nie pomagała myśl, że i ona widziała go pewnie w tym samym świetle. Dał jej przecież wszystkie powody, by tak sądziła; a jednak irytowało go, że jego intencje są błędnie interpretowane. Jeszcze bardziej zaś wściekała go świadomość, że chce grać właśnie rolę rozpustnika.

Cyrene spojrzała na Rene spod przymkniętych powiek, dziwiąc się, że jest gotów tak bardzo się wykosztować na jej strój, zastanawiając się, ile jeszcze zgodzi się wydać pieniędzy, byle tylko zaspokoić własną zachcian-

kę. Jego żarliwe spojrzenie odebrało jej na moment dech w piersiach. Znała już ten wzrok. Rene jej pragnał.

Wiedziała już wcześniej, że uczucia, jakie do niej żywił, są oparte na pożądaniu; nawet gdyby tego nie wyczuła, sam powiedział jej to wystarczająco jasno. Jednak dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z rozmiarów żądzy Rene. Pomyślała, że ukrywał ją pod maską opanowania, a nietrudno się było domyślić dlaczego. Żądza ta mogła zostać użyta jako broń. Broń przeciwko niemu.

- Kremowy brokat haftowany złotem, to brzmi dobrze - myślała głośno, odpowiadając na pytania szwaczki, a jednocześnie spuszczać wzrok i idąc za spojrzeniem Rene, które było skierowane na dolną część jej ciała. Zesztywniała, ponieważ nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo była obnażona. Wysiłkiem woli stłumiła chęć nagłego odsunięcia się od kominka. Poczowała gniew i zaczęła szukać w myślach możliwie najdroższego materiału.

- Ale ciemniejsze kolory brzoskwiniowe też mi się podobają. Mam na myśli atłas z koronkami z Alencon, taką woalkę, przez którą widać zaledwie odcień brzoskwini. Co ty na to?

- Wspaniale, *chere* - odparła *madame* Adele, klękając i rozkładając ręce, by wziąć miarę od talii Cyrene do podłogi.

- A czy taką woalkę można też wyhaftować złotem? - Cyrene uniosła ręce, wystawiając się na spojrzenie Rene, odwracając się lekko profilem i biorąc głęboki wdech, by piersi się dumnie podniosły.

- Naturalnie. To będzie toaleta godna królowej.

- Doskonale - odparła, patrząc Rene prosto w oczy, posyłając mu anielski uśmiech. - O to mi właśnie chodzi.

Zemsta utrzymanki, która domagała się, by utrzymywano ją w tak luksusowych warunkach, na jakie tylko strażnik mógł sobie pozwolić. Patrząc, jak Cyrene ucieka się do tego wybiegu, Rene czuł w piersiach ucisk,

który nie miał nic wspólnego z bólem łądźwi. To on ją do tego przywiódł, ja, tak otwartą i szczerą, która nigdy nie stosowała tak niskich sztuczek. Nie chciał, żeby tak się stało, ale nie było to żadne usprawiedliwienie. W jakiś sposób musiał wynagrodzić jej tę krzywdę, co mogło się okazać wcale przyjemnym zajęciem.

Dyskutowano dalej o tkaninach, wstążkach i koronkach; o rodzajach rękawów, szerokości i długości spódnic, rąbkach staników, czepkach i płaszczach; o pudrach do włosów, szpilkach i stu innych rzeczach. Rene wszystko znosił dzielnie. Cyrene pozwalała szwaczce mówić możliwie jak najdłużej. Niedbale zamawiała suknie i halki, szale, płaszcze i czepki z delikatnych koronek, znajdując wielką przyjemność w wydawaniu pieniędzy Rene, spodziewając się, że lada chwila powie jej, że posunęła się za daleko.

Nie powiedział ani słowa, ale nawet na chwilę nie spuścił z niej wzroku. W szarych oczach kryła się obietnica, jeśli nie kary, to w każdym razie wyrównania rachunków. Cyrene zarówno obawiała się, jak i z niecierpliwością wyczekiwała chwili, kiedy *madame* Adele opuści pokój. Chciała zobaczyć, co zrobi Lemonnier, choć jednocześnie błyski w jego oczach kazały jej mieć się na baczności.

W końcu szwaczka zebrała przybory i pożegnała się, obiecując, że dokona cudów, by jak najszybciej przygotować strój dla Cyrene. Drzwi zamknęły się za nią, a w salonie zapanowała cisza zakłócana jedynie trzaskaniem węgli w kominku.

Cyrene rozejrzała się instynktownie za jedwabnym szlafrokiem, zanim jednak zdążyła go znaleźć, Rene wstał i podszedł do niej. Położył jej dłonie na ramionach, odwracając dziewczynę ku sobie. Dotyk jej skóry pod jedwabną koszulą nocną był miękki i gładki, ale kości ramion sprawiały wrażenie drobnych i kruchych. Usta miała rozchylone i wilgotne, oddech słodki. Patrzyła na Rene z uporem, choć oczy nie zdradzały, co działo się w jej duszy.

Cyrene czuła w kratni pulsowanie krwi. Miejsce lęku zajął dziwny, pełen oczekiwania spokój. Uścisk Rene był mocny i ciepły, a delikatne, pieszczotliwe ruchy kciuków - niepokojące. Jego zaabsorbowana twarz lśniła w ogniu miedzianym blaskiem. W duszy Cyrene wzbierała dziwna mieszanka triumfu i lęku, oporu i pożądania. Gdyby zamknęła oczy, pochyliła się ku niemu...

Miałaby nad nim większą władzę, zemściłaby się pełniej, gdyby się uzależnił od niej fizycznie. Wiedziała to dzięki jakiemuś pradawnemu instynktowi, który nie miał nic wspólnego z ich przeżyciami. Pokusa, by uzależnić go od siebie w ten sposób, uderzyła Cyrene do głowy jak opary dobrej brandy.

Nie. To zbyt niebezpieczne, zbyt haniebne.

Ale przecież bez ryzyka nie ma zysku. A skoro on zapominał o honorze, czemu ona miałaby pamiętać?

Co więc się stało z postanowieniem, by się mu przeciwstawić, ze wzniosłym oporem? Jaką miała gwarancję, że nie ulegnie jego umiejętnym zakusom, że wraz z rezygnacją z oporu nie porzuci też chęci zemsty?

Właśnie, jaką?

Pochylił głowę, przyciskając usta do jej warg z nieskończoną troskliwością, z niezmierną, rozbijającą czułością. Chłodne usta Cyrene drżały w kącikach, powoli się rozgrzewając, powoli tężejąc. Potarł wargami jej wargi, poddając się jedwabistemu dotykowi, rozpluwając się w miodowym smaku, bezmyślnie ciesząc się faktem, że się nie cofnęła. Zarzucił jej ręce na szyję, przyciągając Cyrene ku sobie, aż krągłości jej ciała przylgnęły do twardej piersi i ud; wchłaniał miękką sprężystość, stanowiącą doskonałe dopełnienie jego kanciastego ciała, miał wrażenie, że mógłby posiadać tę kobietę przez pory własnej skóry. Ciepły, kobiecy zapach owładnął jego zmysłami. Poczul, jak uniosła ręce i, z drżeniem palców, zacisnęła mu dłonie na karku.

Umysł Cyrene stanął w ogniu. W żyłach tętniła spieniona krew, gwałtowna, przesycona pragnieniem. Język Rene dotykał jej języka, wywołując zarówno pokusę, jak

i wstrząs, napełniając ją lękiem, jako zapowiedź bardziej intymnego wtargnięcia. Czuła wyraźnie, jak jej obrona rozpada się w proch, roztapia się w narastającym pożądaniu. W czarodziejskim pocałunku penetrował najwrażliwsze obszary jej ust. Poruszył się i Cyrene poczuła na piersi jego dłoń, która okrażała i delikatnie pocierała cudownie reagujący wzgórek. Z cichym westchnieniem przyłgnęła do Rene całym ciałem.

W westchnieniu zabrzała rozpacz. Rene usłyszał ją, czując, jak zamiera w nim serce. Gorączkowe pożądanie zaczęło ustępować. W przebiegu całkowitej jasności umysłu pojął, co robi i dlaczego; targnął nim spazm obrzydzenia do samego siebie. Mięśnie napięły się i zaraz ponownie rozluźniły. Stopniowo zmuszał się, by oderwać wargi od ust Cyrene, zdjąć dłonie z jej piersi, odsunąć się od niej.

Cyrene spojrzała na Rene ze zdumieniem. Nie rozumiała jego zachowania, podobnie jak nie pojmowała własnej skonsternowanej reakcji. Pozostała jej tylko дума i udawanie.

Odsunęła się gwałtownie z płonącym wzrokiem i głosem ochrypłym od tłumionych łez.

- Będę wdzięczna, jeśli nie zrobisz tego więcej!
- Dałbym ci na to słowo, gdybym sądził, że potrafię go dotrzymać. W tej chwili wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- Następnym razem pocałujesz.
 - A może jednak nie? Mogę chyba zaryzykować, co?
- Odwróciła się do niego powoli, unosząc w górę pięści.
- Daję ci moje słowo.

Był skończonym głupcem. Tego, co mógł od niej wziąć, nie chciał; tego, czego chciał, nie mógł dostać. A może?

- Nie dawaj mi słowa - powiedział. - Ale przygotuj się do tego, by mnie zniszczyć, jeśli będziesz musiała i jeśli potrafisz. Będzie następny raz.

13

Poczucie porażki może być gorzkie. Rene ubrał się i wyszedł, a Cyrene siedziała pogrążona w rozmyślnościach. Nie mogła pogodzić się z faktem, że to nie ona przerwała wzajemny uścisk. Myśl ta była upokarzająca, ale jeszcze większym przerażeniem napełniał ją konglomerat uczuć, które dopuścili do tego, że Cyrene zaczęła rozważać możliwość kapitulacji. Co leżało u źródła tych ślepych sił: pragnienie zemsty czy potężne oddziaływanie Rene jako mężczyzny? To pytanie nie dawało jej spokoju.

Teraz o wiele bardziej potrafiła docenić siłę takiego oddziaływania. Istnieli tacy mężczyźni, wyróżniający się z tłumu, którzy zwracali uwagę ludzi, nie robiąc w tym kierunku żadnego wysiłku, nie zdając sobie sprawy z własnego uroku.

Ale Rene oczywiście uświadamiał sobie własny wdzięk. Mimo że niechętnie się do tego przyznawała, wiedziała, że Rene uzyskał aż nazbyt wiele dowodów na to, jak na nią działał. Mogła się tylko pocieszać, że i ona musiała go w pewien sposób pociągać, bo w przeciwnym razie nie znalazłaby się tutaj. Nie oznaczało to, że ta myśl napawała ją dumą. W przeszłości podobało mu się wiele kobiet. Był człowiekiem o silnych namiętnościach, przyzwyczajonym do zdobywania obiektów własnych pragnień. Tym większym zdumieniem napełniała Cyrene myśl, że nie posiadł jej wtedy, kiedy mógł.

Czy możliwe, że z nią igrał? Czy możliwe, że czerpał jakąś perwersyjną przyjemność z obserwowania, jak duży wyłom potrafi zrobić w jej obronie? A może nie chodziło mu tylko o kapitulację fizyczną, ale także duchową?

Tego przynajmniej nie dostanie. Cyrene trwała w przekonaniu, że bez względu na to, co jeszcze zrobi, nie odda mu swej duszy.

Bez względu na to, co jeszcze zrobi.

Odkryła, że pożądanie może służyć jako broń. Mogła i chciała jej użyć. Owszem, wiązało się to z ryzykiem, ale była gotowa je podjąć.

Kiedyś, przez krótki czas myślała, że kocha Rene. Wszystko, co do niego czuła, umarło wraz z jego zdradą i istniało małe prawdopodobieństwo, by mogło zostać wskrzeszone. Co zaś dotyczy fizycznego oddania się temu człowiekowi, zrobiła to już raz z własnej woli. Zrobienie tego ponownie nie stanowiło wielkiego poświęcenia, tym bardziej jeśli miało pewien cel. Postępowała niemądrze, naprawdę niemądrze, przywiązując do tego aktu tak wielką wagę, tak bardzo się go bojąc.

Cyrene mogła przymierzyć pierwszą z sukni dzieła *madame Adele* już następnego ranka, a dostarczono ją późnym popołudniem, niewiele ponad dobę po złożeniu zamówienia. Jak można się było spodziewać, nie przypominała w niczym praktycznego dziennego stroju; zgodnie z francuskim wyczuciem tego, co ważne, *madame Adele* stworzyła jedną z trzech *robe a lafrancaise*. Nie przypadkiem dostarczono ją w sam raz na wieczorek, który miała wydać pani Vaudreuil; *madame Adele* z pomocnicami pracowały do późnych godzin nocnych, żeby zdążyć na czas. Szwaczka przyszła, by pomóc Cyrene ubrać się w suknię, na wypadek konieczności drobnych poprawek. Krzątała się wokół dziewczyny, poprawiając stanik, wygładzając fałdy na przodzie sukni, aż w końcu się cofnęła.

- *Magnifique!* - wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie. - Nikt nie uwierzy, że nie przypląnęłaś dopiero co z Fran-

cji. Najpierw jedwabne pończochy i pantofle od szewca, a potem, jeśli pozwolisz, ułożę ci włosy, wszyscy pomyślą, że przybyłaś prosto z Wersalu!

Cyrene zgodziła się, żeby ułożono i upudrowano jej włosy, choć miała wątpliwości, czy czesanie do tyłu było konieczne. Kiedy wreszcie pozwolono jej spojrzeć w lustro, mogła tylko usiąść i patrzeć. Miejsce osoby, którą znała, zajął ktoś obcy. Uczesanie oraz dekolt sukni nadawały Cyrene wygląd kogoś starszego, bardziej doświadczonego, a jednocześnie bardziej ftywolnego. Suknia z lazurowego brokatu miała stanik z koronkową wypustką zwaną *tatez-y*, co oznacza niezwykle figlarną zachętę: dotknij tutaj. Obcisłe, sięgające łokci rękawy ozdobiono suto marszczonymi koronkami i rozetami wstążek, a w rozcięciu wierzchniej, rozłożonej na obręczach spódnicy widniała wewnętrzna spódnica z koronek.

- Widzisz? Sama esencja mody! - paplała szwaczka. - Wszystko, czego trzeba, to odrobina różu nałożonego wierzbowymi baziami, i *voila*. Złamiesz serca, może nawet to pana Rene Lemonniera, tak?

- Być może - odparła Cyrene z lekkim, ironicznym uśmiechem.

- A więc zgadzasz się? - Szwaczka wyjęła wierzbowe baze i słoiczek różu.

- Zgadzam się.

Madame Adele kończyła nakładać róż, kiedy na zewnętrznych schodach rozległy się kroki Rene. Szwaczka przerwała zabiegi, każąc Cyrene wstać. Dziewczyna cofnęła się o kilka kroków, po czym stanęła, pełna niecierpliwego wyczekiwania. Rene otworzył drzwi i wszedł do domu. Rozległy się przyciszone głosy: to służąca powitała go i wzięła kapelusz. Po chwili stanął w drzwiach sypialni.

Zatrzymał się tuż za progiem. Kobieta, którą miał przed sobą, wyglądała wspaniale, łącząc elegancję ze zwiewnością, ale niewiele łączyło ją z Cyrene. Wcześniej sądził, że każąc ją ubrać i upudrować na modłę

innych kobiet z jego kręgu, nada Cyrene zwykłyjszy wygląd. Tymczasem strój wydobył z dziewczyny ulotny rys, podobny do tego, jaki kultywowali ludzie wysoko urodzeni. Jej zwykła, wyprostowana i dumna postawa, w połączeniu z poprawnym strojem czyniła z Cyrene prawdziwą arystokratkę. Było to kłopotliwe i niepokojące.

Wszedł powoli do sypialni, mówiąc cicho:

- Proszę, proszę.

- Musimy już tylko nałożyć muszkę, *monsieur*- oznajmiła *madame* Adele. - Co pan radzi? Małe serduszek w kąciku ust, żeby zwrócić uwagę na ich kształt, czy może różyczkę pod okiem?

- Nic.

- Nic? Ależ, *monsieur*, taka jest moda!

- Nie ma tu żadnych skaz do zastraniania. Po co upiększać doskonałość? - Stał przed Cyrene, omiatając ją badawczym spojrzeniem.

- Naturalnie - zgodziła się szwaczka.

- Jest pani wolna, *madame*.

- Oczywiście. Tak. Natychmiast. - Uśmiechając się szeroko do siebie, *madame* Adele zebrała rozmaite szczoteczki, słoiczki i znikła.

Kiedy zostali sami, Cyrene zwilżyła wargi i zapytała:

- Jesteś... jesteś zadowolony?

- Częściowo.

- Tylko częściowo? - spytała z zaskoczeniem.

- Myślę, że wolałem koszulę nocną.

- Musisz się zdecydować.

Rene uśmiechnął się nieznacznie.

- Owszem. Kupiłem ci prezent, ale nie jestem pewien, czy powinienem ci go dać.

- Ponieważ uważasz, że mam już dość? - spytała, a oczy jej pociemniały.

- Ponieważ nie jest ci wcale potrzebny, a niewątpliwie znajdziesz sposób, żebym się poczuł jak łotr.

- To mało prawdopodobne - odparła zgryźliwie - chyba że, oczywiście, jesteście...

- Łotrem? Dziękuję, teraz już nie mam się czego obawiać.

Z kieszeni kamizelki wyjął atłasową torebeczkę. Ujął dłoń Cyrene i wręczył jej podarunek. Otworzyła torebeczkę nieco drżącymi palcami. Dostrzegła migotanie biżuterii; wysypała na dłoń kolczyki z barokowych pereł w kształcie gruszek, umieszczonych na rozetach wysadzanych diamentami.

Przez dłuższą chwilę nie mogła wykszusić ani słowa.

- Jesteś zbyt hojny - powiedziała wreszcie.

- Wcale nie.

Uprzejmy ton Lemonniera podziałał na Cyrene jak czerwona płachta na byka.

- Rozumiem. Oczekujesz, że ci się odwdzięczę.

Czy oczekiwał? Rene nie potrafił powiedzieć.

- Czy to propozycja? - spytał.

- Wiesz dobrze, że nie! - krzyknęła, z oczami płonącymi równie jasno jak diamenty. - Nie można mnie kupić tak łatwo.

- Zawsze istniała taka możliwość.

- Popełniłeś błąd, i to kosztowny.

W gniewie przypominała znaną mu Cyrene, grzmiącą i naturalną jak same żywioły.

- Może jednak nie. Włóżysz je?

- Czemu nie? - Pokaże mu, że nie ma zamiaru czuć się zobowiązana. Wyjęła z uszu małe, złote kółka, które dostała w prezencie na bierzmowanie, gdy miała dwanaście lat.

- Pozwól - powiedział Rene, podniósł kolczyk i zaczął go wkręcać delikatnie w jej ucho. Czuła, jak metal wkręca się w miękki płatek uszny, rozpychając otwór; sztyfcik był grubszy niż noszone dotąd kółka. Rene zamocował misterne zabezpieczenie, po czym zabrał się za drugi kolczyk. Cyrene podniosła na niego wzrok jak zaczarowana. Uśmiechnął się, delikatnie zakładając drugi kolczyk, a dotyk jego kostek na policzku przypominał pieszczotę.

Rene nie skończył. Z drugiej kieszeni wyjął małą fiolkę.

- Zrób mi tę przyjemność, jeśli możesz. Wcale ich nie potrzebujesz, ale żadnej modnej damie nie powinno na nich zbywać.

Perfумы. Cyrene ujęła pięknie zdobioną flaszeczkę z rżniętego szkła, czując ostre kanty na dłoni. Wyjęła maleńką zatyczkę. W powietrzu rozeszła się woń róż damasceńskich, przywołując wspomnienia pewnej plaży i nocy, o których chętnie by zapomniała. Opierając się im, zamoczyła patyczek i zwilżyła pulsujący punkcik na szyi, ramiona, a także łagodne wgłębienie między piersiami.

Rene nic nie powiedział, przekrzywił tylko głowę, przyglądając się Cyrene z niepokojącą mieszanką zadowolenia i obietnicy.

Kiedy Rene ubierał się na przyjęcie, Cyrene szlifowała paznokcie, wygładzała pumeksem stwardniałą skórę na dłoniach, nacierając je gęsim smalcem przyniesionym przez służącą. Wszystkie te zabiegi nie były w stanie nadać jej skóry gładkości, jakiej oczekiwano od damy z towarzystwa, ale mogły uratować Cyrene od całkowitej hańby. Paznokcie, krótkie od gotowania i szorowania, na pewno odrosną, jeżeli tu pozostanie. Jeżeli.

Rene pojawił się w końcu w całej okazałości: miał na sobie atłasowy płaszcz w kolorze tak ciemnej purpury, że zdawał się niemal czarny, i lawendowe, atłasowe spodnie. Kołnierzyk i mankiety zdobiły koronki, a guziki wykonano z ametystów. Miał elegancką perukę, upudrowaną na oślepiająco biały kolor i związaną czarną wstążką, a w dłoni trzymał hebanową laskę. Był dworzanninem w każdym calu, wyniosłym, uważnym. Kiedy, przed wyjściem, ujął dłoń Cyrene i położył ją sobie na ramieniu, przebiegł ją drobnym dreszcz.

Rezydencja gubernatora, w której miał się odbyć wieczorek, znajdowała się niedaleko domu Rene. Wznosiła się na rogu ulicy biegnącej przed Place Royale oraz drugiej przecznicy; tuż obok znajdowała się rezydencja rządowa, siedziba władz kolonii. Miejskie ulice, wyznaczone z wojskową precyzją na siatce równych kwadra-

tów, nosiły nazwy na mapach, które obrastały kurzem w rządowych skrzyniach, ale nie widniały na tabliczkach i mało kto ich używał. Główne arterie określano nazwiskami ważnych osób, które przy nich mieszkały.

Nie sposób było stwierdzić, kto umeblował rezydencję gubernatora, markiz czy jego żona, ale ewidentnie zamierzali jak najwierniej skopiować luksus Wersalu. Jedną ścianę głównego salonu zdobiły okna, a przeciwległą lustro. Drewniane odstępki pomalowano na imitację zielonego i różowego marmuru. Zwieszające się na sznurach z kryształowych medalionów żyrandole migotały lodowatym przepychem. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się potężne, blisko dwumetrowe kandelabry z brązu, a na nich wysokie świece. Zarówno w żyrandolach jak i w kandelabrach paliły się świece z najczystszeo, pszczelego wosku. Parkiet wypolerowany na najwyższy połysk odbijał roztańczone płomienie dwóch wielkich kominków z *faux marbre*, fałszywego marmuru, położonych po obu stronach salonu. Sufit ozdobiono malowidłami zmysłowych bogiń i pulchnych cherubinów, a kominki zdobił po obu stronach malowany jedwab z Tours. Zarówno klawikord, na którym śpiewaczka miała sama sobie akompaniować, jak i krzesła czekające na słuchaczy, były rzeźbione, złoczone i obite barwną tkaniną.

Ten rokokowy przepych zapierał dech w piersiach, a nie najmniej ważkim ku temu powodem była świadomość, ile pracy, troski i pieniędzy wymagało przetransportowanie tych przedmiotów zbytku do kolonii. Całość wywarłaby jednak na Cyrene większe wrażenie, gdyby się z utyskiwań Jeana wcześniej nie dowiedziała, ile jedzenia i ubrań dla armii kolonialnej, ile cennych towarów dla luizjańskich kupców zostawiono na nabrzeżu, pozwalając im zgnić, ponieważ miejsce w ładowniach statków zajęły te luksusy. Gubernator wraz z żoną uważali, że bez nich nie zniosą tego, co ich paryscy przyjaciele uważali niewątpliwie za wygnanie na koniec świata.

Zaraz po przekroczeniu progu salonu Cyrene i Rene zostali przyjęci przez gubernatora z małżonką. Nawet jeśli markiza, cała jaśniejąca złotymi koronkami na czarnym aksamicie, przypomniła sobie Cyrene, nic nie dała znać po sobie. Pierre de Rigaud de Vaudreuil, równie wspaniały w szarych atłasach ozdobionych Orderem Rycerza Świętego Ludwika, oświadczył, że jest oczarowany. Był pełnym wdzięku mężczyzną o nienagannych manierach, nie tylko znacznie młodszym od żony, ale także przystojniejszym: szerokie czoło, silne rysy, zniewalające oczy. W pełni świadom zajmowanej wysokiej pozycji, król życia, był jednocześnie zdolnym administratorem, rozumiejącym problemy odległej kolonii, mającym pełne zaufanie do własnych umiejętności w ich rozwiązywaniu.

Kiedy Cyrene dygnęła przed gubernatorem, obdarzył ją pełnym uznania uśmiechem i przez chwilę nie wypuszczał jej dłoni z ciepłych palców. Markiza, zauważywszy to kątem oka, skinęła leniwie na lokaja w białej peruce, jednego z tych, których tuzin lub więcej stał w odstępach pod ścianami. Lokaj skoczył, by przygotować krzesła dla Cyrene i Rene. Gubernator wypuścił dłoń dziewczyny z elegancko okazanym żalem, składając tym samym komplement jej urodzie. Weszli głębiej do salonu.

- Uważaj - szepnął jej Rene na ucho. - Żona gubernatora jest staroświecko zazdrosna.
- Sądziłam, że gustuje w młodszych mężczyznach.
- Jedno nie wyklucza drugiego. Czasami musi szukać pociechy, jak wszystkie żony.

Kobiety były w kolonii rzadkością przez tak długi czas, że małżeństwa zawierane w oparciu o wzajemną sympatię i uczucia stały się czymś powszechnym. Pośród ludzi majątnych zdarzały się małżeństwa kontraktowe, ta tendencja nasilała się w miarę, jak kolejne duże majątki ziemskie zmieniały właścicieli, a do kolonii przybywało coraz więcej ludzi, jednak czasem zapominało się, że we Francji sprawy wyglądały inaczej.

Tam, zwłaszcza pośród szlachty posiadającej, małżeństwa ustalano, kiedy zainteresowani byli jeszcze dziećmi, a kierowano się wyłącznie względami dobrego urodzenia i majątku. Cudzołóstwo ze strony męża nie tylko tolerowano, ale nawet go oczekiwano, a po wydaniu na świat spadkobiercy kobiety mogły, przy zachowaniu należytej dyskrecji, znajdować radość w towarzystwie i objęciach kochanków. Cyrene, przywykłej do małżeństw, w których mąż i żona pracują wspólnie, wspierając się nawzajem w chorobie i biedzie, arystokratyczny model małżeństwa jawił się jako coś zimnego i jałowego.

Nie zamierzała zresztą dzielić się tymi myślami z Rene. Uśmiechała się i wymieniała grzeczne uwagi z mężczyznami i kobietami, którym ją przedstawiała, a potem obydwójce zajęli miejsca w oczekiwaniu na wieczorek muzyczny.

Młoda kobieta, która wystąpiła, córka plantatora, miała jasny, miły głos, ale żadnych pretensji do profesjonalizmu. Wspierana rzewnym, zachęcającym wzrokiem grubej kobiety, będącej niewątpliwie jej matką, wesoło i żwawo śpiewała ludowe piosenki pełne odrobinę ryzykownych aluzji do pasterzy i mleczarek, a także utwory, które zeszłej zimy cieszyły się popularnością w Operze Komicznej.

Wkrótce stało się jednak jasne, że muzyka stanowiła tylko pretekst do spotkania. Kiedy śpiewaczka skończyła pieśni, wystąpiło trio muzyków, a krzesła odsunięto do tyłu, by zrobić miejsce do tańca. Tych, którzy nie życzyli sobie brać udziału w tak wyczerpującej czynności, skierowano do sąsiedniego pokoju, gdzie przygotowano stoły do gry w karty. Goście mieli się posilać kolacją, której każde danie podawano w innym pomieszczeniu, od owoców morza po drób, mięso i deser.

Przyszli wszyscy, którzy coś znaczyli: plantatorzy, których posiadłości leżały nad Missisipi i Bayou St. John; kupcy miejscy, prawnicy, notariusze i lekarze; oficerowie armii królewskiej; urzędnicy miejscy, od strażnika

magazynów królewskich, kierownika budowy domów i fortyfikacji po samego komisarza intendenty, Michela la Rouvilliere, najbardziej wpływowego człowieka w kolonii po gubernatorze. W towarzystwie żon, synów i córek jedli, pili, chełpili się, flirtowali, ale przede wszystkim rozmawiali.

Gwar głosów rozbrzmiewał nieprzerwanie; dźwięczały celne riposty, szybkie żarty i uwagi na stronie, płytkie plotki, ale także uczone, żarliwe dysputy. Ci, którzy chcieli wyrazić własne opinie, musieli wykazać refleks, by znaleźć przerwę w rozmowie, i mówić konkretnie, jeśli chcieli przykuć uwagę słuchaczy. Ludzie o ociążonym umyśle lub języku szybko znajdowali się poza nawiasem.

Około tuzina gości zebrało się w końcu długiego głównego salonu, wokół kanapy ustawionej przed kominem. Pani Vaudreuil królowała na kanapie, umiejętnie kierując konwersacją, zachęcając nieśmiałych, ukrócając tych, którzy pragnęli zmonopolizować rozmowę. Rene stał za krzesłem Cyrene, która z ciekawością przysłuchiwała się bystrej wymianie myśli. Niezwykle spodobał jej się młody człowiek nazwiskiem Armand Moulin. Ten dżentelmen w lekko kręconej peruce, o wrażliwych rysach, z diamentami pośród koronek kołnierzyka, żarliwie popierał płęć piękną. Mówił bardzo dorzecznie, przechadzając się przed kominkiem tam i z powrotem, rozprawiając beznamiętnym tonem ozdabianym ekstrawaganckimi gestami o miejscu kobiety we współczesnym społeczeństwie.

- Żyjemy we wspaniałej epoce, epoce piękna i wyrafinowania. A dlaczego tak jest? Ponieważ my, mieszkańcy *la belle France* mamy to szczęście, że wielbimy kobiety! Ich gracia, wdzięk, umiłowanie wszystkiego, co delikatne i czyste, ich czułe emocje przepajają naszą muzykę, sztukę, nawet sprawy życia codziennego. Nigdy wcześniej nie podjęto podobnej próby nadawania piękna przedmiotom codziennego użytku. Komu to zawdzięczamy? Kobietom! Sprawiają, że stajemy się bardziej

wrażliwi, nakazują nam zachowywanie większego taktu, w wyniku czego maniery i zwyczaje są ściślej przestrzegane. Uczą nas podstaw zalotów i czułości buduaru. Czy zadowala nas triumf na polu bitwy? Nie, dopóki nie znajdziemy uznania w oczach kobiet w salonach. Najwspanialszych czynów na polu honoru dokonujemy w imię pięknej kobiety. Nasza poezja i filozofia są niczym, jeśli nie znajdzie się jakaś kobieca dusza, gotowa je chwalić, poddać dyskusji, zachęcać. Mimo że pozbawiony faktycznej siły, ich wpływ sięga wszędzie, nawet na najtajniejsze narady królewskie. Jakże nudne byłoby bez nich życie, jak ponure i barbarzyńskie.

- Ale czy pozwoliłby pan, by nim rządziła kobieta?

Pytanie padło z ust bogato odzianej, figlarnie uśmiechniętej damy, której oczy były okolone ładnymi zmarszczkami, świadczącymi o zbliżaniu się do wieku średniego. Została przedstawiona jako *madame Pradel*. O kilka lat młodsza od męża, przysłała sama. Kawalera de Pradel nie bawiło bywanie; wolał poświęcać czas i energię na planowanie budowy wspaniałej rezydencji po drugiej stronie rzeki. Podobnie jak pani Vaudreuil, *madame Pradel* słynęła z doceniania młodszych mężczyzn, szczególnie przystojnych idealistów.

- Czemu nie? - odparł Armand Moulin. - Jeśli posiada po temu kwalifikacje?

- Oto głos pełnej uniesienia młodości. Starsi mężczyźni nie dzielą się tak chętnie władzą.

Kilku mężczyzn zaprotestowało, a Armand przesunął dłoń po miękkiej peruce, zanim powiedział ze szczerym zakłopotaniem:

- Jednak kobiety rzadko otrzymują wykształcenie, które umożliwiłoby im piastowanie wyższego stanowiska.

- Po cóż miałyby zawracać sobie głowę takimi rzeczami, skoro istnieją prostsze sposoby? Wystarczy spojrzeć na przykład de Pompadour - odezwał się cicho jakiś mężczyzna.

Madame Pradel zignorowała tę uwagę, wpatrując się ciepło w Armanda.

- To, co pan mówi, jest prawdą, ale proszę powiedzieć, kto ponosi winę za nasz brak przygotowania? Najpierw zamyka się nas w konwencie, a potem wini za brak obycia. Jeszcze później, kiedy zakosztujemy życia towarzyskiego, mówi się nam, że jesteśmy za mało wyrafinowane.

- Błędem jest myśleć, że skoro kobiety uczą się tylko trochę pisania, czytania i haftowania, są wtedy mało wykształcone - powiedziała Cyrene.

Słowa zostały wypowiedziane w krótkiej przerwie w rozmowie, toteż wszyscy je wyraźnie usłyszeli. Nie zamierzała wygłaszać tak dobitnej opinii. Usłyszawszy własny głos górujący nad powszechnym gwarem, poczuła rosnące zakłopotanie.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - spytała pani Pradel.

- Wykształcenie to ciągła nauka. Nauka bierze się z książek. Kobieta, która potrafi czytać, może, podobnie jak mężczyzna przeznaczony do zawodu prawnika czy lekarza, poznać ważne idee naszego czasu.

- Zupełnie słusznie - zgodził się Armand. - Proszę tylko spojrzeć na kobiety w rodzaju *madame* Tencin czy *madame* du Deffand. Ludzie gromadzą się tłumnie w ich paryskich salonach, ponieważ są to kobiety dowcipne, rozumne i niezwykle wykształcone.

Starsza dama przyglądała się przebiegle Cyrene.

- A co z tobą, *chere*? Przypuszczam, że nie odebrałaś wykształcenia w kolonii. Gdzie zetknęłaś się z tak nowoczesnym podejściem do nauki?

- Posłano mnie do konwentu urszulanek w Quimperle, ale pomysł uczenia się poprzez czytanie zawdzięczam człowiekowi, którego znam.

- Mężczyzna - powiedziała starsza dama, jak gdyby to tłumaczyło wszystko.

- Mój... mój opiekun - wyjaśniła Cyrene, nie potrafiąc znaleźć lepszego określenia. Miała na myśli Pierre'a, który czytał z trudem, ale miał na ten temat niezwykle stanowcze zdanie, choć nie byłoby rozsądnie wymieniać tu jego nazwiska.

- Rozumiem. Zapamiętam miejsce, o którym pani wspomniała. Moja najstarsza córka musi wkrótce odebrać wykształcenie i wyjść za męża, a mój mąż nie chce, by została żoną zbyt wcześnie. Oprócz niej mamy dwie młodsze, które również należy posłać do szkoły.

Nawet Cyrene słyszała plotki, które głosiły, że sama pani Pradel namawiała najstarszą córkę do wstąpienia do klasztoru, ponieważ nie uśmiechał jej się pomysł, że dziewczyna wyjdzie za męża i niemal na pewno w ciągu roku uczyni ją babcią. Plotki te mogły być prawdziwe.

- Jestem przekonana, że pani córkom tam się spodoba - zapewniła Cyrene.

- To bardzo odległe miejsce - powiedziała markiza do pani Pradel. - Oczywiście przy pani kontaktach na pewno znajdzie pani kogoś, kto zaopiekuje się tam pani córką.

- Naturalnie.

- Musimy mieć nadzieję - odezwał się znowu Armand Moulin - że skoro podpisano traktat, angielscy korsarze dadzą nam spokój.

- Musimy mieć nadzieję, że wszyscy będziemy bezpieczni - zawtórowała pani Pradel, wzdrygnawszy się lekko. - Nigdy w życiu nie czułam takiej ulgi. - Od ataku ostatniej zimy i śmierci biednego Babi, wyskakiwałam z łóżka ze strachu co najmniej dwukrotnie każdej nocy.

Mówiła o napaści zbuntowanych Choctawów pod wodzą Czerwonego Buta. Rozeszły się wówczas pogłoski o setkach zabitych i armia ruszyła na pomoc miastu, zanim okazało się, że grupa napastników nie liczyła więcej niż trzynastu czy czternastu wojowników. Czerwonego Buta zabili zeszłej jesieni sprzymierzeni z Francuzami Choctawowie, w wyniku drobnej zdrady, w której pokładano nadzieje na przywrócenie spokoju. Jak dotąd rezultaty były nikłe. W charakterystyczny dla Nowego Orleanu sposób śmierć nauczyciela tańca, Babięgo, wykwintnego człowieka o nieokreślonym wieku, faworyta kobiet i stałego bywalca domu gubernatora, uważano powszechnie za największą stratę. To właśnie

Babi, w stopniu nie mniejszym niż markiza, nadawał miastu paryski styl i wspierał formowanie się *haute societe*.

- Tak, te nie kończące się alarmy - podjęła pani Vaudreuil. - Chociaż podpalenie magazynu poprzedniej nocy było bardziej przerażające niż wszystko inne. Niczego nie boję się tak jak pożarów.

Armand klasnął w dłonie za ich plecami, a twarz mu pojaśniała.

- Pomyśleć, że ci ludzie włamali się do magazynów królewskich i umknęli z towarami. To śmiały, a także rozpaczliwy czyn. Jestem pełen podziwu.

- Czułby pan mniejszy podziw, gdyby spaliłby się panu dom, z panem w środku - stwierdziła szorstko markiza. - Na szczęście magazyn był izolowany, a ogień wykryto wcześniej.

- Czy poniesiono duże straty?

Pytanie padło z tyłu grupy. Odpowiedzi udzielił gubernator, który właśnie podszedł do zebranych.

- Głód nam nie grozi - powiedział z uśmiechem, pełen swobodnej pewności.

- Ludzi odpowiedzialnych za ten pożar powinno się surowo ukarać - dodał ktoś inny.

- Naturalnie - zgodził się gubernator, wdzięcznym gestem leniwie wyjmując tabakierę.

- Mówi się, że zrobili to przemytnicy, którzy chcieli odzyskać skonfiskowane im towary. Ci przemytnicy to nieuchwytni ludzie.

- W rzeczy samej. - Gubernator zażył szczyptę tabaki i kichnął delikatnie w koronkową chusteczkę, którą wyjął z lewego rękawa. - Jediną osobą, której udało się... jak to powiedzieć?... dopaść jednego z nich, jest obecny tutaj Lemonnier. Schwytał naszą jedyną przemytniczkę, *mademoiselle* Cyrene. Sądzę, że winniśmy mu wdzięczność, chociaż widząc jej urodę, należy przypuszczać, że został godziwie nagrodzony.

Uwaga była delikatna i żartobliwa, ale towarzyszące jej spojrzenie bynajmniej. Gubernator Vaudreuil mógł

mieć żonę, która mieszała się do handlu i spraw związanych z zarządzaniem kolonią, ale nie był głupcem, a ponadto zawsze wiedział więcej, niż dawał po sobie poznać. Cyrene przeszedł dreszcz strachu o Bretonów. Powinna się była domyślić, że jej udział w ich działalności nie przejdzie niezauważony. Po prostu nie mieściło jej się w głowie, że gubernator, markiz de Vaudreuil może zainteresować się kimś tak mało znaczącym jak ona.

Stojący za nią Rene położył dłoń na ramieniu Cyrene; czuła jej intymny, ciepły ciężar. Możliwe, że ten gest miał jej dodać otuchy, ale Cyrene wydał się deprymujący. Usłyszała za sobą donośny głos Rene:

- Hojnie nagrodzony.

Cyrene zalała fala pełnego żalu gniewu i strachu, które dotąd trzymała na wodzy. Poczuła się naznaczona; miała wrażenie, że wszyscy patrzyli na nią i Rene, pograżeni w lubieżnych domysłach. Więcej nawet, czuła się tak, jak gdyby Rene sam zaprosił ich do tego wtargnięcia w ich prywatność.

Uniosła rękę i położyła dłoń na jego dłoni, wpijając w nią paznokcie. Poczuła, że dłoń Rene drgnęła; skrzywił się, ale nie cofnął ręki. Mogła albo kontynuować tę parodię czulej pieszczoty albo go puścić i cierpieć z powodu doznanej zniewagi. Puściła.

Jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekła; wstała z krzesła, przez moment przyglądała się tańczącym, a potem przeszła do sąsiedniego pokoju po kieliszek wina. Odwróciwszy się, ujrzała stojącego obok Armanda Moulina. On również wziął ze stołu kieliszek z winem, po czym skłonił się i przedstawił.

Uśmiechał się rozbrajająco, a jego żywe, brązowe oczy patrzyły z zainteresowaniem, kiedy wymieniali komplementy i komentarze dotyczące wieczoru. Później Armand zapytał:

- Czy to prawda, że byłaś przemytniczką?

Cyrene uzmysłowiła sobie, że był od niej o dwa lub trzy lata starszy, a mimo to czuła się znacznie bardziej

dojrzała. Był jedynym synem, bratem trzech starszych sióstr, nadzieją rozpieszczającej go matki i dumnego ojca. Odebrał wykształcenie w Paryżu, a obecnie miał zostać młodym panem na luizjańskich włościach. Niewątpliwie planowano dla niego małżeństwo z jakąś leddwie zaczynającą zakwitać dziewczyną, posiadającą duży posąg w postaci ziemi oraz doskonałe koneksje rodzinne. W Paryżu zabawiał się pewnie z ładną *grisette* albo wzięta go pod skrzydła starsza kobieta, by wprowadzić Armanda w świat cielesnych rozkoszy. Mimo to udało mu się zachować wygląd idealistycznego, honorowego młodzieńca, pasujący do miękkich loków i szczerego uśmiechu.

Z kilku powodów Cyrene postanowiła zachowywać się wobec niego łaskawie: podobał jej się, przypominał Gastona, czuła, że przy nim mniej rzuca się tu w oczy, a także, co nie najmniej ważne, dlatego, że Rene przyglądał się ich rozmowie spod zmarszczonych brwi. Zbagatelizowała swoje doświadczenie przemycnicze, twierdząc, że należy do odległej przeszłości, a zamiast tego poprosiła, by mówił o sobie. Wkrótce zapomniała, że przygląda im się Rene czy ktokolwiek inny.

Dwóch przyjaciół Armanda, ośmielonych jego przykładem, podeszło do rozmawiającej pary. Tych dwóch przyciągnęło innych, aż wokół Cyrene tłoczyła się grupa rozpychających się i przekomarzających się wielbicieli. Posyłali jej śmiałe, taksujące, a jednak pełne szacunku spojrzenia. Nie wiedziała, czy powodem był jej młody wiek, ochrona Rene, czy związek z tak niebezpiecznym procederem jak przemyt.

Dopiero gubernator wyratował ją z napierającego kręgu, kiedy zaczynała już odczuwać zbyt baczną uwagę obecnych.

- Przysłano mnie - oznajmił przyjaźnie, rozglądając się po zebranych - by przekazać wam, panowie, że zmonopolizowaliście tę damę, a pani, że zbyt wielu dżentelmenom odbiera pani możliwość tańca. Jednym z moich przyjemniejszych obowiązków jako przywódcy

tej kolonii jest naprawianie podobnych nierówności. Czy zechce mi pani towarzyszyć w tym tańcu, *mademoiselle*!

W Luizjanie nie sprzeciwiano się gubernatorowi, podobnie jak we Francji królowi. Cyrene wyraziła swą radość, po czym została ceremonialnie odprowadzona na parkiet, gdzie zajęła czołowe miejsce w rzędzie tancerzy przygotowujących się do menueta.

Rozbrzmiała muzyka. Ruszyli w dostojnym rytmie. Gubernator pochwalił lekkość jej tańca. Cyrene podziękowała mu za uprzejmość, doszukując się w słowach markiza nieco większej wagi. Jego następne słowa ją zaskoczyły.

- Czy lubi pani teatr?

- Teatr, Wasza Ekscelencjo?

Gubernator uśmiechnął się.

- To tutaj rzadkość, prawda.

- W istocie rzecz nieistniejąca.

- Właśnie. Ale miałem na myśli teatr amatorski. Czy lubi pani występować?

- Trudno mi powiedzieć. Nie grałam od pobytu w konwencji.

- Siostra przełożona pozwalała na podobne rozrywki?

- Była światową kobietą, a zresztą my, dziewczęta, występowałyśmy tylko dla samych siebie, na otwartym powietrzu.

- Miejsce najdawniejszych teatrów: otwarte powietrze. Nasz znajduje się pod dachem, ale z radością ujrzelibyśmy cię w jednej z ról. Potrzebujemy nowych twarzy.

- Pan jest bardzo uprzejmy - mruknęła. To wszystko działo się zbyt szybko. Mimowolnie zastanawiała się, jak przyjęto by ją w kręgu gubernatora, gdyby przyszła w swoich starych ubraniach, bez protekcji człowieka w rodzaju Rene, opromienionego blaskiem dworu. Zastanawiała się też, czy ktokolwiek z tu obecnych przyznałby się do znajomości z nią nazajutrz, gdyby uciekła

z powrotem na łódź. Cynizm nie należał do miłych cech, a jednak czasem trudno go było unikać.

- Poza tym jest *bal masque* w wieczór *Mardi Gros* - ciągnął gubernator. - *Madame* Vaudreuil i ja czulibyśmy się niepocieszeni, gdyby pani nie przyszła.

- To brzmi fascynująco, ale obawiam się, że jestem... zależna od *monsieur* Lemonniera, a nie wiem, jak on się na to zapatruje.

- Ach, tak? Wobec tego muszę mu powiedzieć, jak ja się zapatruję. Jeśli będzie mi towarzyszył, to pani przyjdzie, zapewniam panią.

Menuet dobiegł końca. Wkrótce potem Rene podszedł do Cyrene. Z nienaganną grzecznością pożegnał się z gospodarzami, ale ścisnął Cyrene za ramię nieco mocniej, niż musiał, jego głos brzmiał zbyt spokojnie, zbyt uprzejmie. Mijając próg rezydencji gubernatora, Cyrene przyjrzała się bacznie Lemonnierowi w świetle pochodni. Doskonale. Jeśli jest zirytowany, to ona również. Niech tylko coś powie, niech spróbuje ją zmusić, a pożałuje. Pożałuje gorzko.

14

Afrykańska służąca nie spała, czekając na ich powrót. Wpuściła ich do domu, wzięła trójgraniasty kapelusz od Rene i szal z ramion Cyrene. Poszła za nimi do sypialni, by schować te przedmioty do wielkiej szafy, a potem odwróciła się, stając wyczekująco.

- To wszystko, Martho - powiedział Rene.

Kobieta dygnęła i wyszła. Po chwili rozległy się kroki na schodach do spiżarni, a potem odgłos zatrzaskniętych drzwi jej piwnicznego pokoiku za kuchnią.

Wspierając się na łóżku Cyrene zsunęła pantofel, później drugi, po czym powiedziała kwaśno:

- Nie chcę narzekać, ale mogłeś spytać, czy potrzebuję pomocy Marthy.

- Nie potrzebujesz - stwierdził Rene.

- Nie? Z tego stroju niełatwo się wydostać.

- Zdaję sobie sprawę. Pomaganie ci to mój przywilej.

Powiedział to gładko, a jednocześnie znacząco. Cyrene spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie powiedziałam, że nie mogę się rozebrać sama, ale że jest to trudniejsze.

- Za nic w świecie nie pozwoliłbym ci robić tego samej. - To rzekłszy zdjął płaszcz i rzucił na krzesło. Kiedy wyjmował diament z krawatki, jego oczy wyrażały zarówno oczekiwanie, jak i zdecydowanie.

- Naprawdę nie musisz się kłopotać. - Odwróciła się od Rene, spódnice zakołysały się jak dzwon, po czym zaczęła rozwiązywać wstążki stanika.

- To żaden kłopot, raczej przyjemność.

Już kiedyś groził, że wcieli się w jej pokojówkę; teraz najwyraźniej zamierzał wprowadzić tę groźbę w życie.

- Wydaje mi się dziwne, że właśnie teraz postanowiłeś się podjąć tego zadania - zauważyła.

- Mój szlafrok, mimo że wyglądałaś w nim uroczo, nie stanowił dobrej wymówki - odezwał się tuż za jej plecami.

- Mimo to dam sobie radę.

Cyrene wpadła w panikę. Pragnęła odwrócić się do niego jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo, ale postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji. Odsunęła się tylko najswobodniej, jak potrafiła. Zdjęła wreszcie stannik i odłożyła wstążki na stół. Obok stołu stało małe krzesło, na którym usiadła, unosząc spódnice, by odpiąć podwiązki podtrzymujące pończochy.

- Ale co sądzisz o wieczorze? Dobrze się bawiłeś? - ciągnęła sztucznie roztargnionym tonem.

- Było tak, jak się spodziewałem. Naturalnie ucieszył mnie sukces mojej nowej kochanki. - Stał przed Cyrene, po czym ze swobodnym wdziękiem klęknął na kolano. Położył dłoń na jej dłoni trzymającej podwiązkę, wyjął jej z palców małą, haftowaną zapinkę i odpiął. Odrzucił podwiązkę na bok, a potem powoli ściągnął jedwabną pończochę do łydki.

Niepokojący był ten dotyk palców na wrażliwym zgięciu kolana, ich posuwisty ruch wzdłuż nogi. Jeszcze bardziej kłopotliwe wydało się Cyrene jego ciche założenie, że ma prawo do tej czynności, a także łatwość, z jaką ją wykonywał.

- Sądziłam... że nie podobała ci się uwaga, jaką mi poświęcano - powiedziała. Rene odrzucił pończochę, sięgnął po drugą, ale Cyrene szybko chwyciła go za rękę.

Podniósł ją do ust, przyciskając wargi do gładkiej skóry. Aromat róż damasceńskich ogrzany skórą dziewczyny, zmieszany z jej własnym delikatnym zapachem napełnił Rene niewypowiedzianą rozkoszą. Używała jego perfum. Podarował je Cyrene, kierując się czystym sentymentem, na pamiątkę pewnej chwili nieznośnego

pożądania. Był głupcem, ale w tym momencie nie dbał o nic; był głupcem szczęśliwym.

Silnym ruchem odsunął dłoń Cyrene, powracając do podwiązki i pytania zamaskowanego jako komentarz.

- To był chwilowy spazm zazdrości - powiedział, patrząc jej z uśmiechem w oczy.

- Chwilowy.

- Mały wyłom w dobrych manierach, usprawiedliwiony w danych okolicznościach. Powirriem był się domyślić, że mężczyźni zlecą się do ciebie jak pszczoły do miodu. Są tak spragnieni nowych, ładnych twarzy.

- Nie jestem twoją kochanką.

- Czyżby?

Głęboki timbre głosu Rene był jak pieśczoła, podobnie jego dotyk. Patrzyła pociemniałymi, szeroko otwartymi oczami, jak zdejmuje drugą podwiązkę i powoli zsuwa z nogi jedwab. Przeniknął ją dziwny, bolesny spokój. Szukała w sobie pogardy, wojowniczego pragnienia konfrontacji, jakie czuła wcześniej, ale zniknęło. Z rosnącym rozdrażnieniem uciekła się do symulacji, po raz kolejny chwytając go za rękę.

- Co ty właściwie robisz?

Oczy Rene zasrebrzyły się śmiechem- Cyrene była jedyna w swoim rodzaju.

- Sądziłem, że to oczywiste. Uwodzę cię.

- Ach, tak? Mogłeś mnie ostrzec.

- To nie należy do reguł gry.

- Wybacz, ale chyba ich nie znam. Co mam zrobić teraz, kiedy popsułam zabawę? Krzyknąć i spoliczkować cię, a może zemdleć z ekstazy?

Szybkim ruchem położył dłonie na kolanach Cyrene, przesunął po napiętych mięśniach ud, docierając palcami aż do bioder.

- Jak sobie życzysz. Ale możesz też poczekać i sprawdzić, czy coś nie sprawi ci czasem przyjemności.

- A jeśli nie? - Jego dotyk niemal parzył. Spokój, z jakim mówiła, zawdzięczała najwyższemu wysiłkowi woli.

- Jeśli ci nie sprawi, masz wybór.
- Mianowicie?
- Możesz postąpić okrutnie i mi o tym powiedzieć albo uprzejmie udawać.

Przełknęła z trudem, kiedy chwycił ją mocniej, przyciągając ku sobie.

- Powiedz, czemu miałabym postępować uprzejmie?

- Byłbym ci wtedy wdzięczny - powiedział, wysunął dłoń spod spódnicy, dotknął jej szyi, zagłębiając palce we włosy. Wyjął szpilki, tak że grube warkocze opadły deszczem jasnych włosów na ramiona i piersi. Zamknął dłoń na jasnej kaskadzie, przyciągnął Cyrene, aż ich usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- W zamian za twoją uprzejmość będę też tak hojny, jak tylko dasz radę znieść, a nawet nieco bardziej. Udawanie ma czasem taki efekt.

- Nie będę udawać - powiedziała.

- Tak myślałem. Nawet to wolę - odparł z uśmiechem.

Wiedziała, że ją posiadzie. Decyzja zapadła; nie miał zamiaru pytać jej o zdanie. Tym razem nie będzie odwrotu od ostatecznej intymności. Nie miała pojęcia, co sprawiło różnicę. Możliwe, że w Rene zaszła jakaś zmiana, że podjął postanowienie mające większy związek z obrazem Cyrene jako utrzymania niż z tym, co ich łączyło.

To nie miało znaczenia. Nie mogła oderwać oczu od jego uśmiechniętych warg, nawet wtedy, gdy uścisk nasilił się, kiedy jej miękkie piersi przywarły do jego ciała i poczuła na ustach wargi Rene.

Jakaż niewiarygodna, miodna, czarowna słodycz. Jak mogła zapomnieć? Ale czy zapomniała? Umysł Cyrene mógł to odsunąć na bok, ale nie ciało. Nieposłuszne woli usta rozchyliły się, biorąc, dając.

Czuła pod palcami mocną szczękę Rene, cudownie wrażliwą linię, na której stykały się ich usta. Jego gęste rzęsy łaskotały ją po policzku, zaplątując się w rozpuszczone włosy Cyrene. Palce drugiej dłoni położyła mu na ramieniu, wyczuwając kontrolowaną siłę mięśni pod

luźną koszulą, ich granie, kiedy gładził jej biodro powolnymi, okrężnymi ruchami.

Pożądanie wzbierało w powolnym przyptywie. Rozlało się po jej żyłach, przerywając tamę skóry, zatapiając serce czerwoną falą, która przyspieszyła jego rytm. Z ust Cyrene wydarło się ciche, rozpaczliwe westchnienie. Przynęła się bliżej, przylegając silną sprężystością piersi do twardego ciała Rene.

Jego pocałunek nasilał się, stawał się coraz głębszy. Eksplorował soczystą wilgoć jej ust, równe rzędy zębów. Okręcał język wokół jej języka, wdzierając, się, wycofując, zapraszając Cyrene do rewizyty. Przesunął palcami od misternych linii ucha do zakrzywienia szyi, pieszcząc wrażliwą skórę kciukiem, aż przeniknął ją dreszcz. Wyczuł kruche zagłębienie obojczyka, powędrował niżej, do piersi. Okrążył ją, objął doskonałą kulę, odszukując delikatnie ziarninowany szczyt. Łagodna pieszczota palców Rene obudziła w ciele Cyrene doznanie, które przeszło ją spiralnie, sadowiąc się w dolnej części ciała.

Pragnęła go. W tej chwili liczył się tylko ten fakt. Już od pewnego czasu podejrzewała, że Rene mógł wywierać na nią taki wpływ, ale nie chciała się do tego przyznać. Teraz zrobiła to bez oporu. Okoliczności sprzysięgły się, by doprowadzić Cyrene do tego punktu, wbrew jej woli, wbrew obronie. A zatem niech tak się stanie. Skoro musiała ulec, postanowiła, że wyciśnie z tego doświadczenia maksymalną przyjemność, radość, bolesne wspomnienie.

Zsunęła mu z głowy perukę, przesuwając palcami po czarnych falach włosów, rozczesując je, ciesząc dłonie ich szorstkością. Rozchyliwszy wargi musnęła ustami skroń Rene, dotykając językiem brwi, zatracając się w cudowności chwili. Poczwała, jak pierś kochanka wznosi się triumfalnie, przyciągnął ją jeszcze bliżej, zdjął dłoń z jej biodra i wsunął między uda Cyrene, pod koszulę związaną w taliu jako ochrona najbardziej bezbronnego i tajemniczego zakątka jej istoty. Dotknął jej tam delikatnie.

Serce Cyrene załomotało jak szalone, tłukąc się o żebra. Czuła gorący prąd krwi, jej tętnienie pod skórą. Traciła zmysły z tęsknoty, zdumiewając się jej szybkim narastaniem. Mięśnie brzucha zdrząły jej od ciepłej, delikatnej, bezlitosnej pieśczoły. Przeniknięta dzikim pożądaniem zacisnęła dłonie na ramionach Rene.

Z cichym okrzykiem uniósł głowę i wstając uwolnił się z jej uścisku. Wziął Cyrene w ramiona i odwrócił się do łóżka. Oparł kolano na sprężystym, wypełnionym mchem materacu, a potem położył ją. Sznury zaskrzyptały, kiedy wstał, żeby zdmuchnąć świece. W sypialni zapanowała ciemność, zakłócana tylko ogniem na kominku; rozległ się szelest lnu i sukna, kiedy Rene rozbierał się, rzucając ubranie na krzesło. Kiedy oczy Cyrene przywykły do mroku, dostrzegła jego zgrabną sylwetkę, lśniąca w ogniu miedzianym i brązowym blaskiem, i obietnicę płonąca w jego oczach. Pełnym opamiętania ruchem położył się obok Cyrene.

Natychmiast zaczął ją rozbierać. Jego ruchy były niespieszne, ale pewne, jak gdyby ubranie kochanki stanowiło dobrze znaną przeszkodę. Zdjął otwarty, ciężki od haftów stanik. Spódnice i obręcze zsunęły się z bioder Cyrene z atłasowym szeptem. Poczwała na ciele powiew chłodnego powietrza, kiedy zdjął jej przez głowę jedwabną bluzkę. Cudownie naga, wyciągnęła ręce, odwracając się jednocześnie, aż jej piersi dotknęły ciała Rene w delikatnej zachęcie.

On jednak nie potrzebował zachęty. Przyciągnął ją ku sobie, tak że wyprężone szczyty piersi zagłębiły się w kręconych włosach na piersi Rene, na podbrzuszu poczuła jego twardość. Położył dłonie na jej plecach, badając gładki atłas skóry, silne kości i ścięgną, szczerpły wykrój talii i łuki bioder, jak gdyby dokonywał nieocenionych odkryć. Piersi Rene wznosiła się i opadała w ciężkim oddechu. Odsunął Cyrene, a potem, kładąc jej dłoń na ramieniu, delikatnie obrócił na plecy.

W nagłym przerażeniu pomyślała, że chce ją zostawić, i w gardle zrodził się krzyk. Zamarł nagle, kiedy Rene

zanurzył usta między jej piersiami, łaskocząc oddechem najpierw pierwszą, potem drugą. Podczas gdy jego ciepłe usta poświęcały uwagę piersiom, palce jednej dłoni zawędrowały w dół brzucha, kołując, masując, sięgając coraz niżej. Domagał się dostępu do każdego zakrzywienia, każdego wilgotnego zakątka, którym przynosił jasną radość. Ciepłe usta i szorstki język powoli podążały za palcami.

W żyłach Cyrene tętniła wrząca krew, pulsując w uszach stłumionym łomotem. Pierś wznosiła się i opadała w szybkim, ochrypłym oddechu. Mięśnie ud i bioder drżały w napięciu. Czuła w sobie ciekły ból zawieszzonego pragnienia. Z cichym okrzykiem rozpaczy wpiła mu palce w ramię.

Rene wsparł się, unosząc się nad nią. Krzyknęła cicho, kiedy wypełnił ją pewnym, gładkim pchnięciem. Wszedł głębiej, zbliżając się do Cyrene. Przyciągnęła go ku sobie, ogarniając własną rozkoszą. Znacznie później zaplótł nogi z nogami Cyrene, po czym, silnym napięciem mięśni, odwrócił ją, tak że znalazła się na nim, a włosy opadły mu na twarz upudrowaną zasłoną. Kładąc jej dłonie na biodrach, narzucił rytm, a potem skłonił ją, by go przejęła i odnalazła własny. Przysłała na to, czując wzbierającą rozkosz, biorąc go w siebie nieprawdopodobnie głęboko, aż stali się nierozłączną całością. Wznosiła się nad Rene znowu i znowu, aż do utraty sił. Ujął jej twarz w dłonie, pocałował rozchylone usta, a potem uniósł się, położył Cyrene na plecach, by wejść w nią raz jeszcze.

Przyjmowała potężny napór jego ruchów, pozwalając, by unosiły ją wyżej, coraz wyżej. Dążyli we wspólnym wysiłku, z płonącymi zmysłami i pijanym żarem. Rozkosz wybuchła w niej jak burzliwy, cudowny kłęb, przepajając Cyrene gorącym zadowoleniem.

Oto była najwyższa wolność, nie strzeżona tajemnica wyzwolenia. Zatraceni w jej magii, nieujarzmieni, re-agowali tylko na pochłaniające wymogi zespolenia. Uwięzione w uścisku oddzielne istoty, a jednak bez oko-

wów, przekształcone w jedność, a jednocześnie pełne same w sobie, przekraczały więzy. Ekstaza, jaka stała się ich udziałem, była wolna, bezcenna, choć nie bez kosztów.

Później Cyrene leżała wpatrzona w ciemność. Była ludzka, a zatem słaba; sprawy mężczyzn i kobiet zostały tak ułożone, że ona i Rene mogli znajdować w sobie nawzajem rozkosz. Nie dziwiła się już faktem, że Rene ją wykorzystał, a potem zdradził, ponieważ ona sama zdradziła siebie.

Nastał świt, rodząc się za okiennicami w smugach szarego światła. Wraz z nim rozległo się walenie do drzwi. Rene obudził się z cichym przekleństwem. Odzrucając kołdrę, zsunął się z łóżka i sięgnął po spodnie. Naciągnął je, a potem podszedł szybko do szafy, skąd wyjął szlafrok. Owijając się aksamitem, odwrócił się do Cyrene.

- Co się stało? - Zdumiała się ochryłym brzmieniem własnego głosu. Odchrząknęła, z jakiegoś powodu nim zażenowana.

- Nic takiego - odparł z przelotnym uśmiechem. - Możesz spać.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Cyrene wsparła się na łokciu, nasłuchując. Zaszurał rygiel, a potem rozległ się szmer męskich głosów. Po chwili zewnętrzne drzwi zamknęły się znowu. Za drzwiami zabłysnął ogień: przy pomocy hubki Rene zapalił świecę. Po pewnym czasie Cyrene poczuła zapach dymu i usłyszała trzaskanie świeżo rozpalonego ognia.

Położyła się, zamknęła oczy, ale sen nie przychodził. W nocy spała, ale budziła się nieustannie, więc nie wypoczęła, a teraz nie było lepiej. Gdyby zgodziła się spojrzeć prawdzie w oczy, musiałaby przyznać, że już od kilku dni była utrzymanką Rene, chociaż tak naprawdę poczuła to dopiero teraz. Usiłowała myśleć, co się z nią stanie. Znudzi się nią w końcu i wypuści, czy wróci do Francji, porzucając ją tutaj? Co wtedy? Może Bretonowie przyjąłby ją na powrót? Albo pojawi się nowy

mężczyzna. Ale co stanie się wtedy z jej nadzieją na ziemię i dom, coś własnego, bezpiecznego?

W sypialni panowała cisza. Co robił Rene? Nie spał o wiele więcej niż ona, a może przeszkadzała mu ciągłym wierceniem się, bo poruszała się, ilekroć zmieniała pozycję, aż w końcu przyciągnął ją do siebie i oświadczył, że albo będzie leżała spokojnie, albo poniesie konsekwencje. Nie była to zbyt straszna groźba, ale zanim się o tym przekonała, zdążyła na trochę zasnąć.

Wspomnienie to było tak kłopotliwe, że poderwało Cyrene z łóżka. Odrzuciła kołdrę, przyglądając włosy palcami, krzywiąc się na deszcz pudru, który z nich opadł, kiedy odrzuciła splątaną gęstwinę na plecy. Podeszła do szafy, wyjęła swoją nocną koszulę i naciągnęła przez głowę. Wahała się przez chwilę, czując dziwny opór przed konfrontacją z Rene w świetle dnia. W sypialni panował chłód; ogień na kominku zmienił się w zimną kupkę szarego popiołu. Nie było sensu się chować, a już na pewno przeziębzać się; ani jedno, ani drugie nic by jej nie dało. Podeszła do drzwi salonu i pociągnęła je ku sobie.

Rene podniósł wzrok od długiego, wąskiego stołu, stojącego pod kątem prostym do kominka po przeciwnej stronie salonu. Na stole leżał plik pergaminów, a przed Rene zdobiony kałamarz oraz skrzyneczka z piaskiem z połączonych srebrnych liści oraz kilka piór. Obok krzesła stało otwarte czarne, lakierowane pudełko z klamrą, z której zwisała potężna kłódka.

- Co się stało? - spytała Cyrene.

- Przyszedł posłaniec z korespondencją z Francji. „Le Parham” zawinął dziś rano do portu.

Królewski okręt flagowy, „Le Parham”, wraz ze swym bratem, „La Pie”, kursowały regularnie między Francją a koloniami w Nowym Świecie; podróż w obie strony zajmowała im sześć miesięcy, czasem dłużej.

Cyrene skinęła głową ze zrozumieniem i uśmiechnęła się lekko. Rene odwzajemnił uśmiech i powiedział:

- Jedną chwilę. - Po czym wrócił do pisania.

Cyrene stanęła plecami do ognia, wyciągając do tyłu ręce, żeby je ogrzać. Marszczyła lekko brwi, patrząc, jak Rene zawzięcie sunie piórem po pergaminie. Nie sądziła, że pisze jakiś zwykły list urzędowy czy grzecznościowy. Możliwe, że pisał do rodziny we Francji, na przykład do ojca, ale coś w jego skupieniu zdawało się wykluczać taką możliwość. Nigdy jeszcze nie widziała, by robił coś z równą powagą. Czuła, jakby nagle ujrziała ukrytą dotąd stronę jego natury. To właśnie ona, a nie sama czynność, budziła takie zdumienie Cyrene.

Doszedł do końca strony i złożył podpis bez żadnego zawijasa. Przez chwilę przyglądał się pismu, wreszcie wysuszył je piaskiem. Kiedy odstawił pudełko z piaskiem, zawadził mankietem szlafroka o róg jednego z pergaminów. Błysnęło złoto i wstęgi pieczęci. Rene rzucił świeżo napisany arkusz na plik, wyrównał go i dopiero wtedy zsywał piasek na tacę. Bez pośpiechu jeszcze dokładniej wyrównał plik pergaminów, złożył je do skrzynki, po czym zamknął wieko.

Wstał i podszedł do Cyrene, obchodząc stół. Unosząc brew, przyjrzał się jej sylwetce odzianej w koszulę nocną, zatrzymując wzrok na konturach ciała podświetlanych blaskiem ognia.

- Mam wrażenie, że widziałem cię już kiedyś w podobnej sytuacji - powiedział głosem nabrzmiałym pożądaniem. - Niczego wtedy bardziej nie pragnąłem, jak zabrać cię do łóżka, żeby sprawdzić, czy pod spodem byłaś tak ciepła i różowa, na jaką wyglądałaś. Wtedy nie mogłem tego zrobić. Czy to nie cudowne, jak wszystko się zmienia?

Wybieg udał się doskonale. Cyrene przestała zastanawiać się nad korespondencją Rene. Wróciła myślami do niej dopiero po pewnym czasie.

Następnego popołudnia przyszedł z wizytą Armand Moulin. Młodzienczek był uroczy i przystojny. Ubierał się według najnowszej mody, miał ślicznie kręconą perukę i długą laskę z rzeźbioną, złotą główką. Przyniósł Cy-

rene wiersz opiewający jej oczy. Ofiarował jej to, jak powiedział, niedoskonałe dzieło, ze skromnym ukłonem i tak figlarnym błyskiem w oku, że nakazała sobie nie traktować go zbyt poważnie. Nie znaczyło to, że istniało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, by mogła go tak traktować. Armand był zabawnym towarzyszem z dużą dążą rozsądku i poczucia humoru, ale Cyrene wydał się w porównaniu z Rene dość niedojrzały.

Mimo to miło było mieć wielbiciela, przyjmować gesty łagodnego flirtu, nie musząc mieć się stale na baczności. Wizyty Armanda stawały się coraz częstsze, a Cyrene cieszyła się, że ma kogo wypytywać o najrozmaitsze wydarzenia: który oficer utrzymywał którą kobietę; kto z ważnych osobistości sypiał z czyją żoną; kto naprawdę miał ważnych krewnych we Francji, co twierdzili prawie wszyscy; kto został bez liwra przy duszy. Cyrene wiedziała o wielu tych skandalach, ale o wielu nie. Postanowiła, że rozsądnie będzie poznać tych ludzi, skoro miała wśród nich żyć, zamiast obserwować ich z daleka, jak robiła to w ciągu trzech ostatnich lat spędzonych na łodzi.

Był na przykład dość żalony przypadek wygnańca politycznego, starszej kobiety znanej wyłącznie jako *madame H.* Wgnano ją, wręczając damie *lettre de cachet*, ponad dwadzieścia lat temu. Przybyła do kolonii, by zamieszkać razem z bratem, a teraz, po jego śmierci, kobietę utrzymywał rząd. Nikt nie pamiętał powodu, dla którego została wygnana; niektórzy twierdzili, że naraziła się na niezadowolenie królowej, inni, że po prostu mąż chciał się jej pozbyć. Niezależnie od faktycznej przyczyny, kobieta stanowiła źródło zakłopotania, tak że gubernator musiał pytać listownie królewskiego ministra, co ma z nią zrobić.

Rene nie przejawiał zainteresowania podobnymi historiami, kiedy Cyrene mu je relacjonowała. Możliwe, że przypadek kobiety za bardzo przypominał mu jego własną sytuację albo też miał mało czasu, a jeszcze mniej ochoty, by rozwodzić się nad grzeszkami bliźnich.

Coraz więcej czasu spędzał na pisaniu przy stole w salonie. Ponieważ korespondencja, którą wtedy otrzymał, została dostarczona przez „Le Parham”, należało sądzić, że listy, które pisał tak pracowicie, miały popłynąć na tym statku w drogę powrotną do Francji. Cyrene doszła do wniosku, że wysiłki Rene mogły mieć na celu tylko umożliwienie sobie powrotu do ojczyzny. Nic innego nie tłumaczyło takiego skupienia i pilności.

Za to Armand po prostu lubił ludzi; ciekawiły go ich dziwactwa, szaleństwa, a także potajemne sprawy. Gromadził je, by zabawiać Cyrene podczas wizyt. Nawet gubernator wraz z żoną nie ustrzegli się przed jego łobuzerskim humorem. Armand opowiedział historię również o nich.

Madame la marquise przyprowadziła przed oblicze męża biesiadującego przy stole jednego ze służących. Nieszczęsnego człowieka przyłapano na kradzieży wina. Pani domu oskarżała go w słowach nie budzących wątpliwości, a służący stał z pochyloną głową i drżącymi rękami, jęcząc ze strachu przed chłostą lub inną potworną karą. Podczas tyrady pani Vaudreuil markiz przyglądał się służącemu badawczo. Kiedy skończyła, machnął niedbale ręką.

- Zrugałaś go tak strasznie, że zasłużył na butelkę wina, która ukoji jego strach. Daj mu ją.

- A co na to pani Vaudreuil? - spytała Cyrene.

- Nikt nie wie. Nie pisnęła ani słowem, a nikt nie śmie pytać, czy ta historia jest prawdziwa. Według mnie brzmi prawdziwie. Zbeształ w ten sposób markizę za podnoszenie takiego rwetesu z powodu jednej butelki wina, zupełnie jakby była żoną jakiegoś kupca. Gubernator słynie zresztą z poczucia humoru, i mógł po prostu zażartować sobie w ten sposób z markizy.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Nigdy nie wiadomo, on świetnie skrywa prawdziwe uczucia. Popatrz, jak przyjął Rouvilliere'a na wieczorku muzycznym.

- Komisarza intendenty?

- Właśnie tego. Nie wiem, dlaczego Rouvilliere zawsze nabzdycza się w domu gubernatora, może po to, by go prowokować, i dlatego, że uważa podobne spotkania za wydarzenia publiczne. Nie wiem też, dlaczego *madame* Vaudreuil go zaprasza, może chce w ten sposób udawać, że nie wie nic o jego utyskiwaniach.

- To chyba mało prawdopodobne, co? Wszyscy wiedzą, że gubernator i komisarz intendencji żyją zawsze jak pies z kotem, niezależnie od tego, kto piastuje te stanowiska.

Słabością systemu administracyjnego kolonii było zazębianie się obszarów wpływów gubernatora oraz komisarza intendencji, odpowiedzialnego za dostawy dla kolonii i żołnierzy. W przeszłości było to powodem tarć, a taka sytuacja musiała trwać dopóty, dopóki system nie zostanie usprawniony.

- No, tak, ale tu mamy do czynienia z czym innym. Rouvilliere napada na Vaudreuila poprzez jego żonę, oskarżając ją w listach do królewskiego ministra o wszelkie możliwe przestępstwa, może z wyjątkiem prostytucji, chociaż i to nie na pewno. Vaudreuil, nie chcąc pozostać dłużny, oficjalnie oskarża Rouvilliere'a o sprzedawanie na boku towarów przeznaczonych dla Luizjany, zastępowanie ich wyrobami gorszej jakości, których ceny windował astronomicznie.

- To prawdziwa wojna.

- Można tak powiedzieć. Niemalym powodem jest tu fakt, że zarówno *madame* Vaudreuil, jak i Rouvilliere przyznają sobie prawo do sprzedawania koncesji na handel i licencji na alkohol.

Wysokość łapówek oraz emocje związane z przemysłem powodowały, że Bretonowie nie występowali o uzyskanie takiego pozwolenia na handel.

- W ten sposób chyba robi się interesy.

- Niestety.

- A co myślisz o udziale damy w podobnych transakcjach w świetle twoich pochwał na temat wpływu kobiet na kształtowanie się społeczeństwa?

Armand uśmiechnął się wesoło.

- Myślisz, że mnie przyłapałaś, co? Mimo że nie nawałbym prowadzonych przez tę damę machinacji delikatnymi, muszę przyznać, że podziwiam jej bystrość i odwagę.

- Podziwiasz w kobiecie siłę?

- Tylko do pewnego stopnia! - zastrzegł się pośpieszenie.

Cyrene wygięła usta w uśmiechu. Nie odezwała się jednak, przyglądając się Armandowi i zastanawiając się, czy zadać dręczące ją pytanie.

- Co się stało, *mademoiselle*? Czyżbym się pobrudził na twarzy? Lub mam resztki śniadania na klapie? Proszę mi szybko powiedzieć!

- Nie, nie. Zastanawiałam się tylko, czy słyszałeś coś o innej działalności *madame* Vaudreuil w dziedzinie... handlu.

- Jakże jesteś dyskretna, *chere*. Jeśli masz na myśli przemyt, była to dawniej tajemnica poliszynela, choć od wojny z Anglikami markiza nie jest już chyba tak aktywna. Jeżeli mówisz o haszyszu rozprowadzanym przez nią wśród żołnierzy, nie jest to powszechnie znany fakt, choć również o tym niemało się mówi.

Cyrene nie była wcale taka pewna, że przemyt prowadzony przez markizę zmalał, ale nic nie powiedziała.

- Myślisz, że gubernator wie o tych sprawach?

- Przypuszczam, że tak. Jakże mogłoby być inaczej? Pełnienie funkcji królewskiego gubernatora wiąże się z niemałymi kosztami. Vaudreuil może się popisywać wspaniałą gościnnością, od czasu do czasu pozwoli sobie na wielkopański gest, jak w przypadku tej butelki wina, ale musi się przecież troszczyć o zasoby własnego skarbcza.

- Nadal zwraca wielką uwagę na nielegalny handel z Anglikami.

- Istotnie. Mówi się, że „Le Parham” przywiózł zdecydowane żądanie od króla, by Vaudreuil położył kres temu procederowi. Nie będzie się akceptować żadnych

wymówek w razie niepowodzenia. Mówi się też, że kilka miesięcy temu Lemonnier przekazał gubernatorowi ostrzeżenie o wprowadzeniu nowego, surowego edyktu.

- Rene? Jakie to dziwne. Czy to może tłumaczy jego udział w próbie schwywania Bretonów?

- Dokładnie tak, przyjacielska informacja od królewskiego ministra, Maurepasa, przekazana przez jednego polityka drugiemu.

- W takim razie gubernator naprawdę musi położyć kres przemytowi.

- Owszem, w przeciwnym razie jego szanse na objęcie funkcji gubernatora Nowej Francji zmaleją do zera. Nie wątpię też, że mu się powiedzie. Dzięki temu, po usunięciu konkurencji, proceder prowadzony przez *madame la marquise* stanie się jeszcze bardziej lukratywny.

- Ależ z ciebie cynik - zauważyła Cyrene, kręcąc głową.

- Serio? - Armand sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego. - Właśnie tę cechę muszę w sobie wykształcić.

- Błagam, żebyś nie robił nic podobnego!

- Podobam ci się taki, jaki jestem?

- Bardzo.

- Ach, nareszcie wyznanie! Zaczynałem sądzić, że jesteś odporna na mój wdzięk.

- Już wcześniej usłyszałybyś ode mnie komplement, gdybym sądziła, że twoja dusza tego potrzebuje - odparła Cyrene z subtelną ironią.

- Okrutna, okrutna - biadał Armand. - Może powinienem pójść prosto do markizy. Może jest chciwą kobietą, która straciła rachubę własnych lat, ale przynajmniej potrafi docenić atrakcyjnego mężczyznę, czy to w sensie fizycznym czy duchowym.

Teatralne wygłupy Armanda rozśmieszyły Cyrene wbrew jej samej, ale po chwili spoważniała.

- A więc to prawda, że ona ma młodych kochanków?

- W sprawie kochanków nic mi nie wiadomo, ale markiza zna się na męskich nogach i chętnie sprawdza

własnymi palcami, czy dany kształt jest naturalny, czy został uzyskany dzięki poduszeczkom.

Większość pracowników fizycznych, także Bretonowie, nosiła przyzwoite, luźne pantalone, jednak obcisłe stroje z atłasu i jedwabiu szyte dla dżentelmenów, mające pokazywać, że nie mogą oni, w sensie dosłownym, zniżyć się do pracy fizycznej, dobitnie podkreślały męskie atrybuty.

- Chcesz powiedzieć, że ona...

- Często. Jeśli ktoś jest na tyle nierozsądny, że odwiedzi ją sam lub znajdzie się w ciemnym kącie, kiedy markiza czyha gdzieś w pobliżu.

- Słyszałam podobne plotki, ale nie daję im wiary. Ona zachowuje się z taką godnością.

- Godność to pożyteczna rzecz, podobnie jak pozycja i związany z nią splendor - zauważył znaczącym tonem.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli. - Cyrene zamilkła na chwilę, po czym ciągnęła dalej. - Czy słyszałeś... to znaczy, czy wiesz cokolwiek o niej i Rene?

- Kiedy Lemonnier przybył do kolonii, reagowała na niego jak kot na walerianę, praktycznie mruzczała na jego widok. Był nie tylko nowy, ale także dziko przystojny, otoczony tą aurą niebezpieczeństwa, jaką pewne kobiety uwielbiają. Markiza znajdowała wielką rozrywkę w uganianiu się za nim, ponieważ Rene był sprytniejszy niż większość mężczyzn, a może bardziej przyzwyczajony do tego, że kobiety na niego polują. Naturalnie, jego reputacja znacznie wyprzedziła jego przybycie.

- Naturalnie - zawtórowała Cyrene. Biedny Rene, ścigany przez *madame la marquise*, napadnięty, zraniony, na wpół utopiony w rzece. A co się stało, kiedy wreszcie znalazł się w bezpiecznym miejscu? Ona rzuciła się na niego.

Cyrene zapatrzyła się na pewien czas w płomienie tańczące w kominku, po czym mówiła dalej:

- Można powiedzieć, że sam zasłużył na taki los, sprowadzając go na siebie swoim dawnym postępowaniem.

- Można tak powiedzieć - odparł Armand, przekrzywając głowę.

- Ale tak nie myślisz?

- Te sprawy zawsze są trudne. Kto może powiedzieć, dlaczego ludzie robią to, co robią, co skłania ich do występków?

- A czy musi istnieć jakaś przyczyna?

- Nie zawsze, ale w przypadku Lemonnier'a to prawdopodobne.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wiem to od ciotecznej babki z Paryża, która zna rodzinę Lemonnier'a i czasem pisuje do mojej matki, tak więc sama możesz osądzić, na ile dokładne są te informacje. Wygląda na to, że Rene nie zawsze był taki jak dziś; był raczej sumiennym młodzieńcem, młodszym synem. Posłano go na studia prawnicze, by nauczył się zarządzać dużymi majątkami. Miał zostać zarządcą posiadłości starszego brata, który dziedziczył je wraz z rodzinnymi tytułami. Później ten brat został zamieszany w przykry skandal związany z fałszywymi banknotami. Stracono dużą sumę pieniędzy. Starszy Lemonnier wrócił z Paryża, gdzie wydarzyła się cała historia. Pewnego dnia pojechał konno na polankę, gdzie zastrzelił się z pistoletu.

Z ust Cyrene wyrwał się okrzyk przerażenia. Armand skinął głową.

- Tak czy inaczej, ceniony syn zszedł ze sceny. Z dnia na dzień Lemonnier odziedziczył po bracie obowiązki, a także długi i skandal. Wyruszył do Paryża, by odkryć, co doprowadziło brata do ruiny. Przyjęto go tak serdecznie, że wkrótce zapomniał, po co tam pojechał. Zbyt długo prowadził życie prowincjusza w majątku ojca; przyjemności miasta i splendor Wersalu uderzyły mu do głowy, podobnie jak stało się z wieloma innymi. Obraził kogoś ważnego, i *voilà!* Siedzi tu w Luizjanie jako wygnaniec...

Armand urwał, słysząc na schodach kroki, a po chwili w drzwiach stanął Rene. Uśmiechnięty, wstając na powitanie gospodarza, dokończył gładko:

- Ale przecież wszyscy w jakimś sensie jesteśmy wygnańcami.

- Miło cię znowu widzieć, Armandzie - powiedział Rene, a ironiczny ton jego głosu stanowił komentarz do częstych wizyt młodzieńca.

Armand, nie chcąc, by prześcignięto go w uprzejmości, złożył lekki pokłon.

- Zdaję sobie sprawę, że się naprzykrzam, ale Cyrene to tak rzadki okaz, kobieta zalet umysłowych jak i fizycznych. Trzeba mieć w końcu jakieś źródło natchnienia, a poza tym jakże miło znajdować tu prawdziwe uznanie.

- O, przyniosłeś jej nowy wiersz - powiedział Rene z doskonałą uprzejmością. - Mogę zobaczyć?

Podniósł z kanapy arkusz papieru i zaczął czytać, stojąc plecami do ognia.

Armand sprawiał wrażenie niezwykle zażenowanego, choć starał się zachowywać nonszalancko.

- Obawiam się, że to kolejna z moich mizernych prób, która w żadnej mierze nie oddaje sprawiedliwości *mademoiselle* Cyrene. Jestem pewien, że w twojej karierze napisałeś wiele lepszych utworów.

- Napisałem jeden czy dwa. Trudno od tego uciec, świat oszalał na punkcie bazgraniny - odparł Rene, nie podnosząc wzroku. - Chociaż nie przypominam sobie, bym porównywał oko damy do bagna.

- Och, chodziło mi tylko o oddanie wrażenia czegoś ciemnego, głębokiego i tajemniczego.

- Tak też myślałem. A co z takimi epitetami jak błotniste, bulgocące i stojące?

- Nic podobnego nie napisałem!

- Nie? To dziwne. Myślałem, że napisałeś. - Rene odwrócił się do Cyrene, podając jej wiersz trzymany w dwóch palcach, gestem nieskończenie niedbałym. - Może zadzwonisz po dzbanek czekolady, *cherie*? Jestem pewien, że przyda się nam wszystkim.

- Żeby spłukać niesmak po moim wierszu? - spytał Armand z posępnym westchnieniem.

- Czy zasugerowałem coś podobnego? - zdziwił się Rene.

- Nie musiałeś. Sam dobrze o tym wiem. Proszę mi oszczędzić czekolady, *mademoiselle*. Muszę udać się na spotkanie z mężem.

- Sądziłem, że ona jest tutaj - zauważył Rene z grzecznym zdumieniem, wskazując na Cyrene.

Armand nie dał się sprowokować. Z wyrazem wielkiej melancholii, składając wiele przeprosin, wyszedł.

- Czy musiałeś być taki niemiły? - spytała Cyrene.

- Spodziewałaś się, że zacznę go zachęcać? Ty to robisz w wystarczającym stopniu.

- Nie ma w tym nic, ale to nic złego. Każda dama ma wielbicieli.

- Wiem o tym doskonale, ale on wielbi cię odrobinę za często i zbyt ekstrawagancko. Wkrótce jego podziw stanie się dla ciebie niewygodny.

- Czy to cię martwi?

- Pytanie brzmi: czy to ci się podoba? Armand Moulin jest młodym idealistą z okazałym majątkiem, w istocie to idealny kandydat na męża.

Cyrene wstała i odsunęła się od Rene.

- Czy mówisz w ten sposób, bym przyjęła jego oświadczenia, jeśli je złoży?

- Ależ skąd. Ja tylko... wskazuję na fakt, że Armand się nadaje.

Rene wiedział dobrze, że nie robi nic innego, jak folguje własnej zazdrości. Zgodnie ze słowami Cyrene, panował powszechny zwyczaj, by żony lub utrzymania miały wielbicieli, mężczyźni wielbiących je z daleka, którzy w zakazanym obiekcie swoich uczuć znajdowali ujście tłumionych namiętności, a także doskonalili na nim techniki zalotów. Wiedza o tym nie ułatwiała mężczyźnie posiadającemu piękną kobietę znoszenia usychającego z miłości admiratora.

- Rozumiem - powiedziała Cyrene. - Tak, przypuszczam, że Armand się nadaje. - Pojęła też, bez względu na to, czy Rene chciał się do tego przyznać czy nie, że sugerował, by rozejrzała się może dokoła, bo ich układ nie miał trwałego charakteru.

- O czym on ci mówił, kiedy przyszedłem? - spytał Rene.

- O niczym istotnym.

- W to akurat trudno mi uwierzyć. Moulin posiada gładkość wymowy, ale nie nauczył się jeszcze panować na rumieńcami.

Stojąc z ręką opartą o sofę Cyrene uśmiechnęła się mimowolnie; Armand faktycznie był purpurowy.

- Nie mówił nic pieprznego. Rozmawialiśmy tylko o twoim bracie.

- Moim bracie? - spytał ostro Rene.

- Nie wiedziałam o jego śmierci. Przykro mi.

- On nie umarł.

Słowa zabrzmiały zimno, a ich obojętny ton zaniepokoił Cyrene bardziej, niż mógłby to uczynić krzyk.

- Ale zrozumiałam...

- Strzelił do siebie, ale się nie zabił. Zniszczył swój umysł; ciało żyje, oddycha, je, śpi, starzeje się, a po śmierci ojca odziedziczy tytuły i honory należne najstarszemu synowi.

Rene przyglądał się jej uważnie, ale na uroczej twarzy Cyrene malowały się tylko litość i żal. Bezużyteczne uczucia; kto jak kto, ale on, który tyłu ich doświadczył, powinien o tym wiedzieć.

- Tytuły i honory, które przypadłyby w udziale tobie, gdyby umarł? - spytała ostrożnie.

Machnął ręką w geście niezgody.

- Nie. tylko nie to. Te rzeczy na nic nie mogłyby mi się przydać. Zupełnie na nic.

15

Gubernator Vaudreuil nie zapomniał o amatorskim przedstawieniu teatralnym, o którym wspomniał Cyrene na wieczorku. Postanowiono wystawić komedię Marivaux, skróconą wersję *Le Jeu de l'amour*, „Zabawy miłosne”. Ponieważ zbliżało się już święto *Mardi Gras*, czyli ostatki, ostatni dzień gorączkowej zabawy przed czterdziestodniowym wielkim postem poprzedzającym Wielkanoc, z wystawieniem sztuki należało trochę poczekać. Tym lepiej; potrzebowali czasu na próby.

Sztuka opowiadała historię pewnego dżentelmena i damy, obiecanych sobie nawzajem w małżeństwie kontraktowym, a którzy nigdy jeszcze się nie widzieli. Ponieważ oboje mieli wątpliwości, postanowili obejrzeć się, nie ujawniając prawdziwej tożsamości. Zamienili się więc rolami, dżentelmen ze swym służącym, a dama z pokojówką. Podczas spotkania zakochali się w sobie na zabój, podobnie jak para służących. Tak więc dwie osoby sądzą, że obiekty ich miłości znajdują się poniżej ich społecznego statusu, dwie zaś, że zakochały się w ludziach z wyższej sfery. Sztuka stanowiła wyzwanie, ponieważ jej humor zależał w znacznej mierze od zgrabnego oddania postaci w ich niecodziennych rolach oraz od błyskotliwego dialogu.

Cyrene, którą obsadzono w roli damy, partnerki dżentelmena granego przez gubernatora, nie miała pewności, czy sprostą wymaganiom, ale markiz upierał się, że właśnie ona posiada niezbędną mieszankę niezależno-

ści i lekkości. Rene dostał rolę służącego, a pokojówkę grała *madame* Pradel, ponieważ *madame* Vaudreuil nie dała się przekonać do występów.

Żona gubernatora oświadczyła, że lubi teatr nie mniej niż inni i cieszy się, że de Pompadour przywróciła mu świetność, ale występowanie leżało poza jej możliwościami. Markiz stwierdził, że jego żona nigdy nie potrafiłaby się nauczyć na pamięć tylu kwestii, ale Cyrene podejrzewała, że według markizy aktorstwo było czymś jej niegodnym. Sztuka Tespisa zawsze cieszyła się wątpliwą reputacją, a patronat metresy króla w niewielkim stopniu zmienił ten stan rzeczy.

Aktorzy potrzebowali wielu prób, ponieważ gubernator, choć nie perfekcjonista, pragnął, by występ miał pewien splendor. Wszyscy musieli poruszać się stylowo i z gracją, a ilość żenujących pomyłek należało ograniczyć do minimum. Markiz wyraził jasno swe życzenia, ale to jego żona pilnowała, by wcielano je w życie. Podjęła się roli reżysera i, siedząc na tyłach sali, gdzie miało się odbyć przedstawienie, wykrzykiwała krytyczne uwagi i wskazówki. Sam markiz był niezmiennie hojny i taktowny w swoich komentarzach, ale Cyrene, pamiętając słowa Armanda, zaczęła przyglądać się parze, zastanawiając się, czy *madame* Vaudreuil nie spełniała po prostu woli męża.

Dla Cyrene granie z nim w wymownych, miłosnych scenach stanowiło przykre doświadczenie, pomimo wdzięku i nieskazitelnych manier Vaudreuila. Gubernator zdawał jej się jakby większy niż wszyscy; jego wygląd oraz osobowość były tak wygładzone, że sprawiał wrażenie twardego, jasnego lustra. Miał w sobie ponadto dużą dozę nieuświadomionej arogancji.

Sytuacji nie ułatwiał także Rene, śledząc baczenie każdy uśmiech, każdy gest Cyrene, przez co stawała się jeszcze bardziej nerwowa. Nie miała pojęcia, czemu jej tak pilnie strzegł; zauważała pełne aprobaty spojrzenia markiza, ale w jego zachowaniu nie było żadnej poufałości, a w jej zachowaniu tym bardziej.

Nie można było tego powiedzieć o pani Pradel, która nie przepuściła żadnej okazji, by położyć dłoń na ramieniu Rene czy oprzeć się o niego w czasie próby. Niesmaczne i oburzające. Oczywiście, nie czuła zazdrości ani nie podejrzała o to Rene. Nie, uważała, że Rene ma do niej taki stosunek jak pies do nowej kości. Nie miała się czym szczyścić, za to wiele spraw ją irytowało.

Szczególnie nie podobał jej się sposób, w jaki Rene stanął za nią, przysłuchując się rozmowie, kiedy po próbie usiadła z markizem przy winie i ciastkach. Rozmawiali o tym i owym; gubernator niczym król zadawał pytania, podsuwał tematy, a Cyrene ograniczała się niemal wyłącznie do odpowiedzi. Zapytał, czy miała rodzinę i przyjaciół, dając do zrozumienia, że nie ma na myśli rodziców, o których wiedział, że nie żyli. Powiedziała mu o dziadku z Hawru oraz o braku kontaktu z nim.

- A, tak, poznałem chyba tego dżentelmena w Nowej Francji, na północy.

- Naprawdę? - ucieszyła się Cyrene.

- Dawno temu, zanim mianowano mnie gubernatorem Trois-Riviere. Ale pamiętam twego dziadka, jak chodził w futrze z bobrów tak długim, że wlokło się po ziemi. Zawsze mówił, że woli, by mu było ciepło, niż żeby wyglądał modnie. Wydawało mi się to wtedy bardzo praktycznym podejściem.

- Chyba nic się nie zmienił - zaśmiała się Cyrene. - W każdym razie był taki sam, kiedy go ostatnio widziałam. A czy znał pan może moją matkę jako małą dziewczynkę?

- Owszem, czarująca istota. Z tego, co pamiętam, jest pani do niej bardzo podobna. Nigdy nie zapomnę rozpaczy pośród kawalerów, kiedy wyszła za męża. Mam na myśli, rzecz jasna, jej pierwszego męża.

- Pierwszego? Co też pan mówi? Miała tylko jednego.

- Ale byłem pewien... Pani matka nazywała się Marie Claire? Marie Claire Le Blanc?

- Tak, ale nigdy nie słyszałam, żeby była wcześniej mężatką. Kim on mógł być? Co się z nim stało?

Gubernator przyglądał się Cyrene dłuższą chwilę, a potem jakby jakaś okiennica zamknęła się w jego oczach.

- Może się mylę, *mademoiselle*. Na pewno się pomyliłem. Proszę mi wybaczyć.

- Ale znał pan jej nazwisko - zaprotestowała zdumiona.

- Może to właściwe nazwisko, ale przypuszczalnie chodzi o inną kobietę. Mam słabą pamięć. Tak czy inaczej mężczyzna, o którym myślę, zmarł gdzieś w puszczy. Ta dama wyszła za mąż powtórnie.

- W Nowej Francji?

- Tak mi się wydaje.

A więc wszystko w porządku. Rodzice Cyrene poznali się w Nowej Francji, ale pobrali się w Hawrze.

Właśnie odezwał się Rene, stojący w tyle.

- Jeśli to koniec historii rodzinnej, może już pójdziemy, Cyrene, *ma chérie*. Okazuje się, że aktorstwo to niezwykle wyczerpujące zajęcie. Marzę o łóżku.

Kiedy Cyrene podniosła na niego pytający wzrok, do Rene podpłynęła pani Pradel. Słyszac słowa Lemonnier, zaśmiała się, mówiąc:

- Nie wątpię, że także o innych rzeczach.

Rene nie spojrział w jej stronę. Obszedł krzesło Cyrene i podał jej ramię. Pomógł jej wstać, objął ramieniem, a potem posłał dziewczynie gorący uśmiech pełen obietnic i przyznał:

- Także o innych rzeczach.

Cyrene nie przeciwstawiła mu się ani w domu gubernatora, ani w drodze powrotnej. Kiedy jednak drzwi się za nimi zamknęły, odsunęła się szybko od Lemonnier.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała przez ramię.

- Co takiego?

- Wiesz dobrze. Dlaczego porwałeś mnie sprzed nosa gubernatorowi i wszystkim innym, jakbyś nie mógł się doczekać, kiedy pójdziemy do łóżka.

- Może właśnie dlatego.

Rene wiedział, że chodziło o coś więcej. Irytowała go

łatwość, z jaką Cyrene konwersowała z Armandem czy nawet Vaudreuilem, podczas gdy w rozmowie z nim rzadko zdarzało jej się powiedzieć więcej niż sześć słów. Fakt, że znał powód, nie stanowił wielkiej pociechy.

- Ach, tak? - spytała chłodno. - Na co więc czekasz? Skoro masz na to ochotę, pomóż mi zdjąć te rzeczy i chodźmy natychmiast do łóżka.

Usłyszał drwinę w jej głosie, dostrzegł powodujący ją ból, ale ani jedno, ani drugie go nie poruszyło. Były niczym wobec jego pożądanego oraz pewności, że w łóżku łączy ich niekłamane porozumienie. Niezależnie od tego, czy Cyrene wiedziała o tym czy nie, właśnie w łóżku Rene znajdował zapomnienie o wątpliwościach i schronienie, choćby chwilowe, przed lękiem.

- Jak mógłbym odrzucić tak łaskawe zaproszenie? - spytał, a ciemnoszare oczy załśniły krystalicznie. - Zależy, na co czekamy?

Cyrene szybko przywykła do popołudniowych gości. Wizyty Armanda stały się rutyną. Często przyprowadzał przyjaciół, młodych ludzi w jego wieku i jego pozycji, którzy równie dużo czasu poświęcali na prawienie Cyrene komplementów, co na żartowanie między sobą. Nie miała nic przeciw temu. Czuła się prawie tak, jakby odzyskała towarzystwo Gastona, chociaż on oczywiście nigdy nie przynosił jej słodczy, kwiatów jeszcze wilgotnych od rosy, ani nie pisał wierszy sławiących piękno jej przegubów czy pikantnych łuków brwi.

Armand spytał ją, czy zwyczajem wielu kobiet zamierzała przyjmować rano, podczas toalety. Sam pomysł rozśmieszył Cyrene. Nie wyrobiła w sobie jeszcze zwyczaju wylegiwania się w łóżku przez połowę poranka. Wątpiła, czy Armand z przyjaciółmi zdążyliby wstać i ubrać się na czas, by przyjść oglądać jej pobieżną toaletę, a nawet gdyby zdążyli, pomysł wydawał jej się komiczny. Nie była królową, której każdy ruch, od chwili otwarcia rano oczu do zamknięcia ich wieczorem, tłum świadków powinien śledzić, zachowując przy tym

wszystkie szczegóły etykiety. Nawet bez galerii widzów czuła się dostatecznie niezręcznie z powodu Rene, który obserwował każdy jej ruch.

Mimo to przyzwyczajają się do Rene, do tego, że podnosiła wzrok i widziała wbite w siebie badawcze spojrzenie, które szybko odwracał. Nie wiedziała, dlaczego ją u siebie trzyma, skoro ma tyle zastrzeżeń, ale czasami podejrzewała, że właśnie ta niepewność pociąga go w niej najbardziej.

Następnego popołudnia siedziała sama w salonie, kiedy Martha wprowadziła gościa. Powiedziała, że spotkała go w drodze powrotnej z targu. Wypytywał się o *mademoiselle*.

- Gaston! - krzyknęła Cyrene.

Książka spadła jej z kolan, kiedy zerwała się i podbiegła z otwartymi ramionami. Młodszy Breton stanął i zamknął Cyrene w niedźwiedzim uścisku, a potem cofnął się, żeby się jej przyjrzeć.

- Oto prawdziwe powitanie - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Skąd przychodzisz? Dlaczego tu przyszedłeś? Czy wszystko u wszystkich w porządku? Usiądź tu i mów. - Tak bardzo cieszyła się na jego widok, że czuła, że bełkocze, ale nie mogła się powstrzymać.

- Czy mógłbym dostać coś do picia? Przybywam prosto z rzeki i umieram z pragnienia.

Cyrene obejrzała się na Marthę, ale służąca znikła już na tyłach domu. Nie trzeba jej było mówić o potrzebach gości, nawet takich jak Gaston, w skórzanej koszuli i spodniach.

- Za chwilę coś dostaniesz. Powiedz tylko, jak się mają *monsieur* Pierre i Jean? Gdzie ich zostawiłeś?

- Płynęliśmy do kraju Choctawów, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że mamy tylko słowo Lemonniera, że jesteś bezpieczna i znajdujesz się w dobrych warunkach. Postanowiliśmy, że jeden z nas musi wrócić, żeby się o tym upewnić. Zostałem wybrany jako ten, który przyciąga najmniej uwagi.

- Możliwe - powiedziała poważnie. - Nadal jednak grozi ci niebezpieczeństwo. Widziano cię w magazynie. Nie mogę uwierzyć, że chodziłeś po ulicach w biały dzień.

Gaston wzruszył ramionami.

- Musiałem cię znaleźć.

Mimo że Cyrene bardzo pragnęła go zatrzymać przy sobie, nie mogła tego zrobić, mając na uwadze dobro Gastona. Przywołała uśmiech na twarz.

- No więc znalazłeś mnie i, jak widzisz, powodzi mi się dobrze. Możesz wrócić do *monsieur* Pierre'a i Jeana, powiedzieć im to, a także, że będę spokojniejsza, jeśli będą się trzymać z daleka.

Gaston przyglądał się jej w milczeniu, zamyślony, pociągając za złoty kolczyk.

- Świetnie wyglądasz.

- Dziękuję... - Z jakiegoś powodu przepych jedwabnej sukni i misterne koronki czepka wprawiły ją w zakłopotanie, jak za pierwszym razem, kiedy je założyła, choć bardzo szybko przyzwyczajała się do podobnych luksusów.

- Słyszałem na ulicy to i owo. Wygląda na to, że jesteś w doskonałej komitywie z gubernatorem, że występujesz z nim w sztuce i w ogóle. Może coś dałoby się załatwić?

- Nie sądzę - powiedziała Cyrene nieszczęśliwym głosem. - *Monsieur le marquis* to swobodny człowiek, ale swoją pozycję traktuje bardzo poważnie.

- Nazywają go Wielkim Markizem. Powiedziałbym raczej Wielki Hipokryta, biorąc pod uwagę wszystko, co wiadomo o jego żonie...

Cyrene położyła mu szybko dłoń na ramieniu.

- Nie tak głośno. Ktoś cię usłyszy.

- Nie dbam o to - odparł Gaston, ale mimo to ściszył głos. - Tak czy inaczej, jeśli nie jesteś tak szczęśliwa jak wiewiórka z zapasem orzechów na dwa lata, mam cię zabrać z powrotem do taty i wuja Pierre'a.

- Nie mogę tego zrobić.

- Nie? Powiedz czemu? Nic prostszego: wystarczy zejść nad rzekę po zapadnięciu zmroku.

- Dałam... dałam słowo.

Gaston przypatrywał jej się bystro, widząc, jak rumieniec wypływa jej na policzki. Uderzył dłońmi o kolana i złączył je tam.

- *Tres bien*. Jeśli ty zostajesz, to ja też.

- Niemożliwe!

Mimo że w głosie Cyrene brzmiało rozdrażnienie, czuła w sercu ciepło. Nie zdążyła jednak powiedzieć nic więcej, ponieważ wróciła Martha z kieliszkiem wina i talerzem ciasteczek, a kiedy je postawiła, przyszedł Armand.

Cyrene przedstawiła sobie obu mężczyzn. Wydawało się, że nie miała wyboru, ponieważ zatajenie nazwiska Gastona mogłoby wzbudzić jeszcze większe podejrzenia. Mogła tylko żywić nadzieję, że Armand nigdy o nim nie słyszał.

Nadzieja okazała się płonna. Armand spojrzał na Gastona z najżywszym zainteresowaniem.

- A, tak. Przemysłownik - powiedział.

Gaston błysnął zębami w uśmiechu, składając przyzwyczajony ukłon.

- Widzę, że moja sława mnie wyprzedza.

- O tym nic mi nie wiadomo - odparł delikatnie Armand. - Postarałem się jednak dowiedzieć o *mademoiselle* wszystkiego, co mogłem.

- Zaczynam rozumieć. - Młodszy Breton patrzył z uniesionymi brwiami to na Armanda, to na Cyrene.

Cyrene wiedziała, że tylko tak mu się wydawało, ale nie zaprotestowała. Jeśli myślał, że zostawała w Nowym Orleanie z powodu Armanda, istniała szansa, że odejdzie, nim będzie za późno.

Podniósłszy kieliszek wina, Armand ofiarował Cyrene swój najnowszy płód poetycki. Podziękowała mu serdecznie, a następnie odczytała na głos fragmenty, w celu rozluźnienia atmosfery. Spodziewała się, że po zakończeniu lektury zapadnie niezręczna cisza, ale rozmowa po-

wróciła do tematu przemytu, więc Cyrene przycupnęła w końcu kanapy, słuchając, jak mężczyźni dyskutowali o niedogodnościach panującego systemu handlowego. Okazało się, że Armand rozważał kiedyś możliwość zajęcia się nielegalnym handlem z Anglikami, ale jego ojciec nie chciał o tym słyszeć. *Monsieur* Moulin wołał, by syn uzyskał z ziemi wszystko co się dało i zapomniał o podobnych ryzykownych eskapadach.

Przyglądanie się rodzącej się znajomości Gastona i Armanda oraz szacunkowi, jakim się nawzajem darzyli, było zabawne, ale niezbyt pasjonujące. Poczowała ulgę, kiedy Armand, wierny swemu wychowaniu, po upływie czasu wyznaczonego na popołudniowe odwiedziny wstał, pożegnał się i wyszedł. Najwyraźniej nie chciał zostawiać Gastona samego na polu bitwy, zwłaszcza że młodzieniec odprowadził gościa do drzwi z tak niedbałą pewnością, jak gdyby pełnił obowiązki gospodarza. Jednak manieri Armanda były twarde jak diament; musiał odejść, więc odszedł.

Zamknawszy za nim drzwi, Gaston wrócił na krzesło obok Cyrene.

- Czy Moulin często tu przychodzi? - spytał, wpatrując się w nią surowo.

- Owszem, dosyć.

- A co myśli na ten temat Lemonnier?

- Te wizyty to zwyczaj i on tak je właśnie traktuje.

- Czyżby? Ja prędzej bym skonał.

Cyrene zmarszczyła brwi.

- W takim razie dobrze się składa, że ta sprawa cię nie dotyczy.

- Nie rozumiem też, co ty z tego masz: wiersze o krostach na twojej twarzy.

- Krostach! To był wiersz o maleńkim pieprzyku, dodającym mi urody!

- To był wiersz o kroście.

Cyrene głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić.

- Wiele dam przyjmuje po południu, a grupa wielbicieli piszących o nich wiersze to oznaka szacunku.

- Nie obchodzi mnie, co to jest, nie życzyłbym sobie, żeby się tłoczyli w moim domu, i nie wiem, dlaczego to robisz, chyba że po to, by wzbudzić zazdrość Rene.

Z oburzeniem zaprzeczyła oskarżeniu, ale wcale nie była pewna, czy mówi prawdę. Nie wiedziała już, co czuła do Rene. Wcześniej sądziła, że jej miłość wygasła, ale czym w takim razie tłumaczyć radość, jakiej doznawała w jego ramionach, słodki dreszcz, o jaki przyprawiał ją jego dotyk, przyjemność, którą czerpała z patrzenia na niego, z samego patrzenia, bycia przy nim, dzielenia jego dni i nocy. Ale przecież to niemożliwe, by wciąż była w nim zakochana; nie widziała w tym żadnego sensu.

Gaston wciąż był w domu, kiedy Rene wrócił z zapadnięciem zmroku. Jeśli widok młodzieńca go zdziwił, nie dał tego po sobie poznać; zaprosił go na kolację i zaczął wypytywać o Pierre'a i Jeana. Cyrene, która przyjęła na siebie część obowiązków związanych z prowadzeniem domu Rene, wymknęła się, by omówić z Marthą kwestię kolacji. Po powrocie zastała Rene i Gastona w wybornych humorach, rozmawiających z czysto męską wylewnością, jaka towarzyszy osiągnięciu porozumienia.

Serdeczność Rene sięgała tak daleko, że zaprosił Gastona na noc, jednak ten odmówił. Kolacja skończyła się dobrze po zapadnięciu zmierzchu. Gaston, przekonany przez Cyrene, by zachował większą niż przedtem dyskrecję, udał się na łódź pod osłoną ciemności.

Wkrótce po wyjściu gościa Rene zajął miejsce za stołem do pisania. Cyrene zaczynała przypuszczać, że w ten sposób unikał długich godzin między kolacją a porą pójścia spać, które w przeciwnym razie musiałyby być wypełnione rozmową. Zdawała sobie sprawę, że rozmawianie na błahe tematy nie stanowi głównego celu życia z Rene, a jednak niesłychanie irytował ją sposób, w jaki odgradzał się od niej za pomocą pudła papierów.

Usiadła na kanapie przed kominkiem, zrzucając nowe, haftowane pantofelki z atłasu i podciągając nogi

pod falistą, jedwabną spódnicę w złote pasy. Nie upudrowała włosów, ponieważ często kichała od kłębow pudru, za to pozwoliła Marcie ułożyć je w koczek z falami i lokami opadającymi na ramię. Po wielu godzinach noszenia go czuła, że szpilki wbijają jej się w skórę głowy. Zaczęła je wyciągać, uwalniając ciemnozłotą gęstwinę, przerzucając ją przez ramię, rozczesując włosy palcami.

Jedna ze szpilek spadła z rozpuszczonych splotów. Zsunęła się po szyi przez ramię w głęboki dekolt sukni. Czując chłód szpilki, Cyrene krzyknęła z irytacją. Nachyliła się i wsunęła palce pod stanik, by wyjąć zgubę. Kiedy się wyprostowała, zauważyła, że Rene podniósł wzrok znad papierów. Siedział nieruchomo, przyglądając się jej uważnie.

Posłała mu ostrożny uśmiech. Odwzajemnił go, z ciepłym błyskiem w oczach, ale zaraz powrócił do pisania.

Przez dłuższą chwilę Cyrene siedziała bez ruchu, obserwując szybką precyzję jego ruchów, patrzyła, jak światło świec gra na płaszczyznach i załamaniach twarzy i ustach, rozjaśnia skórę, odbija się na czarnych falach włosów. Światło zamigotało na piórze, którym pisał i rzuciło cień jego silnej, kanciastej ręki, którą sunął niestrudzenie po pergaminie. Pomyślała o tej samej dłoni na jej ciele, czując delikatny dreszcz.

Cyrene wysunęła stopy spod spódnicy, po czym wstała, przeciągając się trochę i zbliżyła się do stołu, by odłożyć szpilki. Potem podeszła do ognia, który pobudziła pogrzebaczem do życia. Odwiesiwszy pogrzebacz z powrotem na haczyk, stała długo, patrząc w płomień, ze spódnicami odsuniętymi z dala od niebezpieczeństwa. Kiedy żar stał się nie do zniesienia, odwróciła się i zbliżyła do stołu. Przesunęła palcami po gładkiej, polerowanej krawędzi, a nachylając się nad Rene, delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Co piszesz z taką energią? - spytała, symulując leniwe rozbawienie. - To muszą być co najmniej twoje pamiętniki.

- Coś równie nudnego: listy do ważnych osób. Wygnańcy nie mogą pozwolić, by o nich zapomniano, chyba że na zawsze chcą zostać wygnańcami.

- Czy zostanie tutaj byłoby aż tak straszne?

Dostrzegła, że pozdrowienie widniejące u góry strony zaadresował do Maurepasa. Królewskiego ministra bez wątpienia można było określić ważną osobą, choć pamiętała, że Rene mówił o nim również jako o przyjacielu.

Rene odwrócił się do Cyrene.

- Czy tego właśnie chcesz, żebym tu został?

- Uważaj - krzyknęła. - Ubrudzisz rękaw atramentem! - Odwracając się, położył aksamitny rękaw prosto na świeżo zapisanej, jeszcze nie osuszonej piaskiem stronicy. Chwyciła go za przegub, by podnieść mu rękę, ale Rene przycisnął ją mocno do stołu.

- Rękaw się nie liczy, ale odpowiedź na moje pytanie, owszem.

Wpatrywał się w nią wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu. Pełna wątpliwości spojrzała mu w oczy. Czy chciała, żeby został? Możliwe, że tak. Myśl o wyjeździe Rene była jej przykra. Nie mogła jednak skupić się na odpowiedzi, ponieważ instykt podszeptał jej, że nie przypadkiem rozmazał pismo rękawem. Nie chciał, by przeczytała list. Właśnie to podejrzenie sprawiło, że zdanie, które wtedy zauważyła, teraz wyraźnie stało jej przed oczyma: *...tylko jeden sposób, by powstrzymać nielegalny handel zwany przemytem, a mianowicie zdecydowane, przykładowe karanie schwytanych winnych...*

Musiła coś powiedzieć.

- Jesteś pewien, że chcesz wyjechać?

Rene wstał, skutecznie zasłaniając szerokimi ramionami plik pergaminowych arkuszy na stole.

- Czasami myślę o Francji i tęsknię za nią jak sierota za matką - powiedział - a czasem, kiedy biorę cię w ramiona, wydaje mi się, że dom jest wszędzie tam, gdzie ty.

Próbował odwrócić jej uwagę podobnie jak wcześniej, kiedy zainteresowała się jego pisaniami. Dobrze,

nie będzie mu w tym przeszkadzać. Cyrene przytuliła się do Rene, przyjmując pocałunek. Ostatecznie nie robiło to żadnej różnicy. Wiedziała, kim był, a mimo to pociągał ją w nie mniejszym stopniu; *nie* mogła się zdobyć na to, żeby mu się przeciwstawić, przeszkodzić mu w wydaniu Bretonów gubernatorowi. Nie mogła uniknąć wpływu, jaki na nią miał, toteż równie dobrze mogła czerpać z zaistniałej sytuacji maksimum przyjemności. Ot, drobna rekompensata.

A jednak, następnego ranka, kiedy Rene wyszedł do kafejki czy spotkać się z gubernatorem, czy gdziekolwiek wychodził każdego ranka, Cyrene natychmiast podeszła do stołu w salonie. Polerowana powierzchnia lśniła pustką, bez śladu papieru, chociaż kałamarz z zanurzonym w nim piórem stał na posterunku. Lakierowana skrzynka stała pod ścianą. Mimo że Cyrene szarpała i ciągnęła zamek, a nawet delikatnie pomajstrowała przy nim spinką do włosów, pozostał zamknięty, kryjąc sekrety skrzynki.

Wieczorem, w dniu maskarady na *Mardi Gros* urządzonej przez gubernatora i jego żonę, oficjalna rezydencja gubernatora rozjarzyła się światłami od piwnic aż po dach. Przy drzwiach płonęły pochodnie, oświetlając chciwe twarze gapiów zgromadzonych na błotnistej ulicy, by przyglądać się przybywającym gościom, kroczącym za służącymi lub chłopcami niosącymi pochodnie. Przez cały dzień padało, a nocne niebo pokrywała warstwa niskich chmur, grożących kolejną ulewą, co jednak nie zraziło widzów. Przepychali się między sobą, walcząc o lepsze miejsce, konkurując ze sprzedawcami gorących placków ryżowych, mięsa zapiekanego w cieście, pomarańczy i kandyzowanych fiołków, a jednocześnie mając pilne baczenie na kieszonkowców. Gapili się wytrzeszczonymi oczami na kostiumy, które szczęśliwcy albo kazali zamówić specjalnie na tę okazję, bądź też uszyli z resztek wydobytych ze starych kufrów. Publiczność zdawała się dzielić równo na tych, którzy we wszy-

stkim widzieli piękno, oraz tych, którzy doszukiwali się samych wad, komentując je w słowach raczej dosadnych i szczyrych niż roztropnych.

- Za co on się przebrał, za krawiecki manekin?
- To ma być chyba ten gruby niemiecki król Anglii.
- Patrzcie na tamtą. Kobieta, która nosi na szyi koło od wozu, nie będzie się martwić, że jej tyłek przypomina rufę statku wielorybniczego.
- To znieawidzona królowa Maria Teresa, ty idioto!
- A ja jestem królowa Saby!
- Tam idzie dobry *pere* w habicie.
- Należałoby go chyba rozebrać do rosołu.
- Spójrzcie tylko na tę pastereczkę z krótkim, wygiętym kijkiem...
- Jeśli się nie mylę, szuka innego kijka, który nie jest ani wygięty, ani krótki.

Ze względu na mokre, błotniste ulice Rene wynajął dla Cyrene lektykę niesioną przez czterech mężczyzn, której jednak w żaden sposób nie można było nazwać luksusową. Ławeczka, obita popękana skórą, wydzielała woń potu, którą starano się zabić zwietrzałymi perfumami, a spleśniałą słomę wyściełającą dno lektyki pokrywała warstwa błota. Rene szedł obok lektyki, jedną dłoń trzymając na drzwiach, a drugą na rękojeści miecza. Broń stanowiła nie tylko element kostiumu muszkietera. Z powodu zatłoczonych ulic spodziewano się, że tej nocy miejskie szumowiny wypełzną ze swych nor.

Cyrene i Rene musieli czekać w kolejce do drzwi rezydencji, toteż nasłuchali się żartów i docinków wypowiedzianych pod adresem gości. Kiedy nadeszła ich kolej, Rene pomógł Cyrene wysiąść, a potem rzucił trochę drobnych lektykarzom, prosząc, by oczekiwanie na koniec balu umilili sobie kielichem. Na widok płaszczy skrywających kostiumy nowo przybyłych rozległ się szmer zawodu, który Cyrene celowo puściła mimo uszu, idąc szybko w stronę domu.

W przedpokoju przeznaczonym na ten cel Rene i Cyrene zostawili płaszcze służącym. Cyrene poprawiła

gazę w wielu odcieniach zieleni i złota, która stanowiła jej kostium nimfy leśnej, a w tym samym czasie lokaj szybko otrzepał błoto z butów Rene. Po tych przygotowaniach goście poprawili wstążki podtrzymujące luźne weneckie maseczki z materiału i pozwolili wprowadzić się na salę balową.

Zgromadzenie bogato odzianych ludzi, żyrandole z setkami świec niczym wybuchy gwiazd, eleganckie ozdoby ścienne i meble, wyśmienite jedzenie, napoje i muzyka spotkałyby się z uznaniem w samym Paryżu. Tu, w prowincjonalnym Nowym Orleanie zapierały dech w piersiach. Co więcej, goście dobrze wiedzieli, że nigdy jeszcze w krótkiej historii miasta nie odbyło się podobne przyjęcie, a ponadto podejrzewali, że może się już więcej nie odbyć. Świadomość ta dodawała pikanterii podnieceniu wywołanemu przez maskaradę; goście odczuwali niemal gorączkową przyjemność z rodzaju tych, jakie dają początek legendom. Nigdy jeszcze goście markiza nie uśmiechali się Me, nie śmiali się tak donośnie, nigdy jeszcze wino nie smakowało tak doskonale, a jedzenie nie przypominało ambrozji. Muzyka zawładnęła zebranymi, upajając ich, śpiewając w ich krwi. Tańczyli, jak gdyby nie mogli ustać w miejscu, po czym, wyczerpani, śmiali się bez tchu, aż pootwierano okna, by wpuścić chłód nocy, który rozwiązał żar i zapach Mu ciepłych, pełnych, obficie perfumowanych ciał.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz, którego odgłos i chłodna wilgoć napływały do sali przez otwarte okna. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Jakież znaczenie miała pogoda, skoro przyszli się tu bawić?

Cyrene tańczyła sześć razy: po razie z Rene i Armandem, z arlekinem, grenadierem i dwukrotnie ze świętym królem Ludwikiem IX, któremu nie brakowało nawet aureoli w miejscu korony, a który nie mógł być nikim innym jak gubernatorem. Czas stracił znaczenie. Bezpieczna pod maską, czuła, że w tej chwili nic nie jest w stanie jej zranić, nawet widok Rene towarzyszącego damie przebranej za przeoryszę, którą musiała być pani

Vaudreuil. Cyrene czuła się bezgranicznie szczęśliwa, upojona muzyką i tańcem, których rytm pulsował jej w żyłach i umyśle. Odkryła w sobie zdolność czystej radości, umiejętność zapominania o problemach czy przykrych sytuacjach i życia chwilą bieżącą.

Właśnie wtedy dostrzegła Gastona.

To był on; nie wątpiła nawet przez chwilę mimo maski, pod którą skrywał twarz. Nikt inny nie miał tak barczystych ramion oraz czupryny kręconych włosów niczym bożek Pan. Nikt inny nie odważyłby się pokazać na balu gubernatora w skórzanym, ozdobionym paciorkami stroju i mokasynach *voyageur*, szczura rzecznego, który stał tylko o stopień wyżej niż skazany przemytnik.

Właśnie dobiegała końca szybka melodia kontredansa. Cyrene posłała partnera po kieliszek wina, a sama ruszyła w stronę Gastona. Zaszła go od tyłu w miejscu, gdzie stał przy otwartym oknie.

- Jak ci się zdaje, co ty tutaj robisz?

Była tak zdenerwowana, tak się o niego bała, a jednocześnie tak bardzo wściekała się na siebie za ten strach, że głos jej drżał. Odwrócił się do niej, a w szparkach maski oczy zajaśniały ciepło zrozumieniem.

- Odwiedził mnie twój znajomy, *chere*. To on mnie tu przyprowadził.

- Rene - powiedziała gorzko.

- Bynajmniej. Moulin.

- Armand?

- Dobry przyjaciel, warto go mieć po swojej stronie.

- Cieszę się, że przypadliście sobie do gustu - odparła sarkastycznie - ale ty chyba postradałeś zmysły! Co ci przyszło do głowy, żeby przychodzić tu w takim przebraniu, jakbyś wszem i wobec ogłaszał swoje zbrodnie?

- Nikt mnie nie poznał - zaprotestował Gaston.

- Nie zasłużyłeś sobie na takie szczęście. Masz stąd natychmiast wyjść.

Ściągnął wargi z irytacją.

- Jeśli przestaniesz robić szum, nie będzie takiej potrzeby. Jeśli mnie zaaresztują, to tylko przez ciebie.

- Nie bądź nierozsądny, Gaston. Po co narażać się na takie niebezpieczeństwo?

- Jakie niebezpieczeństwo, Cyrene? Rozumiem, że Lemonnier załatwił alibi tacie, wujkowi Pierre'owi i mnie. W noc pożaru w magazynie w ogóle nie było nas w mieście. Mógłbym zapytać, jaką nagrodę dostał Lemonnier za tę usługę, ale byłaby to zbędna obraza. Wygląda na to, że zapłaciłaś za moje bezpieczeństwo, dlaczemu więc nie miałbym się nim cieszyć?

Miał oczywiście rację. Upłynęło dość czasu, by zaakceptowano wyjaśnienia dotyczące Bretonów. Czemu więc Gaston nie miałby wyjść z ukrycia? Cyrene porzuciła ten temat z ulgą i żalem, przyjmując inną linię ataku.

- Ale przychodzić tu w takim przebraniu... to jak wymierzenie policzka.

- Obliczone ryzyko. Czy winny odważyłby się na coś takiego? Nie, a zatem jestem niewinny.

- Po co ryzykować, skoro możesz być bezpieczny?

Gaston uśmiechnął się powoli.

- Po co mi bezpieczeństwo, skoro przy odrobinie odwagi mogę stać się jednym z uprzywilejowanych gości gubernatora zamiast być tylko synem handlarza, który musi stać tam na zewnątrz razem z resztą, patrząc jak moi się bawią?

- To wszystko nie ma znaczenia w porównaniu z wolnością - odparła, rozglądając się wokół.

- To ty tak mówisz, ale jesteś tutaj, a tamci stoją na zewnątrz.

Cyrene mówiła prawdę. Nic się nie liczyło, ani wyszukane suknie czy piękne wnętrza, korowód wielbicieli, występowanie w amatorskim przedstawieniu u boku gubernatora, ani nawet rzadki zaszczyt udziału w maskaradzie. Pragnęła wolności, ale tę jej dozę, którą posiadała, zamieniła na niewolę innego typu, więzienie makijaży, ogłady i zmysłów otępiałych pożądaniem. Jednak do tego więzienia weszła z otwartymi oczami. Tylko ona mogła się z niego uwolnić. Podstawowym warun-

kiera, jakiego wymagało ocalenie, była wola. Musiała tylko ją w sobie znaleźć.

Gaston przerwał te bolesne rozmyślenia Cyrene nagłym szeptem:

- Kto to nadchodzi?

Podniosła wzrok. Mężczyzna, który się zbliżał, miał na sobie strój rzymskiego generała, złożony z togi i napierśnika, połączony bez ładu i składu ze spodniami oraz upudrowaną peruką. Był zwalistej budowy, poruszała się szybko. Wzgardził maską, toteż nieprzyjemny wyraz twarzy kontrastował z pustymi minami otaczających go gości. Nie poznała go od razu, ale kiedy to się stało, poczuła, że krew odpływa jej z głowy.

- Dobry Boże - szepnęła.

- Co się stało?

- To oficer z magazynu.

- Kto?

Gaston nie był obecny przy tym, jak oficer złapał Cyrene, przewrócił na ziemię i zaczął molestować, w czym przeszkodził mu dopiero Rene. Gaston o tym nie wiedział, ale nie było czasu, by cokolwiek tłumaczyć. Porucznik stanął przed nimi, biorąc się pod boki.

- Te włosy poznałbym wszędzie - oświadczył z oblesnym uśmiechem na wilgotnych ustach, patrząc na lśniącą zasłoneżoną zwieszającą się na plecach Cyrene. - Złapałem wtedy garść tych włosów i miękki cycek. Idę o zakład, że dostanę to samo albo porozmawiam z gubernatorem o tobie i twoim przyjacielu, który wygląda mi na złodzieja i przemytnika. No, więc jak, ślicznotko? Wóz, czy przewóz?

16

Porucznik był tak pewny siebie. Cyrene widziała, że w swym grubiańskim zadufaniu jest przekonany, że ma nad nią górę, że może ją zmusić do uległości. Poczła strach, ale przede wszystkim gniew, że znowu stała się przedmiotem napaści. Z wdzięcznością myśląc o masce, która skrywała oba te uczucia, dumnie odwróciła się do porucznika w komicznym kostiumie.

- Nie wydaje mi się, że pana znam, *monsieur* - powiedziała chłodno.

Chciała się odwrócić z powrotem do Gastona, który, marszcząc brwi, przyglądał się intruzowi, ale porucznik chwycił ją za ramię.

- Owszem, znasz mnie, a poznasz jeszcze lepiej. Nie wywyższaj mi się tutaj, bo zaraz cię ściągnę na ziemię.

Cyrene wyrwała rękę z wilgotnego, niezdarnego uścisku.

- Pan się zapomina! Twierdzę, że popełnił pan błąd, *monsieur*, a jeśli będzie pan nalegał, może się to dla pana źle skończyć.

Chwycił ją za łokieć, pociągając mocno, aż straciła równowagę i oparła się o niego.

- O, tak, będę nalegał. Kiedy załatwię z tobą sprawę, przekonamy się, jaki to błąd i kto go popełnił.

Gaston zrobił krok do przodu i pchnął natręta.

- Puść ją, ty psie!

- Nie mieszaj się do tego - warknął groźnie porucznik - albo każę cię postać pod pręgierz, zanim zdążysz splunąć.

- Jesteś mocny w gębie - rzucił Gaston. - Chodź na dwór, to zobaczymy, co jeszcze potrafisz.

- Nie, Gaston! - krzyknęła Cyrene.

- Ostrzegałem cię, koguciku!

- Czy i mnie chciałbyś przed czymś ostrzec? - rozległ się za nimi cichy głos.

Cyrene poczuła, że oficer znieruchomiał, ściskając ją mocniej za łokieć. Nastąpił ruch zbyt szybki, by można go było zauważyć, po czym porucznik zwolnił uchwyt. Cyrene znalazła się u boku gubernatora Vaudreuila.

Czuła niewymowną wdzięczność za interwencję, a jednocześnie strach, że prawda wyjdzie na jaw.

Porucznik sprawiał wrażenie nie mniej oszołomionego. Przełknął z trudem i zaczął się jękać.

- Błagam... błagam o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo. Nie wiedziałem... to znaczy, nie miałem pojęcia.

- Czego nie wiedziałeś? - spytał zimno gubernator.

- Niczego! Zupełnie niczego. - Porucznik zbladł jak ściana i chrypiał. - Proszę o wybaczenie. Musiałem... musiałem pomylić tę damę z **kim** innym.

- Jestem pewien. Wierzę, że nie powtórzy pan tej pomyłki.

- Nie, na pewno nie.

Markiz odprawił go krótkim ruchem dłoni.

- Zapomnijmy o tej sprawie. Może pan odejść.

Porucznik oddalił się pospiesznie. Cyrene spróbowała odsunąć się od gubernatora, ale poczuła, że trzymają ją mocno. Zwilżyła wargi, podnosząc na niego wzrok.

- Przybył pan w samą porę, sir. To miło, że mnie pan uratował. Jestem niewypowiedzianie wdzięczna.

Tuż za nimi rozległy się ciche kroki i przy Cyrene stanął Rene.

- Ja również jestem wdzięczny. Zobaczyłem to zamieszanie z drugiej strony sali, ale nie zdążyłem przybyć tak szybko.

Na twarzy gubernatora odmalował się wyraz lekkiego niezadowolenia, a z ust wyrwało się westchnienie.

- Mogłem się domyślić, że znajdujesz się w pobliżu, Lemonnier. Przypuszczam, że teraz powinienem zostać ci *mademoiselle* Cyrene, żebyś mógł ją ukoić.

Rene schylił głowę w ukłonie.

- Tego właśnie bym sobie życzył, Wasza Ekscelencjo.

- Tak też sądziłem.

Jakaś kobieta, najwyraźniej podążająca za Rene, w poszumie taftowych halek dołączyła do grupy. To pani Pradel, pomyślała Cyrene, spoglądając na obfite łono w kostiumie etruskim, na który składała się spódnica, miedziany gorset niewiarygodnie wąsko spinający talię damy oraz praktycznie nie istniejący stanik.

- Po prostu *lese-majeste*, mój Rene - oświadczyła dama. - Powinieneś szanować prawo naszego pana do przychodzenia w sukurs damom i pocieszania ich w biedzie.

- Naszym panem jest Ludwik, król Francji, *madame* - powiedział surowo gubernator.

- Ależ tak - zgodziła się, udając zdziwienie. - O mały włos bym zapomniała, ale jestem pewna, że *mademoiselle* naprawdę znalazła się w opałach.

- Wcale nie - zaprzeczyła Cyrene, zdając sobie sprawę z sarkazmu kobiety, nawet jeśli nie z jego przyczyny. Chociaż, po chwili zastanowienia, nie trudno było się jej domyślić. *Madame* Pradel, która wywalczyła sobie towarzysztwo Rene, czuła się pewnie niezadowolona z faktu, że znowu go straciła. Nie było jednak dość czasu na długie rozważania, ponieważ do grupy dołączyła zakonnica w birecie, która podeszła tak szybko, że różaniec objął się jej o kolana.

- Co to za publiczne przedstawienie? - spytała napiętym głosem żona gubernatora. - Vaudreuil, puść *mademoiselle* Nolte, zanim ogłuchniemy od plotek.

Markiza spiorunowała Cyrene wzrokiem, ale jeszcze bardziej kłopotliwy wydał się dziewczynie baczny wyraz twarzy mężczyzny, który zbliżył się do grupy za żoną

gubernatora. Oto, w szaro-brązowym habicie mnicha, z kapturem stojącym jak kołnierz wokół chudej szyi i bez maski, która kryłaby cynicznie złośliwe spojrzenie, stał fagas pani Vaudreuil, Touchet.

Markiz de Vaudreuil spojrzał zezem na żonę.

- *Mademoiselle* Cyrene przeżyła szok. Plotkowanie jest naturalną rozrywką zwierzęcia ludzkiego, toteż nie ma powodu, by z tej przyczyny nie spieszyć damie z pomocą.

- Proszę - powiedziała Cyrene. - Nic mi nie jest.

Gubernator puścił ją, jednak bez pośpiechu. Rene zajął jego miejsce, mówiąc cicho:

- Zaczynają grać. Może zatańczymy, jeśli naprawdę nie odniosłaś szwanku?

- Jak sobie życzysz - odparła cicho.

- Doskonały pomysł - podchwyciła markiza, przenosząc świdrujące spojrzenie z Cyrene na męża. - Zatańczymy tego menueta, Vaudreuil?

- Jak sobie życzysz, *chere*.

Gubernator skłonił się, nie gnąc pleców, i wyprowadził swoją damę z kręgu. Rene ruszył za nimi, ujmując palcami przegub Cyrene. Pozostali tancerze dostosowali się do ich kroku. Pary ruszyły statecznie, kłaniając się, schylając, obracając w furkocie halek i spódnic, bez trudu posuwając stopy po polerowanym parkiecie. Blask świec lśnił na jedwabiach, atłasach, aksamitach i taftach, tańczył na jasnych perłach i migotał w głębiach wielobarwnych klejnotów. Okalał brzegi masek, oświetlając anonimowe, lubieżnie uśmiechnięte usta ukryte pod przebraniem. W rezydencji ambasadora nie wolno było pić alkoholu, a jednak nad zgromadzeniem unosiła się swoista atmosfera rozwiążności, przypomnienie starożytnych bachanaliów, od których wywodziła się tradycja *Mardi Gros*.

Okrażając w tańcu Rene, Cyrene dostrzegła w dalszym końcu sali Gastona, który towarzyszył pani Pradel. Kobieta pożerała go wzrokiem, jak jakiś szczególnie smaczny cukierek, a młodszy Breton miał twarz zaintrygowaną, choć czujną.

Rene zauważył to jej lekko ironiczne spojrzenie, kiedy odwróciła się do niego i ruszyli razem przez salę.

- Czy musiałaś właśnie teraz wzbudzać zamieszanie?
- spytał prowokującym tonem.

Cyrene nie miała dotąd okazji, by wyrzucić z siebie gniew i rozzalenie, nie tylko z powodu napaści porucznika, ale także niesprawiedliwej krytyki ze strony pani Vaudreuil. Zjadliwy komentarz Rene podziałał na nią jak iskra.

- A czemuż by nie? - spytała. - Niczego bardziej nie lubię, niż gdy się o mnie biją i szarpia, niby o jakąś ulicznicę z *quai* d'Orsay. Przebić to może tylko zazdrosna żona, która potępia mnie jako dziwkę!

- Mogłaś siedzieć cicho, nie wywołując zamieszania.

- Naprawdę? Czyżbyś sądził, że sama przypomniałam się porucznikowi? Może uważasz, że wdzięczyłam się przed nim?

Rene myślał, że była zbyt piękna, za bardzo zapadała w pamięć, by mogła czuć się bezpieczna, lub by on mógł się cieszyć spokojem umysłu. To irytacja spowodowana niewygodną troską o nią kazała mu tak na nią napaść. Znacznie bardziej odpowiadałoby mu, gdyby zachowywała się cicho i posłusznie. Ale wtedy nie byłaby Cyrene.

- No, więc? - nalegała.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie prowokowałam porucznika niczym, jak tylko tym, że byłaś sobą.

- Co to ma znaczyć? Że nie powinnam rozpuszczać włosów? Że nie powinnam być wdzięczna gubernatorowi za przyście mi z pomocą? A może myślisz, że najlepiej by się stało, gdybym poszła z porucznikiem wszędzie, dokąd zechciałby mnie zaprowadzić i pozwolić mu zrobić ze mną to, na co miał ochotę? W ten sposób sprawa zostałaby załatwiona bezszmerowo!

Rene rozejrzał się z udręką w oczach.

- Czy ściszysz wreszcie głos?

- Oczywiście, powiedz mi, żebym liczyła się ze słowami. To ostatni wybieg męzczyzny, który wszczął kłótnię i nie wie, jak skończyć.

- Doskonale - powiedział, pociągając ją mocno za przegub, gotów ruszyć z powrotem przez salę balową. - Co chcesz, żebym powiedział? Że powinienem cię lepiej strzec? Że powinienem szybciej przyjść ci na pomoc? Że nie cierpię Vaudreuila za to, że przybył pierwszy, oraz chciałbym zamordować człowieka, który ośmielił cię dotknąć? Że, krótko mówiąc, jestem dziko zazdrosny?

Uniosła podbródek, a jej oczy, wpatrzone w Rene, miały błyskawice.

- Tak, czemu nie?

- Rzeczywiście, czemu nie? To wszystko szczerą prawdą.

Potknęła się, niemal przewracając się o rąbek sukni. Kiedy ponownie na niego spojrzała, patrzył prosto przed siebie. Przez dłuższą chwilę Cyrene czuła, jak serce łomocze jej w gardle, a potem, w miarę jak obserwowała napiętą twarz Rene, serce uspokajało się. No więc czuł się za nią odpowiedzialny, troszczył się o nią, był nawet zazdrosny - i co z tego? Była dla niego tylko własnością, przedmiotem, którego należało strzec, ochraniać przed intruzami. Zazdrość nie miała żadnego związku z nią jako osobą, a raczej z niechęcią Rene, by się nią dzielić albo ją stracić, póki go interesowała. Jego poczucie odpowiedzialności, troska, a przede wszystkim zazdrość ulotniły się w chwili, kiedy się nią znudzi.

- Jakże mi to pochwlebia - powiedziała z niepewną ironią. - Czym sobie na to zasłużyłam?

Rene usłyszał w jej głosie niedowierzanie i nie wiedział, czy czuć ulgę czy gniew. Jednoczesne doświadczenie obu tych uczuć kłóciło się z jego pojęciem równowagi psychicznej, a przede wszystkim nie pomagało mu w przeprawie z Cyrene.

Bal zakończył się o północy ogólnym zdejmowaniem masek. Wraz z wybiciem dwunastej rozpoczynał się wielki post, czterdzieści dni postu i wstrzemięźliwości. Przełykano ostatnie kęsy jedzenia, pospiesznie wychylano ostatnie kielichy. Muzycy odstawili na bok instrumenty. Nadszedł czas rozejścia się do domów.

Goście wychodzili, trzymając na sznurkach poszargane maski, które teraz wyglądały dość głupio. Wymieniało się gładkie, pochlebne uwagi pod adresem gospodarzy, wykrzykiwano pożegnania, które rozlegały się echem na mokrych, pustych ulicach, po czym ginęły w nocy.

Wciąż padał deszcz, a po jego bezlitosnej nieustępliwości można było wnioskować, że popada kilka dni. Wzdłuż ulicy przed rezydencją gubernatora płynęły rynsztokami strumienie wody, w których odbijały się pochodnie płonące przy drzwiach. Lektyka stanowiła niezwykle pożądane schronienie, mimo że od domu dzielił ich tylko kawałek.

Kiedy Cyrene usiadła na wąskiej ławeczce lektyki, a mężczyźni unieśli ją w górę, podbiegł chłopiec z latarnią na kabłąku.

- Oświetlić państwu drogę, *monsieur*". Dla pana bardzo tanio!

Był młody, chudy, przemoczony do suchej nitki, a jednak dzielnie szukał klientów w tę okropną noc. W Nowym Orleanie było wiele podobnych sierot, ofiar wysokiej śmiertelności, która stale nękała kolonię. Większością sierot opiekowały się urszulanki, ale niektóre dzieciaki przedkładały życie na ulicy nad dyscyplinę zakonną.

Rene rzucił urwisowi monetę. Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i ruszył przed lektyką. Rezydencja szybko została w ryle. Otaczała ich ciemna, wilgotna noc, rozświetlana tylko tańczącym żółtym blaskiem latarni chłopca.

Deszcz bębnił o mały, kwadratowy dach lektyki. Skórzane zasłony wpadały do środka, wpuszczając gęstą mgłę. Co pewien czas jeden z lektykarzy potykał się w sięgającym kostek błocie, lektyka przechylała się, ale zaraz wracała do pionu. Cyrene oparła mocno stopy o podłogę i przytrzymała się uchwytu w ścianie, ale przy szczególnie gwałtownym szarpnięciu wyciągnęła rękę, żeby zachować równowagę i otarła przegub o ramę okienną.

Rozcieraa obolałą rękę, kiedy usłyszała krzyk. Chwilę potem lektyka upadła na ziemię, a Cyrene przewróciła się najpierw do przodu, później w tył, objając się o ściany. Krzyknęła zaskoczona; lektyka zachybotała się, przechyliła, w końcu znieruchomiała. Cyrene szybkim ruchem otworzyła drzwiczki.

- Co to? Co się stało?

Z tyłu dochodził tupot i chlupot błota. Odwróciwszy głowę w tamtą stronę Cyrene dostrzegła uciekających lektykarzy. Chłopiec zniknął, ale latarnia leżała w błocie, świeca pryskała, dając słabe światło. Rozległ się zgrzyt wyciąganego miecza. Odwróciła się w tamtym kierunku.

W słabym blasku latarni ujrzała Rene, który z mieczem w dłoni i długą czapką owiniętą wokół nadgarstka walczył z dwoma napastnikami. Wyglądali parszywie, mieli dziobate twarze świadczące o życiu w ciemnych zaułkach i babraniu się w mrocznych sprawkach. Jeden wymachiwał w powietrzu nożem, a światło latarni tańczyło na ostrzu i mrugało na czubku. Drugi wywijał pałką, oddychając przez usta, oblizując wargi mokrym, grubym językiem.

Co mogła zrobić? Możliwości przemknęły przez myśl Cyrene jak gromada duchów, ale każda następna zdawała się mniej realna niż poprzednia. Nigdy w życiu nie czuła się tak beзуżytecznie. Z żalem pomyślała o nożu pozostawionym w domu. W stanie najwyższego podniecenia wysiadła z lektyki, czując, jak jedwabne pantofle zapadają się w błoto i kałuże.

Usłyszała za plecami jakiś odgłos. Zanim zdążyła się odwrócić w gęstej brei, silna ręka zamknęła się na jej szyi. Wydała zduszony krzyk, a uchwyt się nasilił. Jakiś silny mężczyzna przyciągnął ją do siebie, a następnie zmusił do wejścia w zaułek między dwoma najbliższymi domami. Cyrene uderzył zapach dymu, wytłuszczonej skóry, taniego alkoholu i niemytych mężczyzn.

Próbowała się przekręcić, zadać do tyłu cios łokciem. Ręka wbiła jej się w szyję, odcinając dopływ powietrza.

Zakaszłała, dusząc się, ból przesłonił jej oczy czerwoną mgłą. Poczowała, że ją podnoszą, że wlecze piętami po błocie. Niewyraźnie dostrzegła Rene, który rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę. Zaklął i zdwoił wysiłki, tnąc, robiąc uniki; ostrze miecza świszczało w powietrzu.

Musiała coś zrobić. Musiała. Złapać napastnika za włosy, podrapać mu oczy, cokolwiek. Co nią kierowało: racjonalna myśl, czy instynkt? Nie wiedziała. Pomysł pojawił się sam, a Cyrene wcieliła go w życie. Rozluźniła nagle mięśnie, zginając kolana. Uderzając podbródkiem o rękę napastnika szczęknęła zębami, ale obcy stracił równowagę. Puścił ją, wyciągając rękę, żeby nie runąć. Cyrene rzuciła się w błoto, zagłębiając się w nim kolanami i dłońmi aż po przeguby.

Mężczyzna zaklął szpetnie i zamachnął się pięścią. Cios trafił Cyrene w bok twarzy. Ból eksplodował w całej czaszce, ale wykorzystała siłę uderzenia, by oddalić się od przeciwnika. Gramoląc się w lepkim błocie, obejrzała się szybko przez ramię.

Mężczyzna miał na twarzy maskę.

Zdumienie było tak wielkie, że Cyrene zawahała się, otwierając szeroko oczy.

W tym momencie przeciwnicy Rene rzucili się do ucieczki. Jeden, raniony w ramię, wył z bólu, a drugi zginął się wpół z krwawiącą piersią; zniknęli w mroku nocy. Rene rzucił się w stronę Cyrene, rozpryskując krople deszczu. Zamaskowany napastnik podniósł wzrok, ujrzał nacierającego Rene i światło latarni błyskające mokrym szkarłatem na mieczu.

Mężczyzna wsunął rękę do kieszeni płaszcza, skąd wyciągnął pistolet. Cyrene rzuciła się na niego z krzykiem, tamten okręcił się i złożył do strzału. Szczęknął zamek, błysnął błękitny płomyk, coś syknęło.

Kula ugrzęzła w błocie. Napastnik warknął, z potworną siłą cisnął pistoletem w Rene i rzucił się do ucieczki.

Rene dostrzegł pistolet w chwili, gdy został rzucony. Wyciągnął w górę rękę, starając się uchylić, ale buty ugrzęzły mu w błocie, krępując swobodę ruchów. Po-

śliznął się i zakołysał, a ciężka kolba pistoletu trzasnęła go w skroń. W oczach mu wybuchnął paraliżujący ból. Klęknął na kolano w błocie. Po twarzy spłynęła mu gorąca krew. Słyszał kroki uciekającego człowieka w masce, ale nie miał siły, by pobiec za nim.

Cyrene wstała z trudem, potykając się podeszła do Rene, po czym znowu uklękła. Miała tak zabłocone dłonie, że nie mogła go dotknąć, ale chwyciła jego płaszcz, zwinęła i przycisnęła do rany.

- Nic mi nie jest - powiedział. - To niegroźne.

Dyszał, ale w głosie brzmiała siła i opanowanie. Wierzyła mu, mimo krwi ciekącej po jego twarzy.

- W takim razie chodźmy do domu.

Podnieśli się z kleistego błota i ruszyli. Coś poruszyło się z przodu, na granicy światła rzucanego przez latarnię. To chłopiec próbował odzyskać swoją własność. Rene rozpoznał go pierwszy. Zrobił krok w przód i zawołał ostro:

- Stój, chłopcze! Chodź tutaj.

Chłopak cofnął się, otwierając szeroko oczy.

- Nie wiedziałem, *monsieur!* Przysięgam, że nie wiedziałem!

Rene chciał znowu krzyknąć, ale Cyrene ścisnęła go za ramię i powiedziała łagodnie:

- Czego nie wiedziałeś? Powiedz nam.

- Miałem tylko oświetlić drogę, to wszystko! To wszystko.

- Wiemy, przecież ci zapłaciliśmy. Co ty mówisz?

- Tamten człowiek też mi zapłacił. Ten z pistoletem.

Pokazał mi was przez okno. Powiedział, że mam wam oświetlić drogę za specjalną cenę, nawet za darmo. Nie wiedziałem, co chciał zrobić. Nie wiedziałem!

- Znałeś tego człowieka? - spytała Cyrene. Ulicznicy wiedzieli o wielu niecodziennych sprawach.

- Nie, *mademoiselle*. Było ciemno, a on nosił maskę.

Stojący obok Rene sięgnął do sakiewki, mrużąc oczy od sączącej się ze skroni krwi, wysupłał monetę i rzucił chłopcu.

- Wierzymy ci. Zabieraj latarnię i wracaj do domu.

Chłopiec nie wahał się ani chwili. Chwycił monetę w locie, niemal tym samym ruchem złapał latarnię i puścił się pędem, jakby ścigał go cały zastęp demonów. Cyrene chętnie zrobiłaby to samo. Tylko duma, godność i upór nie pozwalały jej dać człowiekowi w masce satysfakcji, że zmusił ją do ucieczki. Ponadto czuła uspokajający dotyk ręki Rene, który dodawał jej odwagi.

Dopiero kiedy Martha otworzyła im drzwi i ujrzeli przerażenie na jej czekoladowej twarzy, uzmysłowili sobie, jak bardzo byli posiniaczeni, pokrwawieni i zabłoceni. Wykrzykując pytania, wciągnęła ich do środka, gdzie ostrożnie zdjęła ich płaszcze, do których przyłgnęło najwięcej brudu. Usadziła ich przy ogniu, ściągnęła przemoczone buty, a potem pobiegła do kuchni, żeby zagrzać wody na kąpiel i przyrządzić gorący grog z rumu, który kazała im wypić.

Czy była to moc rumu, czy też wpływ ciepła, w każdym razie drżenie Cyrene zaczęło ustępować. Rana na skroni Rene przestała krwawić, ale wymagała opatrzenia. Kiedy Martha przyniosła bandażę i garnek gorącej wody, Cyrene zaczęła obserwować jej próby opatrzenia pana, potem wstała i stanęła obok służącej.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedziała, odbierając wilgotną szmatkę, którą kobieta, mniej lub bardziej skutecznie, wycierała ranę. - Myślę, że napędziliśmy ci strachu. Może i ty zrobisz sobie grogu?

- *Mademoiselle* jest wyrozumiałą damą - oświadczyła służąca, opuszczając pokój z wyraźną ulgą.

- Żadna z was nie musi się ze mną cackać - powiedział Rene, próbując odebrać Cyrene szmatkę. - Sam sobie poradzę.

Cyrene nie ustąpiła.

- Zaraz znowu zaczniesz krwawić. Oprzyj się na kanapie i leż spokojnie.

Słyszając jej połajanki, Rene uśmiechnął się ironicznie. Już dawniej zauważył, że w obliczu ran kobiety zamieniały się w prawdziwe pedantki. Przez lata sam

dawał sobie radę, opatrując w spartańskich warunkach znacznie gorsze rany i zadrapania. A jednak troskliwe zabiegi Cyrene nie były mu niemiłe; równie dobrze mógł z nich czerpać przyjemność. Posłusznie skrzyżował ręce na piersi.

Cyrene spojrzała na niego podejrzliwie, ale pomijając lekki uśmieszek w kącikach ust Rene miał pogodny, cierpliwy wyraz twarzy. Drżenie palców powróciło na chwilę, poczuła się niezręcznie, potwornie niezgrabnie. Oderwała wzrok od jego oczu, koncentrując się na wykonywanej czynności, aż zręczność ruchów i opanowanie powoli powróciły.

Rana krwawiła wcześniej obficie, jak wszystkie rany głowy, ale chociaż z jednej strony była głęboka, nie wyglądała groźnie. Obmyła skórę wokół niej, zmywając też krew zakrzepłą we włosach. Nie dysponując lekarswami, których używała dawniej matka, opatrując rany Cyrene, obwiązała mu głowę bandażem sporządzonym ze starego prześcieradła i pomodliła się w duchu o powodzenie.

Irytacja, jaką czuła wcześniej w stosunku do Rene, zniknęła, wyparta zarówno przez dzielony z nim opłakany stan, jak i wspólnie doświadczone niebezpieczeństwo. Miejsce irytacji zajęła troska i stan napięcia, boleśnie uciskający pierś.

- Czy myślisz, że ta napaść miała jakiś związek z poprzednią? - spytała szorstko.

- Co masz na myśli?

- Oczywiście zamach na twoje życie tej nocy, kiedy wyciągnęłam cię z rzeki. Wygląda na to, że komuś zależy na twojej śmierci.

Rene wzruszył niedbale ramieniem.

- Najprawdopodobniej chodziło im o pieniądze.

- Poprzednim razem ich nie zabrali.

- Przeoczenie. Nie mieli zamiaru mnie zabić, a kiedy myśleli, że tak się stało, spanikowali.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie?

- Tamtej nocy było ich dwóch, widziałam, jak wrzucali cię do rzeki. Dzisiaj trzech, z których jeden zapłacił chłopcu z latarnią, żeby wprowadził cię w zasadzkę. To mi pachnie wynajętymi zbójami.

- W jakim celu? - Usiadł z uśmiechem, badając palcami bandaż. - Jestem tu praktycznie obcy.

Cyrene drażnił jego niedbały ton.

- Musi istnieć jakaś przyczyna. Może przyjechali za tobą z Francji? Czy mogło się tam zdarzyć coś, co przysporzyłoby ci wrogów, na przykład coś w związku z powodem twojego wyjazdu?

- Nic nie przychodzi mi do głowy. To przypadek, na który złożyły się chciwość i deszczowa noc. Jeśli takie wytłumaczenie cię nie zadowala, może zastanowisz się, czemu ci zbóje, jak ich nazywasz, usiłovali cię porwać.

- To dość oczywiste. Byłam świadkiem i nie wątpię, że gdyby udało im się cię zabić, mnie spotkałby podobny los.

- Obawiam się, że to zbyt dramatyczna wersja. Sądzę raczej, że jakiś człowiek cię pragnął i podjął dość drastyczne środki w celu zaspokojenia pragnień.

Cyrene zaśmiała się zaskoczona.

- Nie bądź śmieszny.

- Wątpisz w to? Pomyśl o swoim poruczniku. Pożądanie i chęć zemsty popychają ludzi do dziwnych rzeczy.

- Mówisz oczywiście na podstawie własnego doświadczenia?

- Och, naturalnie - odparł z nagłym wyrazem osamotnienia na twarzy.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, czując się coraz bardziej nieszczęśliwa. Dostała gęziej skórki. Myśl, że ktoś chciał ją skrzywdzić, planował ją uprowadzić i wykorzystać dla swych ohydnych celów, była potworna. Odwróciła się gwałtownie od Rene, wyrzucając przed siebie ręce, jakby chcąc się odgrodzić od tego, co sugerował.

- Nie, to wykluczone.

- Czyżby? - spytał cicho.

W cichym pokoju trzaskał ogień. Na zewnątrz deszcz bębnił równomiernie o dach i z głośnym pluskiem ściekał z okapów na ziemię. Cyrene pomyślała o stłumionej wściekłości malującej się na twarzy porucznika, kiedy przeszkodzono mu w napastowaniu jej na balu. Ale to nie było wszystko. Skoro jedna osoba mogła chcieć ją skrzywdzić, czemu nie inne? *Madame la marquise*, chociaż nie miała rzeczywistego powodu, przez chwilę patrzyła na Cyrene z prawdziwą nienawiścią. Poza tym Touchet. Tamtego wieczoru na plaży upokorzyła go, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Człowiek jego pokroju nie puściłby zniewagi płazem. Kto jeszcze? Armand, ponieważ nie mogła odwzajemnić jego uczucia ani odpowiedzieć na jego chełpliwą adorację? Bretonowie, ponieważ stanowiła dla nich zbyt wielkie zagrożenie?

- Nie! - krzyknęła i klasnęła w dłonie. - Nie chodziło o mnie, ale o ciebie.

Rene wstał i podszedł, kładąc jej dłonie *na* ramionach.

- Chyba tak - powiedział cicho. - Albo był to zwykły napad rabunkowy, a my dwoje przypadkowo padliśmy jego ofiarą.

Dotyk Rene koił, próba uspokojenia jej była miłym gestem. Problem polegał tylko na tym, że mu nie wierzyła.

Wkrótce przygotowano wodę na kąpiel. Ponieważ zgasł ogień rozpalony w salonie, kiedy ubierali się na bal, porcelanową wannę ustawiono w sypialni. Woda parowała, stygnąc szybko. Rene został w salonie, dopijając grog, a Cyrene pierwsza skorzystała z kąpieli. Martha uwijała się wokół niej, wykładając ręczniki, sprawdzając temperaturę, rozstawiając świece. Jej krzątania zaczęła grać Cyrene na nerwach. Pozwoliła, by służąca upięła jej włosy i rozpięła suknię z tyłu, po czym, mimo protestów, odesłała Marthę do łóżka.

Kąpała się szybko, by Rene mógł jeszcze skorzystać z ciepłej wody, choć kusiło ją, by wymoczyć się, pozwa-

łając ciało oczyścić się ze stresu. Myła twarz, krzywiąc się, kiedy przesuwała myjką po policzku, gdzie została uderzona, kiedy do sypialni wszedł Rene.

Zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Cyrene, której mokra skóra lśniła niebiesko i pomarańczowo w blasku ognia; przesunął wzrokiem po doskonałych liniach ciała, owalu twarzy...

Nagle wyraz ciepłego podziwu w jego oczach ustąpił miejsca trosce. Podeszedł szybko do wanny, klękając na kolano.

- Uderzyli cię, powinienem był wiedzieć. Co ze mnie za idiota.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć sińca, ale Cyrene cofnęła się.

- To naprawdę nic takiego.

- Nie bądź taka dzielna - powiedział krótko, chwytając ją za podbródek i przesuwał policzek do światła.

Ciemnoniebieski siniak widniał tuż pod kością policzkową, ukryty w naturalnym cieniu. Mimo że skóra nie była przecięta, gojenie musiało zająć trochę czasu. Delikatnie pomacał kość.

- Boli cię szczeka?

- Trochę.

- Ale możesz nią poruszać?

- O, tak. Nie mam kłopotów z mówieniem.

Posłał jej spojrzenie pozbawione wesołości.

- Odniosłaś jakieś inne obrażenia?

Potrząsnęła głową. Rene spojrzał na nią sceptycznie, po czym zaczął powoli przesuwać wzrokiem po nagim ciele.

- No, dobrze, stłukłam rękę o drzwiczki - przyznała rumieniąc się - ale nic poza tym.

Ujął jej przegub i obrócił. Po wewnętrznej stronie biegło długie, niebieskawe-czerwone zadrapanie. Rene siedział przez dłuższą chwilę z opuszczonymi powiekami, skrywającymi wyraz oczu, i patrzył na rękę Cyrene. W końcu schylił głowę i delikatnie przycisnął usta do rany.

- Przepraszam - powiedział głosem niewiele głośniejszym niż szept.

- Naprawdę? Za co?

Podniósł głowę, patrząc jej prosto w oczy.

- Za wszystko. Nigdy nie chciałem... nigdy nie zamierzałem dopuścić do tego, żeby stała ci się krzywda.

Odwrociła wzrok i powiedziała cicho, ale beznamytnie:

- Moje rany się zagoją. Nie stała mi się wielka krzywda.

- Na pewno nie? Chciałbym tak myśleć. Osobiście nie jestem tego pewien.

Wstał gładko i odszedł od wanny. Cyrene spojrzała w jego stronę, ale stał odwrócony plecami. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź, żadne słowa pociechy czy zachęty. Kiedy zaczął ściągać koszulę przez głowę, opłukała twarz, po raz ostatni obmyła ramiona i piersi, wreszcie ustąpiła mu miejsca w wannie.

Umył się szybko. Zanim wytarła się i włożyła koszulę nocną, a potem rozczesała włosy splecione przez to, że nosiła je rozpuszczone, Rene zakończył kąpiel. Podszedł do ognia, gdzie stała, wyjął jej z dłoni szczotkę i odłożył na gzyms kominka; zanurzył palce w miękkiej, rozgrzanej ogniem zasłonie splotów, oplatając sobie jedwabne pasma wokół nadgarstków, by przyciągnąć dziewczynę do siebie.

- Rozsądna, odważna Cyrene. Zasługujesz na kogoś lepszego. Jestem podwójnie przeklętym głupcem, ale nie mogę pozwolić ci odejść.

Ujął drogą twarz w dłonie, przyjrzał się jej badawczo, nim przesunął ustami po posiniaczonym policzku. Pocałował jej brew, powieki, podbródek i delikatne kąciki ust, aż wreszcie przylgnął do warg. Delikatnymi, nieskończenie czułymi ruchami szukał słodczy Cyrene.

Wiedziała, że powinna mu się oprzeć, ale było już stanowczo za późno. Jego zapewnienia, że nie chciał jej zranić, nie były nic warte. A jednak zdawało jej się, że mogła zostać uzdrowiona w ten sam sposób, w jaki wy-

rządził jej największą krzywdę: poprzez szaloną czułość pocałunków i ukrycie się w objęciach Rene. Próba takiej kuracji nie była może rzeczą rozsądną, ale na pewno kuszącą. Cyrene popychał do niej nie tylko dotyk Rene, ale także niejasna zmiana, jak zaszła w ich wzajemnej relacji. Był inny. Czuła to, nawet jeśli nie potrafiła określić przyczyny, nawet jeśli on sam nie dostrzegał w sobie zmiany.

Uniosła ręce, przesuwając dłońmi po silnej piersi, po szyi, zaplatając palce w bujnej gęstwinie włosów. Uległa przylgnęła do jego warg miękkimi, hojnymi ustami, rozgranymi wzbierającym w niej pożądaniem. Z cichym westchnieniem przywarła do Rene, aż dwa ciała splotły się w idealnym uścisku.

Po chwili Rene westchnął głęboko. Oczy srebrzyły mu się pragnieniem, kiedy napotkał jej wzrok i powiedział cicho:

- To niesprawiedliwe, że jesteś taka doskonała, że wszystko, co dobre i piękne, jest częścią ciebie.

- Nie jestem - zaprzeczyła, kręcąc głową z zakłopotaniem.

Na ustach Rene pojawił się przelotny uśmiech.

- Nie? Może masz rację. Musi istnieć w tobie zabłąkana czarownica, która wkradła się do mojej krwi i rzuciła zaklęcie, tak że myślę tylko o tobie, marzę o tobie, tęsknię za tobą. Czasem mam wrażenie, że tracę rozum. Nie tak to miało wyglądać.

Wpatrywała się w jego twarz, odczytując w jej silnych rysach pożądanie, a także coś na kształt szacunku pomieszanego z żalem.

- Jak to możliwe? - spytała zduszonym szeptem.

- Któż to może wiedzieć? Może to wszystko było nam jednak pisane...

Ponownie pocałował ją w usta, a potem puścił włosy i wziął Cyrene w ramiona. Poczuła zawrót głowy, kiedy skierował się do łóżka. Część jej umysłu chciała zażądać, żeby wytłumaczył swoje słowa, ale druga, równie żarliwa część, nie chciała, bała się wiedzieć. Mocno

zamknęła oczy, odgradzając się od wątpliwości i lęków, celowo zatracając się w szaleńczej rozkoszy chwili.

W tym także był inny. Zawsze dotykał jej troskliwie, ale teraz robił to z większą czułością, z cudowną, niespieszną uwagą, która tylko częściowo wynikała z jej sińców. Cyrene czuła wdzięczność za tę czarownicę, upajającą pieśczętą i robiła wszystko, by ją odwzajemnić.

Pieszczota stała się ich częścią; żywili ją, wzmacniali, nie mogli się bez niej obejść. Dążyli do ekstazy tysiącem drobnych pocałunków i pieśczęt, wyprężając się wspólnie z łomoczącymi sercami i mocno zamkniętymi oczami, napawając się, tonąc w najczystszy doznaniu.

Poczuła żar krwi w żyłach, jej rwący, gorący prąd, który rozgrzewał skórę, więc zdjęła koszulę nocną. Prześcieradła były gładkie i chłodne, pachniały krochmallem i świeżością. Deszcz bębnił o dach, kojący odgłos nieskończonej ulgi, która mieszała się z przyspieszonym oddechem Cyrene. Ogień trzaskał cicho, rzucając na ściany żółte i pomarańczowe wzory; ciemność w kątach sypialni zdawała się głębsza, a pojedyncza świeca urastała do ognistej gwiazdy.

Świadomość stopniowo zanikała. Twardość ciała Rene stanowiła źródło rozkoszy i zachwytu. Cyrene odkrywała je w wolnym od nieśmiałości zdumieniu, przesuwając palcami po gęstych włosach na piersi, delikatnie szorowała paznokciami po płaskim brzuchu, pocierała owłosione uda, okrążała, badała wrażliwymi opuszkami niewiarygodnie gładką, prężącą się męskość. Rene zachęcał ją, pobudzał wilgotnym, kuszącym dotykiem języka, docierał do najtajniejszych zakątków i wzniesień jej ciała, umiejętnie i troskliwie doprowadzając dziewczynę do gotowości.

Przesunęła paznokciami po twardych mięśniach jego szerokich pleców. Zadrzały pod jej dotykiem, a Rene wzdrygnął się, zdradzając napięcie, w jakim się znajdował. Cyrene poczuła przypływ bezgranicznej, miłosnej radości. Przyłgnęła do kochanka i krzyknęła, kiedy objął ją w talii, przesunął dłońią po biodrze, przyciągając

dziewczynę do twardego ciała. Rozchyliła uda, biorąc go w siebie, ułatwiając mu głębokie, nagłe wejście.

Cyrene wydawało się, że unosząc się nad nią, wypowiedział jej imię, które zabrzmiało jak ochrypłe błaganie. Przywarła do niego, ponaglając, by wszedł głębiej, drżała z tęsknoty za jego siłą. Dał ją Cyrene, poddając się potężnemu rytmowi niosącemu ciało spełnienie. Przyjmowała go, ogarniała, obdarzała, wznosiła się na spotkanie Rene, uwięziona w gracji i sile najbardziej elementarnej, niekontrolowanej radości życia. Ze splecionymi szczelnie ciałami gnali razem i osiągnęli konwulsyjny moment eksplodującego, obezwładniającego szczęścia.

A jednak, chociaż w chwilach najdzikszej rozkoszy pozostawali uwięzieni w sobie, byli oddzieleni, choć złączeni. Pod koniec balu zdjęli i odrzucili maski, ale głęboko w duszy nosili je nadal.

17

Kiedy Cyrene się obudziła, na dworze panował półmrok poranka, przytłumiony szarą warstwą chmur, z których wciąż spływał deszcz. Leżała przez długą chwilę, świadoma równomiernego, głębokiego oddechu Rene, czując silne ciepło jego nogi. A jednak daleka była od spokoju ducha. Wydarzenia minionej nocy pozostawiły niepokój. Nie chodziło tylko o fakt, że zostali napadnięci; gdzieś na obrzeżach jej umysłu unosiło się coś jeszcze. W nocy wykradła się ze snów Cyrene przykra, prześladowająca, bezcielesna zjawia.

Nagle pojęła.

Gaston.

Nikt inny nie miał tylu powodów, by zniszczyć Rene, by odebrać mu ją, niż Bretonowie. Pojawienie się w mieście Gastona tak dokładnie zbiegło się z napaścią, że trudno było wierzyć w przypadek.

Człowiek, który próbował ją porwać, nosił maskę. Przez większą część czasu znajdował się za jej plecami, poza polem widzenia. Czy mógł to być Gaston? Czy to możliwe? Nie chciała tak myśleć, ale nie miała pewności.

Pozostałych dwóch napastników widziała wyraźnie. Na pewno nie byli to Pierre i Jean.

Nie sądziła, by dwaj starsi Bretonowie zniżyliby się do podłej napaści, która mogłaby doprowadzić do zranienia lub nawet śmierci Rene. Jednak Gaston był młody, miał gorącą krew. Mógł przyjąć gościnność Rene, rozmawiać z nim i śmiać się z wielkodusznością czło-

wieka, który został pokonany w zawodach sportowych, ale Cyrene przypuszczała, że nadal chował urazę z powodu straty, jaką ponieśli w wyniku zdrady Rene, a ponadto gardził pozycją, jaka przypadła w udziale Cyrene. Nie mogła wykluczyć, że z chęci zemsty uciekłby się do podstępu, choćby najpodlejszego. Nadzieja wyzwolenia Cyrene stanowiłaby wystarczającą wymówkę.

Ale czy to naprawdę możliwe? Gaston musiał przecież myśleć, że Cyrene nie jest już niczym związana. Rene nie mógł po upływie tylu dni pójść do gubernatora i zmienić zeznań, bo musiałby wyjść na oszusta lub przyznać się do współudziału w przestępstwie. Mógł utrzymywać, że o pierwsze nie dbał, ale nie byłby człowiekiem, gdyby się nie zawahał. Co do drugiej możliwości, gubernator okazywał Cyrene taką przychyłność, że mógł skarcić Rene, nie doprowadzając do przesłuchania, biorąc stronę dziewczyny tylko po to, by zapewnić jej wolność. Szczególnie jeśli miałyby okazję porozmawiać z Vaudreuilem i wszystko wyjaśnić.

Prawdę mówiąc, już dawno Cyrene dostrzegła ten słaby punkt kontroli, jaką sprawował nad nią Rene. Powinna była poruszyć tę kwestię. Powinna była zażądać, by ją uwolnił, zamiast bezwolnie pozwalać na przedłużanie układu, bawić się życiem towarzyskim, przywilejami wynikającymi z łaski, jaką ją obdarzył, rozkoszować się luksusami, jednocześnie protestując przy ich przyjmowaniu, upajać się jego namiętnością, z której jednocześnie drwiła. Kiedy stała się tak opieszła? Kiedy pograżyła się w życiu, które dla niej urządził, do tego stopnia, że przestała pytać, kim był, czym był i co jej zrobił?

- O czym myślisz?

Gwałtownie odwróciła głowę i ujrzała, że Rene się obudził. Przyglądał się jej oczami pełnymi cieni, leżąc z głową wspartą na zgiętej ręce.

- O niczym - odparła pospiesznie. - Po prostu... o tym i owym.

Sądziła, że nie powie nic więcej, że zaśnie znowu, bo opuścił powieki, a jego pierś unosiła się w powolnym oddechu. Myliła się.

Nagle otworzył oczy i szybko zadał pytanie, jakby nosił się z nim już od pewnego czasu.

- Co byś powiedziała, gdybym poprosił: Jedź ze mną, wracajmy do Francji najbliższym statkiem?

Serce skoczyło jej w piersi, poczuła, jak tężeją jej mięśnie brzucha. Ujrzała Francję taką, jaką widziała po raz ostatni, chłodny, szarzielony kraj pełen harmideru, hardości i krewkości, kraj ciastek i uśmiechów. Droga Francja, jasna, wspaniała Francja.

- Nie mogę - wyszeptwała.

- Dlaczego?

Co mu miała powiedzieć? Prawie nic o tobie nie wiem, a temu, co wiem, nie ufam? Nie przynależę już do Francji; przekroczyłam jej zaściankowość? Wolę być przemytniczką, wolną od zmartwień i swobodną, niż twoją cenną, wypieszczoną kochanką? Tu mam swoją jakby rodzinę, która mnie kocha, a tam znalazłabym się wyłącznie na łasce twojej niepewnej miłości?

- Po prostu nie mogę. Czy naprawdę myślałeś, że mogłabym?

Wydał cichy odgłos, mogący być zarówno śmiechem, jak i westchnieniem.

- Nie myślałem. Po prostu się zastanawiałem.

Gwałtownie odwróciła głowę.

- To znaczy, że nie pytałeś?

- Czy to ważne? - spytał, wyciągnął rękę, delikatnie pogłaskał czubek jej piersi, a potem przyciągnął Cyrene do siebie.

- Dostałem odpowiedź i to wystarczy.

Czy popełniła błąd? To pytanie trapiło ją jeszcze długo po tym, jak Rene ubrał się i wyszedł. Czasami jej się zdawało, że to przecież głupota odrzucać podobną propozycję. Bycie wybranką bogatego, wysoko sytuowanego w Paryżu człowieka wiązało się z pewnymi korzyściami, nawet ze swoistym szacunkiem. Dom w mieście,

powóz, najnowsza moda, chodzenie do teatru i opery, kółko przyjaciół z tej samej sfery, towarzystwo Rene, kochanie się z nim, może nawet dzieci. A gdyby wolał wrócić do majątku ojca, zamieszkaliby w pięknej posiadłości na wsi, niedaleko jej rodzinnych stron, gdzie mogłaby czytać, szyć, zajmować się ogrodem. Takie związki trwają latami, nawet całe życie.

Ale są i takie, które się kończą po kilku tygodniach czy miesiącach, gdy mężczyzna się znudzi; jeśli kobiecie dopisuje szczęście, może znaleźć kolejnego protektora.

Rene nie sływał ze stałości w sprawach sercowych, raczej z czegoś dokładnie przeciwnego.

Czuła, że nie zniosłaby tego, by ją splecono, odsunięto jak drażniący wyrzut sumienia. Życie z podobną świadomością zniszczyłoby jakąś cenną część jej natury; upodobniłaby się do wielu innych kobiet żyjących w tych warunkach, zaciętych, podejrzliwych, zaborczych.

Czemu, to musiało być takie trudne? Czemu Rene nie mógł być bardziej zwyczajny, jak inni ludzie? Albo ona mniej?

Po południu przyszła wędrowna sprzedawczyni, zgarbiona staruszka okutana przed deszczem w wiekowy ałtasowy płaszcz z wytartym złotym lamowaniem, lśniący mokro w miejscach, gdzie włosie się wytarło. Drżącym, monotonnym głosem wykrzykiwała o swoich szalotkach i czosnku, ale uśmiechała się pogodnie, a pachniała świeżą ziemią i ostrymi ziołami.

Martha przywołała staruszkę, ponieważ potrzebowała kilku szalotek, którymi chciała przyprawić kurczaka. Zostawiła sprzedawczynię na galerii, a sama weszła do salonu, żeby porozmawiać z Cyrene. Powiedziała, że *monsieur* zazwyczaj zostawiał jej dość pieniędzy na takie przypadkowe zakupy, ale ostatnio tego nie zrobił. Czy panienka miała może przy sobie liwra czy dwa?

Rene dał Cyrene sakiewkę z pieniędzmi, by mogła kupować potrzebne rzeczy. Jak dotąd nic nie kupiła, a sama sakiewka napełniała ją zażenowaniem jako wi-

doma oznaka utrzymanki. Próbowwała odmówić, ale ponieważ nie chciał o tym słyszeć, schowała ją w szafie. Teraz początkowo nie mogła jej znaleźć; była zepchnięta w głąb szafy, w odległy kąt dolnej półki. Wyciągając sakiewkę, musiała odsunąć żakiety Rene, z których jeden zaszeleścił cicho. Nie zwróciła na to większej uwagi, ale chwyciła sakiewkę i wróciła do Marthy i starej sprzedawczynie czekającej na galerii.

Dopiero później zaczęła rozmyślać o tym dziwnym szeleście. Rene był człowiekiem drobiazgowym, bardziej niż większość ludzi, a w każdym razie takie odniosła wrażenie na podstawie swego skąpego doświadczenia z ojcem i Bretonami. Rzadko rozrzucał swoje rzeczy, a jeśli nie wymagały posług Marthy, zawsze je chował. Martha prała i prasowała jego lniane ubrania, a ponieważ nie miał lokaja, czyściła i polerowała mu buty, szczotkowała płaszcz i dbała, żeby się nie gniotły. Cyrene nigdy nie czuła potrzeby szperania w jego szafie. Zapytana, odpowiedziałaby, że jej półki nie kryły tajemnic, jako że koszule, żakiety, spodnie, fulary i kapelusze spoczywały w zgrabnych kupkach, widocznych z daleka, kiedy otwierano drzwi wielkiej szafy. Zresztą półki nie były przesadnie zapełnione. Niezależnie od przechwałek o garderobie, jaką posiadał we Francji, Rene przywiózł ze sobą tylko skromny zestaw ubrań dżentelmena: sześć żakietów, tyle albo nieco mniej par spodni i nie więcej niż po trzy tuziny krawatek i koszul.

Cyrene podeszła do szafy pełna obaw. W dzieciństwie uczono ją, że szperanie w cudzych rzeczach to oznaka złego wychowania, pasującego raczej do służby. Ignorowanie tej nauki przychodziło teraz Cyrene z niewiarygodnym trudem. Wszystko zależy od okoliczności, powtarzała sobie. Mimo to czuła się winna i niespokojnie zerkała przez ramię w obawie przed Martha, kiedy sięgnęła do szafy, podnosząc koszule Rene i odpychając na bok krawatki. Kiedy znowu usłyszała szelest papieru, wyszarpnęła podejrzaną żakiet z półki. Przeszukała ko-

lejno kieszenie. Nic. Musiała którąś przeoczyć, pomyślała i przeszukała znowu. Były puste.

Potrząsnęła żakietem, atłasowym *justaucorps* w kolorze pawiego błękitu. Szelest rozległ się znowu. Namacała część żakietu, skąd dochodził.

Papier zaszyto w podszewkę. Cyrene zawahała się na okres kilku uderzeń serca. Podróżnicy często zaszywali w ubranie cenne przedmioty, zwłaszcza kiedy mieli podróżować niebezpiecznymi szlakami. Czasem był to po prostu rozsądny środek zapobiegawczy. Matka Cyrene opowiadała, jak przed podróżą z Nowej Francji do Francji zaszyła swoją skromną kolekcję biżuterii w podszewkę starego futra, a potem ujrzała z przerażeniem, że służąca wymościła futrem posłanie swego pieśka.

Mimo to Rene nie sprawiał na Cyrene wrażenia człowieka, który uciekałby się do podobnych podstępów, by chronić swoją własność. Musiało istnieć inne wytłumaczenie.

W tym kawalerskim gospodarstwie nie było czegoś takiego jak koszyk z przyborami do szycia. Cyrene rozglądała się za narzędziem, którym mogłaby rozciąć szwy, aż w końcu znalazła nóż do papieru, służący do rozcinania stronic książek. Usiadła przy ogniu i zaczęła odpruwać podszewkę. Szybko zrobiła otwór, w którym mieściły się trzy palce. Wsunęła je ostrożnie, dotykając małego zwitka papierów. Chwyciła go i wyciągnęła.

Pieniądze. Cienki plik banknotów. Szorstkie i nowe, o niewielkich nominałach, ale razem składały się na pokaźną sumkę. Obracała je na wszystkie strony, oglądając zdobienia.

Różne rodzaje papierowych pieniędzy, z których większość posiadała znacznie mniejszą wartość niż złoto, były często spotykanym w kolonii środkiem płatniczym. Złoto i srebro spotykało się w istocie bardzo rzadko, a kiedy się pojawiały, najczęściej lądowały w czyjejs pończosze czy materacu. Pieniądze papierowe były zazwyczaj pomięte, brudne i rozsiewały woń potu. Nowe

banknoty były podejrzane. Zbyt często okazywały się fałszywe.

Podobnie rzecz się miała z pieniędzmi, które Cyrene trzymała w rękach. Nie widziała w życiu wielu pieniędzy; w ostatnich latach stosowała raczej handel wymienny, a dawniej gotówką zajmowali się rodzice lub dziadkowie. A jednak tych kilka bezwartościowych banknotów, które dane jej było widzieć, pozostawiło trwałe wspomnienie; pieniądze były czymś zbyt rzadkim i cennym, by człowiek mógł dać się nabrać więcej niż raz. Te banknoty ozdobiono w sposób zbyt wyszukany, a jednak nie całkiem wyraźny; papier był za cienki. Trzymała w rękach fałszywe pieniądze, mogła ręczyć za to głową.

Po Rene spodziewała się czegoś lepszego. Pomimo sposobu, w jaki ją wykorzystał i rzeczy, które zrobił, wciąż pielęgnowała w sobie poczucie, że jest w nim coś silnego i dobrego. Odkrycie, że było inaczej, stanowiło taki zawód, że Cyrene poczuła się fizycznie chora. Podniosła rękę, w której trzymała banknoty, mierząc w stronę ognia.

Powoli opuściła ją znowu na kolana. Zniszczenie pieniędzy nie dałoby jej żadnej satysfakcji, a ponadto byłyby to głupi gest. Oto trzymała w dłoni nie tylko fałszywe pieniądze, ale także paszport na wolność. Jeśli istniały jakiegokolwiek wątpliwości, czy mogłaby bezkarnie opuścić Rene, teraz się rozwiały.

Spojrzała na banknoty, usiłując myśleć. Musiała posłać Gastonowi wiadomość, że opuszcza miasto, że powinien umożliwić jej podróż w głąb głuszy, by mogła dołączyć do Pierre'a i Jeana. Powinna wstać i zacząć zbierać rzeczy, zdecydować, które z drogich ubrań powinna zabrać. Wypadałoby pożegnać się z Martha; polubiła tę kobietę, która tak ciężko pracowała i tak chętnie służyła. Powinna też napisać wiadomość dla Rene.

Miała mnóstwo do zrobienia, a jednak nie ruszała się z miejsca.

Siedziała, obracając w dłoniach papiery, walcząc z potworną chęcią płaczu. Była idiotką. Gdzieś w głębi

duszy tkwiło nieuświadomione marzenie, że Rene zrozumie, jak bardzo ją skrzywdził, odkryje, że jego życie będzie jałowe bez Cyrene jako żony, matki jego dzieci. Głupia, głupia, głupia.

Ktoś zapukał szybko i mocno do drzwi frontowych. Podskoczyła w panicznym strachu. Wepchnęła pieniądze pod podszewkę zakietu i zaczęła go składać. Pukanie rozległo się znowu. Martha pracowała w kuchni, więc nie mogła słyszeć. Cyrene podbiegła do szafy, wsunęła złożony zakiet na półkę i zamknęła drzwi. Przesuwając dłońią po włosach, by wepchnąć niesforne kosmyki do siateczki pod koronkowym czepkiem, zebrała spódnice i szybkim krokiem przeszła do salonu.

To tylko Armand składał tradycyjną popołudniową wizytę. Zbeształa się w myślach za poddanie się panice. Kogo się spodziewała? Władz, które przysły ją aresztować za szperanie w rzeczach kochanka? Mało prawdopodobne. Rene? On by nie pukał, o czym dobrze by wiedziała, gdyby była przy zdrowych zmysłach. Jakże to wszystko komiczne.

Zostawiła Armanda w salonie, a sama poszła do spiżarni, wołając do Marthy, by przyniosła jej czekoladę i wino dla Armanda. Potem wróciła do gościa, by pełnić obowiązki gospodyni.

Czuła się dziwnie, prowadząc tak grzeczną rozmowę, podczas gdy jej myśli znajdowały się zupełnie gdzie indziej. Żałowała, że w ogóle zachęcała Armanda do tych wizyt, żałowała, że nie potrafił wyczuć, że wołała zostać sama. Ale on mówił i mówił o balu, wpatrując się w Cyrene pytającym wzrokiem.

Wreszcie zamilkł. Sącył wino, przyglądając się bacznie pani domu. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, więc szukała ucieczki w filiżance z czekoladą.

- Wybacz, jeśli jestem wścibski, *chere* - powiedział w końcu - ale sprawiasz wrażenie zmartwionej. Co się stało?

Wcześniej żałowała, że nie wykazuje większej wrażli-

wości. Teraz, kiedy to zrobił, załowała, że nie jest nieco mniej spostrzegawczy.

- Nic takiego - odparła.

- Odczułbym znaczną ulgę, gdybym w to uwierzył, ale nie mogę nie wierzyć własnym oczom. Jesteś niezwykle błada, jeśli wolno mi tak powiedzieć, a na policzku masz siniak, który... napawa mnie zgrozą. Nie mam prawa pytać, a jednak muszę. Co się stało? Czy uderzono cię wczoraj wieczorem podczas awantury z porucznikiem? A może Lemonnier zareagował gwałtownie na względy, jakimi darzył cię gubernator?

- Och! - wykrzyknęła z ulgą. - Ty nie wiesz.

Na jej zdumiony okrzyk twarz Armanda rozjaśniła się.

- Nie, ale staram się dowiedzieć.

- Ależ naturalnie - powiedziała, po czym opowiedziała mu o nocnej napaści.

Armand zacisnął dłonie na kieliszku wina i wpatrywał się weń, potrząsając głową.

- Bezużyteczny, byłem dla ciebie taki bezużyteczny. Najpierw znajdowałem się za daleko, by przyjść ci z pomocą, kiedy ta oficerska świnka ci ubliżała; mogłem tylko patrzeć z daleka, próbując się do ciebie precyzować. A teraz to. Chcę być twoim protektorem, ale zawodzę w potrzebie.

Żal Armanda wydawał się szczery, nie był to kłamliwy lament osoby znanej w towarzystwie. Może inni ludzie też hołubili jakieś marzenia. Dotknęła dłoni przyjaciela.

- Nie martw się. Twoje współczucie wiele dla mnie znaczy, więcej niż ochrona.

- Naprawdę? Jesteś taka dobra - powiedział, chwytając palce Cyrene i podnosząc je do ust. - Taka dobra.

Uścisk Armanda był dość mocny, a w oczach malowała się żarliwość świadcząca o tym, że może powiedzieć coś więcej, jeśli się temu nie zapobiegnie.

- Tak bardzo potrzebuję twoich historyjek, żeby odebrać się od innych spraw - powiedziała pospiesznie. -

Może znasz jakieś nowe plotki, opowieści o tajnych eskapadach, którymi mnie rozerwiesz?

Armand zaakceptował jej wybieg z wdziękiem, sięgnął po kieliszek wina i poczęstował Cyrene opowieścią o tym, jak na balu widziano pewnego dżentelmena, znanego z rozsypywania tabaki na krawatkę, jak wychodził z pustej sali karcianej z damą, która otrzępywała tabakę z biustu. Następnie Armand przeszedł do błazeńskiej historii o dwóch starych hulakach, którzy postanowili zatroszczyć się o interesy pewnej pulchnej młodej wdówki, która odziedziczyła nie tylko plantację nad Bayou St. John, ale także fabrykę indygo, cegielnię oraz zakład do produkcji świec z owoców miejscowych krzewów woskownicy.

- Poza tym - ciągnął Armand - Rouvilliere wciąż agituje przeciwko *madame* Vaudreuil. Twierdzi, że markiza własnoręcznie i we własnym domu sprzedaje żołnierzom narkotyki, kiedy służącego nie ma pod ręką.

- Jaki ów Rouvilliere ma w tym cel? Czy ma nadzieję, że Vaudreuil zostanie odwołany?

Armand wzruszył ramieniem.

- Może to być zwykła chęć zemsty za wszystkie przegrane potyczki, zwłaszcza za bezskuteczne oskarżenie Vaudreuil'a o nadużycie władzy. Może to być też nadgorliwość. Z drugiej strony, Rouvilliere może mieć własnego kandydata na stanowisko gubernatora. Jeśli jednak taki jest jego cel, równie dobrze może zaoszczędzić sobie kłopotów. Vaudreuil wybiera się do Nowej Francji i czeka tylko na mianowanie następcy.

- Czy to zostało już ogłoszone?

- Jeszcze nie. Moja ciotka z Paryża...

- O tym pisała, tak? - dokończyła Cyrene z uśmiechem. - Gubernator się ucieszy.

- Nie inaczej. To będzie dla niego jak powrót do domu, chociaż spodziewam się, że co noc modli się o to, by przysłali zmiennika, zanim Indianie przypuszczą zmasowany atak albo nim przemyt przybierze rozmiary nie do opanowania.

Cyrene zignorowała drugą część zdania, koncentrując się na słowie, które wprawiło ją w natychmiastowe przerażenie.

- Indianie?

- Zapomniałem, że mogłaś o tym nie słyszeć. Dziś rano dotarli do miasta wieści o kolejnej napaści na grupę handlarzy. Jeden człowiek zginął, drugi został ranny.

- Ich nazwiska? - Cyrene poczuła, jak kurczy jej się żołądek; pomyślała, że Pierre i Jean podróżują gdzieś w głąszy w poszukiwaniu Anglików, odwiedzając indiańskie wioski.

- Przykro mi, ale nikt ich nie zna. - Armand dostatecznie dobrze znał dzieje Cyrene, by wiedzieć, jakie wrażenie mogła na niej wywrzeć ta wiadomość. - Atak miał miejsce zaledwie trzydzieści czy czterdzieści mil w górę rzeki. Vaudreuil jest wściekły z powodu takiej zuchwałości. Szykuje się do wezwania sprzymierzonych z nami Choctawów na rozmowy w Mobile. W obecnej sytuacji to niezwykle ryzykowne zagranie.

- Ryzykowne dla gubernatora?

- Och, nie ma obawy, dostanie odpowiednią ochronę. Ale by Choctawowie potraktowali go poważnie, musi posłużyć się czymś więcej niż tylko urokiem osobistym i talentami dyplomatycznymi. Indianie będą oczekiwali drogich podarunków.

- Podarunków, których on nie ma - dodała Cyrene. Widziała główny magazyn. Nawet przed pożarem nie znajdowało się tam nic, co mogłoby wywrzeć wrażenie na najbiedniejszych Indianach.

- W listopadzie gubernator rozdawał podarunki w Mobile hojną ręką, ale teraz, zwracając się o pomoc do wojowników, będzie musiał dać więcej.

- Jeśli zwróci się do Maurepasa, przekona go o powadze sytuacji, przyślą mu chyba towary?

- Możliwe. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie okażą się bublami. Jeśli Francja nie wykaże rozsądku, straci Luizjanę z powodu braku kilku paciorków i koców.

- Na to wygląda - powiedziała Cyrene, dotykając dłonią głowy w miejscu, gdzie narastał lekki ból, efekt wydarzeń minionego poranka.

- Jestem imbecylem, skoro zadreżcam cię tym wszystkim, gdy ty nie czujesz się dobrze - zauważył Armand ze smutkiem w oczach. - Boli cię twarz? Może przyłożyć ci chłodny kompres?

- Nie, nie - zapewniła go, opuszczając rękę i zmuszając się do uśmiechu. - To miło, że się troszczysz, ale nic mi nie jest.

- Jesteś pewna? Twój widok w takim stanie rani moje serce. To nie moja sprawa, ale... czy doniesiono o napaści gubernatorowi?

- Spodziewam się, że Rene mu powie.

- To dobrze. Zostanie przeprowadzone dochodzenie.

- Możliwe, że coś się uda wyciągnąć od rannych ludzi, chociaż pewnie dowiemy się, że to szumowiny, które zdążyły już uciec.

- Może jednak nie, a zresztą i w takiej sytuacji coś będzie można zrobić. Sądzę, że muszę przeprowadzić małe dochodzenie na własną rękę.

- Nie rób tego, jeśli może się okazać niebezpieczne, w co nie wątpię.

- Nie martw się. Muszę to zrobić, chcę to zrobić dla ciebie.

Nie miała środków, by odwieść Armanda od tego zamysłu. Zresztą naprawdę mógł coś odkryć; był tak doskonałym źródłem informacji! Uspokoiła się trochę.

Rozmawiali o innych sprawach, Armand od czasu do czasu przerywał rozmowę okrzykiem współczucia lub obwiniania samego siebie, rzucając spojrzenie na twarz Cyrene. W końcu, kiedy zaczęła sądzić, że zostanie aż do obiadu, pożegnał się, wciąż lamentując, że na nic jej się nie przydał.

Martha niemal natychmiast wyszła z kuchni, gdzie pewnie podsłuchiwała, po czym zaczęła sprzątać kieliszki po winie, filiżanki po czekoladzie oraz resztki ciasteczek i sera. Podniosła ze stołu czajniczek z czekola-

da, kiedy rozległo się pukanie, obwieszczające kolejnego gościa. Martha posłała Cyrene wymowne spojrzenie, postawiła czajniczek, wytarła ręce w fartuch i poszła otworzyć drzwi.

Do salonu wszedł Touchet. Znowu zaczęło padać, toteż agent wniósł ze sobą do salonu chłodną, wilgotną świeżość, a jego peleryna lśniła od deszczu. Zdjął trójgraniasty kapelusz, wręczył go Marcie wraz z laską, po czym podszedł do kanapy, na której siedziała Cyrene. Skłonił się nad jej dłonią w oficjalnym powitaniu, choć nie dotknął jej ustami, za co była mu wdzięczna. Zatrzymał spojrzenie na posiniaczonym policzku, ale albo nie zobaczył nic, co by go zainteresowało, albo uznał, że grzeczniej będzie nie komentować.

Kiedy zbliżał się do niej żwawym, pewnym siebie krokiem, Cyrene przyszło na myśl, że celowo czekał, aż Armand wyjdzie. Poczowała się nieswojo na myśl, że kręcił się gdzieś przed domem, patrząc, kto wchodzi i kto wychodzi, choć bynajmniej jej to nie dziwiło.

W ciągu pierwszych chwil nieoczekiwanej wizyty zdobywała się na chłodną uprzejmość, prosząc Toucheta, by usiadł, ponownie kazać Marcie przynieść wino, komentując deszczową pogodę i wspaniałą zabawę minionego wieczoru. W tym samym czasie starała się dociec powodu, dla którego fagas pani Vaudreuil złożył jej wizytę. Odczuła wielką ulgę, kiedy Touchet, upewniwszy się, że Martha wyszła, przeszedł do rzeczy.

- Bez względu na to, jak bardzo podziwiam pani wdzięki, *mademoiselle*, nie przychodzę tu powodowany galanterią. Przysyła mnie do pani pewna dama.

- *Madame Vaudreuil*?

- Nie inaczej, markiza de Vaudreuil.

Podkreślenie tytułu zabrzmiało znacząco; wysłannik zamierzał bez wątpienia uświadomić Cyrene zakres władzy i ważność kobiety, w której imieniu występował. W efekcie podrażnił tylko ambicję dziewczyny. Kiedy zamilkł, najwyraźniej nie potrafiąc znaleźć właściwego dalszego ciągu, poczuła zwykłą, wynikającą z zasad do-

brego wychowania potrzebę, by przyjść mu z pomocą. Zignorowała ją. Niech się jąka.

Touchet ściągnął usta, a oczy zalśniły mu twardym blaskiem.

- Markiza troszczy się... troszczy się o panią. Czuje, że Lemonnier mógł panią wykorzystać. Obawia się, że może pani nie uświadamiać sobie ryzyka, na jakie naraża się pani, pozostając jego kochanką.

- Jestem wzruszona troską markizy o moje dobro - powiedziała Cyrene z lekką ironią.

- Tak. Moja pani nie ma zbyt wiele czasu na podobne sprawy, ale jako wielka dama bierze sobie do serca dobro ludzi znajdujących się pod jurysdykcją męża.

- Jestem pewna. - Czy w słowach Toucheta kryła się groźba, aluzja do faktu, że Cyrene znajdowała się we władzy markiza, a co za tym szło, także jego żony? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale gładki ton agenta mógł skrywać wszystko.

- Z drugiej strony, *madame la marquise* uważa panią za kobietę wyrastającą ponad przeciętność, kobietę inteligentną, która dba o coś więcej niż eleganckie stroje i chwilowe przyjemności. Z tego powodu gotowa jest zainwestować w pani przyszłość.

- Moją przyszłość? Chyba nie rozumiem.

Touchet uśmiechnął się nieszczerze.

- Proszę pozwolić, że wytłumaczę. Markiza zapłaci pani godziwą sumę, która wystarczy pani na życie na czas nauki u modystki czy krawcowej, może pani nawet otworzyć małą cukierenkę czy coś w tym guście, jeśli tylko zgodzi się pani wyjechać z Luizjany do Paryża. Owa kwota zostanie pani wypłacona w dniu wyjazdu, kiedy wejdzie pani na pokład. „Le Parham” wypływa w tym tygodniu.

- To... to niewiarygodne!

- Ja również tak uważam, niemniej jednak taka jest oferta markizy.

Była to, oczywiście, łapówka; całe gadanie o trosce stanowiło czystą retorykę. Wyglądało na to, że pani Vaudreuil obawiała się zainteresowania, jakim jej mąż

darzył Cyrene. Możliwe też, że liczyła na to, że Bretonowie ruszą do Paryża w ślad za Cyrene, rozwiązując tym samym kolejny problem gubernatorowej. Wysoce nierozsądne rozumowanie. Markiza poważnie przeceniała własne wpływy.

- Nie może pan mówić poważnie - powiedziała.

- Zapewniam panią, że *madame la marquise* jest całkowiec poważna.

- Ja nie podlegam jej władzy. Musi jej pan ode mnie powiedzieć, że czuję się zaszczycona troską, jaką mi poświęciła, ale muszę odmówić. Luizjana jest moim domem. Nie chcę go opuszczać.

- Nie będzie zadowolona - stwierdził Touchet, marszcząc brwi.

- Bardzo żałuję, ale moja odpowiedź pozostaje nie zmieniona.

- Czy to uczucie trzyma panią w kolonii? Perspektywa życia u boku Lemonniera? Czy może nawet młodego Moulina?

Cyrene posłała agentowi zimne spojrzenie.

- Nie jest to sprawa ani pańska, ani *madame Vaudreuil*.

- Popełnia pani błąd.

- Być może.

Nachylił się ku niej i powiedział cicho:

- Jeśli postanowi tu pani zostać, pani życie może się okazać bardzo nieprzyjemne.

Cyrene szybko wstała z krzesła.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że raczył mnie pan ostrzec. A teraz, jeśli wybaczy pan, że odsyłam pana bez poczęstunku, muszę poprosić pana o wyjście. Trochę boli mnie głowa.

- Jeszcze nie - odparł wstając powoli. - Nie doszliśmy jeszcze do porozumienia.

- Obawiam się, że już bliżej nie dojdziemy. - Zmusiła się do tego, by nie odwrócić oczu od jego żółtobrazowego spojrzenia; stała przed natrętem z uniesionym podbródkiem i zaciśniętymi dłońmi.

- Myślę, że pani się myli - powiedział z cichą groźbą.
- Jestem przekonany, że potrafię skłonić panią do zmiany zdania.

Na tyłach domu rozległy się donośne odgłosy. Cyrene sądziła przez chwilę, że to Martha uprzedzała o swoim nadejściu, by nie przeszkodzić w czymś ważnym. Potem jednak rozległ się głos Gastona i Cyrene odwróciła się z ulgą w tamtą stronę.

Przyszli Gaston z Armandem. Jeden niósł tacę z butelką sherry i dzwoniącymi kieliszkami, a drugi kryształową kompotierę pełną ciasteczek, cukierków i talerzyków. Popychali się i szturchali, śmiejąc się, protestując, wykrzykując groźne ostrzeżenia. Dotarli bezpiecznie do stołu obok Cyrene, złożyli ciężary, po czym z wielką zręcznością zaczęli serwować poczęstunek.

Gaston napełnił kieliszek, po czym odwrócił się do Toucheta.

- Wina, *monsieur*?

Nadejście obu mężczyzn nie było dziełem przypadku. Po wściekłej minie Toucheta można było poznać, że zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak Cyrene. Skłonił się w stronę Gastona, choć ani na chwilę nie spuścił oczu z twarzy dziewczyny.

- Nie, dziękuję, nie mogę zostać. Przekażę pani odpowiedź, *mademoiselle*, zainteresowanej osobie. Może przedyskutujemy to przy najbliższej okazji.

- Ze swej strony mogę pana zapewnić, że to całkowicie zbyteczne.

- Zobaczymy - odparł odwracając się na pięcie.

Armand podniósł szybko ze stołu trójgraniasty kapełusz i laskę Toucheta, po czym otworzył drzwi. Agent wyrwał swoje rzeczy z rąk młodzieńca i wyszedł. Przez chwilę słyszeli na schodach jego kroki, które jednak szybko zagłuszyła ulewa.

Cyrene odetchnęła z ulgą, po czym odwróciła się do dwóch przyjaciół.

- Może powiecie mi, co tutaj robicie? - powiedziała nieco szorstkawo.

Gaston i Armand podsłuchali dość, by domyślić się sensu rozmowy, ale zażądali szczegółów. Cyrene zrelacjonowała je najprościej, jak mogła, wyrażając przy tym wielką ulgę, z jaką powitała ich nadejście. Armand wychodząc niedawno, zauważył Toucheta w progu. Początkowo sądził, że tylko schronił się tam przed deszczem, ale kiedy się obejrzał, zobaczył, że agent wbiega do domu. Nie wiedział, co powinien zrobić, kiedy nadszedł z wizytą Gaston. Armand przechwycił go i opowiedział o gościu Cyrene. Postanowili, że zanim wejdą, pozwolą Touchetowi mówić. Martha widziała, jak kręcili się przed domem w deszczu, a jej podejrzliwość została uśmierzona dopiero wtedy, gdy ich poznała. Praktycznie wciągnęła ich do kuchni. Tam podsłuchiwali bez trudu, przygotowując pretekst do wkroczenia, gdyby okazało się to konieczne.

Zarówno Armand jak i Gaston byli wzburzeni tym, co nazwali obraźliwą propozycją, choć nie mogli postanowić, co należało zrobić. Armand uważał, że powinno się wyzwąć Toucheta na pojedynek, podczas gdy Gaston sądził, że kwestia powinna zostać rozwiązana między Rene a gubernatorem. Spierając się, przyjaciele pochłonęli talerz ciasteczek i wypili prawie całe wino, ale nie wymyślili wiele więcej. Kiedy w końcu pożegnali się pośród zapewnień o pomocy, głowa Cyrene pękała z bólu.

Odprowadziła Armanda i Gastona do drzwi. Widziała z galerijki, jak deszcz padał ukośnie, marszcząc powierzchnię szarych jeziorzek na ulicy, lejąc się z okapów równomiernymi, srebrnymi strumieniami. Cyrene cofnęła się do kanapy po szal, otuliła się nim i wróciła na galerijkę.

W miarowej ulewie było coś kojącego. Przechadzając się po galerii poczuła, że ból głowy ustępuje i napięcie uchodzi z karku. Wilgotna mgiełka, którą wiatr nawiewał czasem spod okapów, chłodziła jej twarz. Przed nią rozciągała się pusta ulica. Po obu stronach kuliły się domy z zamkniętymi szczelnie drzwiami i okiennicami, z obłoczkami dymu unoszącymi się z kominów. Cyrene

czuła zmieszane z zapachem dymu aromaty pieczonego chleba, gotowanej cebuli i owoców morza. Oparła się o ścianę domu, oddychając głęboko, wpatrując się w nieskończony deszcz.

Dziwne, że zarówno Rene jak i pani Vaudreuil zaproponowali jej dzisiaj wyjazd do Paryża. Oferty, jakie złożyli, różniły się naturalnie między sobą, ale mimo to zastanawiała się, czy był to zwykły przypadek. Nie mogła sobie wyobrazić Rene, jak rozmawiał z markizą o swoim romansie z Cyrene, jak opowiadał jej, kiedy i jak złożył tę propozycję. Mimo to czuła, że mogła się po nim spodziewać wszystkiego.

Nie wyjedzie. Dopiero kiedy dwoje ludzi próbowało namówić ją do opuszczenia tego kraju, zrozumiała, jak bardzo się do niego przywiązała. Uwielbiała jego soczystą żyzność, rozmach rzek, dzicz, gwałtowne zmiany pogody, nawet deszcz. Dawniej uważała, że żyjąc z Bretonami musi się godzić na ograniczenia, ale to było nie w porównaniu z ograniczeniami, jakie wiązałyby się z życiem we Francji. Tam obserwowano by bacznie każdy jej ruch, każde słowo; tam kobiety miały wyznaczone miejsce: w kuchni i w sypialni, a może czasem, raz w tygodniu, w salonie.

Nie do zniesienia. Nawet gdyby nie było Bretonów. Jak bardzo jej ich brakowało, delikatnego Pierre'a, nieugiętego Jeana. Modliła się o ich bezpieczeństwo i zdrowie, o to, by powodziło im się w handlu tak, jak tego pragnęli. Miała nadzieję, że nie martwili się o nią na tyle, by zapominać o samych sobie.

Co pomyśleliby o Rene, gdyby dowiedzieli się o fałszywych pieniądzach? W swojej ocenie Lemonniera przeszli od podejrzliwości do ograniczonej aprobaty. Może ich pierwsze wrażenie było właściwe? Powinna była zwracać więcej uwagi na ich słowa. Ale nie, dała się oczarować człowiekowi, którego ocaliła.

Nadal nie wierzyła w swoje odkrycie, nie chciała wierzyć. Mimo wszystko uważała, że Rene miał jakiś powód, zdradzając Bretonów, może powodowała nim

lojalność wobec króla i kraju albo szacunek dla praw regulujących handel, który okazał się silniejszy niż jego przywiązanie do Cyrene i Bretonów. Nie mogła pogodzić się z myślą, że Rene nie miał po prostu żadnego powodu.

Nawet teraz zastanawiała się, czy nie mogła się pomylić co do banknotów; a może były prawdziwe? Albo, jeśli były fałszywe, istniał pewien powód, dla którego je trzymał? Na przykład przechowywał je dla kogoś albo nie zdawał sobie sprawy, że były podrobione?

Nie była na tyle głupia, by uwierzyć w którąkolwiek z tych możliwości, bez względu na to, jaką ulgę mogłoby jej przynieść takie wyjście.

W co mogła zatem wierzyć?

W porównaniu z większością fałszywych banknotów, te zostały dobrze wykonane, niewiele różniły się od prawdziwych. Było więc wysoce prawdopodobne, że przybyły z Francji, ponieważ w kolonii istniało niewiele miejsc, gdzie mogłyby powstać. Jedyna drukarnia w mieście zajmowała się wyłącznie oficjalnymi obwieszczeniami. Wszystkie gazety importowano z Francji, ponieważ uważano, że w kolonii nie dzieje się wystarczająco dużo interesujących spraw, by wydawać lokalną gazetę.

Istniał tylko jeden sensowny powód, by sprowadzać takie banknoty z Francji: po to, by posłużyć się nimi jak prawdziwymi, wymieniając je za towary i usługi. Nie wiadomo, ile pieniędzy zdążył już wydać Rene, jaką szkodę wyrządził gospodarce kolonii. Możliwe, że zamierzał posłużyć się tymi pieniędzmi w handlu, płacąc nimi temu Anglikowi z Rhode Island, kapitanowi Dodsworthowi, zanim spotkał na plaży Toucheta, w dniu, kiedy ujrzała ich pogrążonych w rozmowie. Niewątpliwie wtedy otrzymał inną propozycję.

Najwięcej trudności przysparzało pytanie, jaki związek miał Rene z plagą fałszywych pieniędzy nękającą miasto od roku. Wydawało się, że nie mógł mieć z tym żadnego związku, ale czy nie był to zbyt wielki zbieg

okoliczności, że maczał palce w tym samym brudnym procederze? Czy nie było możliwe, że właśnie udział Rene w tej sprawie stał się powodem zamachu na jego życie tamtej nocy, kiedy go uratowała, a nawet zeszłego wieczoru?

Te pytania wymagały odpowiedzi. Czuła się zbyt osobiście zaangażowana, by móc je ignorować. Ale jak mogła się tego dowiedzieć?

Mogła zapytać Rene.

Na tę myśl przebiegł ją dreszcz. W tym celu musiała by się przyznać, że szperała w jego rzeczach. Wolała nie myśleć, co by wtedy powiedział lub zrobił.

Istniał tylko jeden sposób: zbadać zawartość lakierowanego pudełka z korespondencją, nad którą pracował tak zawzięcie, a która mogła mieć związek z działalnością Rene w kolonii. Była gotowa założyć się o wszystko, co posiadała lub miała nadzieję posiadać, że właśnie tam znajdowała się odpowiedź. Problem polegał na tym, że pudełko było zamknięte, a Rene stale nosił klucz przy sobie.

Musiała zdobyć ten klucz.

Naturalnie, nie mogła opuścić ani domu, ani Rene, dopóki nie zdobędzie klucza i nie znajdzie odpowiedzi na nękające ją pytania.

Rene wrócił o zmierzchu. Do tego czasu Cyrene zdążyła nie tylko pójść do łodzi po igłę i nitkę, by zaszyć rozpruty szew żakietu, ale także rozważyć cały problem. Klucz, którego potrzebowała, znajdował się w kieszeni Rene. Ponieważ nie posiadała umiejętności kieszonkowca, musiała nakłonić Rene do zdjęcia ubrania. Wiedziała, że istniały trzy okazje, gdy mógł to zrobić. Po pierwsze, w nocy, po drugie, podczas kąpieli, po trzecie, kiedy się kochali. Zarówno biorąc kąpiel, jak i szykując się do snu, zawsze chował ubranie, nie dając Cyrene okazji, by go dotykać, a tym bardziej, by w nim szperać. Pozostawała więc tylko jedna możliwość.

Nawet gdyby udało jej się skłonić Rene do zdjęcia żakietu i spodni, nie było wcale oczywiste, że miałyby okazję do przeszukania ich; najczęściej w takich wypadkach sama była dość rozproszona. Coś wymyśli. Musi coś wymyślić.

Kolacja upłynęła spokojnie. Rene był pogrążony w rozmyślaniach, choć co pewien czas zerkał na siniak na policzku Cyrene, aż zaczęła się czuć jak naznaczona. Najbliższa przyszłość napełniała ją takim niepokojem, że ściśnięty żołądek uniemożliwiał jej jedzenie; zanurzała łyżkę w zupie, kosztując ją od czasu do czasu albo przesuwając jedzenie z jednej strony talerza na drugą.

Klaret wraz z tacą ze słodyczami i orzechami zabrali do salonu, gdzie usiedli przy ogniu. Cyrene przypomniała sobie o fiasku minionego popołudnia; całe zdarzenie

o mały włos nie zostało wyparte z jej pamięci przez odkrycie w szafie. Opowiedziała Rene o odwiedzinach Toucheta i jego propozycji. Zrobiła to między innymi po to, by wypełnić ciszę,- chociaż była też ciekawa, co powie.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - spytał, popijając wino.

Mimo dystansu, z jakim odnosiła się do Rene, poczuła irytację.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. To taki zaszczyt, kiedy przypinają ci cenę! Jestem wprost wniebowzięta faktem, że markiza uważa, że można mnie kupić!

- Rozumiem. To przekora kazała ci zostać.

Możliwe, że tkwiło w tym ziarno prawdy, choć Rene nie mógł znać innych powodów, które ponaglały ją do odejścia.

- Cóż by innego? - spytała oschle. - Oczywiście, poza drobną kwestią groźby.

Oparł głowę do tyłu i przyglądał się Cyrene, kręcąc kieliszkiem.

- Czy to jedyny powód?

Zrażanie go sobie nie mogło pomóc w realizacji planu. Poza tym wibrujące tony niskiego głosu chwyciły Cyrene za serce, które nagle poczuło, że jest mu za ciasno. Zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście, że nie jedyny. Lubię też kuchnię Marthy i twój talent w dobieraniu win, nie mówiąc o innych przymiotach.

- Jak na przykład?

- Niech pomyślę - powiedziała, marszcząc brwi. - Krój twoich zakietów. Kształt twoich nóg w obcisłych spodniach. Twoje doświadczenie w rozrywkach, dla których jestem tu trzymana.

Odstawił kieliszek na stół, pytając gwałtownie:

- Czy naprawdę sądzisz, że tylko tego od ciebie chciałem?

- Czyż nie wynika to z umowy?

- Do diabła z umową.

- Jak najbardziej. Chcesz ją zmienić?

Nie wiedziała, skąd wzięło się to wyzywające pytanie, ani czemu je zadała. U boku Rene nie miała żadnej przyszłości; wiedziała o tym, nawet jeśli on nie wiedział.

- Chciałbym... - zaczął, ale urwał. Po chwili westchnął. - Chyba nie.

Nie mogła siedzieć jak kloc i czekać, aż miłosny impuls Rene stworzy sytuację, o jaką jej chodziło. Wychyliła kieliszek z winem, odstawiła go, a potem wstała, podeszła do krzesła Rene i uklękła przed nim w poszumie spódnic. Położyła mu ręce na udach, czując pod palcami tężejące mięśnie, przesunęła dłońmi po własnym spodniach.

Podniosła wzrok, a złotobrzowe oczy pociemniały.

- Powiedz, czego byś chciał.

Rene wyciągnął rękę i przesunął palcami po niebieskawym siniaku na policzku. W głębi duszy szósty zmysł, który wykształcił sobie w ciągu ostatnich kilku lat, podszepnął mu, że Cyrene coś knuła, że coś od niego chciała. Zastanawiał się, co to mogło być. Nieważne; wolałby jej to dać, niż niszczyć taką chwilę pytaniami.

- Chciałbym - powiedział, celowo przeciągając słowa - żebyśmy mogli zacząć wszystko od początku. Chciałbym, żebyśmy się spotkali we Francji cztery lata temu, kiedy oboje byliśmy niewinni, czy, jak w moim przypadku, względnie niewinni. Skoro to jest niemożliwe, chciałbym móc cię zabrać daleko stąd, gdzie bylibyśmy tylko my dwoje i żadnej przeszłości.

Ból pobrzmiwający w głosie Rene przyprawił Cyrene o złowróżbny dreszcz. A potem, kiedy dotarło do niej echo jego słów, poczuła, jak ich sens przenika do jej umysłu, rozpoznała w sobie tę samą tęsknotę, żeby zacząć od nowa, żeby spotkać się na neutralnym gruncie, jak mężczyzna z kobietą, bez ograniczeń, sprzecznych zobowiązań, bez wątpliwości.

- Dobrze - powiedziała. - Będę tym, kim zechcesz. Mleczarką? Córka kupca? Sprzedawczynią cukierków i kandyzowanych fiołków? Kim chcesz, żebym była?

Uśmiech wygiął gładkie kontury ust Rene.

- Gdybyś była córką kupca, nie siedziałabyś tu i nie robiłabyś tego, co robisz.

Nie była pewna, czy Rene zauważył, jak delikatnie sunęła dłońmi ku górze jego nóg.

- Masz inne możliwości.

- Obawiam się, że sprzedawczyni słodyczy już dawno temu straciłaby niewinność w jakimś ubogim mieszkanku.

- A więc mleczarka?

Wziął ją w ramiona, kiedy już miała dotrzeć do celu, podniósł z podłogi i posadził sobie na kolanach oraz stwardniałej męskości.

- Pomysł niewinności zaczął mi jednak brzydnąć. Chcę cię chyba mieć tu, gdzie jesteś, i taką, jaka jesteś, Cyrene, moja syreno.

Gra słowna na motywach jej imienia spodobała się Cyrene. Spostrzegwszy, że druga próba uwiedzenia Rene powiedzie się podobnie jak pierwsza, odrzuciła głowę, by roześmiać się z dziwną radością, zabarwioną smakiem łez. Lemonnier pochylił głowę, przytulając twarz do dekoltu, przyciskając Cyrene tak mocno, jakby już nigdy nie miał zamiaru jej puścić.

Rozebrali się nawzajem troskliwie, wydając ciche pomruki zadowolenia. Nadzy i ociężali od wzbierającego pożądanego osunęli się z niewygodnego krzesła na dywanik przed kominkiem. Początkowo Cyrene myślała o kluczu w kieszeni żakietu Rene, który, spadając na podłogę, wydał stłumiony brzęk. Potem przestała rozumować i planować. Przyłączyła się do Rene i razem oddali się igraszkom w blasku ognia, Dozwalając, by doprowadził ich krew do wrzenia; wyrwawszy się z niewoli myśli i trosk, odnaleźli w sobie nawzajem antidotum na ból, który rodził się zawsze z własnego źródła.

Dopiero później Cyrene, leżąc wtulona w ciało Rene, który obejmował ją w pasie, zdołała sobie uzmysłowić, że to, co się właśnie stało, nie było jej jedynym celem. Przełknęła gwałtownie, szybko oddychając i wyprostowała się, jakby nasłuchując.

- Martha idzie po tacę! - szepnęła.

Zerwała się z łóżka i sięgnęła po stertę ubrań zrzuconych wokół krzesła. Zebrawszy wszystko - halki, żakiet, stanik, spodnie, koszulę i bluzkę - w kłęb, popędziła do sypialni.

Rene okazał się czujniejszy i szybszy, niż przypuszczała. Przybiegł tuż za nią z nareczem butów i skarpet. Nie było czasu na wyjęcie klucza z kieszeni, choć czuła jego kształt przez materiał. Zakławszy w myślach, cisnęła ubrania na krzesło, zrobiła figlarną minę, odwróciła się, chwyciła Rene w pasie, po czym zamarła w bezruchu. Udawała, że nasłuchuje, ale oczywiście nic nie usłyszeli.

Wzruszyła ramionami, śmiejąc się beztrasko.

- Musiałam się pomylić. Ale skoro już tu jesteśmy, łóżko jest tam...

Oczy Rene zamigotały wesoło. Poczuła chwilowy niepokój, mając wrażenie, że przejrzał ją na wylot. Nie mógł jednak nic wiedzieć. Przyglądała mu się z uniesioną twarzą, aż schylił się, pocałował ją w usta, a potem skierowali się do czekającego łóżka.

Tyra razem z większą łatwością zatraciła się w wirze pożądania, łatwiej reagowała na pieszczoty Rene. Mimo to nie osiągnęła tego samego co za pierwszym razem stopnia nicości, tego samego beztraskiego uniesienia. Obraz żakietu i klucza tkwił w zakamarkach umysłu jak wyrzut i groźba. Odczuła ulgę, kiedy Rene dotarł wreszcie do celu, kiedy jego kojące pieszczoty nasycenia i wdzięczności ustały, aż usłyszała głęboki, miarowy oddech.

Myśląc o własnym postępowaniu w ciągu ostatnich kilku godzin poczuła się niezręcznie, odpędziła jednak wątpliwości. Bez pewnych rzeczy nie sposób się obejść; czasami bycie zbyt miłą to słabość.

Czekała jednak, wpatrzona w ciemność, odliczając upływające sekundy. Kiedy minęło dobre pół godziny, odsunęła się od Rene o kilka centymetrów. Nie poruszył się. Czekała dalej. Słyszała własny puls, jak cichutkie,

lekkie bębnienie. Gwałtowne łomotanie serca wstrząsało jej lewą pierś. Zmusiła się do równego oddychania, wdech, wydech, jeszcze raz, i jeszcze raz.

Poruszyła się, odsuwając się od niego o dalsze kilka centymetrów. Mech wypełniający materac zachrzęścił jak pękająca gałązka. Sznury łóżka zaskrzypiały cicho. Cyrene znowu znieruchomiła.

Nienawidziła tego skradania się, tej potrzeby uciekania się do podstępów. Kłóciło się to z jej naturą, ze wszystkim, czego ją kiedykolwiek uczono. Gardziła okolicznościami, które ją do tego przywiodły, mężczyzną, który je spowodował, wreszcie sobą, za to, że dała początek całej lawinie zdarzeń. W tym, co miała zrobić, dostrzegała tylko jedną dobrą rzecz: nareszcie położy kres całemu hańbiącemu epizodowi. Musi go zakończyć, ponieważ stał się nie do zniesienia.

Zdawało jej się, że minęły całe wieki, nim podniosła się z materaca, ześlizgując się powoli na podłogę. Już wcześniej przygotowała się na chłód desek, więc nie syknęła. Prostując się, z nieskończoną ostrożnością zaczęła obchodzić łóżko dzielące ją od krzesła, na którym leżały ubrania. Dotknęła go lekko opuszkami palców, by nie potknąć się o nie w mroku.

- Dokąd idziesz?

Zamarła. Do diabła z człowiekiem, który ma taki lekki sen! Dopiero po pewnym czasie odzyskała głos.

- Donikąd. Śpij.

- Szukałaś czegoś?

- Nie... - zaczęła, ale zanim jeszcze sylaba wyrwała się z jej ust, zrozumiała, że musi podać jakieś wytłumaczenie. Myślała intensywnie, szukając najbardziej wiarygodnej wymówki, możliwie najdalszej od prawdy.

- Nie, właściwie nie, ale Martha zabrała chyba nocnik.

- Jest tu, po mojej stronie.

Nie mogła już nic zrobić. Znalazła nocnik. Po chwili wstała jeszcze raz.

- Co znowu?

- Koszula nocna - mruknęła.

- Nieważne, ja cię ogrzeję.

Od krzesła dzieiły ją zaledwie dwa kroki.

- Naprawdę, ja...

Silne ramiona złapały ją z tyłu i uniosły w górę. Sznurowy łożka ugięły się, kiedy Cyrene wylądowała na materacu; Rene znalazł się tuż obok, zamykając ją w więzieniu swoich ramion. Ciepło jego ciała i męski zapach spowiły ją znowu. Przepełniła ją wściekłość porażki. Chciała rzucić się na Rene, kopać i krzyczeć.

To jednak w niczym by jej nie pomogło. Leżała nieruchomo, ale wysiłek, z jakim to osiągnęła, przyprawił ją o dreszcze.

- Ty naprawdę zmarzłaś - powiedział Rene, przyciągając ją do siebie i okrywając Cyrene kołdrą.

Co chciał przez to powiedzieć? Czyżby coś podejrzewał? Czy rzeczy, które wcześniej mówił i robił, były równie udawane jak jej postępowanie?

Podobna ewentualność ochłodziła gniew Cyrene. Leżała wpatrując się w ciemność z lękiem i przygnębieniem.

Następnego dnia Rene nie opuścił domu. Pracował przy stole w salonie, wypełniając pochyłym pismem arkusz za arkuszem, a lakierowane pudełko stało otwarte u jego stóp. Jego widok drażnił Cyrene niepomieranie; pudełko stanowiło jaskrawe przypomnienie wydarzeń minionej nocy oraz upływającego czasu. Powód, dla którego Rene pisał tak pracowicie, nie miał nic wspólnego z deszczową pogodą, ale wiązał się, jak domyśliła się bez trudu, z planowanym na przyszły dzień odpłynięciem „Le Parham”.

Umysł Cyrene zaprzętały coraz bardziej szalone sposoby rzucenia okiem na rozłożone na stole dokumenty. Coś w sposobie, w jaki Rene na nią patrzył, w każdej chwili świadom tego, gdzie się znajdowała i co robiła, powstrzymywało ją od wcielenia planów w życie. Usiadła przy ogniu udając, że idąc w ślady Rene, pisze list,

nawet ułożyła kilka linijek do jednej z siostr z konwentu w Quimperle. Większość czasu spędzała jednak na myśleniu, tak uporczywym myśleniu, że aż zaczęła się bać, że zwariuje.

Wreszcie, późnym popołudniem, kiedy zapadał szary zmierzch, przybył posłaniec.

Cyrene otworzyła mu drzwi. Wysoki, miał w sobie coś wojskowego, choć był ubrany tylko w marynarski strój w prążki i długą czapę. Z ramienia zwisała mu torba z materiału, z której wyjął skórzany futerał. Przyszedł po listy, jeśli pan Lemonnier już je napisał. Kapitan szykował się do podniesienia kotwicy o świcie.

- Jedną chwilę - powiedział Rene, skinąwszy głową, i kontynuował pisanie.

Musiała coś zrobić. Teraz. Natychmiast. Ale co? Podeszła do kanapy, podniosła ze stołu swój list i pióro, potem odłożyła je na miejsce. Spojrzała na Rene siedzącego przy stole pełnym papierów, potem na marynarza.

Posłaniec przyglądał się jej z rękami założonymi do tyłu, z lekkim uśmiechem na ustach. Kiedy Cyrene natopkała jego wzrok, uśmiechnął się szerzej i mrugnął do niej delikatnie.

Pomysł nasunął się sam, prosty, ale dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy się odważy, wiedząc dobrze, że nie miała wyjścia. Ponownie spojrzała na uśmiechniętego marynarza, popatrzyła mu w oczy może odrobinę dłużej, niż musiała, potem znowu podniosła swój list i wyszła z salonu do sypialni.

Zamknąwszy za sobą drzwi, zabrała się szybko do dzieła: podeszła do szafy i chwyciła płaszcz. Zafurkotał wokół niej, kiedy szła przez sypialnię do garderoby, minęła ją i przeszła przez małą jadalnię do spiżarni. Zbiegła po schodach najciszej, jak potrafiła, składając po drodze list.

Martha stojąca w kuchni podniosła wzrok. Cyrene zacisnęła zęby z irytacją; miała nadzieję, że służąca będzie u siebie w pokoju.

- Co się stało, *mademoiselle* Cyrene?
- Cyrene nie musiała udawać, że jej się spieszy.
- Czy złapałaś sprzedawcę przypraw? Zależało mi szczególnie na odrobinie cynamonu do czekolady.
- Nie słyszałam go, panienko. Ale cynamon do czekolady? Musi być pani w ciąży!
- Nie, nie - rzuciła przez ramię z wymuszonym śmiechem. - Sama spróbuję go dogonić.

Błyskawicznie wybiegła z kuchni, cicho zamykając za sobą drzwi, a potem popędziła przez ogród na tyłach na ulicę. Marynarz musiał wracać na statek w stronę rzeki. Natychmiast skręciła w tamtym kierunku, trzymając się blisko domu, żeby ktoś nie zauważył jej przypadkiem z okna salonu. Szła szybko z opuszczoną głową, mając nadzieję, że Rene będzie pisać jeszcze trochę dłużej, jeszcze kilka zdań, że nie będzie się spieszył, susząc list piaskiem i lakując kopertę.

Na pierwszym skrzyżowaniu, trzy domy dalej skręciła w lewo natychmiast zwalniając. Stała w drzwiach sklepu modystki, już zamkniętego, i tam, udając, że szuka czegoś w kieszeniach, przygotowała się na czekanie.

Wydawało się jej, że minęło wiele godzin, zanim na ulicy pojawił się marynarz, choć w istocie upłynęło zaledwie parę chwil. Cyrene stała w cieniu patrząc na jego szybki, beztroski krok. Minał przecznice, rzucając w jej stronę zaledwie spojrzenie, i szedł dalej po zabłoconych deskach, które układano wzdłuż domów. Cyrene liczyła oddalające się kroki, pozwalając posłańcowi ją wyprzedzić. Kiedy oddalił się o pół przecznicy, wyszła z wnąki i ruszyła szybko ku głównej ulicy.

Marynarz wciąż był widoczny. W ten wilgotny, ponury wieczór jedynymi przechodniami poza posłańcem była praczka, niosąca na głowie kosz świeżo uprasowanych koszul oraz starszy dżentelmen, który przy każdym kroku wspierał się na lasce. Cyrene zebrała spódnice w garść i pobiegła za marynarzem.

- *Monsieur!* - Jej krzyk brzmiał lekko, niemal figlarne, zupełnie niegłośno.

Marynarz obrócił się czujnie, sięgając ręką do torby u boku. Ujrzawszy dziewczynę, rozluźnił się i cofnął o kilka kroków.

- Co za miły zbieg okoliczności - stwierdził, błyskając zębami w uśmiechu.

- Jak panu dobrze wiadomo, to nie żaden zbieg okoliczności - powiedziała przesadnie dysząc. - Gonię pana przez całe miasto.

- Co za szkoda! Gdybym wiedział, pozwoliłbym się złapać znacznie wcześniej.

Uśmiechnęła się najbardziej kokieteryjnie, jak potrafiła.

- Ależ z pana łajdak, chociaż, trzeba przyznać, przystojny łajdak! Ale ja chciałam tylko dołożyć swój list do pozostałych. - To mówiąc, wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i wręczyła posłańcowi.

- Ma pani pozwolenie pana Lemonnierera?

- Ależ naturalnie. - Wygięła usta w słodkim uśmiechu.

- Nie sądzę, że jest wiele rzeczy, których on pani odmawia. Proszę mi dać ten list.

Cyrene już, już mu go dawała, ale kiedy palce marynarza dotknęły listu, cofnęła rękę.

- Och, w pośpiechu zapomniałam go zalakować. Co za utrapienie! Jeśli pan pozwoli, wsunę go do mojego drugiego listu. To zajmie chwilę.

- Pani drugiego listu?

- Oba są do zakonnicy w Quimperle. Siostra Mary dopilnuje, żeby siostra Dolores otrzymała swój list.

- Korespondencja, którą przynoszę, to dokumenty najwyższej wagi. Naprawdę nie powinienem pozwalać...

- Ale pozwoli pan, prawda? Och, proszę, nie będzie żadnego statku przez najbliższe kilka tygodni, a... modlitwy siostr są mi teraz tak bardzo potrzebne.

- Aż tak? Lemonnier jest pani kochankiem?

Uśmiechnęła się, jak gdyby chciała się z nim podzielić, przynajmniej częściowo, słodkimi wspomnieniami.

- Owszem, jest.

- A czy *monsieur* kiedykolwiek wyjeżdża i zostawia panią samą?

- Czasami. Może chciałby mnie pan odwiedzić pod jego nieobecność? - Jak daleko była gotowa się posunąć, byle tylko osiągnąć cel? Nie wiedziała. To kłopotało ją bardziej niż sam fakt, że rozważała podobną możliwość.

- Z najwyższą przyjemnością.

- W takim razie co za szkoda, że musi pan opuścić Luizjanę.

- O, ale wróć.

- Kiedy to będzie? - Uśmiech, musiała się uśmiechać, wyciągając rękę do torby z listami.

- Jak Bóg da, już za kilka miesięcy.

- Właśnie, jak Bóg da. Życie marynarza jest takie niebezpieczne, prawda? Kiedy płynęłam z Francji, panował taki sztorm, że klęczałam przez całą podróż.

- Modląc się, czy wymiotując?

Wzdrygnęła się i skłamała, ponieważ marynarz oczekiwał takiej odpowiedzi:

- Och, jedno i drugie! Czy pan nigdy nie choruje?

Słuchała, jak opowiadał, jakim to jest wspaniałym marynarzem i w jaki sposób zachowuje zdrowie nawet podczas najgorszych sztormów, a jednocześnie wsunęła dłoń do torby. Nie poprosiła go, by zdjął ją z ramienia, ale szperała w wiszącej torbie, zmuszając posłańca do uniesienia ręki, dzięki czemu nie widział, co robiła. Szybкими ruchami szukała jednego z mniejszych pism, złożonego po prostu na trzy części i zalakowanego. Wiedziała, że jest ich kilka; wiedziała, jak Rene chował je do pudełka, choć przypuszczała, że większość była adresowana do rodziny. Kiedy znalazła to, czego szukała, zręcznie wyjęła jeden z oficjalnych dokumentów i schowała pod płaszczem, przyciskając ręką do ciała.

- Mam - powiedziała, pokazując mu mniejszy list. Ostrożnie naciskając brzegi sztywnego arkusza, tak że rozchylił się, nie łamiąc pieczęci, wsunęła swoją kartkę do środka. Włożyła list z powrotem do torby, poklepała ją i znowu uśmiechnęła się do marynarza.

- Teraz mogę być spokojna. Dziękuję panu z całego serca.

- Wolałbym pocałunek - powiedział, wpatrując się w Cyrene z nadzieją.

- Dobrze więc. - Nachyliła się, szybko przyciskając usta do jego warg. Doznała dziwnego, przelotnego rozczarowania; zwykłe zetknięcie jednych ust z innymi, nic poza tym. Poczuła, jak otacza ją ramionami, jak list ściskany pod pachą przylega do jego piersi. Oderwała się od marynarza z pospiesznym śmiechem, cofając się o kilka kroków.

- Nie odchodź - poprosił. - Chodź ze mną. Znam tawernę, gdzie możemy dostać butelkę wina i oddzielny pokój.

- Innym razem. Lemonnier na mnie czeka! - Zaczęła się oddalać.

- Ja wrócę!

- Będę się o to modliła - zawołała całkiem szczerze. Nie chciała, by stała mu się krzywda z powodu jej uczynku. Może brak dokumentu nie zostanie zauważony, a jeśli tak, to dopiero we Francji, a po drodze istniało przecież jeszcze wiele okazji dobrania się do torby. Marynarz podobał się Cyrene; to nie jego wina, że jego pocałunek nie sprawił jej przyjemności. Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do domu.

Zatrzymała się dopiero w ogrodzie na tyłach domu. Zapadała noc, a w powietrzu unosiła się chłodna mgiełka, grożąc, że ponownie zamieni się w deszcz. Latarnia zawieszona w kuchni na stropie rzucała przez okno snop żółtego światła. Cyrene stanęła, żeby wyjąć zdobycz; spojrzała w stronę domu, zastanawiając się, czy jej nieobecność została zauważona. Chyba mogła zaryzykować jeszcze kilka minut.

Złamała pieczęć, rozłożyła grube, ciężkie arkusze i, wyciągając je ku oknu, zaczęła czytać.

Drzwi kuchenne otworzyły się na oścież. Cyrene podniosła wzrok na wychodzącego Rene, ale nie starała się ukryć dokumentów. Doznała szoku, ale także dziwnego

poczucia nieuchronności, jakby nie było nic dziwnego w fakcie, że ją tu zaskoczył.

- Mam nadzieję, że cię to zaciekawiło - powiedział cicho.

- Jesteś szpiegiem - odparła beznamiętnym głosem.

- Niezupełnie. Wejdziemy do środka, żeby to omówić?

Odebrał Cyrene dokument, po czym cofnął się, puszczając ją przodem. Jak nieprzytomna weszła do kuchni, a potem po schodach do spiżarni, ledwo zauważając Marthę, która spojrzała w ich stronę. Przeszła przez jadalnię do salonu, gdzie stanęła wyczekująco na środku. Rene minął ją i podszedł do stołu, rzucając list na blat.

- Posłaniec nie ponosi winy - powiedziała Cyrene, ożywiając się nagle.

- Zdaję sobie sprawę. Najwyżej za to, że okazał się stanowczo zbyt podatny na twoje wdzięki.

- Nie wiedział, że wzięłam ten list. Nie zostanie ukarany?

- Nie widzę w tym żadnego sensu.

- List musi się oczywiście znaleźć na statku przed odpłynięciem.

- Zaraz sam go zaniosę. Udam, że zapomniałem.

Cyrene odwróciła się, zdejmując płaszcz i rzucając go na kanapę.

- To bardzo... szlachetne.

- Winę ponoszę ja, po pierwsze za to, że cię tu trzymałem, a po drugie, że nie zachowałem większej ostrożności.

- A zatem zostaję zwolniona od odpowiedzialności, podobnie jak dziecko, które wda się w kłopoty, jeśli się mu na to pozwoli.

Usta Rene wygięły się w zmęczonym uśmiechu.

- Raczej jak więzień wojenny, którego jedynym obowiązkiem jest uciec.

- Nie musiało tak się stać. Mogłeś mi... zaufać.

- Decyzja nie należała do mnie.

- Nie, musiałeś zachować lojalność wobec swego pa-

na - powiedziała, a oczy pociemniały jej od pogardy. - Pomyśleć tylko, że przez cały czas, kiedy uwijałeś się wokół *madame* Vaudreuil, przez cały czas, kiedy cię rozpieszczała, szpiegowałeś tę biedną kobietę.

Rene nie sprawiał wrażenia dotkniętego postawionym mu zarzutem.

- Takie jest ryzyko służby królewskiej. *Madame* Vaudreuil zaakceptowała je, kiedy markiz objął urząd gubernatora.

- Między byciem fagasem *madame* Vaudreuil a króla Ludwika nie ma chyba wielkiej różnicy.

- Dla mnie jest - odparł surowszym tonem. - Jako Francuz pozostaję lojalny wobec Ludwika, króla Francji; jest moim królem. Jest też człowiekiem zamkniętym w Wersalu, wiecznie otoczonym ludźmi, z których każdy chce upiec własną pieczeń, każdy prosi o przysługę albo o naprawienie krzywdy. Nie wie, komu ufać, nie wie, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Dotyczy to szczególnie ludzi przebywających w miejscach tak odległych jak Luizjana. Pojawiły się poważne oskarżenia dotyczące zachowania i postępowania markiza i markizy de Vaudreuil, a także zeznania przeczące tym oskarżeniom. Sprawę należy wyjaśnić, zanim gubernatorowi będzie można powierzyć jeszcze bardziej czuły rejon Nowego Świata.

- Zaczynam rozumieć. Nie zostałeś wygnany z Francji? Nie było żadnego skandalu, żadnej kłótni z de Pompadour?

- *Madame* Pompadour jest oczami i uszami króla, zdolną damą, niezbyt wykształconą w dziedzinie sprawowania władzy, ale robiącą wszystko co w jej mocy, by pomóc Francji, nie opuszczając przy tym przyjaciół.

- A ty jesteś jednym z nich?

- Mam ten zaszczyt.

Cyrene podeszła do kanapy i usiadła, a jedwabne spódnice ułożyły się wokół niej. Zafascynowana przyglądała się Rene, jak gdyby widziała go po raz pierwszy. Jego osoba emanowała większą siłą i godnością, nawet

rysy twarzy były mocniejsze. Przeczył wszystkim stwarzanym wcześniej pozorom.

- Czyli przybyłeś do Luizjany w służbie króla?

Pochylił głowę.

- Z żadnego innego powodu?

- Jeśli jest jeszcze jakiś, to ma charakter osobisty.

Wzbogacenie się na fałszywych banknotach faktycznie można uznać za osobisty powód.

- Rozumiem. A zatem dotyczy on Bretonów.

Spojrzał na nią ostro.

- Czemu ci to przyszło do głowy?

- A po cóż innego miałbyś ich zdradzać?

Rene przyłapał się na tym, że ją podziwia, co w tej chwili wcale nie powinno mieć miejsca. Musiała przeżyć szok, ale doszła do siebie niesłychanie szybko; równie godny podziwu wydał mu się jej impuls, by ochraniać człowieka, który jej pomógł. Przesłuchanie, które prowadziła, niemal jakby to Rene był oskarżony, a nie ona, było w równym stopniu czarujące, co irytujące. Z zachwytem i zgrozą przyglądał się Cyrene, czekając, co zrobi z dokonaniem przez siebie odkryciem.

Nie odpowiedział tak szybko, jakby mógł.

- Musiałem to zrobić, żeby udać, że dbam o interesy *madame* Vaudreuil. W ten sposób zyskałem zaufanie markizy i jej człowieka, Toucheta.

- To jedyny powód?

- A powinienem podać jeszcze jakiś?

Powoli potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Próbowaliście nas zniszczyć dla tak błahego powodu.

- Decydując się na złamanie prawa, liczyliście się z takim ryzykiem.

- Czy to cię usprawiedliwia? To, że łamaliśmy głupie prawo, które grozi nam popadnięciem w głód i nędzę?

- Nie muszę się przed tobą z tego tłumaczyć - powiedział cicho.

- A co z fałszerstwem?

Rene poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu silny cios w przeponę. Nie mrugnął, ale uniósł brew.

- Fałszerstwem?
- Znalazłam pieniądze pod podszewką twojego żakietu.
- Moje zapasy na czarną godzinę?
- Jeśli tak uważasz, to ktoś zrobił z ciebie głupca, a nie sądzę, żebyś nim był. - Jego beznamiętna twarz napełniała Cyrene wściekłością, ale zdążyła go już na tyle poznać, by nie dać się nabrać. Wstała z kanapy szybkim, zdecydowanym ruchem.

- Nie ma sensu dalej o tym rozprawiać. Teraz mogę już tylko odejść.

- Odejść? - powtórzył, jakby usłyszał to słowo po raz pierwszy.

Podniosła płaszcz, zarzuciła go na ramię i ruszyła do drzwi.

- Ubranie, które mam na sobie, zostawiłabym ci dla następnej kobiety, ale dopilnowałeś, żebym miała tu tylko rzeczy, które ty mi dałeś. Zwrócę je rano.

- Nie chcę ich.

- Ja też nie.

- Chyba o czymś zapominasz, prawda?

- Czyżby? Ach, chodzi ci o to, że możesz mnie szantażować? Ale twój pobyt w Luizjanie jest przecież tajny, prawda? Jestem pewna, że nie chciałbyś, żeby *madame Vaudreuil*, a tym bardziej gubernator, dowiedzieli się o twoich szczególnych związkach z królem Ludwikiem. Czy nie sądzisz, że moja groźba może zrównoważyć twoją?

Zrobił krok za nią, trzymając się niezwykle prosto.

- A gdybym powiedział, że cię kocham i nie chcę cię stracić?

- No właśnie, co wtedy? Kochasz czy nie? Rozwiązania połowiczne mnie nie interesują. Zresztą to nieważne. Nie wierzę, że kochasz cokolwiek poza własną pozycją, władzą, prestiżem. Prawda jest taka, że w tej chwili najbardziej martwisz się tym, jak powiadomić markiza, że stracił jedną z aktorek. Ale nie martw się, coś wymyślisz. Powiedz mu, że zdradziłam was obu.

Cyrene podeszła do drzwi, otworzyła je, przestąpiła próg, a potem zamknęła je mocno za sobą.

Deszcz ustał. Poczwała na twarzy chłodne, wilgotne powietrze, chociaż wyraźnie się ociepliło. Chór żab i innych małych nocnych stworzeń, milczących w ciągu krótkich zimowych tygodni, rozbrzmiewał znowu. Odgłos nie był tak donośny, jak miał się stać wkrótce, ale stanowił nieomylny znak nadchodzącej wiosny.

Droga na Łódź, która jeszcze poprzedniego dnia, kiedy poszła po igłę i nitkę, wydawała jej się taka długa, teraz upłynęła niepostrzeżenie. Z daleka powitało ją światło w oknie, a kiedy wchodziła po trapie, z kajuty wyszedł Gaston.

Przegadali wiele godzin, a potem spakowali parę pakunków, które złożyli przy drzwiach. Cyrene spędziła resztę nocy w hamaku, kołysana przez łódź uwiązaną na cumach; odpoczywała, ale nie spała.

O świcie Cyrene i Gaston przecinali pirogą mgłę okrywającą odnogi rzeki. Nie kierowali się na północ w głąb głuszy, ale tylko nad jezioro Pontchartrain, bo Pierre i Jean oddalili się zaledwie do wioski Małej Stopy, leżącej na północy jeziora. Gaston wyjaśnił Cyrene, że powodem była napięta sytuacja wśród Indian, ale mówiąc to kłamstwo, uśmiechnął się radośnie. Cyrene wiedziała, że to ona była powodem, i ta myśl działała kojąco.

19

Dobrze było znowu podejmować fizyczny wysiłek. Wraz ze sztywnością, która opuściła jej mięśnie, aż stały się elastyczne, ulotniła się też sztywność umysłu.

Żałowała kilku rzeczy. Nie podobało jej się, że pani Vaudreuil i Touchet gotowi byli pomyśleć, że ją nastraszili. Zawsze doskwierał jej ten drobny problem: duma.

Żałowała, że nie pożegnała się z Armandem. Nie chciała, żeby sądził, że o nim zapomniała. Był kochanym chłopcem i choć jego zadurzenie w niej, jak chyba należało określić to uczucie, nie mogło trwać wiecznie, to nie chciała zadawać mu bólu, póki trwało.

W nocy przyszło jej też na myśl, że mogła pozwolić Rene powiedzieć więcej o domniemanej miłości, jaką do niej czuł. Nic by to nie zmieniło, ale może usłyszałyby coś ciekawego, co mile połechtałoby jej próżność, niewątpliwie zranioną sposobem, w jaki się nią posłużył.

Rozmyślała o tym, jak nabrał wszystkich, udając bannitę, który rozpaczliwie próbuje wrócić do Francji i łask króla. Z jaką łatwością wszyscy mu uwierzyli, pewnie dlatego, że wszyscy tak właśnie się czuli.

Ile jeszcze kłamstw naopowiadał? Jaka część publicznego wizerunku, który sobie stworzył, stanowiła wyłączną fasadę, maskę skrywającą prawdę?

Szpieg. Działający nie przeciwko wrogowi, ale przeciwko własnym rodakom, ludziom własnej klasy, którzy

przyjmowali go u siebie w domu, otwierali przed nim serca. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że reżim Vaudreuila był skorumpowany, ale pewnie nie bardziej niż jakikolwiek inny. Gubernator był bezstronnym sędzią, bardziej niż kompetentnym mężem stanu, szczególnie zainteresowanym uregulowaniem systemu rządów kolonialnych. Miał przy tym wzór do naśladowania: jego ojciec zarządzał dawniej Nową Francją. Do czego sprowadzała się reszta zarzutów stawianych rządowi Vaudreuila? Do plotek i machinacji łasej na pieniądze żony?

Ale przypuśćmy, że w plotkach tkwiła prawda. Przypuśćmy, że Rene grał swoją rolę lepiej, niż się wydawało. Praktycznie wszystko, co zdarzało się w Wersalu, zostawało zauważane, omawiane szeptem, a potem, niesione wiatrem, wędrowało do Paryża i dalej. Czy możliwe, że zamachy na życie Rene miały związek z jego tajną misją?

Cyrene przepuściła jedno uderzenie wiosła. Jeśli tak było, to Rene nadal znajdował się w niebezpieczeństwie.

Ale czy na pewno? „Le Parham” wypływał dziś rano do Francji, wioząc listy dotyczące zarzutów przeciwko Vaudreuilom. Rene musiał zakończyć powierzoną mu misję. Nie było sensu krzywdzić go teraz.

Chyba że z zemsty.

Ale czemu został w Luizjanie, wyzywając los? Czemu nie skorzystał z możliwości powrotu do Francji? Cyrene nie mogła zrozumieć, dlaczego został. Niezależnie od treści listów, gubernator niewątpliwie nie podziękowałby mu za nadużycie przyjaźni i gościnności i pokazałby Lemonnierowi drzwi, kiedy tylko prawda wyszłaby na jaw. O ile już się to nie stało.

Może Rene nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Nie był głupi. Nikt lepiej niż on nie mógł sobie uzmysławiać ryzyka, na jakie się narażał.

Należało więc sądzić, że został, ponieważ tego właśnie chciał. Mogły istnieć po temu dwa powody. Albo nie

zakończył jeszcze dochodzenia w sprawie postępowania gubernatora i jego żony, albo miał jakiś inny powód. Na przykład związany z fałszywymi banknotami.

W Luizjanie pieniała się korupcja, ale to samo można było powiedzieć o Wersalu. Człowiek, który podjął się roli szpiega, nie mógł być całkowicie wolny od powszechnie panujących obyczajów.

A może mógł?

Wzeszło słońce, a jego promienie przyniosły ciepło. Przebiło się przez mgłę, nadając jej opalizujący po-blask, zanim nie wyparowała. Wreszcie wpłynęli na jezioro, rozległy bezmiar wód, przypominający morze śródlądowe. Woda migotała i tańczyła, powierzchnia jeziora wybuchała w bezgłośnych eksplozjach diamentowych lśnień. Świeże, czyste, wilgotne powietrze pobudzało do życia. Zadrzewione brzegi rozbrzmiewały echami nawołujących się ptaków. Budził się piękny dzień.

Wolna. Była wolna. To rozkoszne poczucie tętniło w żyłach Cyrene jak wino, uderzając jej do głowy, aż poczuła, że omdlewa z radości. A jednak gdzieś w głębi duszy unosiły się okruchy zniechęcenia, wprawiające ją w zakłopotanie. Sądziła, że ma dość siły, by nie martwić się opuszczeniem tak nieuczciwego człowieka. Czyżby już za nim tęskniła? Jak mogła rozpaczać, że już nigdy nie poczuje jego dotyku, nie zobaczy, jak uśmiecha się powoli, już nigdy nie zaśnie u jego boku? Nie powinna myśleć o takich rzeczach, nie powinna ich pragnąć ani potrzebować. A jednak potrzebowała. Och, jak bardzo.

Zostawili pirogę po przeciwnej stronie jeziora i ruszyli indiańskim szlakiem do wioski Małej Stopy. Niczego nie zobaczyli ani nie usłyszeli, ale Indianie mieli swoje sposoby, by dowiedzieć się o ich przybyciu. Kiedy dotarli do wioski, Pierre i Jean już na nich czekali.

Było to radosne powitanie, pełne uścisków, klepania po plecach i okrzyków. Mała Stopa zaprosiła wszystkich

do swej chaty na jedzenie i picie, co zostało przyjęte z wielkim zadowoleniem. Siedzieli na posłaniach, rozmawiając, śmiejąc się, wymieniając informacje o wydarzeniach, jakie miały miejsce od ostatniego spotkania. Dym z małego ogniska płonącego na środku klepiska unosił się leniwą, spiralną kolumną ku otworowi w suficie.

Szybkiej Wiewiórki, córki Małej Stopy nie było wśród zgromadzonych. Zapytawszy się o nią Cyrene dowiedziała się, że dziewczyna przeniosła się z chaty matki do własnej, nie dosłyszała jednak dokładnie szczegółów, ponieważ w tym samym czasie Jean i Gaston zaczęli się głośno sprzeczać o hazardowe długi, jakie młodszy Breton zdążył pozaciągać podczas krótkiego pobytu w mieście. Indianka zamilkła, kiedy Gaston zwrócił się do Cyrene o poparcie; twierdził, że posłużył się hazardem jako środkiem na wejście do odpowiedniego środowiska, by móc mieć oko na Cyrene. Jean komentował logikę syna w dosadnych i żartobliwych słowach, jednak sprzeczka była wolna od złości. Gaston pilnował Cyrene i wrócił razem z nią; ojciec i wuj byli z niego zadowoleni.

Dopiero później, pijąc z drewnianych kubków morwowe wino, zagryzając ciastem z orzechów i miodu, zaczęli rozmawiać o Rene. Cyrene opowiedziała Bretonom dokładnie o wszystkim; nie miała zwyczaju niczego przed nimi zatajać. Ochraniała Rene przed innymi ludźmi, kierując się, podobnie jak on, lojalnością wobec króla i kraju. Do niego samego czuła tylko pogardę.

- Daj spokój, *chere*, nie postępuj pochopnie - powiedział Pierre. - Pozory często mylą.

- Broniłbyś go po tym, co zrobił? - spytała zdumiona.

- Nie potępiałbym go zbyt pochopnie. Zresztą nie jestem jego sędzią. Nie nam osądzać innych, sami nie jesteśmy bez wad. Nie tyle liczy się to, co ludzie robią, ile pobudki, jakie nimi kierują.

- Takie jak chciwość!

- I lojalność.

- Chcesz powiedzieć, że ponieważ Rene ma jedną dobrą cechę, musiał mieć też dobre powody dla innych rzeczy, które zrobił?

Pierre pokręcił głową.

- Chcę powiedzieć: odczekaj. Żal to zły doradca.

Nie było jednak czasu. Jeden ze zwiadowców pełniący straż na szlaku łączącym jezioro z wioską przybiegł z ostrzeżeniem. Zbliżało się dwóch Francuzów na czele oddziału żołnierzy.

Mogli uciec w las. Cyrene ponaglała ich do tego, błagała, by to zrobili, pewna, że gdyby nie jej obecność, Bretonowie uciekliby niezwłocznie. Kierowali się jednak troską o jej bezpieczeństwo, a ta świadomość nie dawała Cyrene spokoju, ponieważ właśnie ona stanowiła ich największe zagrożenie. Nie miała wątpliwości, że przybycie oddziału żołnierzy wiązało się z jej osobą. Pojawili się zbyt szybko. Poza tym, już wcześniej przeczuwała, chociaż z nikim się tym nie podzieliła, że zwycięstwo nad Rene było zbyt łatwe, że przyjdzie jej zapłacić cenę za bunt.

Cyrene i Bretonowie ukryli się, ale stanęli przed drzwiami chaty Małej Stopy sąsiadującej z chatą jej ojca, Zatopionego Dębu, wodza wioski. Stary wojownik także wyszedł i stanął wyprostowany, owinięty w wełniane koc w kolorze ciemnego burgunda. Pozostali Indianie jeden po drugim odrywali się od swoich zajęć i gromadzili się na polanie przeczuwając, że miało się wydarzyć coś doniosłego. Stali cierpliwie i cicho, słońce tonęło za drzewami w błękitno-złotej poświacie, stwarzającej nastrój melancholii, a przepojone dymem wieczorne powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

Między drzewami pojawiła się kolumna żołnierzy. Równym krokiem wmaszerowali na polanę prezentując się zdumiewająco schludnie w wyblakłych mundurach ze lśniącymi mosiężnymi guzikami; muszkiety trzymali gotowe do strzału. Kolumnę prowadziło dwóch ludzi w kapeluszach z piórami, aksamitnych płaszczach wyszywanych złotem, z mieczami u boku.

Cała grupa stanowiła istne uosobienie przepychu i pompy Francji.

Kolumna podeszła do Zatopionego Dębu z drobiazgowym zachowaniem zasad protokołu. Ani Rene, ani Touchet maszerujący na czele, nawet najdrobniejszym spojrzeniem nie zdradzili, że są świadomi obecności innych osób. Po wymianie należytych słów powitania Rene wyjął spod pachy zwój ozdobiony pieczęciami i wstęgami, rozwinął go i odczytał staremu wodzowi twardym, wyraźnym głosem.

Był to nakaz aresztowania ujęty w napuszonych, oficjalnych sformułowaniach. Ludzie znani jako Pierre, Jean i Gaston Bretonowie oraz kobieta o nazwisku Cyrene Marie Esteñle Nolte byli zbiegami, oskarżonymi o zbrodnie przeciwko królowi. Mieli zostać aresztowani, przetransportowani do Nowego Orleanu, gdzie czekał ich proces. Znalezione przy nich towary należało skonfiskować jako dowody. Każda próba ucieczki zostałaby odczytana jako przyznanie się do winy i w skuteczny sposób udaremniona.

Cyrene zakuto w kajdany, a po bokach postawiono strażników. Bretonów zakuto od szyi po kostki i powiązano ze sobą łańcuchami. Rene nie brał udziału w tych czynnościach, trzymając się na uboczu, rozmawiając z oficerem odpowiedzialnym za konfiskatę towarów. Cyrene sądziła, że wywyższał się celowo, dystansując się od nich, ale nie miała pewności, czy kierował się taktem czy pogardą dla tej czynności.

To Touchet dopilnował zakuwania więźniów w kajdany. Jego wąska twarz wyrażała nie skrywaną satysfakcję, kiedy sprawdzał kajdany i pociągał za łańcuchy. Kiedy wydał rozkaz, żeby weszli do chaty, która tej nocy miała służyć jako więzienie, w jego głosie brzmiała zachęta do ucieczki, by miał przyjemność powystrzelania ich jak kaczki.

Nie było mu dane skorzystać z tej przyjemności. Obserwując posłuszne zachowanie Bretonów, świadomość kłęski rysującą się na ich twarzach, Cyrene wiedziała

z porażającą pewnością, że to ona zgotowała im ten los. Gdyby nie wyciągnęła Rene z rzeki, gdyby nie wpadła na szalony pomysł, by posłużyć się nim w celu uzyskania niezależności, gdyby nie przekonała ich do obrabowania królewskiego magazynu, nigdy nie znaleźliby się w obecnej sytuacji. Nie miało znaczenia, że ich styl życia kłócił się z interesami Francji, ani fakt, że zajmowali się przemysłem na wiele lat, zanim do nich przystała. Cyrene winiła tylko siebie.

Musiał istnieć jakiś sposób, sztuczka, informacja, dzięki której mogłaby im pomóc. Problem polegał na tym, że Cyrene nie miała pojęcia, co to mogłoby być. Nakaz aresztowania został wydany w imieniu króla, a nie gubernatora. Fakt, że oficjalny edykt znajdował się w rękach Rene, a żołnierze słuchali jego rozkazów, wskazywałyby niezbicie na to, że ujawnił się jako agent korony. Jeżeli nie bał się już zdemaskowania, czego jeszcze mogła użyć przeciwko niemu?

Odpowiedź brzmiała: niczego. Zupełnie niczego.

Powrót do Nowego Orleanu odbył się bez dramatycznych wydarzeń. Cyrene została zamknięta sama w celi. Był to mały pokój z niskim, wąskim łóżkiem przykrytym cienkim kocem, z nocnikiem i maleńkim, umieszczonym wysoko okienkiem. Przez okno słyszała ludzi kręcących się po Place Royale oraz dzwony pobliskiego kościoła. Czasami zdawało się jej, że słyszy, jak strażnicy rozmawiają z Bretonami, ale nie wolno jej było się z nimi porozumiewać ani widywać się z kimkolwiek. Przez większą część czasu ignorowano ją, chociaż szybko zrozumiała, że jej pozycja jest uprzywilejowana. Jedzenie było znośne. Zdjęto jej z rąk kajdany, a do celi wrzucono zawiniątko z odzieżą, którą zabrała ze sobą do wioski Choctawów. Na dodatek, prawie każdego ranka dostarczano jej garnek zimnej wody do mycia.

Myślała, nawet miała nadzieję, że Rene ją odwiedzi. Nie przyszedł. Najwyraźniej nie czuł potrzeby tłumaczenia się ani napawania się szybkim odwetem. Powin-

na była przewidzieć, że nie pozwoli, by stanowiła dla niego zagrożenie, a mogło się tak stać, gdyby tylko odkrycie prawdy o nim nie wprawiło jej w stan takiego pomieszania.

Wciąż rozmyślała o posiadanych przez Rene fałszywych banknotach, zastanawiając się, czy mogłaby uczynić z wiedzy o nich swoją obronę. Po pierwsze jednak, nie wiedziała co, i czy cokolwiek z nimi zrobić. Po drugie, nie mogła posłużyć się pieniędzmi bez rozmowy z Rene. Jednak najważniejszym argumentem przeciwko próbie szantażu był fakt, że przy obecnej pozycji Rene nikt nie uwierzyłby w istnienie pieniędzy, gdyby postanowił zaprzeczyć, że cokolwiek o nich słyszał. Zeznania Cyrene potraktowano by jako szalone wymysły kogoś, kto poczuł już karzącą rękę prawa.

Przerażającą myśl o czekającej ją karze, hańbiącej chłości i rozżarzoną żelazie, zepchnęła do podświadomości. Znacznie większą troską napełniał ją los pozostałych, w szczególności Pierre'a.

W umyśle Cyrene wciąż rozbrzmiewały słowa: „Ludzie znani jako Pierre, Jean i Gaston Bretonowie...” Co to miało znaczyć? Nigdy nie znała ich pod innym nazwiskiem, nigdy nie słyszała, by choćby szeptem przyznawali się do innego. Biorąc pod uwagę, że Pierre uciekł z galer, nie byłoby dziwne, gdyby przybrał sobie przydomek, choć taka ewentualność nigdy jej nie przyszła do głowy. Sądziła zawsze, że wystarczył sam fakt przebywania na końcu świata, w Luizjanie, a w każdym razie, że Bretonowie tak uważali.

Pierre. Jego nie czekała chłosta, ale szubienica. To nie mogło się wydarzyć, nie delikatnemu, mądrymu Pierre'owi. Umysł Cyrene odmawiał zaakceptowania takiej możliwości. Zawsze liczyła na Pierre'a, czuła, że zawsze mogła się na nim oprzeć, że pośród zmieniających się lojalności i układów on jeden pozostanie nieporuszony jak skała. Nie, to niemożliwe.

Przypomniała też sobie jednak słowa napisane przez Rene, które udało się jej podejrzeć, „...tylko jeden spo-

sób, by powstrzymać nielegalny handel zwany przemysłem, a mianowicie zdecydowane, przykładowe karanie winnych..." Możliwe, że ona i Bretonowie mieli posłużyć jako przykład.

Mijała godzina za godziną, a Cyrene siedziała wpatrzona w ścianę, ze zdętwiałym ciałem i wirującymi myślami. W mroku celi zamigotały krystaliczne strużki łez płynące po twarzy, w trudnej, milczącej udreće.

Po południu trzeciego dnia aresztu Cyrene wyprowadzono z celi i odstawiono pod strażą do rezydencji gubernatora. Kiedy wyszła z więzienia, zgromadzony tłum zaszumił z podnieceniem, podobnie jak w noc maskarady. Nie było to jednak zgromadzenie modnej śmietanki miasta. Duże pomieszczenie, w którym wcześniej zbierali się goście markiza, zostało zamienione w oficjalną salę posiedzeń Najwyższej Rady. Miała ona ustalić winę lub niewinność Cyrene i Bretonów. Przy długim stole siedzieli mianowani członkowie Rady: komisarz intendentury, Rouvilliere, do którego obowiązków należało przewodniczenie takim posiedzeniom, jeden czy dwóch prawników, lekarz i inni ludzie piastujący wysokie stanowiska. Na centralnym miejscu siedział pełniący funkcję szefa rządu Jego Wysokości króla Ludwika w Luizjanie, markiz de Vaudreuil.

Po jednej stronie sali stał nowy oskarżyciel, kierujący całym trybunałem. Był nim Rene Lemonnier.

Przesłuchanie Bretonów już zakończono. Stali sami, zakuci w kajdany, przed stołem sędziowskim; nie towarzyszył im żaden adwokat, na obronę mieli tylko własne słowa. Z boku leżały zgromadzone przeciwko nim dowody: towary w pakunkach wyraźnie oznaczonych po angielsku, pełne pieczęci założonych przez urzędników, kiedy umieszczali towary w magazynie królewskim. Przy bliższym końcu stołu znajdowało się krzesło świadka, ustawione pod kątem prostym do stołu Rady, tak by twarz zeznającej osoby mógł widzieć zarówno oskarżony, oskarżyciel, jak i członkowie Rady. Krzesło było jednak puste, jak gdyby zeznania przeciwko całej trójce

już zostały złożone. Obok krzesła, jakby dopiero co je opuścił, stał Touchet.

Cyrene popchnięto ku Bretonom. Wpadła na Pierre'a, nim zdołała odzyskać równowagę, a on pomógł jej niezręcznie, dzwoniąc kajdanami. Ujrzała rdzawe plamy na jego przegubach i kostkach, zobaczyła troskę w oczach, serce załomotało jej gwałtownie i poczuła piekące łzy. Posłała starszemu mężczyźnie pospieszny, drżący uśmiech.

- Żałuję wszystkiego, co się stało - szepnęła.

- A ja nie. - Pierre patrzył godnie i spokojnie.

Komisarz intendenty postukał w stół i powiedział nieco kwaśnym tonem:

- Czy możemy kontynuować?

Cyrene spojrzała na siedzących przed nią ludzi. Tańczyła z wieloma z nich, śmiała się z nimi, ich żonami i córkami, dzieliła się z nimi chlebem przy stole gubernatora. Sam gubernator miał do niej wyraźną słabość. Mimo to teraz patrzyli na nią jak na obcą. Poczuła się umniejszona w sposób, jakiego nie zaznała w więziennej celi. Mogło się wydawać, że ci ludzie przestali uważać ją za osobę, jakby stała się dla nich raczej problemem, który należało rozwiązać w sposób jak najmniej kłopotliwy i nieprzyjemny.

Wezbrał w niej gniew, który powitała z radością. Wyprostowała się.

- Ta kobieta to Cyrene Nolte - mówił Rene. - Istnieją powody, by sądzić, że kieruje ona organizacją trudniącą się nielegalnym handlem. Przed sobą macie panowie księgi handlowe pisane jej ręką.

Pierre wystąpił naprzód, kołysząc łańcuchami.

- To oskarżenie jest śmieszne!

Rene zignorował go.

- Widziano ją, jak prowadziła negocjacje z kapitanem Dodsworthem, Anglikiem dowodzącym statkiem „Półksiężyc”, jak mogliśmy usłyszeć z zeznań świadka Toucheta. Ponadto, spisek, który umożliwił obrabowanie magazynu królewskiego, nosi cechy ręki kobiecej.

Porucznik, który o mały włos nie schwycił jej owej nocy, słyszał, jak wydawała rozkazy. Utrzymuję, że Cyrene Nolte jest dokładnie tym, za kogo ją uważano, przemytniczką, która musi zostać ukarana z całą surowością, ponieważ w przeciwnym razie ludzie zaczną sądzić, że jest to łatwy sposób bogacenia się.

Co robił Rene? Ze wszystkich obecnych właśnie on wiedział najlepiej, jaką pozycję zajmowała Cyrene wśród Bretonów, jak pomyslnie były jej negocjacje handlowe z angielskim kapitanem. Czyżby opuszczając Lemonniera tak bardzo zraniła jego dumę, że z zemsty pragnął ją możliwie najbardziej poniżyć? Czy też prowadził bardziej złożoną grę?

- Cyrene przyłączyła się do nas dopiero trzy lata temu - powiedział Pierre. - Handlujemy znacznie dłużej.

Rene machnął ręką pogardliwie.

- Możliwe, że handlowaliście w prosty sposób. Ale zaprzeccie, jeśli możecie, że wasze największe zyski datują się od czasu, kiedy ona zaczęła kierować wyprawami.

- Cyrene uczestniczyła w wyprawach, ale nimi nie kierowała - odparł zmęczonym głosem Pierre.

Wiedziała, że próbował ją chronić. Dla Pierre'a nigdy nie miało znaczenia, kto nimi dowodził.

- W ciągu tych ostatnich lat wasze zyski wzrosły, czyż nie? Proszę odpowiedzieć, Jeanie Breton.

Jean zrobił żalostną minę.

- Tak - wymamrotał w końcu.

- Ponieważ towarzyszyła wam ta kobieta?

- Mogło to być z tym częściowo związane, ale...

- A zatem utrzymuję, że wami kierowała. Że w istocie słyszano, jak sama nazywała siebie przemytniczką.

- Tylko żartem - zaprotestował Pierre. - To nie ona ponosi odpowiedzialność.

Bali się o nią, Pierre i Jean, bali się o to, że mogła otrzymać surową chłostę, a nawet zostać powieszona. W miarę jak Rene nadal naciskał obu braci, zaczęła

przypuszczać, że chciał, by tak właśnie się czuli. Przeprowadzono ją na salę sądową właśnie w tym a nie innym celu. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy zadał kolejne pytanie.

- Jeśli nie jest ona odpowiedzialna za wasze ostatnie sukcesy, to w takim razie kto? Istnieje tylko jedna możliwość. Kto jest waszym popiecznikiem?

- Nie ma nikogo takiego - odparł Pierre.

- Wydaje mi się, że jest. Ktoś, kto zwrócił uwagę na waszą aktywność, wasze skromne zyski, i postanowił zarobić. Powiedz nam, kim jest ten człowiek. Kto finansował wasze przedsięwzięcia, by tym samym więcej zarabiać?

Pierre, Jean, Gaston i ona byli tylko pionkami. Rene podejrzewał najwyraźniej, że ktoś, kto posiadał rozległe koneksje polityczne, najprawdopodobniej *madame la marquise* albo komisarz intendenty, finansował działalność Bretonów. Wykorzystując jeśli nie ich strach o własne życie, to uczucia, jakie żywili dla Cyrene, Lemonnier miał nadzieję wyciągnąć od nich nazwisko tej osoby, a tym samym dowieść lub zaprzeczyć oskarżeniom wymierzonym przeciwko gubernatorowi i jego żonie. W efekcie to wcale nie Bretonowie i Cyrene stali przed sądem, ale markiz i markiza de Vaudreuil.

Czy gubernator zdawał sobie z tego sprawę? Trudno było stwierdzić. Vaudreuil miał doświadczenie w politycznych potyczkach. Jego uladzona, przystojna twarz nie zdradzała niczego. Musiał jednak wiedzieć, kim był Rene, musiał widzieć jego listy uwierzytelniające. Mimo dobrodusznym uśmiechów, które posyłał na lewo i prawo, Vaudreuil nie był głupim człowiekiem.

Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Za Bretonami nikt nie stał, Cyrene mogła zaświadczyć temu swoim życiem. Jeśli nie mogli dostarczyć Lemonnierowi informacji, na której mu zależało, cóż innego pozostawało do zrobienia, jak tylko skazać ich i wykonać wyrok?

Również Pierre domyślił się implikacji postawionego

mu pytania, ponieważ odpowiedział z bezmierną rozpaczą w głosie:

- Nie ma nikogo.

- Twierdzę, że kłamiesz - powiedział cicho Rene. - Zastanów się uważnie, zanim wydasz na cierpienie siebie i bliskich ci ludzi, po to tylko, by osłaniać jakiegoś wysoko urodzonego człowieka, który pragnie wypychać sobie kieszenie kosztem waszego potu i krwi.

- Nie ma nikogo takiego, przysięgam na grób mojej matki. - Pierre mówił tak cicho, że ledwo słyszalnie.

- Dlaczego nam nie wierzysz? - krzyknął Jean.

Cyrene usłyszała dość.

Uniosła głowę, a oczy miały iskry.

- On nie wierzy, bo nie to chce usłyszeć. Mówi o innych wykorzystujących nasz pot i krew, ale sam jest gotów zrobić to samo, żeby tylko osiągnąć cel, powiekszyć własną chwałę!

- Milcz! - przerwał jej Rene, wbijając w Cyrene surowy wzrok.

- Dlaczego mam milczeć, skoro chodzi o nasze życie? - krzyknęła. - Za kogo się masz, że posługujesz się nami w ten sposób? Czy mamy się dopuścić krzywoprzysięstwa, żebyś tylko mógł dopiąć celu? Nie wiesz, że krzywoprzysięstwo jest karane śmiercią?

- Cisza - powiedział komisarz intendenty, ale niezbyt głośno.

- Będziemy zgubieni, jeśli powiemy prawdę i zgubieni, jeśli skłamiemy. Wygląda na to, że potrzebny jest kozioł ofiarny. Doskonale, dam wam go.

- Nie, Cyrene - przerwał jej Pierre, odwracając się do niej z przerażeniem. - Musicie słuchać mnie i tylko mnie - powiedział, zwracając się do Rady. - Jestem nie tylko przemytnikiem. Jestem też...

Nie mogła pozwolić mu mówić. Podniosła głos, nadając mu brzmienie ostrego sarkazmu.

- Wysłuchajcie mnie uważnie! To ja kieruję tą grupką zrozpaczonych przemytników. Ja i nikt inny! Nie stoi

za nami żaden człowiek, wysoko urodzony czy nie, ani żadna inna kobieta!

Komisarz intendenty Rouvilliere wstał z krzesła i nachylił się nad stołem.

- Kobieta? Kto mówił o innej kobiecie? Co ci o niej wiadomo? Powiesz nam to natychmiast albo wydamy cię na tortury!

Tortur nie stosowano w kolonii zbyt często, w każdym razie oficjalnie, ale w trudnych przypadkach ich groźba mogła się zawsze pojawić. Cyrene usłyszała, jak Jean jęknął bezradnie, poczuła, że blednie, ale nie dała się zastraszyć.

- Nie ma żadnej innej kobiety, czy nie słyszałeś, co mówiłam? Powiedziałam tak, bo jest oczywiste, że...

- Cyrene!

Błagalny ton w głosie Rene kazał jej zamilknąć. Błaganie malowało się też na jego twarzy, obok gniewu, irytacji i czegoś, czego nie rozumiała.

- Jest oczywiste - mówił Rouvilliere - że skandaliczne zachowanie *madame* Vaudreuil czyni ją podejrzaną.

W ciszy, która nagle zapadła, drzwi do sali otworzyły się na oścież. Rozległ się szelest jedwabnych spódnic i stukot szybkich kroków. Odwróciwszy się Cyrene ujrzała panią Vaudreuil wchodzącą do sali sądowej. Szła z głową uniesioną tak wysoko, że wstążki czepka furkotały; usta ściągnęła w wąską kreskę. Zatrzymała się dopiero przed stołem Rady. Być może tylko przypadkiem stanęła obok Cyrene, ale nie uczyniła nic, by to naprawić.

- Dlaczego tu weszłaś, *madame*? - spytał żonę gubernator. - Nic tu po tobie. Proszę nas opuścić.

- Wydaje mi się, że ta Rada szarga moje dobre imię. Będę się bronić.

- To nie jest konieczne.

Markiza zmrużyła oczy.

- Chcę mówić.

Nikt już nie próbował jej przeszkadzać. Pani Vau-

dreuil patrzyła, jak komisarz intendenty powoli siada z powrotem za stołem, rzuciła Cyrene przelotne, niemal aprobujące spojrzenie, po czym zwróciła się do Rene.

- Ta młoda kobieta mówi prawdę. Nigdy nie dałam pieniędzy ani jej, ani jej krewnym, po to, by prowadzili handel z wrogami Francji. Jestem lojalną poddaną króla. Prawa propagowane przez jego ministrów mogą nie być inteligentne, mogą mi się nie podobać, ale musiałabym być głupia, gdybym ja, żona gubernatora, je lekceważyła. Nie jestem głupią kobietą.

Pani Vaudreuil rozejrzała się, jakby w oczekiwaniu na komentarz, by móc go zmiażdżyć. Ponieważ nikt nie skomentował jej słów, ciągnęła dalej:

- Wiem, że oskarżano mnie o wiele rzeczy, ale co mnie to obchodzi? Każdy, kto sądzi, że wysoko urodzeni ludzie godzą się zarządzać odległymi koloniami, żyć w brudzie i rządzić złodziejami, wygnańcami i wyrzutkami tylko dla samej chwały, ten jest głupcem. Urząd jest jak posiadłość. Jeżeli sprawuje się go właściwie, należy się liczyć z wydatkami. Podobnie jak posiadłość, urząd powinien dawać też coś w zamian ludziom, którzy inwestują w niego czas i energię. Jeśli Luizjana nie miałaby zapewnić godziwych przychodów mojemu mężowi i mnie, w takim razie równie dobrze mogliśmy zostać w wygodnym Paryżu. To powinno być zrozumiałe dla każdego rozsądnego człowieka.

- *Madame* - zaczął Rene.

- Jeszcze nie skończyłam! Mój mąż poświęca cały swój czas na zarządzanie tą kolonią. Zapewniam państwa, że urząd gubernatora nie jest ciepłą synekurą. Wymaga wielogodzinnej pracy, mnóstwa wysiłku i cierpliwości, pisania nie kończących się sprawozdań dla tępaków w Paryżu, który oczekują po nas cudów. Mamy napełniać skarbiec korony, zapewniać mieszkańcom kolonii bezpieczeństwo i dobrobyt, utrzymywać pokój i współpracować z otaczającymi nas dzikimi, zapobiegać naporowi Anglików ze wschodu, a Hiszpanów z za-

chodu, a wszystko to przy minimalnym wsparciu ze strony króla oraz ustawicznym wtrącaniu się ludzi, którzy nigdy nie wytknęli nosa poza Francję i nie mają pojęcia o warunkach, jakie tu panują. Ponieważ mój mąż jest pochłonięty sprawami zarządzania, to właśnie ja muszę pilnować, żebyśmy nie roztrwonili naszego własnego majątku. Moim jedynym związkiem z nielegalnym handlem było dwukrotne zainwestowanie w pewne przedsięwzięcie, co miało miejsce przed pogorszeniem się stosunków z Anglią. Później przestrzegałam naturalnie konwencji wojennych regulujących te kwestie. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

Rene spojrzał markizie prosto w oczy.

- Z całym należnym szacunkiem, *madame*, to, co pani powiedziała, nie może być prawdą.

Pani Vaudreuil wyprostowała się, a w oczach zabłysła jej lodowata wściekłość.

- Czy zarzuca mi pan kłamstwo?

- Jeżeli się mylę, tysiącrotnie błagam o wybaczenie, ale miałem okazję podsłuchać, jak pani agent, Touchet, prowadził w pani imieniu nielegalną transakcję z kapitanem Dodsworthem na pokładzie „Półksiężycy”.

- Nigdy w moim imieniu!

- Obawiam się, że tak, *madame*. Transakcja dotyczyła haszyszu i innych tego rodzaju substancji.

Pani Vaudreuil odwróciła się powoli, a szerokie robrony zakołysały się majestatycznie. Odszukała wzrokiem Toucheta i wycodziła z pogardą:

- Ty gnido. Jak śmiałeś działać bez moich rozkazów? Jak śmiałeś?

- Ależ, *madame* - wykrztusił Touchet, a jego wąska twarz wykrzywiła się w panicznym strachu. - Myślałem... to znaczy, mówiła pani... rozumiałem, że każdy zysk będzie mile widziany.

- Ale nie taki, który wyrządza krzywdę mojemu mężowi, kretynie. Nie taki, który osiąga się poprzez łamanie jego najsurowszych rozkazów. Gdzie w ogóle jest ten zysk? Nie widziałam go na oczy! Jeśli zawarłeś tę trans-

akcję, zrobiłeś to na własną rękę, dla własnego zysku. Dopuszciliś się jawnego przemytu!

- Ależ, *madame*, proszę...

Markiza odwróciła się od Toucheta z gestem pogardy i oznajmiła:

- Przemyt jest przestępstwem i uważam, że ten człowiek powinien stanąć przed sądem.

Pani Vaudreuil wypierała się swego fagasa. Czy Touchet faktycznie nadużył władzy, jaką mu dała, czy też stał się kolejnym kozłem ofiarnym? Cyrene nie miała pojęcia, ale zdawało się, że skoro żona gubernatora przyznała się w tym stopniu do uganiania się za pieniędzmi, nie miała właściwie powodu, by zatajać ten ostatni szczegół. A może jednak chciała wprowadzić wszystkich w błąd? Możliwe, że prawda wyszłaby na jaw, gdyby Touchet stanął przed sądem. Należało się też jednak liczyć z ewentualnością, że tego nie dowiedzą się nigdy.

Touchet nie tryskał optymizmem. Kiedy komisarz intendentury niechętnie wydał rozkaz strażnikom, którzy ruszyli w stronę agenta, ten zaczął przeklinać i krzyczeć. Napięty, spanikowany głos odbijał się echem po sali, kiedy strażnicy ujęli nieszczęśnika pod pachy i wywlekli na zewnątrz.

Drzwi zamknęły się za Touchetem, ponownie zapadła cisza, w której żona gubernatora skinęła głową, zakręciła się na pięcie i usiadła z boku sali. Stało się jasne, że nie zamierzała wychodzić, za to każda próba skłonienia jej do tego spotkałaby się ze sprzeciwem markizy. Małżonkowie wymienili spojrzenia, po czym gubernator schylił głowę w czymś, co mogło stanowić niedostrzegalny ukłon złożony swojej pani.

- Musimy podziękować *madame* Vaudreuil zarówno za jej wkład w ten przewód sądowy, jak i za łaskawość, z jaką raczyła złożyć zeznania - oświadczył Rene kurtuazyjnie, choć nieco oschle. - Rozumiem, że ta kwestia została chwilowo rozwiązana, a więc możemy kontynuować?

Komisarz intendentury, do którego Lemonnier skierował ostatnie pytanie, poruszył się niezręcznie na krześle i skinął głową, rzucając oskarżycielowi pospieszne spojrzenie.

- Dziękuję. - Rene wystąpił do przodu, stając między stołem Rady a więźniami. - Jeśli dżentelmeni zasiadający w Radzie pozwolą, nadszedł może czas, bym poza rolą oskarżyciela przyjął w tym nietuzinkowym procesie także rolę świadka. Czy panowie pozwolą?

- Jak pan sobie życzy - odparł gubernator, a żaden z członków Rady nie wyraził sprzeciwu. Spojrzenia, jakie wymienili między sobą, mówiły same za siebie. Wszyscy wiedzieli o specjalnym statusie Rene i nie mieli ochoty, by zostało zapisane, że przeszkadzali mu w wypełnianiu obowiązków.

Obserwując tę podskórną grę, Cyrene poczuła dreszcz przerażenia. To, że Rene może być niebezpieczny, czuła już wcześniej, ale nigdy tak mocno, jak w tej chwili. Miał dziś na sobie elegancki żakiet z szarego aksamitu wyszywany srebrem, a także perukę, bez której Cyrene widywała go tak często, że sprawiał wrażenie obcego. Pomyślała przelotnie o chwilach intymności, przygodach, śmiechu, jaki dzieliła z tym człowiekiem, i wszystko to wydało się jej ulotnym snem.

Rene zaplótł ręce za plecami i powiódł po sali taksującym wzrokiem.

- Po pierwsze, jak może wszystkim państwu wiadomo, przysłano mnie tu w celu sprawdzenia pogłosek o nieprawidłowościach w zarządzaniu tą kolonią i jej finansami, ze szczególnym uwzględnieniem możliwości oficjalnego udziału w handlu z Anglikami, zabronionym edyktem królewskim. Kiedy przybyłem do Nowego Orleanu, postanowiłem dowiedzieć się jak najwięcej o pieniającym się przemyśle - jak się odbywa, kto, gdzie i kiedy się go dopuszcza - zanim posunąłbym się do wydania sądu o udziale wyższych osobistości. Z tego względu rozpocząłem okresową obserwację pewnych pośledniejszych handlarzy oskarżanych o przemyt. Wy-

brałem więźniów jako typowych przedstawicieli tej grupy; zacząłem obserwować Łódź, na której żyli oraz wszystkie ich poczynania. Najczęściej płaciłem innym za śledzenie podejrzanych, choć przez okres blisko trzech miesięcy prowadziłem nadzór osobiście, aby w pełni zapoznać się z sytuacją.

Cyrene trudno było uwierzyć, że Rene podjął się tak niebezpiecznej czynności, ale to wskazywało tylko, jak mało o nim wiedziała. Mimo to powód, dla którego, jak twierdził, wybrał Bretonów, wydawał jej się podejrzany, choć nie potrafiła stwierdzić dlaczego.

- Pewnej nocy, kiedy obserwowałem Łódź, zostałem zaatakowany od tyłu, częściowo ogłuszony, po czym ugodzony nożem w plecy. Przytomność odzyskałem w rzece. Zostałem przypadkiem uratowany przez Cyrene Nolte, jednak nie ze względów humanitarnych, ponieważ sądziła, że nie żyję, ale z powodu wyszywanego srebrem płaszcza, który miałem na sobie.

Spojrzał na Cyrene, unosząc kącik ust w lekkim uśmiechu. Gardziła nim za to, a także za to, że tak sprytnie zrzucił z siebie jakiegokolwiek zobowiązanie wobec niej za uratowanie mu życia. Nikt nie powinien posądzać go o brak wdzięczności, na Boga, nie! Jeśli jednak ujawnił tak wiele prawdy, co jeszcze zamierzał powiedzieć Radzie? Czy chciał na przykład opowiedzieć, w jaki sposób przystał do Bretonów?

- Trudno wymarzyć sobie lepszą pozycję niż moja, rannego człowieka na Łodzi. Moje rany nie należały do poważnych, ale celowo przesadzałem, by pozostać na pokładzie. Jednocześnie zacząłem zabiegać o zaufanie Bretonów i *mademoiselle* Nolte, co udało mi się do tego stopnia, że zaproponowali mi udział w wyprawie handlowej.

Znowu odszukał jej spojrzenie, a w każdym razie tak się jej zdawało. Odwróciła wzrok, a fala ulgi, jaką odczuła, wystąpiła na policzki w postaci rumieńców. Dopiero po chwili mogła skupić się znowu na słowach Rene.

- Dowody przeciwko Bretonom okazały się niezbite.

Nie czynili wielkich wysiłków, by kryć się z przemytem. Na dodatek we Francji wyszła na jaw informacja dotycząca Pierre'a Bretona, wystarczająca, by go skazać. W rzeczywistości wcale nie nazywa się Breton. On, jego brat i bratanek należą do szanowanej, można nawet rzec znakomitej rodziny, która położyła wielkie zasługi dla ustanowienia potęgi Francji w Nowym Świecie.

Stojący obok Cyrene Pierre przemówił ochrypłym głosem:

- Proszę, żeby pan przerwał, z łaski swojej. Jestem gotów przyznać się do zarzutu przemytu. Jestem gotów powiedzieć wszystko, co pan zechce oraz przyjąć pełną karę, jeśli tylko pozwoli mi pan na rozmowę na osobności.

- Żeby złożyć fałszywe oskarżenie pod własnym adresem? Nie ma takiej potrzeby. - Rene odwrócił się i nieubłagane ciągnął dalej: - Człowiek znany nam jako Pierre Breton pochodził z Nowej Francji, gdzie jego rodzina osiadła na samym początku istnienia kolonii. Miał młodą żonę, której bogaty ojciec zajmował się handlem futrami, oraz wyśmienitą wiedzę o tym dzikim kraju. Do spółki z jakimś Louistem Nolte miał też koncesję na zakładanie pułapek na zwierzęta. Pewnej zimy obaj mężczyźni wyruszyli zakładać pułapki. Zebraли więcej futer, niż kiedykolwiek marzyli. Rozpętała się czterodniowa śnieżycą, w której Pierre wyszedł z puszczy sam z futrami. Powiedział, że zawieja oddzieliła go od współnika. Kiedy ucichła, szukał go, ale bez skutku. Przez wiele miesięcy nie wiadomo nic o losach zaginionego. Wreszcie w lecie Louis powrócił, jakby z krainy zmarłych, oskarżając Pierre'a o kradzież i usiłowanie morderstwa.

Wzdłuż stołu Rady rozległ się szmer. Gubernator spojrział na Pierre'a, a Cyrene zdawało się, że markiz go rozpoznał. Z tego, co wiedziała, obaj mężczyźni po raz pierwszy stanęli w Luizjanie twarzą w twarz. Pierre zawsze unikał miasta oraz tłumu otaczającego Vaudreuila. Nie było nic dziwnego w fakcie, że markiz mógł go

pamiętać z Nowej Francji, skoro pamiętał dziadka i matkę Cyrene.

Jednocześnie trudno było uwierzyć w fakty przedstawiane przez Rene. Pierre przyjaźniący się z jej ojcem przed tyloma laty? Cyrene nigdy nie usłyszała choćby pogłoski. Nie mogła uwierzyć, że utrzymywano to przed nią w tajemnicy, nie miała pojęcia, czemu miano by to robić. Odwróciła się, by spojrzeć na Pierre'a, który wpatrywał się przed siebie, a jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z wosku. Kiedy Rene zaczął mówić dalej, zapragnęła krzyknąć, żeby przestał ich dręczyć, ale zamiast tego słuchała w napiętym skupieniu.

- Louis Nolte miał na piersiach bliznę. Miał też muskiet Pierre'a z rodzinnymi insygniami, którym ten zawsze bardzo się szczylił; Nolte oświadczył, że odebrał mu go w walce. Ponadto Louis Nolte miał na poparcie swoich słów fakt, że jego wspólnik wyszedł z zawiei z futrami. Pierre twierdził, że wypalił w obronie własnej, że Louis go zaatakował. Ale co innego miał powiedzieć? Nie potrafił podać innego powodu tej napaści, jak tylko futra, a Nolte wywodził się z rodziny, jeśli nie tak zamożnej jak Pierre'a, to na pewno równie szanowanej. Pierre został skazany na galery.

- Podobnie jednak jak udało mu się przeżyć burzę śnieżną, przeżył też tę najsurowszą z kar. Po kilku miesiącach, u wybrzeży San Domingo statek rozbił się podczas sztormu na skalach i zatonął wraz ze wszystkimi ludźmi. Z wyjątkiem Pierre'a, który dopłynął do brzegu, zostawiając tożsamość na dnie morza. Uznano go za zmarłego. Ta wiadomość dotarła do Francji w tym samym czasie, kiedy z Nowego Świata przybyła tam jego żona eskortowana przez Louisa Nolte. Początkowo udali się do Paryża, ponieważ jej ojciec musiał naturalnie pokazać się w Wersalu i złożyć hołd królowi, choć zamierzał otworzyć interes w Hawrze. Żona Pierre'a, uważając się za wdowę, wzięła cichy ślub z Louisem Nolte. Para postanowiła pozostać w Paryżu.

To pasowało. Pasowało aż zbyt dobrze. Implikacje

przekraczały niemal zdolność pojmowania, choć Cyrene robiła co w jej mocy. Nie miała jednak czasu na dokładne zastanowienie.

Rene przeszedł wolno między stołem Rady a więziami, zatrzymując się przed Jeanem. Przyglądał mu się uważnie, choć zwracał się do wszystkich.

- Pierre'owi udało się przesłać wiadomość do brata Jeana, przebywającego w Nowej Francji. Umówili się na spotkanie w Luizjanie. Przymuszczałnie wtedy właśnie Pierre dowiedział się o ponownym zamążpójściu żony. Nie mógł jej zawiadomić o tym, że żył, bez ryzyka powrotu na galery, a nawet śmierci za ucieczkę. Możliwe nawet, że postanowił, iż lepiej się stanie, jeśli będzie go uważała za zmarłego. Został Pierre'em Bretonem, handlarzem, i powodziło mu się jako tako. Minęły lata. Pewnego dnia z Francji przypłynął Louis Nolte z żoną i córką. Co się wówczas stało? Jak doszło do tego, że rodzina Nolte, w której zarówno mąż jak i żona zostali złożeni chorobą, zamieszkali na łodzi człowieka, który próbował zabić Louisa i był mężem pani Nolte? Kto umożliwił coś podobnego?

Jean patrzył Lemonnierowi w oczy spokojnie, nawet z lekkim rozbawieniem, ale nie odpowiedział. Wydawało się, że wzywa Rene do odkrycia prawdy. Stojący za nim Gaston sprawiał wrażenie równie oszołomionego, co Cyrene.

- Wróćmy jeszcze raz do Francji i przekonajmy się, czy tam uda się znaleźć odpowiedź. Louis Nolte był człowiekiem zamożnym, ale nie bogatym. Odkrył w sobie namiętność do paryskich rozrywek: drogich przyjęć, teatru, aktorek, a zwłaszcza hazardu. Pieniądze nie starczyły mu na długo, wkrótce też przepuścił posag żony oraz zasoby, które odziedziczyła po pierwszym mężu. Próbował pożyczać od teścia, ale ten był sprytnym człowiekiem; dawał córce tyle pieniędzy, by mogła utrzymać siebie i córkę, która przyszła na świat, ale Louisowi ani piasra. Nolte zaczął korzystać z usług lichwiarzy, co zawsze jest błędem. W celu spłacenia długów zaplatał

się w ciemne sprawki, między innymi w posługiwanie się fałszywymi banknotami. Z czasem opracował rozmaite metody, z których jedna opierała się na zdobywaniu zaufania nieopierzonych młodzieńców z bogatych rodzin Francji i Europy, którzy przybywali do Paryża jako centrum wszechświata, by zdobyć doświadczenie i ogłade. Jeden z takich młodych ludzi, zrozumiałwszy, że został oszukany, próbował popełnić samobójstwo. Jego rodzina przeprowadziła dochodzenie, w wyniku którego machinacje Louisa Nolte zaczęły wychodzić na jaw. Obawiając się skandalu znacznie gorszego niż ten w Nowej Francji, teść Louisa użył swoich pieniędzy i koneksji, by wysłać go do Luizjany na swoiste wygnanie. Kiedy córka starego kupca postanowiła towarzyszyć mężowi, jej ojciec umył ręce od całej rodziny.

- Od tamtego czasu minęło szesnaście lat. Luizjana, zajmująca dawniej pozycję peryferyjną, wraz z mianowaniem markiza na stanowisko gubernatora nabrała większego znaczenia. Korespondencję między kolonią a Francją wymieniano nawet co sześć miesięcy. Być może do pani Nolte dotarły pogłoski o człowieku wyglądającym dokładnie jak jej zmarły mąż. Być może sam Pierre nie mógł się powstrzymać od porozumienia się z nią za pomocą jakiegoś szyfru, jakiejś formy komunikacji. Przypuszczalnie wtedy właśnie dama ta zaczęła podawać w wątpliwość przedstawioną przez Nolte wersję wydarzeń w Nowej Francji, toteż nie powiadomiła męża o porozumieniu się z Pierre'em. Możliwe też, że doszło do konfrontacji, w wyniku której pani Nolte dowiedziała się, że Louis usiłował zabić Pierre'a dla niej, dla jej pieniędzy i miłości. Czy, uzbrojona w tę wiedzę, zmusiła męża, by razem udali się do Pierre'a, po tym, jak przybyli do Luizjany, chorzy i bez grosza? To bez znaczenia. Pani Nolte zmarła z gorączki w ramionach pierwszego męża. Mijają prawie trzy lata, dostatecznie dużo, by ustrzec się podejrzeń, po czym Louis Nolte znika cicho pewnej nocy, przypuszczalnie tonie.

- Dość! - krzyknął Pierre napiętym, rozpaczliwym

głosem. - Wypuść Cyrene i Gastona. Weź mnie, ale pozwól im odejść.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - spytał łagodnie Rene.

- Ponieważ jeśli chcesz, przyznam się nie tylko do przemytu, ale i do zamordowania Louisa Nolte. Przyznam się, że to ja dźgnąłem cię nożem i wrzuciłem do rzeki. Przysięgam, że powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, tylko pozwól młodym odejść! Nie mają z tym wszystkim nic wspólnego, szczególnie Cyrene. Przystała do nas, ale nie miała innego wyjścia. Błagam, pozwól jej odejść. Pozwól odejść im obojgu.

20

Władza, jaką król dał Rene, była najwyraźniej nieograniczona. Nikt nie starał mu się przeciwstawić, kiedy zaakceptował część oferty Pierre'a, a część odrzucił: Cyrene wyjdzie na wolność, ale Gaston nie. Lemonnier zarządził, by Jean i Gaston zostali odprowadzeni do więzienia, a Cyrene miała pójść tam po swoje rzeczy. Następnie zakończył posiedzenie Najwyższej Rady, odsyłając urzędnika, który sporządzał notatki z obrad. Rene skonfiskował je, oznajmiając, że formalnie rzecz biorąc, posiedzenie Rady w ogóle się nie odbyło. Grzecznie życzył członkom Rady miłego dnia, po czym, w towarzystwie tylko jednego strażnika, odprowadził Pierre'a na rozmowę.

Rozkazy Rene wypełniono niezwłocznie. Zanim Cyrene zdążyła dojść do siebie po wybuchu Pierre'a, odprowadzono ją do więzienia, a potem wypchnięto na Place Royale z tobołkiem ubrań.

Stała oszołomiona, nie mając pewności, dokąd iść i co robić. Po chwili ruszyła wolnym krokiem w stronę łodzi.

Wiedziała, że to wszystko kłamstwo.

Pierre nie był zdolny do zabójstwa. Mógł zranić jej ojca w obronie własnej, ale nie utopiłby go z zimną krwią, jak sugerował Rene. Nie mógł też zacząć się w mroku, żeby zaskoczyć Rene, dźgnąć go nożem w plecy i wrzucić do rzeki; to było po prostu wykluczone.

Wiedziała o tym, ponieważ widziała, jak wrzucano

Rene do rzeki. Brało w tym udział dwóch ludzi, a nie jeden. Pamiętała dokładnie, jak go nieśli, rozbujali, wrzucili do rzeki jak odpadek. Pamiętała, jak odwrócili się i pospiesznie odeszli. Nie, to nie był Pierre.

A może?

Czy mogli to zrobić Pierre i Jean? Postaci, które zapamiętała, wydawały się jej niepokojąco znajome. A kiedy bracia ujrzeli Rene na łodzi, Jean przeżegnał się, jakby potrzebował ochrony przed duchem, a Pierre nie wyglądał na zadowolonego.

Ale nie, nie mogła, nie chciała w to uwierzyć. Gdyby pragnęli śmierci Rene, co by ich powstrzymało od dokończenia dzieła, kiedy go ranili? Nic!

Co dotyczyło jej ojca, Pierre zawsze darł z nim koty; irytowało go, że pieniądze, które dostawał, trwonił na alkohol i hazard, nie robił nic, by zarobić na swoje utrzymanie, stroił się w piórka dżentelmena, żyjąc z pracy Pierre'a i Jeana. Czemu Pierre pozwalał mu mieszkać na łodzi? Początkowo musiał to robić ze względu na matkę Cyrene, a potem, być może, z powodu jej samej, ponieważ wdała się w matkę i Pierre ją polubił. Gdyby Louis Nolte odszedł, zabrałby Cyrene ze sobą, a Pierre nie chciał jej skazywać na życie w nędzy.

Cyrene żenował brak inicjatywy ojca; próbowała za wszelką cenę zrekompensować jego wady, drwiny pod adresem miejsca, w którym mieszkał, kręcenie nosem na pracę fizyczną w rodzaju oprawiania zwierząt czy czyszczenia ryb - zajęcia, które musiał wykonywać, żeby się utrzymać. Mówienie czy myślenie źle o zmarłych stanowiło bluźnierstwo, ale Cyrene łatwiej uwierzyłaby, że to jej ojciec zranił Pierre'a. Bez żadnego trudu mogła wyobrazić sobie własnego ojca w roli oszusta rozprowadzającego fałszywe pieniądze.

Fałszerstwo. Teraz przynajmniej domyślała się, czemu Rene tak chętnie i z takim uporem się nią posługiwał. Kierowała nim zemsta. Nie wymienił nazwiska ani pokrewieństwa łączącego go z młodym człowiekiem, którego jej ojciec przywiódł do próby samobójstwa, ale

mógł to być tylko brat Rene. Musiał znajdować przyjemność w braniu odwetu na niej, skoro nie mógł dosięgnąć jej ojca. Banknoty, które znalazła w żakiecie, bez wątpienia miały związek z tą sprawą. Może zamierzał zademonstrować je Louisowi Nolte, a następnie użyć swojej władzy, by postawić go przed sądem. Pozbawiony tej możliwości, skierował uwagę na Cyrene.

Jej ojciec i Pierre, obaj mężami jej matki. Cyrene nie mieściło się w głowie, że nie wiedziała, że nie usłyszała chociaż pogłosek o tej niewiarygodnej historii.

Ale oczywiście słyszała, i to niedawno. To gubernator mówił o pierwszym mężu jej matki. Nie znał kompletnej historii. Jak wielkie okazał zdziwienie, kiedy zaprzeczyła, jakoby o tym słyszała. Czemu matka jej nic nie powiedziała? Czy zanadto się wstydziła? A może wiedziała, że Pierre żyje i pilnowała, by jakaś pochopna wzmianka o nim nie wzbudziła plotek i nie doprowadziła do dochodzenia? Może dowiedziała się dopiero w Luizjanie? Później, na łodzi, matka tak ciężko zachorowała, tak szybko umarła. Możliwe, że nie starczyło jej czasu, by wytłumaczyć wszystko córce.

Pierre mógł jej powiedzieć. Jednak w Luizjanie niewiele mówiono o przeszłości. Co więcej, znając Pierre'a, podejrzewała, że wolał oszczędzić Cyrene wiedzy, że jej matka była bigamistką w oczach prawa i cudzołożnicą w oczach Boga.

Takim był człowiekiem. Miała pewność, że teraz składał zeznania, żeby ocalić ją i Gastona. Jeana oczyściłby z podejrzeń, gdyby tylko mógł, ale skoro okazało się to niemożliwe, próbował uratować młodych. Cyrene nie miała wątpliwości, że z podobnych powodów udzielał cichego przyzwolenia, by jego żona uważała go za zmarłego. Musiał nastąpić zbieg okoliczności: ktoś przypadkiem wspomniał o podobieństwie, napomknął o człowieku, który uciekł z galer, i to podsunęło jej matce myśl, że żył nadal. W odleglejszej przeszłości, kiedy Loius próbował zabić współnika podczas burzy śnieżnej, ten sam instynkt powstrzymał Pierre'a od złożenia

dokładnej relacji. Sądził, że Louis zginął z jego ręki, a ciało zostało w puszczy; nie widział powodu, by opowiadać o nim jako o niedoszłym mordercy albo żeby władze prowadziły sprawę, która została już zamknięta. Popełnił błąd, za który słono zapłacił.

Zgoda, w jego naturze leżało unikanie wyrządzania niepotrzebnych krzywd, poświęcanie własnego szczęścia, nawet życia dla dobra bliskich, ale Cyrene nie wierzyła, by te powody mogły go popchnąć do zabójstwa. Nie wierzyła, że próbował zabić Rene, bez względu na powód. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że ktoś usiłował to zrobić, w dodatku nie raz, ale dwa. Możliwe, że Pierre i Jean byli świadkami pierwszego zamachu, że z pewnych przyczyn zgodzili się pozbyć ciała. Należało wnioskować, że przyznając się do tej zbrodni, Pierre po raz kolejny próbował kogoś osłaniać. Ale kogo?

Kogo?

Cyrene zatrzymała się gwałtownie na trapie prowadzącym na łódź, tak że się zachybotał, o mały włos nie katapultując jej do wody. Odpowiedź była tak prosta, że poczuła, jakby znała ją przez cały czas, ale nie chciała jej przyjąć do wiadomości. Przeanalizowała ją, marszcząc w skupieniu brwi, oddychając głęboko z rosnącą wściekłością.

Z zaciętą twarzą weszła szybko na pokład łodzi. Wrzuciła tobołek do kajuty, rozpakowała go, kilka rzeczy wyjęła, dołożyła inne, wśród nich nóż w pochwie. Nie minęło pół godziny, jak wchodziła do pirogi, którą zacumowano przy łodzi po ich aresztowaniu. Ujęła wiosło i pomknęła rzeką.

Kiedy przebyła kilka kilometrów, zapadła noc. Przybiła do brzegu, gdzie zjadła zimny *sagamite*, nie odważywszy się rozpałać ognia w obawie przed tym, kogo lub co mógł przywabić. Otuliwszy się niedźwiedzią skórą, zwinęła się na dnie pirogi i zasnęła. Z nastaniem szarego, pochmurnego świtu ruszyła w dalszą drogę.

Mała Stopa powitała Cyrene na progu szałas. Indianka przyglądała się nadchodzącej dziewczynie z bez-

namiętną twarzą. Można się było spodziewać, że okaże zdziwienie, nawet radość, widząc Cyrene na wolności, jednak wyrażała tylko stoicką akceptację.

Cyrene uprzedziła zaproszenie do środka pytając:

- Gdzie jest twoja córka, Szybka Wiewiórka?

- A! - krzyknęła Mała Stopa, wyrażając jednocześnie gniew i niesmak. - Wiedziałam, że do tego dojdzie.

- Tak. Dlaczego się zgodziłaś?

- Poprosił o to ojciec mego syna.

Mała Stopa zaprowadziła Cyrene do szałasu córki, zawołała, prosząc o pozwolenie wejścia, po czym odeszła. Mała Stopa stanęła w wejściu i przyglądała się Cyrene przez dłuższą chwilę, zanim cofnęła się, wpuszczając ją do środka.

Wewnątrz szałasu panował mrok i dym, ale unosił się świeży zapach drewna, z którego został zbudowany. Umeblowanie było skromne: posłanie, kilka garnków i koszyków, parę wiązanek suszonych ziół zwisających z belek stropu. Na płonącym pośrodku ogniu bulgotało jedzenie. Na posłaniu leżał Louis Nolte.

Był nie ogolony, blady, a w zaczerwienionych oczach czaił się dziki wyraz, kiedy spojrzał za nią, jakby oczekując, że zobaczy tam oddział żołnierzy. Usiadł, przyciskając niedźwiedzią skórę do piersi.

- Jak mnie znalazłaś? - spytał ochryple.

- Wystarczyło pomyśleć o tym, jakim jesteś człowiekiem.

Nawet nie mrugnął.

- Komu powiedziałaś? Kto jeszcze ma tu przyjść?

- Nikt. Myśla, że nie żyjesz.

- Dobrze, dobrze. Zawsze byłaś grzeczną dziewczynką.

W jego głosie pobrzmiwało nieprzyjemne skomlenie z odcieniem przebiegłości, które wprawiło Cyrene w irytację.

- Pierre ma przez ciebie kłopoty, został aresztowany. Musisz mu pomóc.

- Szaleństwo! Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym mu pomóc?

- Ponieważ za tym wszystkim, jak chyba dobrze wiesz, stoi Lemonnier.

Louis Nolte zaklął soczyście.

- Sądziłem, że dbasz o to, żeby był zajęty.

- Najwyraźniej za słabo.

- To ja potrzebuję pomocy, Cyrene, *ma chere*. Ten człowiek chce mnie zniszczyć. To... to szaleniec, który mnie prześladowuje, przypłynął tu za mną aż z Paryża. Pragnie mojej śmierci.

- A ty? Czy nie próbowałeś go zabić?

Mężczyzna siedzący na posłaniu posłał ostre spojrzenie Szybkiej Wiewiórce, która uniosła głowę, przysłuchując się rozmowie. Dał jej znak głową i dziewczyna wyszła z szałas.

- Chyba musiałem powstrzymać Lemonniera, prawda?

- Dlaczego? Sądzono, że utonąłeś.

- To było sprytne, co? Ale on nie uwierzył. Nie chciał odejść. Przez niego musiałem zostać wśród tych dzikusów, ukrywać się w lesie jak zwierzę. Nie mogłem spotykać się z ludźmi, nie miałem jedzenia, które zasługiwałoby na to określenie, nic do picia, żadnych zabaw. To było nie do zniesienia.

Dla niego na pewno. Cyrene patrzyła na człowieka, który miał być jej ojcem i czuła wstręt. Od czasu, kiedy go ostatnio widziała, znacznie się postarzał. Miał pomarszczoną twarz i drżące ręce, typowy wygląd rozpustnika nękanego przez syfilis. Dziwiło ją, że nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

- Bałeś się Rene - powiedziała, uświadamiając sobie własne okrucieństwo.

- Tak, bałem się! Ty go nie znasz. On obserwował, stale obserwował. Nigdy nie zrezygnuje.

- Uderzyłeś go nożem w plecy, a potem uciekłeś do Pierre'a i Jeana, żeby pomogli ci się wydostać z tarapatów.

- Stanowił zagrożenie dla nas wszystkich. Gdyby wsadził mnie, Pierre'a i całą resztę do więzienia, co by się stało z tobą?

- Cała reszta siedzi teraz w więzieniu - powiedziała zimno.

- To nie moja sprawa - odparł, wzruszając ramionami.

- Rene Lemonnier siedzi im na karku, ponieważ ty zniszczyłeś jego brata.

Odwrócił wzrok przed jej czystym spojrzeniem.

- Tak ci powiedział? Obaj byli zbyt dumni. Jego brat nie powinien grać, skoro nie mógł sobie pozwolić na przegraną, nie powinien być taki ufny. Łatwowierni idioci, cała ta banda, nie dość sprytni jak na mnie.

- Nie dość sprytni, by poznać fałszywe banknoty?

- Oprócz tego Rene. Kiedy usłyszałem, że jest w Nowym Orleanie, wiedziałem, po co przyplłynął. Banknoty. Nie powinienem używać tych samych, ale miałem ich pół kufra, nigdy nie wiadomo, kiedy okażą się potrzebne. Twoja matka nie wiedziała. Gdyby wiedziała, nie przyjechałaby ze mną. Taka była.

- Rene wysledził cię w Luizjanie po pieniądzach, którymi płaciłeś w mieście.

- Wytropił mnie po trzech latach. On nigdy nie zrezygnuje.

Loius Nolte gadał dalej, powtarzając się, przeklinając samego siebie. To Jean załatwił, by Louis mógł zamieszkać u Małej Stopy. Nolte popłynął z nią i jej córką nad Zatokę, na spotkanie z Pierre'em i Jeanem, dlatego Indianka nie chciała wpuścić Cyrene do szałasów. Uwiódł Szybką Wiewiórkę świecidełkami i miłymi słówkami. Bawiło go to przez pewien czas, szczególnie dlatego, że Mała Stopa się wściekała. Wkrótce jednak zaczął się nudzić. Usłyszawszy, że Cyrene została kochanką Rene, wpadł w zachwyt Sądził, że Lemonnier nasyci się taką zemstą i wreszcie da mu spokój. Ale nie, wszedł głębiej w społeczność miasta i nadal rozsyłał szpiegów.

- Dlatego wynająłeś rzezimieszków, którzy napadli go znowu - powiedziała Cyrene. - Tak jak nasłałeś na niego zabójcę, kiedy Rene leżał ranny na łożu.

- Wszystko wtedy zepsułaś. Dlaczego? Chciałem tylko usunąć cię z drogi, żeby tamci mogli zabić Lemonniera.

Czy mówił prawdę? Musnęła palcami siniak, który nadal widniał pod skórą policzka. Nie można było mieć pewności, co by jej zrobił, gdyby mu się przeciwstawiła. W każdym razie nie miało to już znaczenia.

- Posłuchaj. Pierre, Jean i Gaston siedzą w więzieniu, ale Rene zależy na tobie. Ma władzę, by ich uwolnić, i możliwe, że zrobiłby to, gdybyś oddał się w jego ręce.

- Oddać się w jego ręce?! - Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

- Jesteś to winien Pierre'owi i pozostałym.

- Nic im nie jestem winien!

- Przed wielu laty skrzywdziłeś Pierre'a, posłałeś go na galery, zabrałeś mu futra i żonę. Teraz Rene prześladowuje nas za to, co zrobiłeś jego bratu, a Pierre znowu bierze winę na siebie, żeby mnie ochraniać. Jeśli chociaż trochę jesteś mężczyzną, postąpisz właściwie.

- Masz mnie za półgłówka? Co mnie obchodzi los Pierre'a?

- Wiesz, że uciekł z galer. Powiesz go! Ciebie tylko odwiozą do Francji i osądzą za fałszerstwo.

- Tak, a potem powiesz albo osadzą w Bastylli, co samo w sobie stanowi wyrok śmierci.

- Pozwolisz, żeby Pierre zginął za ciebie?

- Ależ oczywiście!

- Ale ja nie, nie po tym, co zrobił. Jeśli nie oddasz się w ręce Rene, będę musiała mu powiedzieć, gdzie się ukryłeś.

- Moja własna córka? - krzyknął z niedowierzaniem.

Stała tak, patrząc w jego wodniste oczy, a podejrzenie, jakie w niej zakiełkowało, kiedy słuchała wywodów Rene przed Radą, zamieniło się w pewność.

- Ależ właśnie w tym rzecz. Nie jestem twoją córką - powiedziała powoli.

- Co za bzdura! Naturalnie, że jesteś!

- Być może w sensie prawnym. Zawsze jednak wiedziałam, że poślubiłeś moją matkę zaledwie na miesiąc przed moim urodzeniem. Sądziłam, że, tak jak w przy-

padku tyłu innych, była to przymusowa wyprawa do ołtarza, że przeze mnie matka nie była szczęśliwa. Ale było inaczej, prawda? Kiedy zaczęła się domyślać, co zrobięś?

- Dość wcześnie, ale ona nie miała twojej wojowniczej natury - odparł, wykrzywiając wargi w uśmiechu. - Winiła siebie, myśląc, że musiała coś zrobić, skoro pokochałem ją na tyle, by próbować zabić Pierre'a.

- A w rzeczywistości chodziło o pieniądze i futra dziadka.

- Jak niewiele wiesz o mężczyznach czy miłości, jeśli tak myślisz. Oczywiście, że pieniądze i futra się liczyły, o tak. Ale twoja matka nie żyje, a jeśli Lemonnier nie odpłynie wkrótce do Paryża, podzieli jej los. Twój dziadek, chciwy, stary sukinsyn, nie może żyć wiecznie. Ciekawe, co by się stało z jego majątkiem, gdybyś zginęła w puszczy, padając ofiarą dzikich w ostatnich zamieszkach pośród Choctawów? Gdybym ja pojawił się w Nowym Orleanie, cudownie ocalony?

Nie był normalny; mógł to być efekt syfilisu, ale raczej jakaś zadawniona choroba. Zapadła cisza, w której Cyrene słyszała wiatr wyjący w gałęziach drzew, rozmowę dobiegającą z sąsiedniego szałasu i odległe szczekanie psów.

Nolte zaczynał się niepokoić. Musiała się odezwać.

- Przypuszczam, że zostałbyś spadkobiercą, skoro wszyscy sądzą, że jesteśmy spokrewnieni, ale ja nie zginę.

- Na pewno, *chere*? Na pewno? Jesteś taka uparta i lekkomyślna, przychodząc tu sama, a życie jest takie niepewne.

Patrząc, jak wyjmuje spod niedźwiedziej skóry nóż, którego polerowane ostrze zaślniło w słabym świetle szałasu, nie czuła strachu, gniewu ani zdziwienia, a tylko zimną, intensywną pogardę. Sięgnęła po nóż ukryty pośród spódnic. Dotyk solidnej rękojeści dodał jej otuchy, kiedy wyjęła nóż z pochwy i wymierzyła migoczący czubek w Louisa Nolte.

- Miałeś rację, mam wojowniczą naturę - powiedziała.

Zaśmiał się wstając z posłania, ubrany tylko w spodnie.

- Być może, ale nie możesz się mierzyć z mężczyzną.

- Tak myślisz? - Odsunęła się od niego, żeby uzyskać przestrzeń, szybkim spojrzeniem oceniając ewentualne przeszkody i odległość od drzwi, jak uczyli ją Gaston i Pierre, by potrafiła pozbywać się namolnych wielbieli.

- Jestem wyższy, lepiej zbudowany i mam dłuższe ręce.

- Raz próbowałeś zabić Pierre'a, trzy razy Rene, a jakoś obaj żyją. Spodziewam się, że i mnie się uda.

Skoczył na nią, a nóż zatoczył srebrny łuk w kierunku jej brzucha. Odkoczyła na bok, czując powiew powietrza przeciętego ostrzem. Wypełniła ją gorączkowa, podszyta lękiem radość. Nie miał ani trochę siły i zwinności Gastona, niewiele z jego ostrożnego sprytu.

- Starzejesz się - zaszydziła. - Jesteś stary i schorowany.

- Już dawno temu powinienem był cię usunąć z drogi. - Zrobił unik, a potem dźgnął od dołu.

Okręciła się na pięcie, uskoczyła na drugą stronę ogniska, rzucając Louisowi kpiące spojrzenie. Kiedy ruszył na nią, wsunęła stopę obutą w skórzany mokasyn w popiół i cisnęła mu w twarz kawałki gorących, dymiących węgli. Wrzasnął, podrywając do góry wolną dłoń, a ona, korzystając z okazji, wymierzyła cios w uzbrojoną rękę. Odchylił się w tył, ale czubek noża Cyrene przesunął mu się po ramieniu, zostawiając czerwoną smugę.

- Ty mała suko - wrzasnął, rzucając się na nią z szaleństwem w oczach.

Już wtedy mogła z nim skończyć. Wystarczyło odsunąć się na bok, uchylić się przed ostrzem i pozwolić, by Louis się nadział na jej nóż. Ale Cyrene miała rację; ten człowiek był szalony i chory. Bez względu na to, co

zrobił lub zamierzał zrobić w przyszłości, nie do niej należało wykonanie wyroku.

Skoczyła w stronę postłania i niedźwiedziej skóry leżącej częściowo na nim, częściowo na klepisku. Podniosła ją lewą ręką, zarzucając sobie na ramię. Uzmysłowała sobie, że nadeszła chwila największego niebezpieczeństwa, kiedy straciła chęć zabicia Louisa; chciała go tylko rozbroić i zabrać do miasta, żeby wytłumaczyć gubernatorowi i Radzie, kim był i co zrobił.

Louis Nolte zamierzał ją pokonać szybkością i siłą, ale nie mógł tego uczynić. Ból, jaki mu zadała, tak bardzo go upokarzał, jej uniki stanowiły źródło takiej frustracji, że porzucił zadziorną pewność siebie, by skupić się i zademonstrować Cyrene, że mógł ją pokonać. Stał się zręczniejszy i bardziej niebezpieczny.

Cofała się zręcznie, nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Dwukrotnie obroniła się niedźwiedzią skórą przed błyskającym ostrzem. Dwukrotnie uniknęła pałapek, które Nolte na nią zastawił: kął szałas oraz pałak nad ogniskiem, na którym wieszano garnki. Ciężar niedźwiedziej skóry męczył ją i przyprawiał o ból ramienia. Jej koniec wyslizgnął się Cyrene z dłoni, opadając na klepisko. Potknęła się o niego.

Nolte skoczył na nią. Błyskawicznie machnęła skórą, tak że oplotła jego głowę i ramiona jak grubą siecią. Cyrene schyliła się szybko, wysunęła nogę i podcięła przeciwnika. Runął w przód. Okręciła się, chcąc uchylić się przed jego upadkiem, ale Louis zdążył ją złapać. Potknęła się i poleciała razem z nim na twarde klepisko.

Uderzywszy o ziemię, straciła oddech w bezgłośnym stęknięciu. Czuła ból w ramieniu, biodrze oraz kolanach, na które upadła. Spróbowała wyrwać się z uchwytu Louisa, a on, dysząc przekleństwa, zaczął się z nią szamotać; zerwał sobie skórę z głowy i cisnął ją do ognia. Wdychając ostrą woń palącego się futra, Cyrene walczyła z człowiekiem, którego dawniej uważała za swego ojca. Uniósł nóż, a ona złapała go za przegub lewą

ręką, szczerząc zęby w grymasie wysiłku. Pot pokrył mu czoło, przylegając do brwi. Ręka, którą odsuwała od siebie nóż, zaczęła jej drżeć.

Mała Stopa stała gdzieś przed szafasem. Indianka przyszłaby Cyrene z pomocą, gdyby wiedziała, że ona jej potrzebuje. Ale czy na pewno? Tak czy inaczej, Cyrene brakowało tchu, by krzyknąć.

Wyrwała się w tył i w przód, opierając się stopami o klepisko, rozpaczliwie usiłując odepchnąć Louisa od siebie. Bez powodzenia. Dotknęła stopą płonącą niedźwiedziej skóry. Wsunęła pod nią mokasyn i kopnęła, zarzucając skórę na nich.

Poczuła żar przez spódnice, ujrzała blask, kiedy materiał zajął się ogniem. Nolte miał gołe nogi poniżej kolan. Wrzasnął ochryple, odrywając się od niej gwałtownie. Cyrene pchnęła go i cofnęła się, a on poleciał na plecy. Wstała zataczając się, tłukąc niebieskie płomienie, które lizały jej spódnice.

Nolte spróbował wstać, ale runął na klepisko. Upuścił nóż i złapał się za nogę.

- Cyrene... pomóż. Pomóż mi.

Wyprostowała się, przyglądając mu się uważnie. Ścisnęła mocniej nóż. Niedźwiedzia skóra dymiła na ziemi obok Louisa.

- Węgielek przyczepił mi się do nogi. - Szarpał się spazmatycznie. - Zdejmij go, zdejmij!

Podeszła bliżej.

- Pospiesz się... proszę.

Nie ufała mu, ale ta nieufność była czymś nowym, podczas gdy Nolte już od wielu lat stanowił część jej życia. Trzymając nóż w pogotowiu podeszła bliżej i klęknięła przy nim na kolano.

Nolte zmrużył oczy. Puścił nogę, sięgając jednocześnie węzowym ruchem po nóż. Drzwi szafasu otworzyły się i we wpadającym świetle Cyrene ujrzała błyszczące ostrze wzniesione do morderczego ciosu.

Zastawił pułapkę, ale ona była przygotowana. Uniosła ramię, mierząc prosto w serce.

- Nie!

Ten krzyk przerażenia rozległ się przy wejściu. Dało się słyszeć trzepotanie, niczym odgłos gołębic skrzydeł, a potem głucho uderzenie. Nolte padł na plecy ze zduszonym okrzykiem, rozrzucając szeroko ramiona. W piersi, tuż pod mostkiem, drżał nóż.

Nóż Cyrene przeszył tylko powietrze. Odzyskała równowagę i odwróciła się do wejścia.

W progu kucał starszy z Bretonów, a za nim stali Rene, Jean i Gaston.

- Pierre - szepnęła, a potem dodała słowo, które samo cisnęło się na usta. - Tato.

Twarz Pierre'a wykrzywił skurcz. Zrobił krok do wnętrza szafasu, potem drugi. Zatrzymał się. Cyrene wstała. Ruszyła ku niemu, potem stanęła niezdecydowana. Patrzyła w twarz człowieka, który jej ojcował, i zobaczyła, jak łzy wzbierają powoli w jego jasnych, niebieskich oczach.

- Tato - powiedziała znowu.

Rozłożył ramiona. Podbiegła, znajdując w nich delikatne ukojenie i spokojne, mocne oparcie.

Tydzień później, po skazaniu Toucheta na galery, Rene przyszedł się oświadczyć.

Miał na sobie oficjalny strój, złożony z peruki i *justaucorps* z niebieskiego aksamitu. Buty lśniły srebrnymi sprzączkami, a trójgraniasty kapelusz, który trzymał pod pachą, zdobiło białe pióro. Wyglądał równie nie na miejscu, co diament na kupie gnoju. Nie znaczyło to wcale, że Cyrene uważała kajutę za kupę gnoju, ale splendor Rene zdawał się być przesadny; stanowił jaszkrawe przypomnienie dzielących ich różnic.

Przygotowywała wieczorny posiłek. Piekła biszkopty, które mieli zjeść z gulaszem w wiewiórek, pyrkającym na ogniu. Pierre strugał na pokładzie drewniane łyżki. Jean i Gaston popłynęli zastawiać haczyki na zębaczce, ponieważ ustalono, że z przemytem koniec, przynajmniej na jakiś czas.

Cyrene miesiła na stole ciasto na biszkopty, kiedy Rene przestąpił próg kajuty. Zapatrzyła się w niego, aż oczy zaczęły ją piec, w końcu opuściła głowę i wróciła do przerwanej pracy. Wsunęła surowy biszkopt do natłuszczonego piekarnika, po czym zaczęła formować kolejny.

- Jak się masz, Cyrene? - spytał. Schudła, twarz stała się bardziej pociągła. To on się do tego przyczynił i ta świadomość napełniała go bólem.

- W porządku. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Coś w jego głosie kazało jej pospiesznie mówić dalej.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Myślałam o tym, żeby przesłać ci od nas wszystkich wyrazy wdzięczności za ułaskawienie.

- To drobiazg. Mam nadzieję, że nie mieliście żadnych kłopotów ze strony znajomych Pierre'a?

- Nie. Uważają pewnie, że jeśli Bretonowie odzyskali wolność za pewne usługi, to nie Pierre je świadczył.

Nadała głosowi wystudiowane neutralne brzmienie, które wydało się Rene jeszcze bardziej znaczące niż gorzka uraza.

- Przykro mi.

Wzruszyła ramionami nie patrząc w jego stronę.

- Stwierdziłem, że Pierre, stary, szchwany lis, nie powiedział mi wiele więcej, niż sam mógłbym odkryć, gdybym dysponował czasem, oczywiście z wyjątkiem tego, gdzie ukrywał się Nolte.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała z przelotnym uśmiechem.

- Nie.

Poczuła się niezręcznie, kiedy stał przed nią tak oficjalnie.

- Jeśli masz ochotę usiąść, tam przy ogniu jest stołek.

- Nie zrobię tego, póki ty stoisz.

- To mi naprawdę nie robi różnicy.

- Ale mnie tak - odparł z uśmiechem.

Dokończyła formowanie biszkoptów, potem oczyściła

ręce, trąc je o siebie, aż ciasto odpadło i umyła je w garnku z wodą. Połała biszkopty roztopionym smalcem, żeby się równo przybrązowiły, przykryła rondel pokrywką i zaniósła go do paleniska. Odgarnąwszy na bok węgle, umieściła ciężki rondel w gorącym popiele i przykryła go węglami. Sprawdziła gulasz, mieszając gęsty, brązowy sos pachnący cebulą, czosnkiem i papryką. Gotował się należycie, mięso miękło. Wróciwszy do stołu zaczęła sprzątać.

- Czy mogłabyś przerwać na chwilę? - spytał Rene. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Myślałam, że właśnie to robimy. - Sięgnęła po wilgotną ściereczkę i zaczęła uprzątać rozsypaną mąkę. Nie patrzyła na Rene, ponieważ bała się tego, co mogła zobaczyć. Czego mógł chcieć? Mówił tak poważnie, a jednocześnie osobiście. Gdyby miał czelność poprosić, żeby znowu została jego kochanką, nie mogła ręczyć za swoje czyny.

Głęboko odetchnął.

- Dobrze więc. Wiesz chyba, że kiedy stanęliście przed Radą, żadne niebezpieczeństwo nie groziło ani tobie, ani nikomu z was, że nigdy nie skrzywdziłbym ciebie ani twoich bliskich?

- Teraz mogę to wiedzieć. Wtedy nie wiedziałam, oni też.

- Jest mi bardziej przykro, niż potrafię wyrazić, za to, na co was naraziłem, ale musiałem wykonać swoją pracę. Musiałem się dowiedzieć, co powiedzą Vaudreuilowie, kiedy zostaną skonfrontowani z przewinieniem Toucheta.

- A teraz jesteś zadowolony?

- Mniej więcej. W tej administracji bez wątpienia istnieją nadużycia, ale nie sposób mówić o zdradzie, ani nie ma powodu, by sądzić, że następca spisywałby się lepiej. Odkąd Touchet znalazł się na galerach, można mieć nadzieję, że liczba podobnych nadużyć się zmniejszy.

- A zatem twój gambit się powiódł.

- Nie, jeśli w jego wyniku stracę ciebie.
- Nie możesz mnie stracić - odparła spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. - W tym sensie, jaki masz na myśli, nigdy nie należałam do ciebie.

- Możliwe, nie mam zamiaru się o to spierać. Próbuję tylko powiedzieć, że chcę cię mieć zawsze przy sobie. Chcę, żebyś została moją żoną.

- To największa obraza... twoją czym?

W każdym razie udało mu się wyrwać ją z tego przekłętą spokoju. Kiedy dała wyraz wzburzeniu, poczuł się lepiej, bo jego serce wprost rozsadzało mu pierś.

- Chcę, żebyś została moją żoną. Rozmawiałem z twoim ojcem. Wie, że jako drugi syn mogę na razie liczyć zaledwie na kawałek ziemi ojca, ale ufam, że król nada mi ziemię tu, w Luizjanie, w uznaniu zasług, jakie mu wyświadczyłem. Chciałbym, żebyś dzieliła ze mną tę posiadłość, żebyś pomogła mi zbudować coś wartościowego w Nowym Świecie. O tym właśnie mówiłaś, o posiadaniu kawałka ziemi. Twój ojciec i inni zawsze będą tam mile widziani. Jeśli się zgodzisz, przez resztę życia jestem gotów wynagradzać...

- Nie.

- Wiem, że nie masz powodu, by ufać mi jako mężowi. To król wpadł na pomysł, żeby stworzyć mi reputację kobieciarza. W ten sposób moja niesława miała stać się większa, a atrakcyjność dla żony gubernatora pewniejsza. Poza tym sądzę też, że bawiło go uczynienie mnie libertynem dla dobra Francji, kiedy tak wielu twierdzi, że jego własny libertynizm przynosi jej szkodę. Przysięgam, że mój charakter nie jest taki, i przyrzekam ci wierność.

Odrzuciła szmatkę odwracając się od Rene.

- Twoje przysięgi, podobnie jak twoja reputacja mnie nie interesują. Nie chcę od ciebie żadnej rekompensaty.

- Wiem, że masz prawo do goryczy, ale nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Chcę się tylko tobą zaopiekować, chcę...

- Proszę! - powiedziała cierpko, zaciskając w pięści dłonie ukryte w spódnicach. - Sama mogę się sobą zaopiekować. Nie jesteś mi nic winien. Co się stało, to się stało. Osiągnąłeś cel, w jakim tu przybyłeś, twój brat został pomszczony, twoja misja została zakończona. Najlepiej by się stało, gdybyś wrócił do Francji i zapomniał o wszystkim.

- Czy to właśnie zamierzasz zrobić? Zapomnieć?

Odwróciła się i spojrzała na Rene pociemniałymi, ale spokojnymi oczami.

- Jak najszybciej.

Chciał ją wziąć w ramiona i potrząsnąć albo pocałować tak, by omdlała z braku tchu. Powstrzymało go od tego jej dumne przekrzywienie głowy, a także jego własne poczucie winy. Zranił ten pogodny szacunek do samej siebie, który stanowił nieodłączną część natury Cyrene. Nawet gdyby mógł ją zmusić do kapitulacji, nie chciał tego robić. Nie chciał uciekać się do przemocy fizycznej, chyba że okazałaby się absolutnie niezbędna.

- W takim razie - powiedział, schylając głowę w ukłonie - zostawiam cię samą.

Cyrene nie odprowadziła go wzrokiem, ponieważ oczy miała pełne łez.

Bretonowie i Cyrene siedzieli przy stole, kiedy przyszedł posłaniec od gubernatora. Markiz prosił *mademoiselle* Cyrene na rozmowę w ważnej sprawie. Czy uczyniłaby mu ten zaszczyt i przybyła najszybciej jak to możliwe, najlepiej w ciągu godziny?

Prośba równała się rozkazowi. Nie miała pewności, czy gdyby nie stawiała się w rozsądnym terminie, gubernator nie przysłałby zbrojnej eskorty. Naturalnie nie było mowy o zignorowaniu jego prośby. Pośrednio przysporzyła markizowi i jego żonie niemałych kłopotów, toteż nie mogła przepuścić okazji, by jakoś im to wynagrodzić, choćby tylko szybkim przybyciem.

Kiedy stawiała się w rezydencji, markiz de Vaudreuil był w gabinecie. Jego żona zabawiała gości w salonie,

ale wyszła, by powitać Cyrene z najwyższą serdecznością, po czym zaprowadziła ją do pokoju, gdzie pracował mąż.

- Mój mąż chce pomówić z panią sam na sam, *mademoiselle*. Ufam, że dokładnie przemyśli pani jego prośbę - powiedziała markiza z zamyśleniem.

- Z ochotą, ale czy mogłabym wiedzieć, co to za prośba?

- Sam to pani powie, ale proszę mi wierzyć, że nie traktuje tej sprawy lekko.

- Tak - odparła Cyrene, nie mając pojęcia, co o tym myśleć, ani nie ufając w pełni uśmiechowi, którym obdarzyła ją markiza. Nie było jednak czasu na dalsze spekulacje. Pani Vaudreuil przekręciła klamkę gabinetu. Wsunęła głowę przez drzwi, zapowiedziała Cyrene, po czym z szybkim, konspiracyjnym mrugnięciem wycofała się i wróciła do salonu.

Cyrene pchnęła drzwi i weszła do gabinetu. Markiz odłożył arkusz papieru, który studiował, po czym podszedł, by skłonić się nad jej dłonią. Przed małym ogniem stały dwa fotele; markiz zaprowadził ją do jednego, po czym, odchylając poły żakietu, zagłębił się wdzięcznie w drugim. Wyjął tabakierę, zażył szczyptę, zatrzasnął wieczko, następnie kichnął w chusteczkę. Schował tabakierę do kieszeni kamizelki.

- To miło z pani strony, że przyszła pani tak szybko. Nie prosiłbym z tak małym wyprzedzeniem, ale sprawa jest dość nagląca.

- To drobiazg. Czym mogę służyć?

- Niejednym, *mademoiselle*, niejednym - odparł z uśmiechem. - Czy pamięta pani o naszym przedstawieniu?

- Oczywiście.

- Nikt nie potrafi grać omdlewającej z miłości kochanki lepiej niż pani. Nie wątpię, że właśnie dlatego oszczędzono pani więzienia i innych nieprzyjemności. Jeśli nie chcemy zaprzepaścić dotychczasowych dokonań, musimy niezwłocznie wznowić próby.

To była ta nagła sprawa? Cyrene zrobiła wszystko, by ukryć zdziwienie, choć w jej głosie zabrzmiała lekka irytacja:

- Dziś wieczorem?

- Niestety nie - odparł gubernator, opuszczając w zamyśleniu powieki. - Widzi pani, jeden z naszych głównych aktorów zamierza nas opuścić.

Cyrene zaczęła podejrzewać, że gubernator bawi się jej kosztem. Ujrzała w jego oczach błysk śmiechu, który markiz jednak natychmiast stłumił.

- Kto taki?

- Lemonnier. Z jakiegoś powodu zapałał nagle antypatią do naszej pięknej Luizjany. Doszły nas wieści, że „Le Parham” musiał zostać w Belize kilka dni dłużej, ponieważ należało wymienić wadliwy maszt, który odkryto już podczas rejsu w dół rzeki. To szczęście, że nie wypłynęli z tym defektem do Zatoki, prawda? Jednak w wyniku tej awarii Lemonnier zamierza sam udać się do Belize, by wsiąść na statek, którym chce odpłynąć do Francji. Nie można mu na to pozwolić.

- Z powodu przedstawienia?

- To niezwykle zabawna sztuka, prawda? Ale nie. Potrzebujemy wszystkich kolonistów, jakich zdołamy pozyskać. Do dzisiejszego popołudnia Lemonnier miał dalekosiężne plany posiadaczem ziemskim, eksporterem indygo i świec woskowych, człowiekiem zamożnym i szanowanym, silną podporą naszej społeczności. Teraz wyjeżdża, a ja zapytuję siebie dlaczego. Pytam sam siebie, jak można by go skłonić do pozostania. Pani jest odpowiedzią, *mademoiselle*.

- Ja? Ależ to absurd.

- Czyżby? Czy może pani zaprzeczyć, że gdyby zgodziła się pani go poślubić, zostałby tu, by realizować plany, o których mówiłem?

- W jaki sposób...

- Proszę nie zaprzętać sobie głowy takimi pytaniami. Czy może pani zaprzeczyć?

Markiz był, na swój sposób, groźnym człowiekiem.

Ukrywał to dobrze pod maską pełnej wdzięku pewności, niemniej jednak był groźny.

- Nie - odparła krótko. - Ale on też nie ma wielkiej ochoty na poślubienie mnie i osiedlenie się tutaj.

- Przecież się pani oświadczył, czyż nie?

- No... tak.

- Czemu nie mogła się pani zgodzić?

- Ponieważ on nie chciał...

- Nonsens! Stało się tak, bo nie czuła się pani godna, a raczej, że on nie uważał, by była pani godna, a mimo to poprosił panią o rękę. Innymi słowy, kierowała się pani dumą.

- Nie mam zamiaru dopuścić, by mnie ktoś poślubił z obowiązku czy litości!

- Niewielu mężczyzn czuje się w obowiązku poślubić swe kochanki. Powinna była pani rzucić mu się w ramiona z okrzykami radości i obsypać go słodkimi pocałunkami.

- Dlatego, że jest zamożnym człowiekiem, który czyni mi ten honor, że chce poprawić położenie, w jakie wcisnął mnie siłą? Ma pan bardzo dziwne pojęcie o szczęśliwym małżeństwie!

Markiz uniósł rękę.

- O, szczęście to zupełnie inna sprawa. Małżeństwo jest przymierzem. Powszechnie żywi się nadzieję, że przymierze takie przyniesie korzyść największej liczbie ludzi, przy czym mąż i żona mogą przypadkowo należeć do tej grupy.

- Według pana, mam za niego wyjść dla dobra pańskiego przedstawienia i kolonii?

- Można to tak określić - odparł, chyląc łaskawie głowę.

- Marnuje pan czas - powiedziała z odcieniem triumfu. - Lemonnier nie oświadczy się drugi raz.

- Obawiam się, że nie. Mógłby jednak posłuchać, gdyby pani go poprosiła.

Cyrene poczuła, że płonie jej twarz, ale zignorowała to.

- Teraz, kiedy pakuje się, żeby wrócić do Francji? Czemu miałyby mnie posłuchać?

- Ponieważ panią kocha.

- Och, proszę, to nie jest żaden argument.

- Tak się składa, że to prawda. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka równie rozdartego między podszeptami serca a poczuciem obowiązku wobec króla. Rozdarcie to popchnęło Lemonnier'a do podjęcia drastycznych środków, by szybko rozwiązać problem dowiedzenia lojalności mojej i mojej żony.

- Pan wiedział, co on robi?

- Nie wiedziałem, ale podejrzewałem.

- I pozwolił mu pan?

Markiz machnął ręką.

- Nie mogłem go powstrzymać. Zresztą Lemonnier i ja wiemy, że te kwestie są rozstrzygane nie na podstawie zasługi lub jej braku, ale na podstawie wpływów. Nasz system jest pożałowania godny, nawet zepsuty, ale tak właśnie funkcjonuje. Jako przedstawiciel Francji jestem dumny, że sprawuję rządy w imieniu mego króla najlepiej, jak tylko potrafię. To lepsze niż status pochlebcy na dworze, walczącego o zaszczyt trzymania miski króla, kiedy jest chory.

Cyrene wróciła do tego, co powiedział wcześniej, wreszcie zdolna stawić temu czoło.

- Rene nie czuje do mnie miłości, a tylko pożądanie.

- Równie silna emocja.

- Ale słaba podstawa małżeństwa.

- Bez pożądania może być marnie. Obawiam się jednak, że jeśli nie wyjdiesz za mąż, będziesz musiała ponieść konsekwencje.

- Konsekwencje? - powtórzyła ostrym tonem, czując, że doszli wreszcie do sedna.

- Obawiam się, że Lemonnier jest nieco bezwzględny. Zabrał z Francji dwa *lettres de cachet* in blanco, podpisane przez króla. To bardzo wygodna rzecz. Posiadacz takiego listu może wpisać nazwisko dowolnej osoby i umieścić ją w areszcie na okres nieokreślony.

Wpatrywała się w gubernatora, nie wierząc własnym uszom.

- Chce pan powiedzieć, że Rene...
- Tak to zrozumiałem.
- Nie może tego zrobić!
- Może. Podpis króla nakazuje wszystkim władzom, włącznie ze mną, pomóc Lemonnierowi uwięzić osobę, którą wskaże.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- Czemu pan mi to mówi? Jeśli to prawda, czemu mnie pan od razu nie zaaresztuje?

- Ponieważ jest pani piękną kobietą i lubię panią, ale także dlatego, że Lemonnier posłuży się *lettre de cachet*, żeby stąd panią zabrać, a jest tu pani potrzebna nie mniej niż on. Przyszło mi na myśl, że gdyby postanowiła pani za niego wyjść, gdyby pani poszła do Rene i mu to oznajmiła, może oboje byście zostali.

Cyrene wstała z fotela.

- Owszem, pójdę do niego i bardzo możliwe, że Lemonnier zostanie w Luizjanie, ale nie w sposób, jaki pan ma na myśli. Kiedy osiągnę swój cel, będzie mi potrzebna ziemia w Luizjanie, ale na własny grób!

Gniewne myśli Cyrene towarzyszyły jej szybkim krokiem, kiedy szła z rezydencji gubernatora do domu Rene. Co za perfidia, w taki sposób planować jej usunięcie z Luizjany! To było niewiarygodne, niewybaczalne. Kiedy zamierzał przysłać po nią żołnierzy? W środku nocy? To więcej niż pewne, że nie miałyby czasu, żeby się pożegnać ani się spakować; to w jego stylu. Dokąd by ją zabrał? Do *chateau* ojca? A co potem? Czy zostałyby więźniarką na resztę życia, trzymaną pod kluczem z wyjątkiem okazji, kiedy wypuszczalby ją na wolność? Czy odwiedzałby ją, żeby się nasycić, czy też pozwoliłby, by siedziała sama w zapomnieniu? Wolała by umrzeć niż dać się wepchnąć w takie życie.

Nie, musiała go zabić.

Martha wpuściła Cyrene, spojrzała na jej zarumienioną twarz, po czym wycofała się do kuchni. Cyrene

weszła do salonu i ruszyła w stronę Rene, który stał przed kominkiem z założonymi do tyłu rękami. Przyglądał się jej ostrożnie.

- Przychodzę prosto od gubernatora - powiedziała bez wstępu.

- Mam nadzieję, że znalazłaś go w dobrym zdrowiu.

- Och, daj sobie spokój z grzecznościami - odparła zjadliwie. - Usłyszałam od niego niesłychaną historię i chciałabym, żebyś ją wyjaśnił.

- Historię?

- *O lettre de cachet.*

- Aha. O co chodzi?

- Czy to prawda? - spytała podchodząc bliżej z pałającymi oczami.

- A jeśli tak?

- W takim razie jest to najbardziej ohydny i haniebny podstęp, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

- Dlatego, że chcę cię mieć?

- Przyznajesz się! Nie mogłam w to uwierzyć. Sądzę, że to kłamstwo, jakaś bajeczka, która miała sprawić, żebym tu przyszła. Powinnaś wiedzieć, że to w twoim stylu, typowa despotyczna taktyka, dzięki której chciałeś osiągnąć cel! Dobry Boże, czy ty przed niczym się nie cofniesz?

- Poprosiłem cię o rękę, a ty odmówiłaś - powiedział Rene z ponurą miną.

- To nie daje ci prawa do brania mnie wbrew mojej woli!

- Nikt nie musi mi dawać takiego prawa. Mam za sobą władzę króla.

- Którą posłużyłeś się dla prywatnej zemsty!

Pod ogorzałą skórą Rene pojawił się rumieniec.

- Jeszcze nie, ale sprowokuj mnie, a to zrobię!

- Rzeczywiście, jeszcze nie! A czemuż wzięłaś mnie sobie na kochankę?

- Ponieważ potrzebowałem cię bardziej niż honoru. Bo bałem się, że jeśli spuszczę cię z oczu, zrobisz coś szalonego i będę musiał pozwolić, żeby cię wychłostali,

choć czułbym sercem każde uderzenie. Ponieważ kocham cię bardziej, niż można pomyśleć i powiedzieć; moja miłość przewyższa poczucie obowiązku, sprawiedliwości czy dumy klasowej; przewyższa lojalność wobec króla, wieże domu mego ojca i chłodną, czystą chwałę samej Francji. - Głos Rene złagodniał. - Jestem do ciebie przywiązany, a ty do mnie. Po cóż innego przyszliśmy na świat? Po cóż innego los cię tu sprowadził? Po cóż innego uratowałaś mi życie, jeśli nie po to, żebym cię kochał?

Kiedy zamilkł, Cyrene gwałtownie zaczerpnęła tchu, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że nie oddychała. Przełknęła i zwilżyła wargi.

- Nie dam się zabrać do Francji siłą - powiedziała cicho.

Rene poczuł gniew połączony z rozpaczą. Nic więcej nie mógł zrobić ani powiedzieć. Obnażył przed nią duszę, a ona pozostała niewzruszona. Odwrócił się od Cyrene i podszedł do stołu. Podniósł arkusz papieru kancelaryjnego, przedarł go raz i drugi. Podszedł do Cyrene i wcisnął jej w dłoń skrawki papieru.

Oddalił się, jakby nie mógł znieść bliskości, rzucając przez ramię:

- Masz swój *lettre de cachet*. Jesteś wolna, wolna ode mnie, możesz zostać w tej zapadłej głuszy, jeśli masz na to ochotę. Idź, wyjdź, ale już! Zanim zmienię zdanie!

Wolna. Przypuszczała, że była wolna, a przecież nigdy nie czuła się bardziej uwięziona. Istniały więzy serca silniejsze niż wszelkie zakazy i więzienne mury. Miłość i troska Pierre'a, Jeana i Gastona nie pozwalały jej ich opuszczać, ponieważ nie chciała, żeby się o nią martwili. Dni i noce, radość i ból, które dzieliła z Rene Lemonnierem, wiązały ją z nim równie mocno, może nawet mocniej.

Dziwne. Sądziła, że nie mogła na nim polegać, nie mogła mu ufać, a jednak polegała na nim, wierzyła, że robi użytek z *lettre de cachet*, by ją przy sobie zatrzymać. Prowokowała go tylko dlatego, że miała pewność, że

użyje tego listu, tylko dlatego odważyła się pytać, dlaczego jej pragnął.

Posunęła się za daleko. Tak bardzo przywykła do udawania, że mu nie wierzy, że nie przyjęła jego miłości. Pragnęła usłyszeć więcej, pragnęła dowodu, żeby znaleźć właściwe słowa i właściwy moment, by powiedzieć Rene, że ona także go kocha.

Dowód trzymała w dłoni. Odpowiedni moment właśnie nastąpił. Zanim będzie za późno.

Uniosła głowę i powiedziała cicho:

- Zostań ze mną.

Rene odwrócił się powoli.

- Co?

- Zostań ze mną - powtórzyła, a łzy zalśniły jej w oczach jak płynne złoto. - Kocham cię. Umrę, jeśli wrócisz do Francji beze mnie. Nie odjeżdżaj. Zostań ze mną.

- Na zawsze. Przysięgam przed Bogiem, że na zawsze, moja Cyrene.

Jedyni krokiem przemierzył dzielący ich dystans. Zamknął ją w silnej obręczy ramion i obrócił, tak że płaszcz Cyrene zawinał się, zrzucając ze stołu papiery. Objęła go mocno, upuszczając na ziemię skrawki listu, które opadły jak płatki kwiatów.

Na podartym *lettre de cachet* nie wpisano nazwiska. Pośród rozrzuconych papierów leżał jednak drugi list, na którym, starannie wykaligrafowane czarnym pochylonym pismem, widniało nazwisko Cyrene.

Okręcając się z Cyrene w ramionach, Rene kopnął arkusz do ognia. Zabrazował się momentalnie, wybuchł małą, cichą eksplozją płomieni i zniknął.